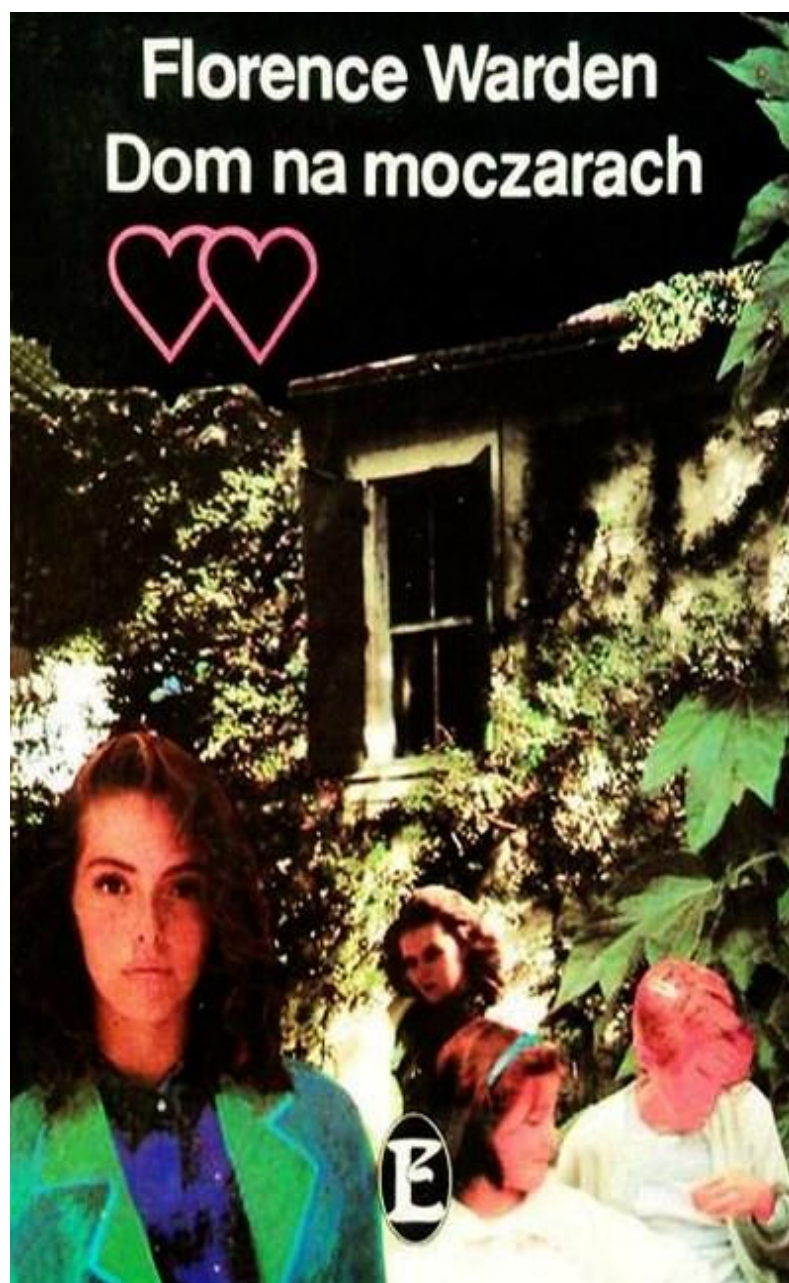




Florence Warden

Dom na moczarach



1.

Potrzebna jest młoda nauczycielka, z odpowiednim wykształceniem, do sześćioletniej dziewczynki — przeczytałam w dziale ogłoszeń Timesa. Moje osiemnaście lat dotąd było przeszkodą w znalezieniu lekcji. Ucieszyłam się więc niezmiernie, że jest ktoś, kto uważa młodość za zaletę.

Napisałam natychmiast pod wskazany adres, podałam, jakie mam kwalifikacje, dołączyłam również swoją fotografię. W następnym tygodniu byłam już w drodze do Geldham w hrabstwie Norfolk. Miałam być opiekunką sześćioletniej dziewczynki za 35 funtów rocznie. Umowę zawarłam listownie z ojcem przyszłej uczennicy. Miał mnie oczekiwać w Beaconsburgh, miasteczku położonym w pobliżu Geldham.

Było piękne, sierpniowe popołudnie, gdy pociąg zatrzymał się na miejscu mego przeznaczenia. Beaconsburgh! Beaconsburgh! Cała drżałam. Czułam, że krew uderza mi do głowy. Spuściłam szybę i wyjrzałam na peron. Stacja była pusta, tylko przy drzwiach poczekalni stało kilku panów. Żaden z nich jednak nie wyglądał na przyszłego mego chlebodawcę, nie odpowiadał rysopisowi, jaki stworzyła moja wyobraźnia. Opodal zobaczyłam jeszcze trzech farmerów o ogorzałych twarzach i dwóch młodzieńców usiłujących uspokoić wielkiego psa, którego rozdrażnił widok pociągu. Po wyjściu z wagonu poprosiłam zawiadowcę, żeby mi dopomógł odszukać pana Rayneza.

— Stoi tam, proszę pani — objaśnił, wskazując na jednego z młodych ludzi, którym udało się nareszcie poskromić przerażonego brytana.

Podziękowałam uprzejmie zawiadowcy i niepewnym trochę krokiem ruszyłam w jego kierunku. Przez moment w jego oczach było zdziwienie. Zaraz jednak uchylił kapelusza i czerwieniąc się po białka oczu zapytał półgłosem:

— Czy panna Christie?

— Tak — odparłam. Czułam, że się rumienię.

— Może pani będzie tak dobra i wskaże mi swoje pakunki?

— Są tam — szepnęłam zmieszana, wskazując moje walizki.

Nie spodziewałam się, że pan Raynez jest tak młody.

— Powozik zajechał. Możemy siadać — oznajmił po chwili mój rozmówca.

Udałam się posłusznie za nim. Nagle z dziedzińca wypadły trzy wielkie brytany i obskoczyły nas z zażartym ujadaniem.

— Cicho! Borer! Luke! Tray do nogi. Cicho! — krzyknął donośnym głosem mój towarzysz.

Zauważyłam, że głos ma bardzo czysty i dźwięczny, z czego wywnioskowałam, że zapewne musi ładnie śpiewać. Nie bez powodu dopytywał się w listach o moje muzyczne zdolności. Wsiadłam do powozu, poprawiłam suknię i zajęłam się porządkowaniem drobnych pakunków, którymi zarzucone było dno pojazdu. W tym czasie mężczyzna podszedł do konia i klepał go po połyskliwej, pięknej sierści. Co chwilę spoglądałam na niego ukradkiem: nie mogło mi się jakoś w głowie pomieścić, że zamiast człowieka w średnim wieku o włosach przyprószonych siwizną, widzę młodzieńca co najwyżej dwudziestoczteroletniego, bardzo przystojnego, silnie zbudowanego, o ciemnych włosach spadających na czoło, siwych oczach patrzących pogodnie i jasno, choć z pewnym zakłopotaniem. Nie, nie wyglądał stanowczo na ojca rodziny! Po chwili zbliżył się do mnie i powiedział z wyszukaną grzecnością:

— Obawiam się, że będzie pani u nas nudno. Kto mieszkał w Londynie...

— Och! Nie żałuję wcale! Zresztą, nie przyjechałam tutaj na zabawę.

— Dlatego właśnie żał mi pani. Nauczycielstwo to gorzki chleb. Ja sam nie cierpiałem szkół i nauki, profesorowie nazywali mnie zawsze nygusem, który przynosi wstyd klasie.

— Za to z pewnością lubił pan grać w krykieta, wiosłować, boksować się — odparłam nieśmiało.

— Ależ skąd! Raz tylko poturbowałam trochę jednego z kolegów za to, że nazwał mnie osłem. Co prawda, miał rację. Nie wiem nawet, jak się to stało, bo w szkole uchodziłem za słabego w walce na pięści. Widocznie wtedy dopomógł mi szczęśliwy traf — dokończył ze śmiechem.

— Mam nadzieję, że moja uczennica nie odziedziczyła po ojcu niechęci do książki? — spytałam zaniepokojona.

Przystanął, spojrzął na mnie i nagle zaczerwienił się aż po szyję.

— Czy pani bierze mnie za pana Rayneza? — zapytał.

Cała krew uderzyła mi do twarzy. — Boże! Gdyby tak zapaść się pod ziemię.

— Nazywam się Jerzy Reade — rzekł prędko, litując się nade mną.

— Pani Raynez przysłała po panią wygodny powóz, ale na przejeździe zła-
mało się koło, więc przyjechałem moim. Myślę, że nie ma to znaczenia.

— Nie, dziękuję.

— Pan Raynez stał ze mną na peronie — ciągnął swobodniejszym już tonem
— odwołano go w chwilę po zapowiedzeniu przyjazdu pociągu. Ofiarowałem się
zastąpić go i pomóc pani przy odbieraniu bagażu. Zapewne nadejdzie zaraz.

Zaledwie skończył, drzwi skrzypnęły i ukazał się prawdziwy mój chlebodaw-
ca. Był to mężczyzna trzydziestoparoletni, wysmukły, o delikatnych rysach i ja-
snym zaroście. Szybko się zbliżył, zdjął kapelusz i podał mi rękę.

— Czy pani nie jest obrażona brakiem wychowania mieszkańców Norfolku?
— zaczął patetycznie. — A może towarzysz objaśnił już pani, którym pociągiem
można powrócić do Londynu? Przepraszam najmocniej za dzikość moich oby-
czajów, ale żona zapowiedziała mi na wyjeździe, żebym nie pokazywał się w
domu bez 150 sprawunków i paczek, które w tych dniach miały nadejść. Musia-
łem to wszystko odebrać. Mam jednak nadzieję, że mój młody przyjaciel zaba-
wiał panią w tym czasie.

— Panna Christie wzięła mnie za pana, panie Raynez — odparł zapytany ru-
mieniąc się.

— I żałuje z pewnością, że tak nie jest. Niech pani wybaczy moim siwym
włosom — rzekł z uśmiechem mój chlebodawca. — Postaram się zdobyć jej
względy. Panie Jerzy — dodał, zwracając się do towarzysza — jeżeli chcemy być
w domu zanim mgły opadną, to trzeba nam się spieszyć.

Wskoczył zręcznie na tylne siedzenie, a Reade odwiązał cugle i ruszyliśmy
kłusem odprowadzani zajadłym szczekaniem olbrzymich brytanów. Za miastem
skręciliśmy na prawo, zostawiając za sobą szeregi wozów, stada bydła i gromady
ludzi — w tym dniu w Beaconsburgh był jarmark. A potem trzęsawiska, bagna,
moczary, monotonna roślinność i szara, niekończąca się wstęga drogi. Nigdy do-
tąd nie mieszkałam na wsi, więc zachwycona byłam tym widokiem. Pan Raynez
milczał zajęty przeglądaniem listów i dzienników, swoimi spostrzeżeniami dzie-
liłam się z panem Readem, który przyjmował je dosyć sceptycznie.

— Śliczna zieleń! — wołałam co chwila.

— Za śliczna — odparł mój rozmówca pół żartobliwie, pół poważnie.

— Mieliśmy mokre lato, teraz zanosi się na dżdżystą jesień, zasiewy zmarnie-
ją, a łąki zamieniają się w bagna.

— Nie zniechęcałbyś panny Christie — przerwał mu pan Raynez szorstko.
Minęliśmy jakąś niewielką wioskę, za wioską znów były bagna.

— O, tam widać Alders — powiedział pan Raynez wskazując szpicrutą wielki, czerwony dom, który ukazał się nagle na zakręcie. Trzęsawiska kończyły się tuż pod ogrodzeniem. Obszerny park otaczał willę na w pół ukrytą w bluszczu i kwitnących pnączach. Stare, rozłożyste drzewa i wysmukłe świerki tworzyły malownicze grupy.

— Niech pan zatrzyma konie. Wsiądę tutaj i pójdę krótszą drogą — dodał.

Zeskoczył z powozu i krętą ścieżką, która przecinała plantację udał się w kierunku domu.

— Prześlicznie tutaj — szepnęłam z zachwytem.

Pan Reade nie odrzekł ani słowa.

— Tam! Tam! Niech pan spojrzy! Mostek, stawy! Ja tak lubię lilie wodne — mówiłam gorączkowo.

— Cuda! Stojąca woda przed oknami! Nadzwyczaj odpowiednia miejscowość dla dzieci — odparł z szorstką ironią.

Popatrzyłam na niego zdziwiona. Co to ma znaczyć? Co za ton i słowa? Postanowiłam nie odzywać się więcej. W milczeniu dojechaliśmy do domu.

— Śliczne są te festony bluszczu. Co za kwiaty! Jaki tu przyjemny chłód.

— Tak, wilgoci tu pod dostatkiem. Bluszcz nie przycinany od lat pięciu. Znakomite miejsce na szpital dla trędowatych! — przerwał z wybuchem.

— Zabroniłbym tu mieszkać!

— Doprawdy? A dlaczegoż to, szanowny panie? — zabrzmiał za nami ostry głos właściciela. Odwróciłam się. Pan Raynez stał kilka kroków od nas z pobladłą z gniewu twarzą. Zdawało mi się, że jego oczy zionęły nienawiścią.

Bo i dlaczego pan Jerzy nazwał do śliczne ustronie szpitalem dla trędowatych?! — pomyślałam.

Drzwi się uchyliły, służąca zbiegła ze schodków i zaczęła z pośpiechem wyjmować walizki i pakunki. Pan Reade pomógł mi wsiąść z powozu i zaczął poprawiać coś koło upręży. Gdy właściciel oddalił się trochę zajęty rozmową ze służącą, pan Reade podszedł do mnie z zagadkową twarzą i z palcem na ustach.

— Niech pani nie pozwoli się umieścić w pobliżu pani Raynez — szepnęłam.

Zanim zdążyłam spytać dlaczego, ukłonił się, wskoczył do powoziku i szybko odjechał. Dziwnie przykre uczucie ścisnęło mi serce. Tak pragnęłam w tej chwili dowiedzieć się, co znaczy ta tajemnicza prośba czy też ostrzeżenie i podziękować za życzliwość. Byłam taka samotna, opuszczona, biedna. Pan Raynez zapomniał widocznie o mojej osobie, odszedł, nie zaprosiwszy mnie do domu, służąca także

zniknęła z moją ostatnią walizką. Bezradna stałam przed domem. Co mam robić? — myślałam z rozpaczą.

— Proszę za mną — usłyszałam nagle-koło siebie ostry i nieprzyjemny głos kobiety.

Drgnęłam. Lodwróciłam się szybko. Była to służąca, która zносиła rzeczy. Nieładna i patrzy tak ponuro. W milczeniu szłam za nią długim, ciemnym korytarzem, potem po wąskich, niewygodnych schodach i znowu korytarz jeden, drugi, wreszcie kobieta otworzyła przede mną niskie drzwiczki. Znalazłam się w pustym narożnym pokoju, na podłodze piętrzyły się w nieładzie moje walizki i kosze. Usiadłam na jednym i rozplakałam się głośno. Ktoś przecież mógł mnie przywitać. Przypomniały mi się zagadkowe słowa pana Reada. Dlaczego ostrzegł mnie? Może pani Raynez jest niebezpiecznie chora? Może dlatego nie zajęła się sama wyszukaniem nauczycielki dla dziecka? Twarz mi płonęła, umysł pracował usiłując daremnie rozwiązać zagadkę. Z radością przyjął zaproszenie na herbatę. Ale i teraz nie zaspokoiliłam ciekawości: na stole było tylko jedno nakrycie.

— Pan Raynez jest bardzo zajęty, kazał podać sobie kolację do pracowni — rzekła półgłosem służąca.

Ani słowa o pani domu, nigdzie ani śladu dziecka. Byłam tak podniecona, że zapomniałam o głodzie, wypiliśmy duszkiem herbatę i nerwowym ruchem odsunęłam krzesło. Wielkie, weneckie okna jadalnego pokoju wychodziły na ogród. Nie mogłam się oprzeć pokusie i odchyliłam firankę.

Jakiż cudowny zachód słońca. Ostatnie jego promienie pieściły dom i ogród. Łagodny wietrzyk kołysał wierzchołki świerków i platanów, od których kładły się teraz długie, fioletowe cienie. Przepyszne angielskie trawniki otaczały drzewa, zwirowane ścieżki błyszcząły słonecznym złotem. Otworzyłam drzwi. Nigdy jeszcze nie widziałam równie pięknego ogrodu. Trawa była puszysta i miękka jak aksamit, kwiaty śliczne: wielkie, pąsowe goździki, szafirowe dzwonki, floksy. Dom stał na niewielkim wzgórzu za ogrodzeniem, pochyłość parku zniżala się dość stromo ku ciemnej tafli stawu, a tam zaczynały się moczary pokryte złudną zielenością.

Okrążyłam willę i podążyłam krętą ścieżką zbiegającą w dół, do jeziora. Po chwili znalazłam się przy mostku, którym tak się zachwycalam. Śliczne, dzikie ustronie. Ciche, milczące wody, na wpół okryte rzęsą, zarosłe sitowiem i trzcina. A tu i ówdzie nieskalaną bielą jaśnieją lilie. Wąska ścieżyna okala jezioro i niknie gdzieś po drugiej stronie w zieleni drzew

i krzaków. Zbliżyłam się do parkanu. Tuż koło ogrodzenia biegła wydeptana ścieżka, która łączyła się chyba z tą, którą pan Raynez dziś przyszedł. Zdziwiło mnie tylko, kto mógł tutaj tak często przychodzić.

Uczułam chłód. Zawróciłam. Gdy zamysłona weszłam na mostek, nagle usłyszałam cichy śpiew, który zdawał się płynąć spod ziemi. Przechyliłam się przez poręcz i zdumiona spostrzegłam tuż nad wodą dwuletnie może dziecko o bladej twarzyczce okolonej złotymi włoskami. Wychudłe rączki i nóżki wyglądały spod brudnej i trochę przy krótkiej sukienki. Małeństwo śpiewało coś słabym głosem, nie zwracając uwagi na moją obecność. Zbiegłam co tchu nad jezioro i powiedziałam łagodnie, żeby nie stała tak blisko wody, bo może wpaść do niej i utonąć. Dziecko podniosło na mnie wielkie oczy, zdawało się nie rozumieć, co do niego mówię. Więc chwyciłam je silnie za rączkę z mocnym postanowieniem odprowadzenia do domu. Wtedy zaczęło płakać i skarżyć się niezrozumiałym, dziecięcym szczebiotem. Przekonana, że mam do czynienia z córeczką ogrodnika lub którejś ze służących, pociągnęłam ją mimo oporu. Przed domem spotkałam służącą.

— Znalazłam tę małą nad brzegiem stawu.

— To nic, proszę pani — odparła dziewczyna spokojnie. — Panienska tam zawsze siedzi. Nie ma rady na jej upór. — Chodź spać, Mona! Jak ty wyglądasz, brudasio!

Odebrała mi dziecko, nie dziękując nawet za odprowadzenie. Nie mogłam ochłonąć ze zdumienia. Więc to dzikie stworzonko jest córką pana Rayneza? Miłe życie mnie czeka, jeśli starsza siostra jest do niej podobna.

Nikt nie zapraszał mnie do pokoju, więc udałam się do drugiej, nieznannej mi jeszcze części parku. Trawa rosła tutaj dziko i bujnie, grunt był coraz bardziej mokry i miękki, tak że w końcu musiałam wracać, bo stopy grzęzły mi w błocie. O kilkanaście kroków dalej zaczynały się prawdziwe trzęsawiska. Zajęta wydo-bywaniem nóg z błota pomyliłam drogę i nagle znalazłam się w gąszczu krzaków i splątanych pnączy, nie do przebycia. Po długich mazołach wydostałam się wreszcie na bardziej suche miejsce. Przedemną giętkie gałęzie berberysu zwieszały do ziemi czerwone owoce, na prawo ciemniała cisowa aleja. Spomiędzy drzew przeglądała północna zapewne część domu. Podeszłam bliżej. Bluszcz oplatał całą ścianę tak szczelnie, że w pierwszej chwili nie zauważyłam nawet wpół przysłoniętego okna. Nagle zadrżałam. Poprzez szyby patrzyły na mnie wielkie, smutne oczy. Tyle w nich było bólu i rozpacz, że od razu uczułam litość i sympatię dla ich właścicielki. Błada, mizerna twarz przypominała twa-

rzyczkę Mony. Była to z pewnością pani Raynez. Odwróciłam głowę i udając, że jej nie widzę, oddaliłam się zwolna w stronę ganku.

Poszłam na górę do swojego pokoju i wzięłam się za rozpakowanie rzeczy. Potem zaczęłam pisać list do matki. Napisałam jej o szczęśliwym przybyciu na miejsce, o uprzejmości gospodarza i cudach parku. Ale nie napomknęłam ani słówkiem o tajemniczej pani domu, ani też o dziwnie przykrym wrażeniu, jakie wywarł na mnie pierwszy spędzony tu wieczór. Wprawdzie wiele bym dała, żeby móc z kimś podzielić się moimi spostrzeżeniami, ale nie chciałam niepokoić matki i budzić w niej obawy o moją osobę.

Ciemno już było, gdy skończyłam pisać. Zapaliłam świecę i otworzyłam okno.

Okrzyk zachwytu wydarł mi się z piersi. Jak okiem sięgnąć, ciągnęły się wszędzie moczary spowite w biały tuman. Mgły podnosiły się wyżej i wyżej, rozpościerały się szeroko, otulały powiewną zasłoną drzewa, krzaki i kwiaty. Srebrny blask księżyca kładł świetliste pasy, wszystko tonęło w powodzi łagodnego światła. Spokój i cisza. Opary sięgały teraz mego okna. Drzewa rzucały tajemnicze plamy na jasną biel mgły i zdawać się mogło, że w ich cieniu za chwilę igrać zaczną wdzięczne elfy i chochliki. Nagle uczułam przenikliwy chłód. Wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz.

— Och, jak tu zimno — szepnęłam, usiłując zamknąć okno. — Państwo Raynez muszą być bardzo przywiązani do tego miejsca, jeżeli mogą żyć w takiej wilgoci.

2

Nazajutrz rano znalazłam się na dole z punktualnością nowicjuszki. Nikogo jeszcze nie było. Wkrótce jednak odezwał się dźwięk dzwonka i pan Raynez, wyświeżony i elegancki, wszedł do pokoju. Był smutny. Skinął mi uprzejmie głową. Odkłoniłam mu się z uśmiechem i szybko się odwróciłam usłyszawszy szmer sukni za sobą. Była to pani Raynez. Wsunęła się cicho, prawie bez szelestu, i usiadła przy stole, mierzając mnie chłodnym spojrzeniem. Twarz miała spokojną, ani śladu wczorajszego bólu i trwogi. Gdy pan Raynez przedstawił mnie,

podawała mi rękę obojętnym, niedbałym ruchem.

Musiała być dawniej prześliczna. Delikatna cera uwydatniała czyste jeszcze rysy, w głębokich, ciemnych oczach tały się niewygasłe blaski, ale cała wysmukła, dziewicza niemal postać nosiła piętno niezwykłego znużenia, a może rezygnacji. Wielka słodycz biła z jej twarzy. Opuściła przezroczyste dłonie na kolana i lekko pochyliła głowę obciążoną bogactwem kruczych włosów splecionych i upiętych nisko w ogromny węzeł.

Drzwi skrzypnęły cicho i weszła służąca, prowadząc za rączkę dwuletnie bobo i śliczną, jasnowłosą dziewczynkę, w której się domyśliłam mojej uczennicy.

— Haide, przywitaj się z panią — odezwał się ojciec.

Ucałowałam świeże policzki dziecka i usiedliśmy do stołu. Zapanowało milczenie, które tylko od czasu do czasu przerywał pan Raynez i hałaśliwy szczebiot Mony. Dziecko zachowywało się dziwnie. Gdy zauważyło, że ojciec nie zwracał na nią uwagi, rzucało w niego okruchami chleba, a kiedy sięgał po cokolwiek, uderzało go łyżeczką z całej siły swych drobnych piąstek. Spostrzegł to wreszcie i uśmiechnął się do niej.

— Dziwna rzecz, jak to dziecko mnie nienawidzi — rzekł ze smutkiem w głosie, zwracając się do mnie.

Myślałam, iż żartuje, ale po kilku dniach pobytu w Alders przekonałam się, że była to prawda. Nie rozumiałam, dlaczego ojciec przemawiał do małej zawsze łagodnie, z uśmiechem. Ona jednak odrzucała jego pieszczoty, nie przyjmowała z jego ręki łakoci.

— Nie domyśla się pani, z jakimi „zapleśniałymi” ludźmi mieć będzie do czynienia — odezwał się znowu wesoło. — Obiad, na przykład, jadamy o wpół do drugiej. Gdybyśmy odważyli się przenieść na późniejszą, bardziej odpowiednią porę, to z pewnością bylibyśmy zmuszeni przygotować go własnymi rękami. Mamy tylko trzy służące, a i te utrzymać jest trudno. Skarżą się na wilgoć. Sądzę jednak, że główną wadą tego zakątka jest dosyć znaczna odległość od miasta, co stanowi poważną przeszkodę dla całego zastępu narzeczonych. Czy panią to wszystko przeraża?

— Nie.

— Żona obawiała się, że to pustkowie przestraszy i zniechęci każdą młodą istotę. Poprzednia nauczycielka mimo czterdziestu lat nie mogła tu wytrzymać — ciągnął z przekąsem. — Milcząca i ponura, doprowadzała żonę do rozpaczycy wiecznie skrzywioną twarzą i spojrzeniem konającego.

Uskarżała się na reumatyzm i wymawiała mi ciągle podstępne zwabienie w

tak wilgotne miejsce. Słowem, tak nam dokuczyła, że postanowiliśmy oboje wystrzegać się na przyszłość wszelkich „staroci”.

— Dom jest ślicznie położony, a park cudowny — przerwałam ze szczerym zachwytem. — Nie mogę pojąć, że komuś może się tu nie podobać.

— Przypuszczam, że pani poprzedniczka miała ukryte powody do tych wszystkich grymasów. Z początku mnie też zaniepokoiła ta „wilgoć” i chciałem wywieźć stąd moją rodzinę. Na szczęście żona udaremniła mój zamiar. Jest bardzo do tego miejsca przywiązana. Nieprawdaż, Lolu?

— Tak — odparła spokojnie.

— Zostaliśmy i nigdy nie przestanę być żonie za to wdzięczny — dodał wzruszonym głosem. — Życzenia kobiety powinny być zawsze szanowane, zwłaszcza przeze mnie. Bo trzeba pani wiedzieć, że jestem finansowo zależny od niej. Prawda, Lolu? — rzekł, pieszcząc ją ciepłym spojrzeniem.

— Niezupełnie — odpowiedziała grzecznie, ale chłodno.

— Ależ tak, tak i nie wstydzę się tego — ciągnął dalej pan Raynez.

— Ona była bogatą jedynaczką, ja — marnotrawnym synem. Pobraliśmy się, bo ufała w szczerść moich zapewnień, że się poprawię. Zdecydowaliśmy się mieszkać na wsi, z dala od wszelkich pokus.

Umilkł i z miłością patrzył na żonę, jakby pragnął wyczytać z jej twarzy, że się nie gniewa o to niespodziewane wyznanie. Siedziała cicho z przymkniętymi oczami. Długie rzęsy rzucały lekki cień na blade, wychudłe policzki.

Współczułam mojemu chlebodawcy. Starał się być dla żony uprzejmy, zważał na każde jej skinienie, robił wszystko, żeby wywołać uśmiech na jej twarzy — wszystko na próżno. Nie poruszyła się nawet. Oznaki jego przywiązania przyjmowała obojętnie, odzywała się rzadko cichym, stłumionym głosem, nagle milkła jakby pragnęła odpocząć. Nigdy nie kończyła zdania od razu, wyrazy zdawały się więznąć jej w krtani. Wymawiała je prawie z wysiłkiem. Chwilami spoglądałam na nią z dziwną trwogą, jej przelotne spojrzenia wdzierały się w głąb mojej duszy. Czułam się tak skrepowana i onieśmielona, jak nie byłam jeszcze w obecności żadnej kobiety. Postać jej miała tę właściwość, że nie zacierała się nigdy w pamięci. Wiedziałam już wtedy, że nie zapomnę jej do końca życia. Pragnąc pozyskać jej życzliwość i rozerwać ją trochę, spytałam, czy mogłabym poczytać jej głośno, gdy skończę lekcję z małą Haide.

Przystała dosyć chętnie. Po obiedzie poszliśmy do salonu i zaczęłam jej czytać najnowszą powieść Adama Bede. Postać pani Raynez ginęła prawie w wielkim, bujającym się fotelu, w drobnych, przezroczytych palcach trzymała rozpo-

czętą robótkę. Niekiedy milkłam na chwilę sądząc, że może zrobi mi jakąś uwagę, ale milczała ciągle. Przy końcu rozdziału rzuciła ciche „dziękuję”, a gdy spytałam, czy mogę czytać dalej, odparła: Tak, jeśli to pani nie męczy.

Po kilku minutach spostrzegłam, że wcale mnie nie słucha. Machinalnie bawiła się robótką leżącą na kolanach i patrzyła na ogród. Nagle w jej oczach błysnął ten sam wyraz głębokiego smutku, jaki zauważyłam już wczoraj, a który stanowił zagadkowy kontrast z dzisiejszą apatią. Gdy spojrzałam na nią po chwili jej wzrok wyrażał taką straszną trwożę, taką bezdenną rozpacz, że zadrżałam i z trudem zdołałam czytać dalej. Z pobladłych warg pani Raynez uleciało ciężkie westchnienie, potem wydarł się cichy jęk. Odłożyłam książkę i ze współczuciem patrzyłam na nią załzawionymi oczyma. Nasze spojrzenia spotkały się. Przez chwilę czułam, że jej wzrok przenika w najskrytsze tajniki mej duszy. Słabe rumieńce okryły jej policzki, pierś szybko falowała pod lekką osłoną muślinowego szlafrocza. Nerwowym ruchem wyciągnęła do mnie rękę. Miałam ją właśnie uściśnąć, gdy usłyszałyśmy tuż obok siebie przyciszony głos, który sprawił, że odsunęłyśmy się gwałtownie, jakby schwymane na gorącym uczynku.

Był to pan Raynez, który wszedł cicho do salonu.

— Musisz się czuć zmęczona, droga Lolu — przemówił troskliwie

— jesteś bardzo blada. Połóż się, proszę, i odpocznij trochę.

Na dźwięk głosu męża pani Raynez wyprostowała się, a twarz jej przybrała obojętny wyraz. Stało się to tak szybko, że po chwili zaczęłam wątpić, czy naprawdę widziałam rozpacz w oczach młodej kobiety i czy to ona wyciągała do mnie rękę. Nieśmiało zapytałam, czy mogę jej towarzyszyć i pomóc się położyć, ale zaprzeczyła ruchem głowy, szepcząc przy tym jakieś konwencjonalne podziękowanie. Mąż otulił ją szalem, za co przesłała mu ciepłe spojrzenie, podał jej ramię i powoli, ostrożnie wyprowadził z pokoju.

Od tej chwili zmienił się stosunek pani Raynez do mnie. Z widoczną niechęcią przyjmowała drobne usługi, jakie starałam się jej wyświadczać, zawsze odrzucała propozycję wspólnego czytania pod pozorem, że jest to zabieranie mego czasu, dawała mi do zrozumienia, że nie pragnie spoufalić się ze mną. Byłam zbyt młoda, żeby śmieiej okazywać przyjazne uczucia, toteż oddalałyśmy się coraz bardziej od siebie.

Rozmowa, którą miałam nazajutrz z moim panem oddaliła nas jeszcze bardziej. Przyszedł do szkolnego pokoju w chwili, gdy kończyłam lekcję, i po kilku pytaniach dotyczących małej, wyprawił dziewczynkę do ogrodu, kościoła. Po urodzeniu Mony, przed samym przybyciem tutaj, nastąpiła zmiana w jej usposo-

bieniu, niestety nie taka, jakiej oczekiwałem. Myślałem, że przez miłość dla nowo narodzonej istotki zbudzi się znów do życia. Gdyby przyszedł na świat chłopczyk, kto wie, czy tak by nie było. Lecz stało się inaczej. Mona nie zajęła w jej sercu miejsca straconego jedynaka. Nieszczęśliwa kobieta zaczęła się odgradzać nieprzebytą zaporą od świata i ludzi. Z niechęcią przyjmuje każdą nowość, nie znosi obcych twarzy, co pani zresztą pewno już odczuła. Uznałem za konieczne wyjaśnić pani przyczyny tego stanu. Nie chcę, żeby ktokolwiek źle ją oceniał. Kiedy wczoraj, podczas czytania, wszedłem do pokoju, przeraził mnie jej wygląd i nerwowe rozdrażnienie. Na twarzy pani także malował się przestach. Sądziłem, że może w powieści znajdowało się coś takiego, co mogło znowu rozkrwawić jej duszę. Staram się w miarę możliwości ochraniać ją od wszelkich wstrząsów i wzruszeń, ale są chwile, które przejmują mnie trwogą i strasznym niepokojem o jej zdrowie...

Zrozumiałam co chciał powiedzieć, starałam się jednak nie okazywać tego.

— Kilkakrotnie dostrzegłem w jej oczach nieprzytomny, prawie dziki wyraz, który pojawia się zawsze, jeśli ktoś nieostrożnie dotknie świeżej rany — mówił dalej przyciszonym głosem. — W takich chwilach jedynie moją obecność może znieść, tylko słowa głębokiej miłości uspokajają jej duszę. Zawsze była rozsądna, ale pod wpływem nieszczęścia zaczyna mówić czasem bez związku, od rzeczy — szepnął bardzo cicho.

— To mogło panią przestraszyć. Czy nie zdarzyło się nic takiego? — spytał ze smutkiem.

— Nie. Pani Raynez nie odzywała się wcale — odparłam żywo.

— Może w powieści były analogiczne sytuacje?

— Nie zdaje mi się. Nie, na pewno.

— Nie potrzebuję chyba prosić pani — zaczął już spokojniej — żeby pod żadnym pozorem nie rozmawiać z nią o tych przejściach. Nie powinna się domyślać, że pani wie o wszystkim. Spodziewam się, że osoba tak dobra i rozsądna jak pani, nie zrobi złego użytku ze smutnej prawdy, którą jej odsłoniłem w zaufaniu i po części z konieczności dla wspólnego dobra. Zresztą, nie straciłem jeszcze nadziei i z utęsknieniem oczekuję chwili, w której moja żona odzyska zdrowie i zażyczy sobie zakończenia klasztornej egzystencji. To by ją uratowało. Już tyle razy błagałem ją o to, ale daremnie. Nie mogę przecież zmuszać jej siłą. Żelazna wola jest w tym słabym ciele i — przyznaję — nie umiem jej przełamać. Jednym z powodów, dla których życzyłem sobie młodej nauczycielki, był ten właśnie, żeby żonę trochę rozweselić. Ale zaczynam się lękać, że wszystkie moje usiłowania

złamią się o jej upór. Całą mocą bronię się jeszcze od rozpacz, ale...

— szeptał stłumionym głosem. — A teraz kiedy pani zna już tę smutną historię, z pewnością znajdzie pani dla tej nieszczęśliwej trochę współczucia w sercu i nie będzie pani razić jej postępowanie. To jest dobre, złote serce, tylko złamane nieszczęściem. I niech pani ma także odrobinę życzliwości dla mnie... I mnie jest ciężko. I ja cierpię, bo kocham ją wielką miłością, a skazany jestem na zupełną prawie z jej strony obojętność i patrzę na konanie uczucia, które się w niej kiedyś narodziło...

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, z takim głębokim bólem, że wydał mi się stokroć nieszczęśliwszym od tej, przez którą cierpiał. Serdecznie i mocno uściśnęłam podaną dłoń, patrząc w oczy swego chlebodawcy ze szczerym współczuciem. To go widocznie wzruszyło, bo zatrzymał dłużej nieco moją rękę, potem podniósł ją do ust, skłonił się poważnie i oddalił trochę chwiejnym krokiem.

Zadumana usiadłam w fotelu. Przyznaję, że zdziwiona byłam tą rozmową i niezwykłą otwartością prawie obcego człowieka, ale zrobił na mnie dobre wrażenie. Musi być bardzo uczuciowy. Jaki okropny kontrast z chłodem i apatią żony! W wyobraźni stanęło mi nagle porównanie tego małżeństwa do życia i śmierci, skutych nierozzerwalnym łańcuchem. Tak, było coś nienaturalnego w tym połączeniu martwoty z życiem.

Pod wpływem takich myśli doszłam do przekonania, iż mimo całej nieokreślonej sympatii dla pani Raynez, na nią spadała wina za niedobłą sytuację w domu. Było dla mnie coś tragicznego w tej odtrąconej nagle miłości męża, spokoju i chłodzie żony, którymi odpychała go od siebie. Zastanawiając się nad charakterem mego chlebodawcy, doszłam do przekonania, że pan Raynez jest człowiekiem bardzo towarzyskim, więc życie na odludziu z chorą umysłowo żoną musi być dla niego podwójnie ciężkie i męczące. Jego otwartość i szukanie sposobności do rozmowy ze mną świadczyły, że spragniony jest jakiegokolwiek towarzystwa.

A sąsiedztwo? Odmalował je z gryzącym, bezlitosnym szyderstwem. Gdyby nie choroba żony pewnie tu nie mieszkaliby. Z prawdziwym talentem opisywał te typy prowincjonalne. Śmiałam się do łez słuchając opisu sąsiedzkich wizyt, proszonych obiadów, gdzie każdy wcześniej wiedział przy kim go posadzą, jak się ubierze każda ze znajomych dam,

o czym będą rozmawiać przy stole: naturalnie, zawsze te same dysputy religijno-moralne, ponieważ połowę zgromadzonych stanowili księża. Potem ceremonialne przejście do salonu, jedna z uproszonych pań siada do fortepianu i bęb-

ni modne, najnowsze kawałki, potem jeden z panów (zwykle młody wikary) śpiewa trochę ochryłym głosem, a na zakończenie sopranowa deklamacja i wszyscy rozjeżdżają się z godnością.

Ubawiła mnie ta rozmowa jak przeglądanie pisma humorystycznego, czułam jednak fałszywą nutę w tym opisie. Z pewnością niezupełnie zgodnie z prawdą charakteryzował tych ludzi i prawdopodobnie czynił to umyślnie. Z kilku gorzkich słów, które powiedział na końcu, wywnioskowałam, że ktoś w okolicy musiał go czymś obrazić lub dotknąć jego miłość własną. Takie rzeczy usposabiają do krytyki, mimowolnie zaprawionej żółcią.

W pierwszą niedzielę po moim przyjeździe od rana padał ulewny deszcz, i nie mogłam nawet myśleć o wybraniu się do kościoła. Tym sposobem upłynęły dwa tygodnie, zanim poznałam choć powierzchownie sąsiadów. Przedtem jednak miało miejsce zdarzenie, które wpłynęło na mnie dziwnie przygnębiająco.

Dzień był prześliczny, ciepły, więc wzięłam Haide za rękę i poszłyśmy do lasu, którego część stanowił miejscowy park. Spacerowałyśmy po ścieżce wijącej się prawie przy ogrodzeniu. Nagle wielki nowofundlandczyk przeskoczył parkan i tak przestraszył dziewczynkę, że krzyknęła i rozplakała się głośno. W chwilę później za płotem ukazała się może czternastoletnia panienka i zaczęła przeproszać, że stała się mimowolną przyczyną łez dziecka. Uśmiechała się przy tym do Haide, która uspokoiła się i przytulona do mnie z ciekawością wpatrywała się w twarz nieznajomej. Ta ostatnia opowiadała mi z dziecięcą żywością, jakie śliczne kwiaty widziała na łące, potem o psie ulubieńcu, w końcu zdradziła mi z tajemniczą miną, gdzie najobficiej rosną czarne jagody, po czym skinęła mi głową i razem z psem zniknęła pomiędzy drzewami. Zdążyłam odejść zaledwie kilka kroków, gdy usłyszałam głośne pytanie, wymówione młodym, ale szorstkim głosem:

— Z kim rozmawiałaś, Alicjo?!

Odpowiedź była cicha, nie mogłam rozróżnić wyrazów.

— Nie powinnaś odzywać się do niej — odezwał się znowu ostry głos. — Czy nie wiesz, że mieszka w domu na moczarach?

rach — dźwięczało mi w uszach ponuro, złowrogo, z każdą chwilą potęgując uczucie dziwnego lęku i obawy. Po obiedzie uciekłam na górę.

Potrzebny mi był spokój, żeby móc zebrać bezładne myśli. Starłam się znaleźć nic pomiędzy smutną historią pani Raynez a słowami usłyszczanymi przypadkiem. Czyżby choroba biednej kobiety budziła w sąsiedztwie odrazę zamiast litości? Dlaczego mają unikać mnie także? Wesołe czeka mnie życie! Przez pół nocy daremnie siliłam się nad rozwiązaniem tej zagadki, wreszcie zmęczona zasnęłam.

Nazajutrz ślady znużenia zniknęły i wydało mi się rzeczą naturalną, że śmieszne i ograniczone parafianki omijają z daleka Alders, ponieważ jego właścicielka była w mocy sił nieczystych. A jednak to zdarzenie dotknęło mnie głęboko i z jakąś nieokreśloną obawą patrzyłam w kościele na pana Rayneza wymieniającego ukłony z sąsiadami.

Kościół parafii Geldham leżał bardzo niedaleko Alders. Pani Raynez była jednak bardzo osłabiona i z mężem pojechała powozem, ja z Haide poszłyśmy wcześniej piechotą. Moi chlebodawcy zajeżdżali właśnie przed kościół, gdy wchodziłam cmentarną bramą. Widziałam, jak pan Raynez ostrożnie i troskliwie wysadza żonę z powozu. Nie zauważyłam nic szczególnego w sposobie uchylania kapeluszy zgromadzonych sąsiadów, przeciwnie, wszyscy z uśmiechem podawali mu rękę, niektórzy zamieniali nawet kilka słów. Weszliśmy wreszcie do kościoła. W milczeniu zajęliśmy jedną z ławek. Obok nie było nikogo. Gdy powstałam z klęczek, spostrzegłam parę oczu badawczo utkwionych we mnie. Ich właścicielka, o parę lat starsza ode mnie, nie miała widać zamiaru przerwać tej niezbyt miłej, niemej indagacji, gdy nagle lekki dreszcz wstrząsnął mną: koło niej siedziała Alicja. Podobieństwo rysów nie pozwalało wątpić, że to siostry. Więc ona to niezawodnie tak ostro zgromiła dziewczynkę za rozmowę ze mną. Obie unikały mego wzroku. Poczułam nagle, że nienawidzę ich z całej duszy i bardzo byłam rada, gdy siedzący obok nich gruby jegomość zmienił pozycję i zasłonił ich twarze. Z drugiej strony w wielkiej jedwabnej pelerynie obszytej galonem i przybranej dżetami modliła się patetycznie niezwyklej tuszy lady. Biały kapelusz z pękiem róż o wielu odcieniach dopełniał pretensjonalnego stroju. Za nimi dostrzegłam jednak jeszcze kogoś i oblałam się rumieńcem. Był to pan Jerzy Reade, towarzysz podróży, który, nie wiem dlaczego, wydał mi się jedyną tu życzliwą mi duszą. Co chwilę patrzyłam na jego silną postać, znajdując w tym ukojenie. Czułam się już bardzo znużona smutną i chorobliwą atmosferą, w jakiej upływało moje obecne życie. Nagle wpadła mi do głowy myśl, że pan Jerzy jest bratem tych niesympatycznych panien. Starsza od czasu do czasu rzucała na

niego gniewne, chmurne spojrzenia , a kiedy ksiądz zaczął kazanie i pan Jerzy usadowił się wygodnie w kącie, z wyraźnym zamiarem drzemki, trąciła go w łokieć. Ta niema sprzeczka tak mnie zajęła, że zapomniałam o kazaniu i nie mogłam już potem złapać głównego wątku. Przymknęłam powieki i przez chwilę marzyłam, że jestem u matki i razem z nią siedzę w kościele. Ale widzenie to prędko zniknęło i dziwny smutek i tęsknota opanowały mą duszę. Mój rodzinny dom był daleko, tu było mi źle, czułam się bardzo samotna. Wszystkie moje myśli pobiegły przed tron Najwyższego. Błagałam go o trochę spokoju. Gdy podniosłam głowę, pierwsze moje spojrzenie padło na pana Jerzego, który klęczał teraz ze splecionymi rękami i schyłym czołem. Jego poważne, zadumane oczy spotkały się z moimi. Ukryłam twarz w dłoniach i pozostałam już tak aż do końca mszy.

Po nabożeństwie powoli wyszliśmy z kościoła. Stary pan Reade wymienił kilka sztywnych frazesów z panem Raynezem, a obie panny udawały, że nie widzą nas. Za to pan Jerzy przywitał nas skinieniem głowy i wesoło zaczął rozmawiać z Haide, którą trzymałam za rączkę. Chciał koniecznie, żeby go pocałowała. Dziewczynka potrząsała przecząco jasną główką, a ja, nie wiem co prawda dlaczego, byłam bardzo zadowolona z tej odmowy. Właściwie powinnam wytłumaczyć małej, że nie ma powodu odmawiać, skoro pan Reade tak ładnie ją prosi, ale nie zrobiłam tego. Z wielką uwagą przypatrywałam się rosnącym kwiatom.

— Nie powinnaś, Haide, obchodzić się tak z przyjaciółmi — odezwał się wreszcie z wymówką i jakby żalem w głosie pan Jerzy, co brzmiało dziwnie w stosunku do dziecka. Uczułam nagle, że robi mi się smutno.

Pan Raynez stał kilka kroków od nas i rozmawiał z nauczycielem, księdzem i jeszcze paru nieznanymi panami. Słyszałam doskonale każde jego słowo. Mówił o pożytku, jaki przyniosłoby okolicy założenie groszowej kasy oszczędności. Przemawiał gorąco za tą instytucją, podejmując się wszelkich trudów, jakie pociągnie za sobą wykonanie tego przedsięwzięcia.

Spoglądając ukradkiem na tę grupę, starałam się dopatrzeć charakterystycznych cech apatii i prowincjonalnej ciasnoty umysłowej, o których opowiadał mi pan Raynez.

Ubawiły mnie twarze, na których widać było niechęć do propozycji pana Rayneza. Stopniowo jednak, w miarę jak rozwijał plany i jasno dowodził potrzeby utworzenia tej pięknej instytucji, rozjaśniły się oblicza słuchaczy, w oczach widać było zaciekawienie. Spokojny głos mówcy i swobodne jego obejście ujęło ich więcej niż ścisłość rozumowania. W końcu nie tylko zgodzili się na

projekt, ale postanowili wnieść znaczne udziały i ofiarowali swą pomoc w urzędywianiu tej „myśli zacnej” w jak najkrótszym czasie. Gorąco dziękowali mu za życzliwość i rozeszli się z wyrazem nieklamanej sympatii.

Pan Raynez także był zadowolony. Z rozjaśnioną twarzą zbliżył się do żony i troskliwie pomógł jej wsiąść do powozu. Ja z Haide poszłyśmy do domu przez pola wąską, wijącą się dróżką.

Wkrótce po powrocie zadzwoniono na obiad. Przy stole gospodarz piorunował znowu na ospałość prowincji, beczynne życie i niepojmowanie pierwszych zadań obywatela, nazywał wszystkich baranami i gorzej jeszcze. Przypatrywałam mu się ze zdziwieniem, gdyż dotychczas nie odzywał się tak nigdy w mojej obecności. Spozrzegł to i prędko się opanował nadając swej krytyce ton humorystyczny. Bawiłam się dobrze. Pan domu przeszedł chyba sam siebie w szyderczej ironii. Powiedziałam mu w końcu, że ma prawdziwy, talent w tym kierunku. Pani Raynez przysłuchiwała się w milczeniu. Raz tylko, gdy wybuchnęłam nagle głośnym śmiechem, spytała spokojnie i chłodno:

— Czy pani wybiera się do kościoła po południu?

To niespodziewane pytanie zrobiło na mnie dziwnie niemiłe wrażenie, które pan Raynez musiał wyczytać z mej twarzy, bo odezwał się ze współczuciem:

— Biedna panna Christie. Straciła humor na samą myśl, że obowiązkowa obecność w kościele rano i na nieszporych należy do warunków naszego kontraktu. Tak nie jest. Sami jesteśmy zresztą tylko na rannym nabożeństwie. Wprawdzie poprzedniczka pani uczęszczała na wszystkie, uzupełniając je jeszcze pobożnymi rozmyślaniami, ale robiła to jedynie z własnej woli. Mam nadzieję, że nie zechce pani naśladować cnotliwej panny Parker ani w tym, ani w niczym innym — dodał ciszej.

Odpowiedziałam mu wesoło, że w istocie nie mam zamiaru zapatrywać się na pannę Parker, ale pójdę jednak dzisiaj do kościoła. Nie mogłam zrobić inaczej, zresztą miałam ochotę pomodlić się w skupieniu.

Nudne było to popołudnie. Przeszliśmy do salonu. Pani Raynez opadła ciężko na fotel i przymknęła oczy, a Haide recytowała monotonnym głosem wyjątek z Biblii. Słuchałam jej z rozdrażnieniem. Co za cel obciążać pamięć dziecka nudnymi cytatami, których nie rozumie? Kazałam jej w końcu iść się bawić, a sama usiadłam przy oknie, przerzucając *Rozmyślenia* Goulbursa, tłumiąc przy tym nerwowe ziewanie. Wreszcie nadeszła godzina niesporów. Wstałam szybko i oznajmiłam grzecznie pani Raynez, że pragnę iść do kościoła. Spojrzała na mnie dziwnie przychylnym spojrzeniem i objaśniła, że nieszpory odbywają się dziś w

Gulling- borough, nie w Geldham, ale jest to także niedaleko. Podziękowałam jej uśmiechem i po kilku minutach byłam już w parku. Służąca podprowadziła mnie do drogi.

Po chwili znalazłam się za bramą. Powietrze było parne i duszne. Niebo zaciągały ciężkie, ciemne chmury, wróżąc burzę. Ale ja miałam skrzydła u ramion, bo wreszcie poczułam się wolna, wyswobodzona z tej przygnębiającej atmosfery nieszczęścia, chociaż stosunki z Haide nie odpowiadały moim marzeniom. Martwiła mnie jej skrytość i dzikość, które z początku przypisywałam wrodzonej nieśmiałości dziecka, lecz instynkt mówił mi, że było w tym coś więcej. Pragnęłam gorąco miłości tej jasnowłosej główki, i nieraz było mi ciężko, że tak nie jest. Westchnęłam i obejrzałam się w stronę domu. Czerwieniał daleko wśród zieleni parku, a przede mną o kilka stajañ wysmukłymi wieżyczkami strzelała w górę śliczna, biała willa. Otaczały ją drzewa malowniczą grupą, u podnóża barwiły się kwiaty nieprzebranym bogactwem kolorów. Zaczęłam iść prędzej i wkrótce nieopodal domu spostrzegłam wielki, bujany fotel i siedzącego w nim mężczyznę w jasnej marynarce i z cygarem w ustach. Na kolanach miał książkę, przed nim na stoliku stała karafka i szklanka, zapewne z lemoniadą. Ach! To pan Reade! Uśmiechnęłam się. Musiał mnie też zauważyć, bo poruszył się szybko, ale udawałam, że go nie widzę i odwróciłam głowę w inną stronę. Minęłam prędko willę, przystanąłam chwilę dopiero na zakręcie drogi. Wtem usłyszałam, że ktoś otwiera furtkę, byłam pewna, że to pan Jerzy. Nie oglądając się pobiegłam na przód.

Jedną z pierwszych weszłam do kościoła i usiadłam z boku, tuż przed ołtarzem. Było prawie pusto. Z mego kącika obserwować mogłam doskonale, jak wnętrze powoli się zapełniało. Nagle z chóru popłynęły poważne, uroczyste tony organów. Drzwi wejściowe lekko skrzypnęły. Spojrzałam tam bezwiednie i zobaczyłam przy kropielnicy pana Jerzego już w ciemnym ubraniu, z kapeluszem w rękę. Postąpił kilka kroków, spostrzegł wolną ławkę i usiadł w niej. Oczyma wyobraźni ujrzałam wtedy ogród, białą willę, krzesło w cieniu i karafkę z chłodzącym napojem. Uklękałam i zaczęłam modlić się gorąco. Dusza na dźwiękach muzyki wzbiła się wysoko i trwałam tak długi czas w nieziemskim zachwycie.

Ocknęłam się, gdy w świątyni było już pusto i cicho, nie zauważyłam, kiedy się wszyscy rozeszli. Powstałam z klęczek i wyszłam pospiesznie.

Ciemnogrnatowe, pokłębione chmury zwieszały się nisko nad ziemią, rozdzierane niekiedy krwawym blaskiem błyskawicy. Burza zbliżała się szybko, kilka ciężkich kropel spadło mi już na głowę. Z przerażeniem spojrzałam na zło-

wrogie niebo; najlepszą moją suknię czekało zupełne zniszczenie. Do Alders wprawdzie tylko pół godziny drogi, ale przez pola, wśród sadów i płotów. Nie mogę nigdzie liczyć na schronienie, a jedyną moją osłoną jest lekka parasolka. Nie było innej możliwości, tylko ruszyć biegiem do domu, nie czekając, aż burza rozszaleje się na dobre. Załedwie uszłam kilkanaście kroków, deszcz zaczął gwałtownie padać, na wilgotnym gruncie potworzyły się zaraz głębokie kałuże, a ponad tym wszystkim górował świst wichru i monotony odgłos spadających kropli. Cóż miałam robić? Założyłam na głowę spódnicę, oglądając się ukradkiem dokoła, czy nie ujrzę świadka tego oryginalnego sposobu zabezpieczenia toalety, i jedną ręką przytrzymując liczne fałdy, drugą zasłaniałam się rozpaczliwie parasolką. Po kilku minutach takiej smutnej-drogi usłyszałam za sobą szybkie kroki.

— Panno Christie — usłyszałam znajomy głos. Był to pan Jerzy. Boże! Moja suknia! Zmieszana zaczęłam uciekać. Nic to nie pomogło, pan Jerzy dogonił mnie, przemocą prawie wsunął mi rękę pod ramię i rozpiął duży parasol. W milczeniu szłam przy nim czując, że mam rumieńce na twarzy i łzy w oczach. Mój towarzysz zatrzymał się wreszcie przed obszernym sadem, który otaczał żywo-płot, i energicznie pchnął furtkę.

— Ależ nie tędy! Idziemy w złą stronę — szepnęłam nieśmiało, podnosząc na niego zdziwiony wzrok.

— Wiem. Za to tutaj znajdziemy schronienie — odparł szorstkim trochę głosem.

I rzeczywiście, po chwili między drzewami' ukazał się rodzaj szałasów przeznaczonych chyba do przechowywania owoców. Przystąpiłam próg zbawczego pomieszczenia, a pan Reade w tym czasie strząsał wodę z parasola. Gdyby ta przygoda zdarzyła mi się przed kilkoma dniami, prawdopodobnie śmiałabym się tylko, a może byłabym nawet rada z tego spotkania, ale teraz zbyt żywo stały mi w pamięci bolesne, a nie zasłużone słowa jego siostry. Usiadłam nachmurzona więcej niż pragnęłam i zaczęłam liczyć krople deszczu, rzucając niekiedy ostrożne spojrzenie na mego towarzysza. Zdaje się, że był trochę dotknięty moim zachowaniem i udawał, że nie zajmuje się mną wcale. Stał tuż obok wejścia. Przez otwory w dachu spadały mu na ubranie kropelki brudnej wody. — Nie będę go ostrzegać

— pomyślałam — nie jest dzieckiem i powinien sam to zauważyć.

Wtem błyskawica rozjaśniła wnętrze naszego schronienia. Niedaleko rozległ się huk gromu. Dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy. Przestra-

szona krzyknęłam.

— Niech się pani nie lęka. Zasłonię sobą wejście — rzekł pan Reade łagodnie i miękko, postępując ku drzwiom.

— Nie, nie! Nie chcę! Nie boję się wcale! — przerwałam błagalnie. — Niech pan tego nie robi!

Nie odpowiedział mi. Po chwili ujrzałam jego profil, rysujący się na ciemnym tle nieba dziwnie szlachetnie i czysto. Zapanowało znowu przygnębiające milczenie. Chciałam je przerwać, ale głos uwiązł mi w krtani.

— Deszcz ustaje — odezwałam się w końcu, choć słyszałam doskonale miarowy, jednostajny plusk wody.

— Tak pani pilno? Nie rozjaśniło się ani trochę i wszędzie stoją kałuże

— odparł ironicznie.

— Chciałabym jak najprędzej zmienić buciki.

— Przemoczyła pani nogi? Co za nieostrożność. Jak można było wybrać się w takich cienkich pantofelkach. Zaziębi się pani z pewnością

— mówił gorączkowo, z troską w głosie.

— Nic mi nie będzie. Jestem silna i zdrowa. Ale...

— Co takiego?

— Pan Raynez z pewnością niepokoi się o mnie.

— Pan Raynez? A pani!?! — zapytał z przekąsem.

— Och! Pani Raynez! — szepnęłam — jest taka zimna i odstręczająca, że...

— Że woli pani małżonka — odezwał się szorstko.

— Tak — odparłam urażona.

— Wszystkie jesteście jednakowe! — wybuchnął z gniewem i jakby z zazdrością.

— Nie wiem, czy to może dziwić pana — odpowiedziałam chłodno — że wolę towarzystwo kogoś, kto naprawdę stara się mnie zabawić i rozerwać dowcipną rozmową, niż tej, która zawsze milczy i udaje, że mnie nie spostrzega.

— Czy pani nie jest do niej uprzedzona? — zapytał z niedowierzaniem.

— Przecież mogłaby z łatwością zyskać moje zaufanie — przerwałam mu gorzko. — Ale zdaje mi się, że rada by mnie tylko upokorzyć. Każdy mój uśmiech przejmuje ją zgrozą, na przywitanie podaje mi wyniosłe końce palców, czuję doskonale, że mnie nienawidzi. A przecież wie dobrze, że po raz pierwszy opuściłam dom rodzinny, i że nie jestem zbyt szczęśliwa pod jej dachem.

Ostatnie słowa wymówiłam stłumionym, ledwo dosłyszalnym głosem.

Pan Jerzy spojrział na mnie ze szczerym współczuciem. Widziałam, że zbladł

trochę. Pomyślałam nagle, iż nie powinnam była zwierzać się w ten sposób obcemu człowiekowi, toteż zmieszana dorzuciłam prędko:

— Tylko niech pan nie wyobraża sobie, proszę, że źle mi jest w tym domu! Przeciwnie. Gdyby pani Raynez zechciała mi okazać odrobinę życzliwości...

— Może własne nieszczęście pochłania ją całkowicie i nie pozwala jej zdobyć się na życzliwość dla innych — szepnął zamyślony.

— Za to ją też potępiam — odparłam z żywością. — Niech pan zastanowi się tylko. Życie jej płynie w cudownym ustroniu, przy boku kochającego ją męża, który uprzedza i spełnia najdrobniejsze jej życzenia, a przecież ona nie chce o tym wiedzieć i z jakimś skamieniałym egoizmem pograża się w przeszłości i cierpieniu. Myśli tylko o sobie i o zmarłym dziecku, któremu już nic nie pomoże, zamiast nieść spokój i szczęście żyjącym.

— Straciła dziecko?

— Tak. Najstarszego synka. Ale już dawno. Nagła śmierć maleństwa wpłynęła podobno w ten sposób na jej zdrowie i usposobienie.

— Kiedyż to było? — spytał niedowierzająco.

— Przed pięciu laty.

— Czy pan Raynez mówił pani o tym?

— Osobiście.

— A pani?

— Nie rozmawia ze mną wcale. Zresztą nie wolno przy niej wspominać bolesnej przeszłości. Ja często patrzę na nią z głęboką litością. Po prostu trudno mi uwierzyć, że była niegdyś wesołą i jedną z najświetniejszych kobiet londyńskiego towarzystwa. Nie mogę też pojąć, że przestała pisać, miałyby przecież o czym.

— Pisać? Czy pani wie to od niej?

— Nie. Pan Raynez powiedział mi to któregoś dnia w zaufaniu.

— Ach, tak! Proszę! Czy zwierzał się jeszcze z czegoś? — zapytał z przekąsem.

W głosie pana Reade brzmiała szydercza ironia. Spojrzałam na niego ze zdziwieniem i umilkłam.

— Jestem pewien, że mówił, iż złamały go te przejścia, że jest nieszczęśliwym, rozkochanym mężem i prosił panią o odrobinę życzliwości. Nieprawdaż? Domyśliłem się tego od razu! — wybuchnął z tłumioną goryczą i błyskiem oburzenia w oczach.

Wszystka krew uderzyła mi do twarzy. Czułam się obrażona jego tonem.

— Pan Raynez nigdy nie zadaje impertynenckich i niewłaściwych pytań

— odparłam szorstko, tłumiąc łzy gwałtownie cisnące się do oczu.

Widziałam, że sam spostrzegł, że się zagalopował, bo zaczerwienił się mocno i wyszeptał kilka słów przeproszenia. Potem podszedł do drzwi i z nateżeniem wpatrywał się w najbliższą kałużę. Po chwili zaczął coś nucić trochę drżącym głosem. Przykro mi było, że z mego powodu zasepiło się to pogodne czoło i jasne spojrzenie, ale poczucie godności nie pozwalało odpowiedzieć mu inaczej. A poza tym usychałam z ciekawości, dlaczego i za co to głębokie uprzedzenie czy nienawiść do pana Rayneza. Odetchnęłam swobodniej, kiedy wreszcie zbliżył się do mnie.

— Panno Christie — zaczął cicho i ze skrucą — czy bardzo obraziłem panią? Czy pani mi przebaczy, jeżeli powiem, że moje uniesienie wypłynęło z wielkiej życzliwości dla tej, która idzie przez życie sama, z dala od swoich, a której usta wyznały przed chwilą, że nie jest szczęśliwa...

Głos mu drżał. Głęboko wzruszyły ranie te proste słowa, spojrzałam w jego oczy z uśmiechem wdzięczności i podałam mu obie ręce, które uścisnął w milczeniu.

— Nie gniewam się na pana wcale — rzekłam. — Chciałabym się tylko dowiedzieć, czemu pan z taką niechęcią mówi o ojcu mojej uczennicy?

— Może nie mam racji, nie zaszło dotąd nic takiego, na czym mógłbym opierać instynktowną niechęć, jaką czułem zawsze do tego człowieka. Jest przystojny, dowcipny, dobrze wychowany, a jednak w całym jego zachowaniu jest coś niejasnego, nieokreślonego, coś, co mi nie pozwala uważać go za dżentelmena — odparł po chwili namysłu.

Przykry, niezrozumiały lęk ścisnął mi serce.

— Czy nie mógłby pan objaśnić mnie dokładniej? — szepnęłam nieśmiało, z wahaniem. — Czuję, że pan wie coś więcej. Odwołuję się do pańskiej przyjaźni. Jestem rzeczywiście samotna, bezradna i powinnam znać choć trochę ludzi, z którymi obecnie przebywam, żeby móc postępować stosowniej może niż dotąd.

Milczenie. Widocznie walczył z sobą czy z wątpliwościami, potem usiadł przy mnie i rzekł poważnym głosem:

— Bóg słyszy moje słowa. Z ręką na sercu, całą mocą duszy błagam panią o opuszczenie Alders w jak najkrótszym czasie, dziś choćby, bez względu na materialne straty, jakie dla pani mogą stąd wyniknąć. Chce pani prawdy, powiem więc otwarcie, że znajduje się pani wśród niebezpieczeństw, których domyślić się ani zrozumieć nie może, których całej rozciągłości ja sam może nie znam.

Tak jest — wśród niebezpieczeństw, a ostrzec pani nie mam prawa...

Ostatnie słowa wymówił tak cicho, że prawie je odgadłam. Był bardzo wzruszony. Oboje siedzieliśmy dłuższy czas bez słowa: ja przerażona niespodziewaną wiadomością, on zadumany i smutny. Potem poczułam jego wzrok. Zmieszana podniosłam oczy. Nasze spojrzenia połączyły się z dziwną, słodką siłą. Wszystkie krew odpłynęła mi z twarzy. Nagle ciemna postać zasłoniła wejście. Zadrżałam, pan Jerzy mocno zbladł. W drzwiach stał pan Raynez. Zbliżył się cicho, bez szelestu, jakby wyrósł spod ziemi. Czy słyszał ostatnie nasze słowa?...

4

Wszedł swobodnie, z uśmiechem. Z pewnością nic nie słyszał i nie domyśla się wcale, o czym rozmawialiśmy. Dzięki Ci, Boże! Pan Jerzy miałby w nim śmiertelnego wroga.

— Nareszcie odnajduję panią — zawołał ze szczerą radością. — Szczęśliwa myśl mnie natchnęła, żeby zajrzeć tutaj. Ale w jaki sposób odkryła pani to schronienie?

Pan Reade w milczeniu wysunął się z kąta.

— Ach! To pan! — rzekł, zwracając się do mego towarzysza. — Więc mamy rozwiązanie zagadki. Udawałeś pan błędnego rycerza. Ha! Ha! kapitalne. Ale teraz do mnie należy opieka nad panią — dodał trochę zmienionym głosem. — Żona zauważyła, że pani wybrała się bez okrycia

— mówił dalej wyłącznie już do mnie — i wysłała mnie na spotkanie. Nie można ubierać się tak lekko, u nas o przeziębienie łatwo.

Pomógł mi włożyć paltocik. Ja wciąż pamiętałam o tajemniczym ostrzeżeniu mego przyjaciela, toteż troskliwe i uprzejme słowa pana Rayneza przyjmowałam z rezerwą i jakby niechęcią, starając się usilnie wyczuć w nich fałszywą nutę.

Deszcz tymczasem ustawał, chmury zaczynały się rozpraszać, burza już była daleko. Trudno było czekać, aż wyschnę w zimnym i ciemnym szałasie. Postanowiliśmy więc wracać spieszenie do domu. Pan Jerzy radził wybrać jak najkrótszą drogę ze względu na możliwość ponownej ulewy, ale pan Raynez w tak wymownych słowach odmalował obraz zalanych pól i łąk, przez które trzeba by by-

ło brnąć, że bez wahania zgodziłam się nadłożyć trochę drogi, byleby ocalić pantofelki od ostatecznej zagłady. Udaliśmy się więc dłuższą, ale bardziej suchą ścieżką. Pan Jerzy pożegnał nas przy bramie parku.

— Miły chłopiec, nieprawdaż — odezwał się pan Raynez, kiedy tamten był już daleko i nie mógł nas usłyszeć. — Szczera, poczciwa dusza. Pragnąłbym w przyszłości takiego męża dla Haide. A przy tym jest przystojny, inteligentny, wesół. Wszystkie panny w okolicy kochają się w nim.

To ostatnie, co prawda, nie wydawało mi się tak wielką zaletą, ale nie śmiałam zaprzeczyć.

— Najwięcej wart z całej rodziny — ciągnął dalej. — Ojciec — zarozumiały, ograniczony prostak, matka — pretensjonalna arystokratka, nie raczy z nikim tutaj utrzymywać stosunków, bo pochodzi ze starej, chociaż zubożałej rodziny hrabiowskiej, siostry są wzorem pobożnych dewotek, najmłodszy brat mieszka w Eton, spoczywa na laurach. Tylko on jest sympatyczny, ma szczerą naturę i zasługuje na przyjaźń każdego uczciwego człowieka. Być może mimo woli zajmuje się trochę gospodarstwem, ale nie jest przynajmniej półgłówkiem. Pani, na szczęście, nie zna jeszcze wszystkich uroków życia na prowincji i z całego serca jej życzę, żeby ich nigdy nie poziała. Czy na przykład rozumie pani wyrok wiekuistego potępienia na tych wszystkich (i na mnie między innymi), którzy biorą udział w wyścigach lub grają na skrzypcach?

— Pan gra na skrzypcach? A ja tak tęsknię za muzyką!

— Doprawdy? — zawołał radośnie. — Jednak radzę pani nie zdradzać tego upodobania, dopóki mieszkać pani będzie w naszej zapadłej dziurze. Mówię poważnie. Przypisują tu mojej sztuce właściwości czarnej magii. Zdaje się, że w okolicy uważają mnie z tego powodu za będącego w zмовie z diabłami, a Alders za miejsce nawiedzane przez nieczyste siły. Niektórzy utrzymują nawet, że trzciny rosnące nad stawem wydają o północy dziwne tony, zupełnie podobne do melodii wygrywanych na skrzypcach.

— Może pańska muzyka nie przemawia im do serca? — odezwałam się żartem.

— Widocznie. Jeżeli pani jednak nie lęka się tego czarnoksięskiego kunsztu, to z przyjemnością urządzę kiedyś wieczór tonów — rzekł wesoło.

Szliśmy teraz bardzo cienistą aleją, po obu jej stronach rozrastały się gęsto wspaniałe krzaki berberysu i smętnej kaliny, obciążone pękami czerwonych owoców. Chmury, zaciągające szczelnie niebo, potęgowały jeszcze urok spóźnionej pory. Nagle wśród splątanych gałęzi mignęła twarz kobieca. Zdawało mi

się, że była to pani Raynez. Jej głębokie, zamglone oczy miały wyraz dziwnie groźny i nienawistny. Uczułam rodzaj niewytłumaczonego lęku przed tym ponurym spojrzeniem. Mój towarzysz nie zauważył chyba wcale tego drobnego zajścia. Po chwili byliśmy już na ganku. Pan Raynez udał się natychmiast do pracowni, ja poszłam do szkolnego pokoju, żeby położyć na miejsce książeczkę do nabożeństwa. Przez wielkie weneckie okno zaglądały świerkowe gałązki, błyszczące jeszcze rosą niedawnej ulewy, na zachodzie kłębiły się złowrogie chmury. Wtem między drzewami spostrzegłam skradającą się tę samą postać, którą poprzednio zauważyłam w alei. Przemykała się ostrożnie przez gęstwinę krzaków, potem przez mokry trawnik, deptając bezlitośnie kwiaty, szła zreźnie, cicho, bez szelestu w kierunku frontowego wejścia i nie widziała mnie wcale. Była już tak niedaleko, że z łatwością mogłam rozpoznać jej rysy. Nie, to nie pani Raynez, tylko Sara, służąca. Ale co ma znaczyć to skradanie? Instynktownie nie lubię tej kobiety. Wysoka, chuda, o ponurym spojrzeniu, i taka niemila w obejściu. Już tylko kilka kroków dzieliło ją od okna, przy którym stałam ukryta za firanką, gdy nagle tuż za nią ukazał się pan Raynez i chwycił ją silnie za ramię. Nie krzyknęła, nie starała się nawet uciekać, ale dyszała ciężko, jakby ze zmęczenia.

— Co robisz tutaj, Saro? — zapytał surowo. — Do przechadzki niech ci wystarczą aleje i ścieżki. Nie radzę ci skradać się nadal przez trawniki i kwiaty. Niebezpiecznie. A jeśli ci się moja wola nie podoba, to możesz sobie szukać innej służby! .

— Innej służby! Ja?! — krzyknęła hardo.

— Właśnie. Myślałem dotąd, że nie ma lepszej nad starą i wierną służącą, dziś widzę, że trzymałem cię za długo.

— Nie zawsze byłam stara! — przerwała namiętnie.

— I nie zawsze płaciłem ci tak jak obecnie — odparł szorstko. — Idź przygotować herbatę, tylko nie przypal grzanek, a zapamiętaj, co powiedziałem!

Błysnęła ku niemu nienawistnym wzrokiem, nie śmiała się jednak odezwać. Po chwili wahania zniknęła w głębi sieni. Za nią podążył pan Raynez. Stałam ciągle w tym samym miejscu, nie mogąc ochłonać. Ostre, rozkazujące słowa zwrócone do Sary przejęły mnie nagle nieopisaną trwogą przed nieugiętą wolą tego dziwnego człowieka, tym większą, że nie domyślałam się dotąd, że umie tak przemawiać.

Całe to zajście zrobiło na mnie głębokie wrażenie. Dlaczego Sara skradała się między krzakami? Jakim sposobem zauważył ją pan Raynez, kiedy był w zupełnie innej części domu? A może słowa, które zamienili z sobą, miały jakieś inne,

ukryte znaczenie? Tłumiony gniew był w jej rozszalonych słowach; nie tak przecież przemawia podwładny do pana! A on skarcił ją ostro, a potem ten rozkaz!

Uczułam w sercu chłód. Zdawało mi się ciągle, że jego bystre oczy dostrzegły mnie za firanką w niezbyt miłej roli mimowolnego szpiega. Boże! Umarłabym ze wstydu, albo stałoby się coś okropnego, gdyby takim tonem odezwał się do mnie. Płonne, na szczęście, obawy. Zamknęłam okno i ostrożnie, na palcach przeszłam do swego pokoju. Z westchnieniem ulgi przekręciłam, klucz w zamku; nie spotkałam po drodze nikogo, na korytarzach panowała zwykła cisza, z kuchni dochodził tylko jednostajny brzęk naczyń stołowych.

Przy herbacie pan Raynez był wesoły i rozmowny, a na dobranoc oświadczył z żartobliwym uśmiechem, że nigdy już nie puszcza mnie samej do kościoła.

Noc spędziłam bezsennie, rozmyślając nad tym, co mówił mi dzisiaj pan Jerzy. Ostatecznie doszłam do przekonania, że rada jego jest niewykonalna. Pomijając już to, że właściwie nie ma poważnej przyczyny do opuszczenia Alders, że nie widzę żadnego z owych niebezpieczeństw, o których pan Reade tak dziwnie wspominał, istniała przede wszystkim ta przeszkoda, że nie miałam powodu zerwania umowy ani wobec państwa Raynez, ani wobec matki. Co bym jej powiedziała? Jak się usprawiedliwiła? Miałabym kłamać, wynajdywać nie istniejące trudności? Przypuśćmy zresztą, iż uwierzą temu, co im powiem. Gdzie się wtedy podzieję?

Ojciec dawno nie żyje, środki, jakimi rozporządza mama, są bardzo skromne, sama jeszcze musi pracować na siebie. Wprawdzie wuj po śmierci żony ofiarował jej zarząd domem, ale to dla niej, nie dla mnie. Nie wątpię, że przyjąłby mnie życzliwie i znalazłabym u niego schronienie, zanim trafiłoby się inne miejsce, ale wiem już z doświadczenia, jak trudno je znaleźć osiemnastoletniej nauczycielce „do początków”.

A co pomyślą o mnie i moich pedagogicznych zdolnościach przyszli chlebowdawcy, gdy się dowiedzą, że po miesiącu rzuciłam korzystną posadę? I co im powiem na swoją obronę? Że była wilgoć i moczary? Nie uwierzą. A więc zachowanie matki uczennicy? Będę musiała jednak podać inne przyczyny niż małomówność i powolne ruchy. Bo jeżeli odsłonię prawdziwe powody i zacznę stroić tajemnicze miny, to narażę się tylko na śmieszność i opinię dziwaczki. Przy tym... dziwny, nieprzeparty pociąg czułam do tej miejscowości spowitej w białe opary i mgliste tumany, zazdrośnie osłaniające jakąś tajemnicę.

Tak więc postanowiłam zostać, przynajmniej do chwili, kiedy się okaże, że pan Reade miał słuszość. Tymczasem powiem mu tylko, jakie powody zdecy-

dowały, że odrzuciłam jego życzliwą radę.

Nazajutrz był prześliczny, ciepły ranek. Włożyłam lekki, błękitny szlafroczek i zbliżyłam się do lustra, aby wpiąć we włosy kokardę. Spostrzegłam z przyjemnością, i nie było to złudzeniem, że wyglądam lepiej niż przed wyjazdem z Londynu. Białe policzki zabarwiły się, oczy patrzyły jaśniej i weselej. Przez kilka minut podziwiałam sama siebie — przyznaję

— z pewną zalotnością... Tak, miło być ładną! Nagle odwróciłam się z rumieńcem wstydu. Co powiedziałaaby na to moja matka? Skąd ta niespodziewana próżność? Prędko dokończyłam toaletę i nie spojrzawszy nawet w stronę zdradzieckiego sprzętu zbiegłam na dół, nie czekając dzwonka. W jadalni był już pan Raynez. Gdy weszłam, odłożył niedbale dzienniki i powitał mnie z życzliwym uśmiechem.

— Możemy przejść się po ogrodzie, zanim podadzą śniadanie — rzekł wesoło.

Przystałam chętnie i wyszliśmy przed ganek.

Rano nie było tutaj nigdy słońca, za to przyjemny chłód i dużo cienia. Powietrze brzmiało radosnym świergotaniem ptaków. Spod ciemnych listków bluszczu wyglądały setki małych główek, błyszczących oczek i ruchliwych dziobków, całe ich stadka co chwila zrywały się hałaśliwie do lotu strwożone brzękiem otwieranych okien. Na trawie błyszczała rosa przeczystymi łzami, a kwiaty słały słodkie, balsamiczne wonie.

— Ślicznie tu, prawda? — zapytał pan Raynez.

— Ślicznie? I w raju nie jest tak pięknie! — powiedziałam, rumieniąc się mocno.

Roześmiał się głośno i trochę jakby ironicznie. Zmieszana, pochyliłam się nad klombem i spostrzegłszy bladą, delikatną różę, zaczęłam ją wachać z zachwytem. Kiedy się wyprostowałam, spotkałam jego poważne spojrzenie.

— Pani tak lubi różę?

— Kocham je!

— Więc postąpiłaby pani jak owa bogini piękności, która na pytanie ojca, czego pragnie, wyraziła chęć posiadania jednej tylko róży? — zapytał z zagadkowym uśmiechem. — Mnie osobiście razi tego rodzaju skromność. Może jestem ambitny, może dumny, lecz nie cierpię wszelkiej pokory, bo według mnie psuje ona i poniża najszlachetniejszy charakter! — dodał porywczo.

— Ciężko za ten wybór pokutowała biedaczka — odpowiedziałam z uśmiechem. — W dzieciństwie lubiłam niezmiernie tę bajkę, tylko myślałam zawsze,

że gdybym to ja poślubiła owego pięknego księcia, nie umiałabym zapomnieć o jego zwierzęcej postaci i żyłabym w ciągłej trwodze przed jakąś nową zmianą.

— Niezupełnie tak było. On przecież tylko na kilka godzin w roku stawał się człowiekiem, ale ją obsypywał klejnotami i takim mnóstwem skarbów, że przestała ją razić brzydota małżonka. Często tak bywa w życiu.

Potrząsnęłam w milczeniu głową. Nie śmiałam mu przeczyć, ale oburzył mnie jego pogląd na ród niewieści.

— A gdyby pani była tą boginią — zagadnął żartobliwie — czy zmieniłoby się jej życzenie?

Uśmiechnęłam się tajemniczo.

— Więc piękny księżę?

— Och! Nie! — przerwałam figlarnie, czując znowu nieszczęsne rumieńce na twarzy.

— Zatem pierścionek, broszka czy inne klejnoty? — rzucał pytania trochę gorączkowo.

— Nie! Nie! Daleki pan jest od prawdy!

— To już chyba najświeższe wydanie gramatyki, globus czy inne nauczycielskie skarby?

— Nie, panie. Odpowiem prawie to samo, co starożytna piękność: wolę kwiaty, a z nich nad wszystkie inne przedkładałam róże Marechal de Nil. To byłoby jedyne moje pragnienie — dokończyłam pół żartem, pół serio.

— Ach, ta odmiana o delikatnych, złotawych płatkach? Kazałem je posadzić tutaj, ale nie chciały się przyjąć. Jaka szkoda, że nie jesteśmy w państwie wróżek! Życzenie pani tymczasem pozostać musi nie spełnione.

Wracając do pokoju, spostrzegłam twarz pani Raynez przytuloną do okna. Jej głębokie, smutne oczy wpatrywały się we mnie z niezwykłym napięciem i jakby z litością. Uczułam znów dziwny, nieokreślony strach. Weszłam pozornie spokojna udając, że nie widzę tych niezrozumiałych, trochę nieprzytomnych spojrzeń, ale gdy ukradkiem na nią spojrzałam, przekonałam się, że twarz jej odzyskała już swój półsenny, apatyczny wyraz.

Gdy zeszłam na obiad ze zdziwieniem zauważyłam brak nakrycia dla pana domu. Nie chciałam pytać o to pani Raynez, ale gdy nie ukazał się i przy kolacji, domyśliłam się, że musiał niespodziewanie wyjechać. Następnego ranka nie było go również. Spostrzegłam natomiast dziwną zmianę w pani Raynez. Zachowanie się jej mimo woli nasuwało na myśl budzenie się kwiatu, rozchylenie sennych płatków do życia i słońca. Twarz jej się ożywiła, oczy jaśniały ciepłym blaskiem,

a lekko zabarwione policzki i swobodny oddech wskazywały wyraźnie, że w tym kamiennym posągu krew szybciej zaczyna płynąć. Cała jej postać zdradzała niezwyczajny niepokój i nerwowe rozdrażnienie. Niewzruszona, nienaturalna obojętność na wszystko co ją otaczało, znikła nagle. Drżała teraz za każdym niespodziewanym dźwiękiem, za każdym najłżejszym szmerem i oblewała się rumieńcem, gdy doszedł nas odgłos zamykanych drzwi lub kroków w korytarzu. Tę zmianę w jej usposobieniu sprowadził naturalnie odjazd męża, ale nie umiałam wyczytać z jej oczu, czy są to oznaki radości czy smutku. Chwilami rzucała mi dziwne, niepewne i jakby pytające spojrzenia, ale nie mogłam pojąć, co one mi mówią.

Na drugi dzień po odjeździe pana Rayneza, w południe, podczas lekcji z Haidę, weszła do pokoju Sara i oznajmiła dość uprzejmie, że jakiś pan pragnie się ze mną zobaczyć. Wybiegłam z bijącym sercem do salonu. Przy kominku stał pan Jerzy.

— Chciałem się widzieć z panem Raynezem w pewnym interesie

— rzekł, ściskając podaną rękę. — Służąca mi powiedziała, że wyjechał, odważę się więc obarczyć tym panią.

— Nie znam się na interesach — przerwałam z zakłopotaniem, — więc może pani Raynez...

— Och! Nie trzeba jej trudzić dla takiej drobnostki — zaprotestował żywo. — Wiem, że jest niezdrowa. Miałem tylko zakomunikować, że dwóch wieśniaków od nas pragnie się zapisać do groszowej kasy i prosili mnie, żebym wpłacił ich pierwsze oszczędności.

Sięgnął do kieszeni, szukał długo i wyjął wreszcie jeden penny.

— Musiałem zgubić drugi — powiedział z powagą. — Czy pani nie mogłaby zmienić mi trzech penny?

Wyszłam prędko i za chwilą wróciłam z żadaną monetą. Na nieszczęście pan Jerzy zapomniał nazwisk swych protegowanych. Upłynęło dużo czasu, zanim je sobie przypomniał. Potem wypełniłam kwit, ale pan Reade był z niego niezadowolony i musiałam napisać go powtórnie bardziej urzędowym stylem. Następnie wpisał na nim datę, poprawił jedno źle napisane nazwisko, wysuszył bibułą papier i tak długo wyglądał i składał, że domyśliłam się w końcu prawdziwego celu tej wizyty.

— Ile to jednak trzeba formalności, przyjmując nawet tak niewielką sumę — rzekłam z westchnieniem i troszkę złośliwie.

Pan Jerzy rzucił na mnie szybkie, badawcze spojrzenie, na ustach zaigrał mu

wesoły uśmiech.

— Nie można być dosyć ostrożnym i przewidującym, nawet w takiej drobności, jeżeli idzie o cudze pieniądze.

— Zapamiętałam to sobie na przyszłość — odparłam czując, że kpi trochę ze mnie. Potem zaczęliśmy rozmawiać o wspólnej niedzielnej przygodzie i rozweseliliśmy się oboje. Z żalem podałam mu rękę, gdy wstał, by mnie pożegnać. Haide siedziała w szkolnym pokoju z tak znudzoną miną, że mimo woli spojrzałam na zegar. Druga! A mnie się zdawało, że był tak króciutko!

Reszta dnia upłynęła spokojnie. Ani się obejrzałam, gdy zadzwoniono na herbatę. Po kolacji pobiegłam na górę, bo w sobotę pisałam zwykle list do matki. Usiadłam przy oknie. Lubię patrzeć na moczary pokryte zawsze świeżą zielenią i krwawą czerwienią rdzawych mchów. Było zupełnie spokojnie, lekki wietrzyk delikatnie igrał z listkami srebrnych topoli i złocistych klonów. Śliczna przedwieczorna chwila. Pochyliłam głowę nad ćwiartką papieru, ale zaledwie nakreśliłam parę linii, gdy z dołu popłynęły łagodne, melodyjne tony skrzypiec. Lekkie i drżące jakby przyciszone dźwięki umilkły nagle. Usłyszałam słaby odgłos otwieranych okien i natychmiast powietrze napełniły znowu przecudne tony. Ach! To *Aufenthalt* Szuberta! Przymknęłam oczy, na skrzydłach muzyki moja dusza wybiegła w przestrzeń, w nieskończoność.

To pan Raynez z pewnością powrócił. Nie przypuszczałam, że gra tak cudownie. Nie, nie wytrzymam, muszę usłyszeć go z bliska! Zabrałam niedokończony list i bardzo cicho zesłam na dół. Muzyka odezwała się znowu, tym razem wybrał *Ständchen*. Na palcach minęłam sień i otwierałam już drzwi szkolnego pokoju, chcąc tutaj pisać dalej, gdy na progu salonu ukazał się pan Raynez i zaprosił mnie do środka. Zmieszałam się trochę, ale z radością przyjąłam zaproszenie.

W salonie siedziała pani Raynez i Haide. Pierwsza trzymała w ręku prześliczny szal indyjski, a Haide ogromną lalkę z woskową główką, zapewne gościniec z podróży. Pan domu, trochę opalony, z gęstwiną włosów w nieładzie spadających na czoło, uśmiechnął się do mnie i rzekł z wyszukaną grzecnością.

— Nie zapomniałem i o pani. Oto upominek z Londynu.

Podał mi podłużne pudełko nabijane gwoździkami z pieczętką Covent Garden.

Po otwarciu zobaczyłam na warstwie waty, delikatnych mchów i paproci dwanaście ślicznych, złotych róż Marechal de Nil. Okrzyk zachwytu wydarł mi się z piersi i dotknęłam ustami wonnych, świeżych płatków. Pan Raynez odłożył

skrzypce i zbliżył się do mnie.

Uścisnęłam mu gorąco rękę i wstałam, żeby powiedzieć dobranoc jego żonie.

Pan domu odprowadził mnie do drzwi salonu i spytał:

— Czy bogini piękności zadowolona?

Roześmiałam się swobodnie i skinąwszy mu przyjaźnie głową pobiegłam do siebie, delikatnie trzymając kwiaty.

Na schodach minęłam Sarę, która stała z ponurym ogniem w oczach.

— Już urzeczona! — szepnęła z błyskiem nienawiści i szybko zbiegła na dół.

Wzruszyłam ramionami, starając się opanować niechęć do tej kobiety. Czego ona chce ode mnie? Co mogą znaczyć te słowa? Że też państwo Raynez trzymają takie ponure, wiecznie skrzywione stworzenie.

5

Niedziela! Przez cały tydzień wzdycham do niej z utęsknieniem, ponieważ nabożeństwo to jedyne urozmaicenie mojego monotonnego życia. Stary pan Reade był nieobecny tym razem, i pan Jerzy zajął jego miejsce w ławce. Z początku widziałam tylko jego plecy, lecz w kilka minut później wyszedł ksiądz z zakrystii, i lekki ruch powstał w kościele. Przymknęłam powieki, żeby zebrać myśli, a kiedy podniosłam je znowu, spostrzegłam ze zdziwieniem, że pan Jerzy zmienił pozycję i klęczy teraz naprzeciwko z pochylonym czołem i ręką na oczach. Odjął ją po chwili. Zmieszana, odwróciłam wzrok. Co za nieznośny człowiek! Naraża mnie tylko na roztargnienie w modlitwie. Ale on twarz miał zamyśloną i tak poważną, że bardzo prędko odzyskałam spokój. Nie krępowały mnie teraz jego przelotne spojrzenia, w których po raz pierwszy dostrzegłam dziwny i głęboki smutek. Musiało spotkać go jakieś zmartwienie.

Po nabożeństwie przed kościołem zebrała się, jak zwykle, gromadka znajomych. Słyszałam, że pan Raynez zaczął z nimi rozmowę o wyścigach, które się odbyły w ubiegłym tygodniu. Jego koń wziął podobno główną nagrodę w jednym z pierwszych biegów. Pięćdziesiąt funtów! Że też ludziom nie żal pieniędzy na takie cele? Ja zupełnie nie rozumiem pożytku z tej zabawy ani przyjemności z uczestniczenia w tego rodzaju widowiskach. Potem razem z chustką do nosa wy-

ciągnął niechętny bilet wejścia na wyścigi i roześmiał się wesoło dodając, że teraz dopiero pojmuje, dlaczego nie mógł się skupić podczas kazania (pewna jestem, że mówił to wszystko w celu podrażnienia sąsiadów). Następnie z szacunkiem zwrócił się do pani Reade i zapytał, czy małżonek ma się lepiej. Zdawał się nie zwracać uwagi na jej chłodne obejście i niechętnie odpowiedzi.

— Miałem zaszczyt obiadować w tym tygodniu z krewnymi pani w Newmarket, na wyścigach — odezwał się z przesadną grzecznością.

— Wszak prawda, że lord Bramley jest kuzynem pani?

— Tak. Istnieje dalekie powinowactwo — odparła starsza pani znacznie uprzejmiejszym tonem.

— Lord przyznał się do bliższego pokrewieństwa — odparł pan Raynez poważnie. — Wypytywał, gdzie państwo obecnie mieszkają i czy pani nie wybiera się na jesień do stolicy. Nie umiałem wprawdzie udzielić dokładnej odpowiedzi ale powiedziałem mu za to, że pani teraz doskonale wygląda.

Rzuciła mu zalotne i tak czarujące spojrzenie, że chwyciłam Haide za rączkę i prędko pociągnęłam w stronę domu, obawiając się, że wybuchnę głośnym śmiechem. Wstyd mi było za nią. Jak może postępować w ten sposób niemłoda i nieładna kobieta?!

Przy obiedzie pan Raynez parodiował tę rozmowę, wybornie naśladowując śmieszne i pretensjonalne zachowanie tej damy. Było mi jednak trochę przykro, że to była matka pana Jerzego.

Po południu chciałam niepostrzeżenie wymknąć się na nieszpory. W parku pan Raynez zaszedł mi drogę.

— Nic z tego — odezwał się wesoło — przyrzekłem sobie, że już nigdy nie puszczę pani samej do kościoła.

Silny rumieniec oblał mi twarz aż po szyję i poczułam się głęboko dotknięta, gdyż zrozumiałam prawdziwy powód tej nieproszonej opieki. Cóż to znowu ma znaczyć? Nie jestem przecież dzieckiem. Pan Raynez nie ma prawa przemawiać do mnie w ten sposób.

— Niech tylko pani nie obraża się przypadkiem — dodał prędko, spostrzegłszy zmianę w mojej twfzy — żartowałem. Muszę zobaczyć się z kimś w sprawie ogrodu sadu, a wiem, że będzie on na pewno w kościele. Jeżeli jednak pani nie życzy sobie mego towarzystwa...

— Wszystko mi jedno — przerwałam zmieszana. Nie uwierzyłam mu, a niezręczny wykręt rozdrażnił mnie tylko, nie umiałam swobodnie rozmawiać. Odpowiadałam półsłówkami, połykając łzy. Gdy minęliśmy bramę parku, między

drzewami spostrzegłam pana Jerzego. Stał oparty o pień sosny, z książką do nabożeństwa w ręce i cygarem w ustach. Patrzył w inną stronę, jednak instynktownie czułam, że musiał nas dawno zauważyć. Pan Raynez zerwał liść dębu i z zapalem objaśniał mi jego budowę. Słuchałam niechętnie, gdyż odgadłam przyczynę tego niespodziewanego wykładu. Raz jeszcze rzuciłam przelotne spojrzenie na pana Reade. Na jego twarzy widać było cierpienie, głęboka zmarszczka przecinała mu czoło. Owładnęła mną tęsknota za pogodnym spojrzeniem jego rozumnych oczu, a potem litość... Był taki zasepiony i smutny.

Kiedy się widzi ludzi z książką do nabożeństwa i wyraźnym zamiarem pójścia do kościoła, to później ogarnia nas dziwne uczucie, jeśli nie spostrzegamy ich tam, gdzie być mieli. Toteż gdy usłyszałam dźwięki organów, a nie zauważyłam nigdzie mego przyjaciela, byłam smutna i rozczarowana. Dlaczego nie ma go tutaj, czy mu się coś stało? Za najłżejszym szmerem, za najcichszym skrzypnięciem drzwi zwracałam mimo woli wzrok ku wejściu, a potem na ławkę, którą zajmował poprzedniej niedzieli. Na próżno. Nie przyszedł. Zasłoniłam dłonią oczy. Boże! Czyż po to jestem tutaj? Dlaczego to robię? Co pomyślą sobie ludzie? Zaczerwieniłam się ze wstydu nad własnym postępkim i nie obejrzałam się już ani razu.

Staralam się modlić żarliwie, gorąco. Nie rozumiem zupełnie, co się ze mną stało. Nigdy jeszcze nie byłam tak roztargniona. Zajęta rozpamiętywaniem swej winy, zapomniałam o kazaniu i ocknęłam się dopiero przy ostatnich słowach. Zdaje się jednak, że nie straciłam wiele, przynajmniej sądząc po minach słuchaczy. Po raz pierwszy widzę tego księdza. Jest młody i niewyrobiony zapewne. Zadumanym wzrokiem ogarnęłam kościół. Nieduży, ciemny, starożytny, w normandzkim stylu, odpowiednie miejsce do rozmyślań. Kilka kroków ode mnie, w najciemniejszym kącie, siedział pan Raynez poważny, nieruchomy. Spojrzałam raz jeszcze. Ależ on śpi! Śpi naprawdę!

Umilkły organy, nieszpory skończone. Ruch wychodzących obudził widocznie pana Rayneza, bo wstał spiesznie. Podszedł do mnie i poprosił półgłosem, żebym zatrzymała się chwilę, aż załatwi wiadomy interes. Wyszłam powoli przed kościół. Pan Raynez rzeczywiście zjawił się po kilku minutach i razem podążyliśmy w stronę domu.

— Ten młody wikary wcale nieźle mówi — odezwał się mój towarzysz pewnym głosem. Popatrzyłam na niego zdziwiona i prędko odwróciłam głowę, żeby ukryć uśmiech.

— Nie znaczy to jednak, żebym go z uwagą słuchał — ciągnął dalej, zrozu-

miawszy widać moje wymowne milczenie. — Chciałem powiedzieć tylko, że nikt tak jak on, nie potrafi dobierać wyrazów, żeby dźwięk ich działał jak kołysanka. Mam rację, nieprawdaż? Toteż poddałem się temu z pokorą i dotąd nikt jeszcze nie zauważył mej pobożnej drzemki. Pani pierwsza. Czy zasłużyłem sobie na jej wzgardę? — zapytał patetycznie.

— Nie.

— A może pani uważa, że nie należy ganić postępowania starszych?

— dodał tym samym tonem.

— Przeciwnie — odparłam niezbyt uprzejmie, rozdrażniona tą rozmową.

— Niezbyt zachęcająca odpowiedź — rzekł wesoło. — Ale to jedna z zalet, właściwych płci niewieściej. U pani spostrzegam ją po raz pierwszy.

— Nie miałam zamiaru krytykować pana — szepnęłam mniej pewnym głosem.

— Jak się pani podobało kazanie?

— Ja, ja, nie uważałam — wyjąkałam cicho.

— Pani? Taka pobożna osoba? Nie spodziewałem się tego — powiedział wyraźnie zdziwiony.

Uczułam się niemile dotknięta jego tonem.

— Wcale nie jestem pobożna — zaprotestowałam żywo. — I nie chcę uchodzić za taką. Ale szanuję religię i tych, co umieją się wznosić na skrzydłach modlitwy. Mam nadzieję, że kiedyś stanę się do nich podobna. Pragnę tego całą duszą — dokończyłam szeptem.

Pan Raynez w milczeniu uścisnął mi rękę.

— Amen. Niech się stanie — rzekł z powagą i przychylnym uśmiechem.

— Jeśli pani spełnia zawsze tak jak teraz swoje obowiązki, to dzień ten jest bardzo niedaleki.

Powiedział te słowa tak po prostu, szczerze. Wzruszył mnie głęboko swoją dobrocią. Przebaczyłam mu jego podstęp. Reszta drogi zesłała nam na wesołej rozmowie.

Po herbacie pan Raynez oznajmił, że będzie grał na skrzypcach, prosił, żebym mu towarzyszyła ni fortepienie. Przystałam z radością. Przeszliśmy do salonu. Wybrał *Twelfth Mass* Mozarta. Spod jego smyczka płynęły dzisiaj takie uroczyste i tęskne tony, że porwał mnie tą natchnioną muzyką. Nigdy chyba własna gra nie dała mi tyle wewnętrznego szczęścia. Umilkły wreszcie ostatnie dźwięki i wielka cisza zapanowała w pokoju. Przerwała ją po chwili pani Raynez, podnosząc się z krzesła i życząc nam dobrej nocy. Zostaliśmy sami. Zaczęłam porząd-

kować nuty. W duszy śpiewała mi jeszcze przecudna melodia Mozarta. Nagle zbliżył się do mnie pan Raynez.

— Nikt jeszcze tak mnie nie rozumiał — szepnął ze wzruszeniem. — Jak doskonale pani odczuwa Mozarta. Jeżeli pani nie będzie zmęczona, to spróbujemy jutro zagrać coś w innym rodzaju — ta uroczysta kościelna muzyka denerwuje mnie bardzo. Dobranoc, drogie dziecko.

Schylił się, chcąc mnie pocałować. Zadrżałam. Szybkim, rozpaczliwym ruchem uwolniłam rękę z jego dłoni i pobiegłam do drzwi.

— Dobrej nocy panu — rzekłam chłodno. Za chwilę byłam nareszcie u siebie.

Zanim jednak zdążyłam drżącymi rękami przekreślić klucz w zamku, już mnie opanowały wątpliwości. Co zrobiłam? Pan Raynez z pewnością obraził się na mnie, biorąc mój postępek za głupią i fałszywą skromność. Bo czyż to nie było śmieszne? Co teraz o mnie pomyśli? Chyba to, że jestem okropnie zepsuta i tak zarozumiała, że najprostsze objawy dobroci tłumaczę sobie przewrotnie. Czy powinnam pozwolić, żeby on w pocałunku szukał własnej przyjemności?

Pod wpływem wzruszenia i cudownej muzyki zbliżył się do mnie z ojcowskim uczuciem i mimo woli może chciał na moim czole złożyć ojcowski pocałunek... A ja...?

Twarz mi pałała, z oczu płynęły gorzkie łzy. Tak — może, ale jest obcym dla mnie człowiekiem i za młody na to, żeby jego wiek prawa ojca względem mnie mu dawał. Nie ma lat pięćdziesięciu, nawet czterdziestu. A gdyby Sara albo pani Raynez zastały nas niespodziewanie na tego rodzaju czułościach?

— przemknęło mi przez głowę. — Nie wiem, czy to wydawałoby się im naturalne. A wtedy?... Wzdrygnęłam się, czoło miałam mokre od potu. Jakie ohydne imię przyłgnęłoby do mnie? Boże, o Boże! Nie przeżyłabym tego! Co za szczęście, że tak nie było.

Po chwili spokojniejsze myśli zajęły miejsce wzburzenia. Zrobiłam dobrze i nie powinnam inaczej postąpić, a jeśli pan Raynez czuje się dotknięty, to tylko z własnej winy. Nic na to poradzić nie mogę. Z westchnieniem ulgi zaczęłam się rozbierać.

Nazajutrz jeszcze, pod przykrym wrażeniem wczorajszych wydarzeń, niepewnym krokiem zeszłam na herbatę. Nie zauważyłam jednak żadnej zmiany na twarzy pana domu. Ani śladu obrazy, ani pamięci wczorajszego zajścia. Odetchnęłam głęboko. A więc zapomniał już o tej drobnostce. Zachowaniem swoim starałam się również okazać, że nie pamiętam tego nieporozumienia.

Dzień upłynął spokojnie i dopiero pod wieczór zaczęło mnie ogarniać dziwne

uczucie. Modliłam się w duchu, żeby mój chlebobawca nie prosił mnie dzisiaj o akompaniament. Nie mogłabym grać. Na szczęście jednak przy kolacji był zamyślony i milczący, a w końcu oznajmił Sarze, że oczekuje czyjegoś przybycia. Gdy się gość zjawi kazał go prosić do pracowni.

Pani Raynez pobladła mocno, błysk trwogi i rozpacz przemknął po jej twarzy. Ale opanowała się natychmiast. Jestem pewna, że nikt prócz mnie nie zauważył, jakie wrażenie zrobiły na niej słowa męża. Jeszcze bardziej zdziwiło mnie zachowanie Sary. Przysięgłabym, że dała oczyma znak jakiś. Komu? Chyba panu? A z drugiej strony, czy ona, służąca, może być w tak poufałych stosunkach ze swym panem? Przywidziało mi się widocznie. Nigdy nie byłam ciekawa, a przecież tutaj, w tym dziwnym, tajemniczym domu, doznawałam ciągle przykrego uczucia, że koło mnie dzieje się coś niezwykłego. Mimo woli prawie we wszystkim doszukiwałam się nie istniejących tajemnic.

Na próżno starałam się nie myśleć o tym, wmawiając w siebie, że to nie należy do mnie. Bezustannie męczyłam się rozwiązywaniem otaczających mnie zagadek. Również tego wieczoru uporczywe, dziwne myśli cisnęły mi się do głowy, przeszkadzając w zwykłej pracy. W wolnych chwilach zwykle tłumaczyłam historię Anglii na język niemiecki, ale dzisiaj, pomimo największych wysiłków, nie mogłam skleić porządnie zdania. W końcu z gniewem odrzuciłam pióro. Muszę się koniecznie przejść, inaczej nic z tego nie będzie. Sięgnęłam stanowczym ruchem po Guizota i niepostrzeżenie wybiegłam do ogrodu. Na schodkach stał nieznany mi mężczyzna: małego wzrostu, szczupły, z obfitym zarostem, w bardzo eleganckim, podróżnym ubraniu. To zapewne z nim był umówiony pan Raynez. Udało mi się uniknąć spotkania z nim. Po kilku minutach znalazłam się przy stawie. Siadywałam tu zwykle, tuż koło parkanu, w miejscu zacienionym smukłymi trzcunami, gdzie smętna kalina rozwiała swe włosy, a płacząca wierzba zwiesza długie i wiotkie gałązki; jej wygięty pień służył mi wybornie za ławeczkę. Było to moje ulubione schronienie. Wyżej, do konarów przywiązałam sznurki i skrzyżowałam go kilkakrotnie, co mi pozwalało oprzeć się swobodnie, bez obawy wpadnięcia w wodę. Na ziemi leżało kilka cegieł i większych kamieni, po których mogłam przechodzić, gdy wieczorem trawa była mokra od rosy. Nawet w pogodne dni tutaj jest chłodno, zacisznie i cicho. Trzciny szemrzą łagodnie, powierzchnia jeziora marszczy się lekko pod tchnieniem wietrzyka, niekiedy przerywa milczenie krzyk czajki. Długo siedziałam tam dzisiaj, rozkoszując się czystym błękitem nieba i grą kolorów zachodzącego słońca. Błysnęły wreszcie pierwsze blade gwiazdki. Ze zdumieniem zauważyłam, że zmierzch zapada. Się-

gnęłam prędko po nietkniętą książkę i już miałam wracać, gdy z pobliskich krzaków dobiegła mnie przyciszona rozmowa.

Ach, wiem już. To z tej ścieżki za parkanem, co to się łączy z Beacons-
bourghską szosą. Po chwili rozróżniłam głosy męski i kobiecy, widocznie rozmawia-
jący się zbliżali. Szybko ukryłam się w swoim zakątku nie chcąc, żeby ktokol-
wiek zobaczył mnie tutaj. Potem usłyszałam kroki. Tak, bez wątpienia są już
niedaleko. Poznałam głos Sary. Ale kto jej towarzyszy? Głos męczyzny zdradza
człowieka wykształconego. Byłby to ów obcy? Ale nie, rozmawia z nią poufale.
A więc kto to? W głosie Sary jest gorycz i skarga. Co to ma znaczyć?

— Nie chcę być tutaj dłużej — słyszysz? — dobiegły mnie namiętne słowa.

— Powiedz mu to, Sally, jeśli się odważysz — odpowiedział głos męski.

— Ale ciszej, wprawdzie nie ma tu nikogo, ostrożność jednak nie zawadzi.

Zacząła szeptać prędko, gorączkowo, słyszałam pojedyncze wyrazy bez
związku. Mówiła prawie z płaczem, że „on bałamuci tę smarkatą”. Potem znowu
cichy szept i głośniejsze słowa. Nie zrozumiałam dobrze, o co jej chodziło, lecz
oderwane wyrazy wiązały się w całość. Dowiedziałam się, że ma kochanka o
wiele od siebie młodszego, który, zdaje się, mieszka w Londynie i przyjeżdża tu-
taj od czasu do czasu. Pan Raynez przychylnie zajął się jej losem, obiecał pomoc
i opiekę. Potem się wydało, że Jane, pomywaczka, pragnie go usidlić. Pan Ray-
nez miał z nią podobno rozmowę, po której wyszła z zapłakanymi oczyma, i od-
tąd im nie przeszkadza.

Zdziwienie moje rosło z każdą chwilą. Sara przemawiająca w ten sposób do
gościa swego pana? A jego odpowiedzi były pełne współczucia i zrozumienia.
Wprawdzie panowie z tak zwanego towarzystwa nieraz przyjaźnią się z kobieta-
mi niższych klas, ale wiem dobrze, że obdarzają takimi względami jedynie mło-
de, ładne i zalotne. Zwiędła twarz Sary nie może już chyba podobać się nikomu.
Życie wyryło na niej zbyt głębokie bruzdy, a namiętny charakter stał się przy-
czyną przedwczesnej starości. Samo zresztą ponure, szkaradne spojrzenie może
tylko odstręczać. Oczy ma jednak piękne, jeszcze teraz pełne ognia.

— Pomyśl tylko, ile dla niego zrobiłam! — wybuchnęła głośniejsz z rozpaczą.
— Ile się napracowałam! Nigdy nie miałby tego, co ma dzisiaj, gdyby nie moja
pomoc. Czy on wyobraża sobie, że ta głupia dziewczyna będzie tak samo praco-
wać dla niego? Narażać się? Że się odważy?

— Ciszej! Ciszej! — odezwał się gniewnie mężczyzna. — Gdzie się podziała
twoja daleko idąca ostrożność, Sally?

— Milczałbyś! — rzekła hardo. — Jemu dawaj przestrogi, potrzebuje ich

bardzo. Zwariował, całkiem zwariował! Myśli, że ta smarkata będzie tak harowała dla niego jak ja przez tyle lat!

— On wcale tego nie chce, moja droga. Ona to co innego, a ty co innego. Zestarzałaś się. Brak mu pewnych twoich usług, nic dziwnego, że pragnie pobawić się małą. Ale ty także jesteś mu niezbędna — odparł tłumiąc śmiech.

— Pobawić się! — przerwała tonem rozpaczy i złości, że mimo woli dreszcz wstrząsnął nią od stóp do głowy. — Pobawić! Zachciewa mu się patrzeć na nią bez ustanku, rozmawiać z nią, całować ją i mieć ją ciągle blisko — szeptała z gorczycą. — Nie może przestać myśleć ani na chwilę

oniej, śledzi ją, widzę to dobrze. Nie kochał tak jeszcze żadnej, chociaż były piękniejsze. W głowie mi się już maści, chodzę jak nieprzytomna. Nie zniosę tego dłużej! Zobaczysz, jeśli Jim się nie opamięta, to zedrę z niej tę piękność! Zemszczę się, i niech mnie potem zabije! — skończyła, dysząc ciężko.

Straszna kobieta. Uczułam wielką litość dla tej biednej pomywaczki, której całą winą było to, że była ładniejsza i młodsza od zawziętej rywalki. Sara gotowa doprawdy popełnić jakieś szaleństwo, może zbrodnię.

Umilkli. Po chwili usłyszałam głos mężczyzny, ale z początku tak cichy, że nic prawie zrozumieć nie mogłam.

— Uspokój się, Sally, bo możesz gorzko pożałować — dobiegło mnie wreszcie. — Jim ma rozum i wie dobrze, że nikt mu nie potrafi ciebie zastąpić. Ta mała sprzykrzy mu się, zobaczysz. Ale nie darowałby ci, gdybyś...

Nie dosłyszałam końca, bo oddalili się; Przeczekałam chwil parę i ostrożnie, z bijącym sercem wymknęłam się ze swej kryjówki. Nie oglądając się, pobiegłam do domu i bez tchu wpadłam do swego pokoju.

Co za straszny dramat rozgrywa się tu między służbą! Boże! Boże! Gdyby pani Raynez była zdrowa, natychmiast opowiedziałabym jej wszystko. Ale nie mogę. Przeraziłabym ją. Panu też nie wspomnę o tym za nic w świecie! Znadto drażliwa historia. Biedna Jane! Czyżby jednak Sara odważyła się naprawdę zrobić jej coś złego?

Nie będę teraz miała chwili spokoju. Okropna kobieta! Nie rozumiem tylko, czemu kochanka swego nazywała Tomem lub Jimem?

Obudziłam się przygnębiona i niewyspana. Umysł mój znajdował się ciągle pod silnym wpływem podsłuchanej mimo woli rozmowy. Mściwe słowa Sary przejmowały mnie dziwną, nieokreśloną trwogą. Z uwagą śledziłam jej ruchy podczas modlitwy porannej; stała spokojnie, ze spuszczonego wzrokiem i zaciętymi ustami, blada, nieruchoma, ponura. Bezwiednie prawie przeniosłam wzrok na zgrabną postać pomywaczki. To przecież naturalne, że Tom czy Jim woli patrzeć na świeżą twarzyczkę niż na starą, zwiędłą jędrę. Szkoda jej tylko dla niego, jeśli to prawda, co mówiła Sara. Taki zepsuty człowiek. I Sara była niegdyś młoda, nie powinien więc opuszczać jej teraz, jeśli ma wobec niej jakieś zobowiązania. Była mu—jak utrzymuje—wierną, wytrwałą pomocą, choć nie rozumiem, w czym mu tak pomagała i co jej właściwie zawdzięcza. Miałam sposobność widzieć Toma kilkakrotnie w kuchni; to krępy, tęgi chłopak, o niemiłym spojrzeniu, ale dotąd nie przypuszczałam, że ciąży na nim jakieś tajemnicze sprawy.

W każdym razie nie wygląda na pożeracza serc niewieścich ani na Don Juana.

Po południu wracałyśmy z Haide z przechadzki, droga nam wypadła koło mieszkania służby. Z daleka już spostrzegłam obie służące przed progiem. Tom siedział na złamanym przewróconym stołku, trzymając w ręku kawał chleba z serem. Tuż przy nim stała Sara, a Jane nieco dalej, obie w doskonałych humorach. Pierwsza podawała mu butelkę piwa, druga wielki kufel. Zdawały się na wyścigi zgadywać jego życzenia. Śmiały się głośno, a mężczyzna wtórował im basem. Mówiono coś o pocałunkach, Tom z przymileniem objął kibić pomywaczki, dziewczyna się wyrywała. Potem rozbawione towarzystwo spostrzegło naszą obecność i uspokoili się wszyscy w mgnieniu oka.

Uderzyła mnie sprzeczność tylko co widzianej sceny z tym, co słyszałam wczoraj. Nie domyślałam się w Sarze takiej obłudy i panowania nad sobą. Śmiała się głośno i swobodnie z zajścia między młodymi, nie okazywała niezadowolenia, przeciwnie, zdawała się być z rywalką w najlepszej komitywie i bawić się zalecankami niewiernego kochanka. Przykro mi było, że choćby niechcący byłam świadkiem tej sceny, postanowiłam unikać na przyszłość drogi koło kuchni.

Wieczorem po herbacie z łatwością tłumaczyłam znów historię Anglii, potem zbliżyłam się do półki po Guizota. Nie ma! Nagle uczułam chłód w sercu. Cóż zrobiłam? Boże! Zostawiłam wczoraj książkę na wierzbie, w pośpiechu zapomniałam o niej. Z pewnością wilgoć i rosa zniszczyły okładkę. Co tchu zbiegłam

do ogrodu i pędem puściłam się w stronę mojej samotni. Na mostku spostrzegłam pana Rayneza z nieszczęsną książką w ręku.

Skamieniałam. Przystanąłam, nie śmiejąc podnieść oczu i gwałtem wstrzymując łzy pod powiekami. Zawróciłam, chciałam iść do domu.

— Panno Christie! — usłyszałam.

A więc zobaczył mnie. Bądź wola Twoja, Boże. Było mi strasznie przykro, czułam, że blednę.

— Jestem, panie — szepnęłam ledwo dosłyszalnym głosem.

Wiedziałam doskonale, że nie zrobiłam nic znów tak karygodnego, ale nie mogę przecież mu powiedzieć, że podsłuchiwanie zajęło mnie do tego stopnia, iż zapomniałam zabrać z sobą książkę. Nie moja to tajemnica, a z pewnością zażądałby bliższych wyjaśnień. Muszę więc przyjąć zarzut lekkomyślności i niedbalstwa i będę słusznie ukarana, jeśli zabroni mi korzystać ze swojej pięknej biblioteki. Zbliżyłam się powoli, ze spuszczoną głową, ale gdy ukradkiem na niego spojrzałam, przekonałam się, że go bawi moje zmieszanie. Uczułam żal do pana Rayneza; nie rozumie widocznie, co się we mnie dzieje.

— Bardzo mi przykro — zaczęłam dość niepewnym głosem — że przez nieuwagę ta książka... — Miałam ją czytać wczoraj i — i potem zapomniałam zabrać. Wiem, że to jest niedbalstwo z mojej strony... i postanowiłam na przyszłość nie brać nic z biblioteki.

— Dlaczego? — przerwał mi uprzejmie ze zwykłym uśmiechem. Odwaga powróciła mi od razu. — Guizot jest wystarczająco suchy

— ciągnął dalej — nie zaszkodzi mu spędzenie jednej nocy w wilgoci. Mógł nawet spaść do wody, w bibliotece leży bezużytecznie. Żałuję szczerze, że się tak nie stało. Szkoda pewnych ślicznych oczu na odczytywanie tego rodzaju nudnych wiadomości. Pochlebnie to świadczy o pani, że pracuje nad własnym wykształceniem, ale gdyby pani wzięła powieść albo coś z poezji, ręczę, że książka nie zostałaby na noc pod mostem.

— Tylu rzeczy nie wiem — odezwałam się nieśmiało — a pragnę uczyć z czasem i starsze dziewczynki, nie widzę więc innej drogi do osiągnięcia tego celu jak praca nad sobą. Zresztą nie czytam samych suchych rzeczy. Dziś cały rano przeglądałam ostatnie dzienniki.

— Czy pani uważa je za bardziej interesujące? — zapytał wesoło.

— Zdawało mi się, że poczta tym razem nie przyniosła nic zbyt godnego uwagi.

— Owszem — odparłam żywo. — Jest sprawozdanie z sensacyjnego zabój-

stwa w Irlandii, bardzo ciekawy artykuł o stosunkach we wschodnich angielskich koloniach, wreszcie ostatnie szczegóły głośnej kradzieży.

— Kradzieży?

— Nie czytał pan o tym? W zeszłym tygodniu szeroko się rozpisywano na ten temat. Czy zna pan w Derbyshire prześliczną posiadłość lorda Dalstona? Podczas nieobecności właściciela złodzieje włamali się do pałacu i skradli mnóstwo bardzo cennych rzeczy. Podobno policja wpadła już na ich ślad, ale dotąd nie zatrzymano nikogo.

— Nie złapią nikogo. Chyba przez przypadek.

— Agenci utrzymują, że kradzież tę popełnili niepospolici fachowcy. W zatarciu wszelkich śladów dali podobno dowody niezwykłego sprytu.

— Tak zawsze mówią — przerwał niechętnie i drwiąco pan Raynez.

— Cóż mają zresztą powiedzieć, aby osłonić własną nieudolność!

— Twierdzą także, że w tej kradzieży brała udział ta sama osoba, która w swoim czasie była zamieszana w kradzież brylantów.

— Któż to taki?

— Nie wiedzą. Złoczyńca umknął wtedy bezkarnie.

— Znowu komunał z dzienników! Złodziej przystawił drabinę do okna, wszedł i skradł klejnoty. W kilka lat później w ten sam sposób uczynił to inny, ale wszyscy upatrują w tym związek — mówił mój towarzysz *i* rozdrażnieniem.

— Naturalnie, łatwo odgadnąć przyczynę. Policja woli tworzyć postać jakiego legendarnego półboga-złodzieja, jedyne w kraju i za granicą, bo to ratuje jej prestiż i nikt się wtedy nie dziwi jej niedołęstwu.

— Życzę im z serca, żeby go schwytali tym razem — rzekłam szczerze.

— I nie żał pani zaocznie skazywać biedaka? — zapytał stłumionym głosem.

— Nie potrzebuje się pani go przecież obawiać, nie ma pani brylantów.

— Widzę, że pan więcej współczuje złodziejom niż policji — odparłam ze śmiechem.

— Bez porównania. Zręczna kradzież zawsze budzi mój podziw. Ręczę, że i pani uwielbia gorąco Robin Hooda, albo Jacka Shepparda, złodziejskich bohaterów naszej poezji ludowej.

— To zupełnie co innego — przerwałam mu żywo. — Robin Hood jest osobowością i książkowym bohaterem, a występki Jacka są naiwne.

— Naturalnie — odrzekł z ironią. — Robin Hood miał taką ujmującą postać, a Jack urocze oczy, którymi podbijał serca niewinnych dziewczyc. Umiał gorąco kochać i całować usteczka dam. A piękna Marian? Co za szlachetny typ! Kocha-

ła niby nieszczęśnika, który gotów był dla niej zginąć, a potem wyparła się go i pozwoliła powiesić. Zbyteczny, niewygodny świadek wspólnych grzechów. Najlepiej się go pozbyć.

— Wolę to jednak niż pospolite kradzieże dla zysku — powtórzyłam z uporem.

— Widziała pani kiedy choć jednego?

— Nie, ale wyobrażam sobie doskonale jak wyglądają. Muszą być silni, zręczni, mają wydatne usta, żywe, niespokojne oczy, zalecają się do kucharek i kobiet ulicznych.

— Podziwiam pani wyobraźnię — rzekł szyderczo. — A więc sympatyzuje pani z przestępcami, którzy są przystojni, wykwintnie ubrani i zdobywają miłość dam z towarzystwa?

— Och, panie! — przerwałam z komicznym oburzeniem. — Jak można tak przekreślać moje słowa! Wie pan dobrze, że potępiam bez wyjątku wszystkich. Zresztą Robin Hood i Jack Sheppard żyli w innych czasach, i mnie się zdaje, że ich występki, nawet zbrodnie, mają w sobie jakąś głębszą filozofię. Przecież rabunki i gwałty popełniali tylko na bogaczach, którzy w nieuczciwy sposób doszli do majątku — dodałam figlarnym, tryumfującym tonem.

— Czy pani sądzi, że ludzie bogaci muszą mieć koniecznie plamę na swoim nazwisku? — zapytał cicho.

— Większość tak — odparłam z przekonaniem. — Jak pan przypomina sobie, Robin Hood zdzierał właśnie z takich ludzi, a zrabowane skarby rozdawał zawsze biedakom.

— Myli się pani — zaprotestował energicznie. — Myli się pani po stokroć. I dzisiaj okradani nie zawsze godni są współczucia. Słyszałem bardzo wiele o lordzie Dalstonie, który jest złym człowiekiem, gorszym nieskończenie od tych, których bohater pani potępiał samowolnie i bez apelacji. Dalston słynie z okrucieństwa, zadreńczył na śmierć matkę, roztrwonił majątek siostry, za żoną wziął miliony i zamknął ją w zakładzie dla obłąkanych, raz w uniesieniu wybił oko służącemu. Siedzi po uszy w długach, a gdy ogłosi bankructwo, zrujnuje setki ludzi. Toteż uważam go za daleko szkodliwszy gatunek złodzieja niż tego, który kradnie na przykład brylanty. I gdyby się okazało, że ten ostatni jest młody, przystojny, kocha się w pięknej pannie z towarzystwa i część swojej zdobyczy oddaje ubogim, to powinna pani zachwycać się nim stokroć więcej niż Robinem Hoodem, lub Jackiem Sheppardem. Tak przynajmniej każe wnioskować logika.

— Co też pan mówi! — przerwałam mu z wesołym śmiechem. — Niech pan

nie usiłuje zmusić mnie do zmiany zdania. Dawniej przestępcy mogli zasłaniać się jeszcze niesprawiedliwością prawa, lecz obecnie, gdy mamy kodeks najdoskonalszy na świecie, jesteśmy obowiązani stosować się najściślej i we wszystkim do jego rozumnych przepisów. Źle czyni, kto nie szanuje praw własnego kraju.

— Pani pogradza takim?

— Ależ naturalnie — odparłam zdumiona, że można pytać o coś podobnego.

— Pan chyba kpi ze mnie!

— Nie należy nigdy osądzać bez gruntownej znajomości sprawy. Trzeba znać tych, których się potępia.

— Ja mam zapoznawać się ze złodziejami?

W milczeniu skinął głową. Osłupiałam.

— Tout comprendre c'est tout pardonner — rzekł z powagą przyciszonym głosem. — To są głębokie i rozumne słowa.

— Więc pan mi radzi zbliżyć się do jakiejś bandy zbrodniarzy — rzekłam pół ironicznie, pół żartem. — Nie czuję się godna tego nowicjatu.

— A jednak mówię poważnie. Z pewnością zna pani takich potępionych, nie wiedząc nawet o tym, i być może woli pani przebywać w ich towarzystwie niż wśród tak zwanych cnotliwych. Kiedyś przypomni pani sobie moje słowa. Przypuśćmy, że przywiąże się pani do kogoś. Nagle okaże się, że jest to człowiek skazany; może wtedy uczucie zwycięży zbyt szacunek dla prawa.

Spojrzałam na niego z nie tajonym oburzeniem. Roześmiał się, ubawiony. A więc żartuje ze mnie?

— Nie ma pan ani cienia słuszności — odezwałam się spokojnie udając, że serio biorę jego słowa. — Niedawno właśnie zdarzyło mi się coś podobnego. Człowiek, który czas jakiś wydawał mi się uczciwy, okazał się prawie łotrem. Od tej chwili patrzę na niego ze wstrętem.

Myślałam o Tomie i o tym, co mówiła Sara. Pan Raynez badawczo śledził moją twarz, ale nie zmieszałam się wcale.

— A co by pani zrobiła, gdyby znalazła się przypadkiem jako nauczycielka w domu, w którym panowałyby zasady zdaniem pani karygodne?

— Nie wytrzymałabym — odpowiedziałam cicho po namyśle. — Uciekłabym do matki, naturalnie nie uprzedzając nikogo, bo list mogliby przejąć. Nie uwierzy pan, jak się zawsze tego boję — dodałam drżąc.

— Mam nadzieję, że nie będzie pani wystawiona na tak okropną próbę. I bez tego nauczycielstwo naraża młodą i piękną dziewczynę na wielkie niebezpie-

czeństwa — dodał z naciskiem, pochylając głowę.

Ostatnie słowa dziwnie mną wstrząsnęły. „Młodą i piękną!” Nikt dotąd nie przemawiał do mnie w taki sposób. „Młodą i piękną”. Dlaczego te słowa tak mną poruszyły? Oparłam się o pień dębu i przymknęłam oczy. Pan Raynez podszedł do mnie wyraźnie wzruszony. Nagle słaby okrzyk rozległ się nad wodą. Spojrzeliśmy w tamtym kierunku. Nad samym brzegiem stawu siedziała brudna, błotem powalana Mona. Pokazując paluszkami na ojca, płakała z przerażenia. Dlaczego ona tak go nienawidzi?

Machinalnie przeniosłam wzrok z dziecka na ojca. Twarz mu zbieleła, z oczu sypały się iskry. Ale opanował się prędko i popatrzył na mnie. Pobladałam. Oczy jego niby gorejące węgle patrzyły na mnie z taką dziwną siłą, z takim wyrazem bólu czy rozpacz, że lęk ścisnął mi duszę żelazną obręczą. W mgnieniu oka, bezwiednie szukając ratunku, znalazłam się przy Monie.

— Ach! Ty niedobre dziecko — rzekłam rwącym głosem. — Chłodno już, późno, a ty tutaj sama. Sara zapomniała o tobie. Chodź ze mną.

Podniosła na mnie wielkie, przerażone oczy i bez oporu pozwoliła się wziąć na rękę. Pan Raynez podszedł do nas. Powiedziałam mu dosyć spokojnie dobranoc. On dotknął łagodnie czoła małej, ale krzyknęła prawie konwulsyjnie, więc przytuliłam ją mocno do siebie i pobiegłam w stronę domu. W sieni spotkałam Sarę. Oddałam jej dziecko, a sama weszłam jeszcze do pokoju szkolnego, żeby położyć Guizota na miejscu. Potem zapaliłam świecę i udałam się na górę. Mijając wielki przedpokój, zatrzymałam się przed zwierciadłem.

Myślę, że nie ma na świecie dziewczyny, której nie sprawiłoby przyjemności, kiedy ją nazywają piękną. Wiedziałam wprawdzie dobrze, że nie jestem brzydka, ale piękna!... Słowa pana Rayneza pochlebily mi bardzo i brzmiały ciągle w uszach jakąś upajającą melodią. Piękna! Jestem piękna! W Londynie prawie nie mamy znajomych, nikt mi nie mówił dotąd komplementów, więc po raz pierwszy w życiu wystawiona byłam na pokusę próżności w tak ponętny sposób. Z przyjemnością podziwiałam swoją świeżą cerę, żywy rumieniec, duże, ciemne oczy. Bardzo ciekawa jestem, czy pan Jerzy nazwałby mnie piękną? — przemknęło mi przez myśl.

— Piękna, piękna, prześliczna — śpiewało mi w duszy. Nagle zadrżałam, wstrząsnął mną zimny dreszcz. Ktoś się poruszył w kącie. Więc nie jestem sama?

— Ładną ma pani buzię — odezwał się za mną głos syczący, ironiczny, stłumiony głos Sary. — Wcale niczego. Ale piękność trwa krótko, bardzo krótko. Ani się panna obejrzy, kiedy zmarszczki i bruzdy popsują białą skórę. Lustra się

unikac będzie. Nikt nie spojry nawet na zwiędłą urodę, i sama będziesz się dziwić piękna panno, jak mogli kiedyś kochać cię... wariaci!

Odwrociłam się szybko. Kilka kroków ode mnie stała Sara ze śpiącą na ręku Moną. Jej spojrzenie mnie parzyło. Była w jej oczach nienawiść i wzgarda, mówiła dysząc ciężko. Zawstydziłam się Coraz gorsza się staje. Próżność, zalotność, zakochanie w sobie. Do czego mnie to doprowadzi? Pół roku temu nie zachwycałabym się sobą przed lustrem. Słowa Sary dotknęły mnie głęboko, ponieważ była w nich prawda. Było mi przykro. Zrobiło mi się żal tej kobiety, budziła litość we mnie. Tyle goryczy było w jej głosie. Myślała pewno o sobie, o zmianach, jakie zaszły w jej postaci. Biedaczka!

— Masz słuszność, Saro — rzekłam łagodnie. — Zdaje się, że my wszystkie jeszcze po matce Ewie odziedziczyłyśmy tę nieszczęsną wadę i nie jesteśmy nigdy obojętne na własną powierzchowność. Każdej przyjemnie jest być ładną, to grzech niezbyt wielki. Choć nie trzeba o tym myśleć — dodałam z westchnieniem. — A co do młodości, to chociaż przeminie, można być jednak zawsze ludziom miłą. To już zależy od nas. Prawdę mówi przysłowie: złość piękności szkodzi. To dla ciebie życzliwa rada, Saro.

Powiedziałam te słowa bez namysłu, starając się ją pocieszyć, lecz nie wierzyłam, aby to odniosło skutek. Szczególniej teraz, gdy czułam na sobie jej oczynające nienawiścią, instynktowny lęk mnie ogarniał. Z radością jednak zauważyłam, że Sara moje słowa przyjęła dość dobrze.

— Piękny jest ten, kto pięknie postępuje — powiedziała stłumionym głosem i potrząsając w zamyśleniu głową, wysunęła się cicho z pokoju.

W niespełna tydzień później zauważyłam, że przepowiednie Sary zaczynają sprawdzać się na mnie. Pogoda dotąd była wymarzona: ciepło, sucho, śliczna jesień. W połowie września jednak popsuła się nagle, spadły silne deszcze, rzeka wezbrała i zalala część trzęsawisk; za parkanem, jak sięgnąć okiem stały teraz jeziora brudnej, cuchnącej wody, a wiatr przynosił stamtąd niezdrowe wyziewy. To prawdopodobnie mi nie służyło, bo bardzo zmizerniałam, schudłam, zbla-

dłam, oczy straciły blask i żywość. Nad Alders rozpostarły się gęste mgły, moje ulubione schronienie zalała woda z jeziora, dolna część parku zmieniła się w nieprzebyte bagno, most i ganki okrył jednolitą warstwą zielony mech i rdzawe pleśnie, bluszcz na murach rozrósł się ogromnie i zasłonił prawie wszystkie okna, a od północnej strony, tam, gdzie są pokoje państwa, z daleka nikt by ich nawet nie dostrzegł w murze.

Dziwię się często, jak oni mogą tam sypiać. Z rozkładu górnych pokoi domyśliłam się, że musi tam być jedna obszerna sypialnia, a przy niej niewielka alko-wa. Mój pokój znajduje się na pierwszym piętrze, nad nimi, a wyżej jeszcze jest wysmukła wieżyczka, z której zapewne jest prześliczny[^] widok. Haide sypia w gabinecie koło sypialni rodziców, a Mona z nianką w dzieciennym pokoju przyle-głym do mojego. Tam są także pokoje dla służby i kilka gościnnych, słonecznych i widnych. Nie rozumiem zupełnie, dlaczego państwo wybrali dla siebie najgor-szy, najwilgotniejszy pokój w całym domu, wystawiony na ciągłe wyziewy mo-czarów? To z pewnością bardzo szkodzi pani Raynez? Najlepszy dowód mam na sobie. Mieszkam przecież wyżej, a straciłam apetyt i czuję silne osłabienie. Mniejsza zresztą

o mnie, nie dam się tak łatwo chorobie, ale z przerażeniem widzę upadek sił u Haide. Twarzyczkę ma bladą i tak przezroczystą, że litość bierze patrząc na nią. Straciła zupełnie zapał do nauki, w jej szafirowych oczach zamiast wesela i bla-sku widzę dziwny smutek, a na jej policzkach chorobliwe rumieńce. Ta mała dziewczynka pozbawiona serdecznej, macierzyńskiej opieki, stała się mi dziwnie bliską i drogą a teraz stokroć droższa prze cierpienie. Otoczyłam ją troskliwością i staraniem, pieszczę ją często, chcąc jej wynagrodzić obojętność matki. Z rado-ścią widzę, że coraz bardziej przywiązuje się do mnie. Wczoraj niespodziewanie rzuciła mi się na szyję i objęła chudymi rączkami.

— Pani teraz taka mizerna i blada, zupełnie jak mamusia — szepnęła cichut-ko. — Ja pójdę z mamusią do nieba i będziemy obie aniołkami, ale ja tak panią kocham, najdroższa panno Christie! Czy chcesz być tam z nami?

Przytuliłam mocno do piersi jasną główkę i wybuchnęłam płaczem. Nie do-myślałam się nawet, jak bardzo jestem do tego dziecka przywiązana. Okryłam pocałunkami jej buzię i rączki i mówiłam jej cichutko do uszka, że ona i mamu-sia będą zawsze zdrowe i wesole, a ja zostanę z nimi, bo ją bardzo kocham.

Od tej rozmowy stosunki między mną a dzieckiem stały się jeszcze bardziej serdeczne.

Czułam się mniej samotna. Po kilku dniach spotkało mnie nowe zmartwienie.

W obojętnych, półsennych oczach pani Raynez dostrzegłam błysk zazdrości, ilekroć Haide zbliżała się do mnie i kładąc główkę na mym ramieniu prosiła o śliczną bajkę albo pieściła się ze mną. W duchu oburzyłam się gorąco na matkę mojej uczennicy. Zazdrość? Czemu więc nie zajmie się sama dzieckiem? Może przychodzić, ile razy zechce do szkolnego pokoju podczas lekcji. Dlaczego zostawia małą na łasce służących i mojej? Czemu nigdy jej nie popieści ani nie pocałuje? Czemu nie ułoży jej sama do łóżeczka, nie powie dobranoc? A zresztą, choćby nawet była dobrą matką, to przecież niedorzecznością jest żądać od dziecka całkowitej i niepodzielnej miłości. Udaję, że nie spostrzegam zmiany w jej postępowaniu. Zastanawiam się tylko, czemu odgradza się tak szczelnie murem obojętności i chłodu.

Przez ostatnie dwa tygodnie tak się rozpadało, że nie mogło być mowy o kościele. Z tego powodu humor popsuł mi się zupełnie, czułam się nieszczęśliwa, zdawało mi się, że nie wytrzymam dłużej w tej samotni. Zabijają mnie te nudy, przytłacza jednostajność. Przez całe czternaście dni nikogo nie widzieć, nie słyszeć, co się dzieje w okolicy. Tej niedzieli nareszcie wypogodziło się trochę i wszyscy pojechaliśmy na nabożeństwo. W kościele prawie nikogo nie było, puste wnętrze mnie przygnębiło. Smutna wróciłam do domu.

Nazajutrz po obiedzie, kiedy siedzieliśmy wszyscy w salonie przy kawie, przeglądając dzienniki, rozległ się tętent konia. Pan Raynez wstał pospiesznie i wybiegł na ganek. Zbliżyłam się do okna. Na szerokiej, żwirowanej ścieżce stał pan Jerzy, trzymając konia za uzdę.

— Pozdrowiony bądź, panie Jerzy! — patetycznie zawołał pan Raynez.

— Przybywasz jak gołębica z arki po potopie. Moje panie przyjmą cię z radością. Stęsknione są ludzkich twarzy. Jesteśmy odcięci od świata, odwiedzać nas mogły jedynie ryby i syreny!

— Dziękuję panu, ale nie skorzystam z zaproszenia — odparł pan Reade niepewnym głosem. — Zanadto jestem obryzganym błotem, z drogi zrobiło się jedno jezioro. Przekażę tylko wiadomość dla pańskiej żony od pani Manners i zmykam.

— Głupstwo! Chodźże pan nareszcie.

Pan Jerzy przywiązał konia do drzewa i w milczeniu zbliżył się do ganku.

Pani Manners jest żoną pastora i zwykle interesy swoje załatwia przez synów, których ma chyba z pół tuzina. Byłam więc zdziwiona, że wiadomości od niej przywozi pan Reade. Pomyślałam w duchu, że może inny powód sprowadza go tutaj. Ale prędko nastąpiło rozczarowanie. Pan Jerzy rozmawiał tylko z panią Raynez i jej mężem, niekiedy odzywał się także do Haide, mnie zaś po przywita-

niu nie raczył obdarzyć ani jednym spojrzeniem czy słówkiem. Siedział trochę bokiem. Zachowywał się, jakby zapomniał o mojej obecności. Przyznaję, że mnie to żywo dotknęło. Nie wymagam, żeby ze mną wyłącznie prowadził rozmowę, ale chyba zwykła grzeczność nakazuje być uprzejmym dla każdego! A może wstydzi się bliższych kontaktów z nauczycielką?

Krew uderzyła mi do twarzy. Bardzo dobrze. W takim razie odpłacę mu pięknym za nadobne. Udałam, że z zapalem czytam powieść, która leżała przede mną, a kiedy Haide pobiegła popatrzeć na konia poszłam za nią. Nie bała się go wcale. Pieszczotliwie głaskała po szyi, potem przyniosła cukru i koniecznie chciała, żebym nakarmiła siwka, ale odmówiłam stanowczo. Pan Reade gotów byłby pomyśleć, że otaczam względami jego konia. O nie! Za nic w świecie. Zakazałam dziewczynce zbliżać się zanadto do wierzchowca, a sama zaczęłam zbierać kwiaty, aby przybrać stół do kolacji.

Od czasu do czasu rzucałam na Haide przelotne spojrzenia bojąc się, żeby czworonożny przyjaciel nie uczynił jej co złego.

Ręce miałam pełne kwiatów, gdy usłyszałam głosy na ganku, potem trzask szpicruty i lekki tętent kopyt końskich. Zapewne pan Reade odjeżdżał. A ta aleja prowadzi do bramy. Pochyliłam się, pragnąc za wszelką cenę uniknąć spotkania. Już jedzie! Jest już blisko!

—Dobry wieczór, panno Christie — usłyszałam za plecami.

— Dobry wieczór — odparłam chłodno, nie podnosząc głowy. Szarpnęłam gwałtownie konia, i ze ściśniętych warg wybiegło mu ciche przekleństwo.

— Zabawny! Cóż on myśli? Czy wyobraża sobie, że mam ochotę prowadzić z nim rozmowę po tym, co się stało? Nie! Nie! Na tyle mam jeszcze rozsądku.

Popędził ku bramie. Śledziłam jego ruchy spod oka, ukradkiem. Przed samym wjazdem nagle się zatrzymał i zaczął niecierpliwie majstrować przy zamku.

— Niemądry! Czemu nie zsiądzie z konia? Otworzyłby z łatwością ten zamek, siedząc na koniu na pewno nie da sobie rady.

Pan Reade tymczasem czynił bezowocne wysiłki, aby szpicrutą otworzyć klamkę. Widać było, że rumak i jeździec tracili cierpliwość. A może pan Jerzy umyślnie marudzi przy bramie? — przemknęło mi przez głowę. Już chciałam mu wszystko przebaczyć, gdy spotkałam jego chłodne i gniewne spojrzenie. Te oczy wyraźnie prosiły o przysługę, o pomoc w otworzeniu kraty, ale tylko o to. O nic więcej. Żal ścisnął mi serce, czułam się upokorzona. Czy takiego zachowania mogłam się spodziewać po przyjacielu? Tłumiąc łzy, zbliżyłam się do bramy i otworzyłam ją niechętnym ruchem.

— Dziękuję pani, dziękuję serdecznie — odezwał się półgłosem. — Nie śmiałem prosić o pomoc. Ale koń, jakby na złość, nie chce stać spokojnie.

— Nie ma o czym mówić — przerwałam mu zimno, schylając się po kwiaty.

Z uszanowaniem uchylił kapelusza i spiąwszy konia wyjechał za bramę, którą natychmiast starannie zamknęłam. I nagle zrobiło mi się bardzo smutno. Taka jestem biedna, taka nieszczęśliwa. I taka gorzka niespodzianka ze strony pana Jerzego! Przyjaźń z nauczycielką, ale w cztery oczy! O! niedoczekanie!

Łzy znów napłynęły mi do oczu. Nie ośmieliłby się z pewnością postępować tak w stosunku do panny z towarzystwa równej mu stanem, myślałam z bólem. Co innego jakaś tam nauczycielka. Takiej się dziękuje półgębkiem — i forma grzeczności spełniona. Boże, mój Boże! Za cóż mnie spotkało takie upokorzenie!

Minęła długa, bardzo długa chwila, zanim udało mi się uspokoić biedne, rozkołatanе nerwy. Kwiaty sperliły się rosą, z ziemi zaczęły już podnosić się sine mgły. Właśnie wracać miałam w stronę domu, gdy cichy tętent rozległ się w pobliżu bramy. Odwróciłam się szybko: za kratą był pan Jerzy. Siedząc na koniu, otworzył ją tym razem bez trudności. Cóż to ma znaczyć? A więc wtedy żartował sobie ze mnie? Tego tylko brakowało! Spojrzałam na niego z wyrzutem. Stał skruszony, z uśmiechem zakłopotania na twarzy. Zeskoczył z konia, przywiązał go do sękatej sosny i podszedł do mnie.

— Pani wybaczy, że wracam z uporem natrętnej muchy? — powiedział zakłopotany, czerwieniąc się trochę. — Zgubiłem kamyczek z pierścionka, zdaje się wtedy, gdy byłem zajęty niefortunnym otwieraniem bramy. Z zewnątrz jest o wiele łatwiej.

— Tak pan sądzi? — spytałam złośliwie. — Nie zauważyłam różnicy, popatrzył na mnie badawczo, jakby pragnąc przeniknąć moje myśli. Odważnie wytrzymałam jego wzrok. Odszedł i przez kilka minut pochłonęło go całkowicie szukanie drogocennej zguby. Czułam, iż grzeczność każe mu pomóc, ale... Po głębokim namyśle podeszłam jednak do niego nieśmiałym krokiem. Pokazał mi pusty pierścionek. Cóż to ma znaczyć? W pierścionku brakowało kamienia już wtedy, gdy schroniliśmy się razem przed burzą w ogrodowej szopie. Byłam tego pewna. Już miałam mu powiedzieć, żeby się nie trudził na próżno, gdy nagle inna myśl przyszła mi do głowy. Uczułam gorący rumieniec na twarzy, serce uderzyło mi mocniej, nie mogłam wymówić słowa. To niepodobna... A może dopiero teraz zauważył brak kamienia? Nie! Nie! Czuję, że wie o nim doskonale. Odetchnęłam z ulgą: więc nie jest zły i niewdzięczny! Zbliżyłam się do konia i zaczęłam go pieścotliwie klepać po lśniącym karku, głaskać po błyszczącej, jedwabistej

grzywie. Czy on się domyśla, co znaczy ten manewr? Tak zabawnie wygląda zajęty szukaniem tego, czego wie, że nie znajdzie.

Po chwili pan Jerzy podszedł do mnie ze stroskanym wyrazem twarzy.

— Nie mogę znaleźć — odezwał się cicho. — Jest już tak ciemno, że szkoda zachodu.

— Taki duży piękny kamień — odparłam z udanym współczuciem.

— Pewno bardzo kosztowny? Powiem ogrodnikowi, żeby poszukał rano, a także Samowi i...

— Nie! Nie! Nie trzeba — przerwał z widocznym zmieszaniem.

— I Jane — dokończyłam z nieubłaganą troskliwością. — Ona ma doskonałe oczy i znajdzie niewątpliwie ten drogi klejnot.

Zdaje się, że wyczuł fałszywą nutę w moich słowach, bo zaczerwienił się jak wiśnia. Przez chwilę trwało milczące zakłopotanie. Z rąk wysunęły mi się kwiaty i z cichym szelestem upadły na ziemię. Bardzo byłam z tego rada, bo zajęliśmy się ich zbieraniem. Odzyskałam zimną krew i spokój.

— Bardzo pani lubi kwiaty? — spytał cicho.

— Czy je lubię? To moja prawdziwa namiętność — rzekłam szczerze.

— Szkoda tylko, że ostatnie deszcze uczyniły w tym królestwie takie spustoszenie.

— Nie tylko w tym królestwie — odparł pan Jerzy z powagą w głosie.

— I pani przybladła bardzo, to wpływ domu na moczarach. Z pewnością tujsza wilgoć pani szkodzi — dodał serdecznie. — Czuje to pani?

— Tak. Jest tu wilgoć — szepnęłam z wahaniem — ale ani w połowie nie oddziaływa na mnie tak szkodliwie, jak na panią Raynez i małą Haide.

— Tak. Z tą tylko różnicą, że te biedaczki wyjechać nie mogą, a pani może to zrobić w każdej chwili.

— Więc pan mi radzi opuścić Alders?

— Nie powiedziałem tego — odparł śpiesznie.

— Jak to? — spytałam z komicznym zdziwieniem.

— Nie. To jest... chciałem właściwie — plątał się pan Jerzy. — Przypomniałem sobie, że pani przywiązała się już do tej miejscowości i do pani Raynez.

— O! bynajmniej! — przerwałam stanowczo. — Co dzień mniej ją lubię.

— Zatem do Haide i do malutkiej Mony? Bo przecież musiała pani pokochać coś czy kogoś, żeby móc bez wstrętu żyć na tych moczarach?

— szepnęłam poważnym i wzruszonym głosem.

— Rzeczywiście, bardzo polubiłam Alders — odrzekłam z prostotą.

— Nie obawiam się wilgoci, kocham ogród, kwiaty i złotą główkę mojej uczennicy, miłe mi jest towarzystwo pana Raynez.

Pan Reade gwałtownie szarpnął uzdę konia.

— Pana Raynez! — powiedział rozdrażniony. — Widzę, że nasze sympatie są różne. Dla mnie ten człowiek jest skończonym snobem, wielkim egoistą, człowiekiem pozbawionym wszelkich uczuć, wyrodkiem ludzkości!

Przeraził mnie ten wybuch, a potem rozgniewał. Nie mogę pozwolić wyrażać się w ten sposób o człowieku, którego lubię i który jest dla mnie zawsze życzliwy i uprzejmy.

— Myślę, że jednak mój sąd o tym człowieku jest trafny, mieszkam z nim w końcu pod jednym dachem — odezwałam się oziębłe. — Nie wiem, czy jest snobem i nie wiem właściwie, jaki jest pan Raynez, ale widzę, że jest idealnym mężem, czułym ojcem, dobrym panem i przyjemnym towarzyszem.

— Idealnym mężem? Czy pani żartuje, panno Christie? — zawołał urażony. — Czy dlatego, że przez troskliwość zapewne umieścił żonę w najgorszym, najbardziej wilgotnym pokoju i skazał na powolne konanie? Czy pani tego nie rozumie? Czy pani nie umie patrzeć? Nie widzi? A te kłamstwa, którymi z wyrafinowaną zręcznością pozoruje stan nieszczęśliwej?

— Kłamstwa? Cóż to znaczy? — przerwałam zdumiona.

— To znaczy, że świadomie i rozmyślnie okłamał panią od początku — rzekł bardzo poważnie pan Jerzy. — Kłamstwem jest wszystko, co mówił o umysłowej chorobie swej żony. Wyobrażał sobie, że niedoświadczona dziewczyna uwierzy w bajkę. Nie przyszło mu na myśl, że pani mi powtórzy wszystko...

— Nie powinnam tego robić — szepnęłam szczerze niezadowolona z siebie. — Ale pan także dopiero od trzech lat zna całą tę rodzinę

— dodałam z wahaniem — gdzież zatem źródło tych wszystkich podejrzeń?

— Instykt uczciwego człowieka — rzekł wzruszonym głosem. — I mógłbym przysiąc, że pobyt ich tutaj ma na celu uwolnienie się od żony w „delikatny” sposób. Wolniej to działa niż pospolita trucizna, ale równie skutecznie, a mniej niebezpiecznie.

— Jak pan śmie stawiać komuś podobne zarzuty?! — wybuchnęłam oburzona. — Zdaje się, że całą zbrodnią pana Rayneza jest nieutrzymywanie kontaktów towarzyskich z parafialnym sąsiedztwem — dodałam z goryczą. — To podobno jedyna plama na jego honorze. A może pan podziela zdanie okolicy, że gra na skrzypcach jest szatańską sztuką, a bywanie na wyścigach czynem niemoralnym, za który czeka wiekuista kara?!

— Wie pani dobrze, że tak nie myślę — szepnął pan Jerzy z pobladłą twarzą. — Od państwa Raynez mieszkam o pół mili i lepiej go poznałem przez trzy lata niż pani przez te kilka tygodni. Zresztą, proszę pamiętać, że jestem mężczyzną, a pani młodą, niewinną dziewczyną.

— Tak. Ale pan widuje go tylko z daleka, na obcym i niechętnym mu gruncie, ja zaś kilka razy w ciągu dnia, wśród rodziny. Gram z nim, odbywam przyjemne spacerki, prowadzę zajmujące rozmowy. Przyzna pan chyba, że mam o wiele więcej możliwości poznania charakteru tego człowieka niż każdy z dalszych znajomych.

Mój towarzysz poruszył się nerwowo, na czoło wystąpił mu silny rumieniec, potem zbladł nagle.

— Ma pani słuszność — powiedział ponuro. — Ja rzeczywiście nigdy z nim nie grałem i nie prowadziłem zajmujących rozmów. Ale też dla mnie nie stara się on być tak rozkoszny. Podobne szczęście spotyka tylko wybranych.

W ostatnich słowach brzmiało szyderstwo i wzgarda. Zadrżałam, gorąca krew uderzyła mi do twarzy. Chciałam odpowiedzieć, lecz usta nie mogły wydać głosu. Odwróciłam się i zaczęłam prędko uciekać z duszą pełną bólu i rozpaczki, a wielkie i ciężkie łzy płynęły mi z oczu. Krzywda! krzywda! brzmiało mi w duszy. Dlaczego mnie obraził? Nie uczyniłam mu przecież nic złego. O Boże! Boże! Jak okrutni są ludzie, jak niedobrzy!

Pan Reade dogonił mnie po chwili i zaczął gorąco przepraszać, ale zanadto byłam rozżalona, żebym go mogła słuchać.

— Niech pan nie odzywa się do mnie — szepnęłam. — Nie chcę o niczym wiedzieć! Proszę nie iść za mną!

Skreśliłam w najbliższą aleję, po drodze otarłam łzy i ze spokojną twarzą weszłam do jadalni. Przyniesione kwiaty tłumaczyły moją dostatecznie długą nieobecność. Moja chlebodawczyni powiedziała mi dosyć uprzejmie, że pani Manners prosi o odesłanie fantów przygotowanych na kiermasz urządzany corocznie staraniem miejscowej szkoły. Muszę je porozdzielać i zaopatrzyć w odpowiedni znak. Prosi także, żebym ja „była łaskawa zasiąść w jednym z namiotów, jako uprzejma kupcowa”. Liczy także na moją pomoc w opakowaniu rzeczy.

Ucieszyłam się. Zawsze to urozmaicenie.

Po kolacji zapragnęłam zajrzeć do mojej samotni. Chciałam zobaczyć czy woda tam już opadła, czy suchą nogą można dojść do wierzby. Zmierzch już zapadł i gęste mgły otulały drzewa, ale to nie było dla mnie przeszkodą. Włożyłam kalosze i pobiegłam w stronę mostu:

Z daleka dostrzegłam jakiś biały przedmiot. Przyspieszyłam kroku i za chwilę trzymałam w ręku prześliczny bukiet róż Gloire de Dijon. Do jednej z nich przyczepiona była niewielka karteczka. Tak. Te kwiaty na pewno przeznaczone były dla mnie. Ale kto je tutaj położył? Zamyślonym wzrokiem powiodłam wokoło: nie było nikogo. Drżącymi palcami rozwinęłam papier.

Skruszony i pokutujący grzesznik śmie złożyć u stóp panny Christie ten nieśmiały dowód czci i szacunku, przepraszając za słowa, którymi obraził ją ciężko, chociaż bez złej myśli i wbrew własnej woli — przeczytałam, a raczej odgadłam w ciemności.

— Ach! Więc to od niego! Od pana Jerzego! Gdybym się nie lękała nieproszonego świadka, przycisnęłabym do ust tę karteczkę, tak się czułam szczęśliwa. Ale tego nie uczyniłam. A nuż ktoś przygląda mi się spoza krzaków. Jakim sposobem odkrył to schronienie? Wsunęłam prędko papier do kieszeni i tuląc róże do piersi, pobiegłam z powrotem. Zamknęłam na klucz drzwi swego pokoju, zaciągnęłam zasłony i dopiero wtedy włożyłam kwiaty do najpiękniejszego wazonu, jaki stał na kominku.

A potem, spokojna, że nikt mnie nie widzi, ucałowałam jeszcze świeże płatki i małe czarne znaczki na papierze. Na noc włożyłam ten skarb pod poduszkę.

8

— Pobladła nam pani bardzo, droga panno Christie — odezwał się nagle pan Raynez, gdy wychodziłam z Haide na przechadzkę. — Trzeba się postarać o nowe rumieńce na policzkach. Przekonany jestem, że pani za wiele pracuje wieczorami.

— Ależ nie! — zaprzeczyłam żywo. — Robota moja postępuje bardzo wolno, od dwóch czy trzech dni nawet nie otworzyłam książki. Nie miałam ochoty.

Nie przyznałam mu się jednak, co spowodowało tę wstrzemięźliwość w pracy, bo prawdziwą przyczyną było dziwne jakieś osłabienie, pod wpływem którego nie mogłam nic napisać.

— Potrzebuje pani zmiany powietrza — rzekł stanowczo. — Przed tygodniem jeszcze nie byłem w stanie ofiarować pani tego, co dziś przyszło mi na myśl. Tylko czy... — dodał żartobliwie — czy nie weźmie mnie pani za czarno-

księżnika, jeśli sprawię tę zmianę pożądaną, ale nie oczekiwaną, bez narażenia pani na opuszczenie Alders? Niech pani tylko powie, że pozwala mi działać, a skinę różdżką i znajdzie się pani w swoim nowym królestwie.

Roześmiałam się wesoło z tego żartu i wyszłam z Haide do ogrodu.

Nazajutrz rano spotkałam na schodach obcego robotnika, a przy obiedzie pan Raynez spytał mnie z tajemniczą miną, czy widziałam opiekuna domu, który dla niepoznaki włożył roboczą bluzę. Owego opiekuna spotkałam jeszcze kilkakrotnie w ciągu następnych dni paru: raz w ogrodzie na niezbyt „duchowej” rozmowie z Jane, innym razem w korytarzu, niosącego, zdaje się, rolki papieru i arkusze blachy. Słyszałam też ciężkie uderzenia w wieżycze na najwyższym piętrze. Widocznie ma tu robotę. Wczoraj ze zdziwieniem zastałam go w moim pokoju, mierzył z uwagą łóżko. Potem już nie pokazał się więcej, tylko do moich uszu dochodziły bezustanne stapania po górze, kucie młotkiem, dźwięk żelastwa. Często widywałam wybiegającą Sarę albo Jane z za drzwi, które otworzono przy mnie po raz pierwszy. Jestem prawie pewna, że za nimi wiją się kręte schody prowadzące na wieżyczkę.

W parę dni później, przed samym wieczorem, gdy weszłam do swego pokoju, aby przebrać się do herbaty, zastałam wszystko porozrzucane, łóżko i większa część mebli znikła, a Jane z rozkosznym uśmiechem zbierała książki z półki i nie tylko nie była zmieszana, ale bawiło ją moje osłupienie.

— Co ty robisz, Jane? — zapytałam. — Nie będę przecież spała na podłodze! Gdzie moje rzeczy? Czemu ruszasz książki!?

— To nie moja wina, panienko — rzekła dziewczyna, wzruszając lekko ramionami. — Pan Raynez kazał.

Nic nie rozumiem. Przesunęłam dłonią po oczach: sen czy jawa, co to znaczy? Wtem w drzwiach stanęła Sara, ponura, z zaciętymi ustami i gniewnym wzrokiem.

— Co to ma znaczyć, Saro? — zapytałam, ruchem ręki wskazując na pokój.

— Pan Raynez rozkazał dla pani przygotować pokój w wieżycze — objaśniła mnie szorstkim, jakby pogardliwym tonem. — Niech pani teraz ubierze się jeszcze tutaj, a po herbacie wszystko będzie gotowe na górze.

Obie służące wyszły, a ja machinalnie zaczęłam rozpinać suknię. Przy stole ani słówkiem nie odezwałam się na ten temat, ponieważ nie wspominali o tym państwo Raynez. Dopiero wieczorem, kiedy zajęta tłumaczeniem siedziałam w szkolnym pokoju, drzwi otworzyły się głośno, i weszli uroczyście pan Raynez z żoną i Haide. Wzięli mnie między siebie i tryumfalnie poprowadzili do tajemni-

czych drzwi. Za nimi ukazały się wąskie, kręte schodki, na których od tak dawna pragnęłam być. Potem drogę zagrodziły nam białe podwoje. Gdy zatrzymaliśmy się przed nimi, pan Raynez wygłosił krótką, dowcipną przemowę o pięknej księżniczce, którą czarownica Sara więziła w samotnej wieży.

Gdy otworzył drzwi krzyknęłam zachwycona i olśniona. Stałam na progu wielkiego, ośmiobocznego pokoju. Z czterech weneckich okien rozciągał się rozległy widok na moczary, na jednej ścianie był śliczny kominek, w którym palił się trzaskający ogień. Podłoga zasłana miękkim, puszystym kobiercem, na ścianach wesołe obicia, dwa wygodne fotele, biureczko, japoński ekran, dawne moje mebelki i wielkie, białe lakierowane łóżko wysunięte na środek, nowe widocznie, gdyż tamto było wąskie i niewygodne — to było całe wyposażenie pokoju. Błyszczącymi oczyma ogarniałam te wszystkie piękności i nie umiałam się nimi nacieszyć. Nie mogłam mówić ze wzruszenia. Pan Raynez podszedł do mnie. Powiedział mi, że tutaj jest tak wysoko, że nie potrzebuję obawiać się wilgoci.

Powinnam więc prędko odzyskać rumieńce i dawną zdrową cerę. Wszystkie moje szafy kazał wyłożyć cynfolią. Powiedział mi też, że mogę palić, kiedy będę chciała.

— Nie wiem, co mam powiedzieć! Jak dziękować? — szepnęłam wzruszona. Po prostu oszołomiło mnie tyle dobroci i troskliwości.

Z serdecznym podziękowaniem zwróciłam się też do pani Raynez, ale ona skłoniła się tylko sztywno. Spojrzałam na nią uważnie i teraz spostrzegłam, jak ona jest mi niechętna. Niepotrzebnie mi to okazuje, bo przecież wiem, że te przenosiny nie nastąpiły z jej inicjatywy. Jednak jej zachowanie sprawiło mi przykrość. Pan Raynez wziął Haide za rączkę

i wyszedł, skłoniwszy się z uśmiechem. Matka mojej uczennicy zadrżała lekko i postąpiła naprzód kilka kroków. Patrzyła na mnie dziwnie swoimi smutnymi oczami.

— Czy pani nie będzie się bała spać na tym odludziu? — spytała szeptem. — Czy pani chce tu zostać?

Nerwowa nie jestem, ale przestraszyły mnie jej słowa.

— Wolałabym spać bliżej pozostałych domowników — odparłam szczerze, choć z wahaniem — ale... czy tu naprawdę jest coś, czego się można bać?

Nieokreślona trwoga błysnęła w przygasłym wzroku pani Raynez, rzuciła ku drzwiom szybkie, nieufne spojrzenie.

— Nie! Cóż znowu! Bać się! Życzę, żeby pani było tu wygodnie

— powiedziała swoim zwykłym, obojętnym tonem i opuściła pokój.

Co miały znaczyć jej poprzednie słowa? Czy rzeczywiście grozi mi tutaj jakieś niebezpieczeństwo? Dotychczas było mi wszystko jedno, gdzie miałam spać, a jednak... czemu doznałam takiego przykrego wrażenia? Zresztą, gdyby nawet złodzieje zakradli się do Alders, to nie będą szukali łupu na wieżycze, do której prowadzą takie ciemne, wąskie schodki? Swoją drogą wolałabym, żeby pani Raynez nie zadała mi tego pytania. Po głębszym namyśle wszystkie moje klejnoty, tj. złotą bransoletkę, dwie broszki i zegarek schowałam pod poduszkę. Potem odetchnęłam swobodnie; zanadto rada byłam ze ślicznego gniazdka, żeby kłopotać się urojonym strachem. Zaczęłam z ciekawością wszystko oglądać. Parawan składał się z kilku skrzydeł i doskonale zasłonił umywalnię i to wielkie łóżko. Zasunęłam parawan i usiadłam w fotelu przed kominkiem, rozkoszując się ciszą i spokojem. Minęła długa chwila, a ja nie miałam ochoty, ani siły ruszyć się z miejsca, tak było mi dobrze. Wtem usłyszałam na schodach kroki Sary. Wstrząsnął mną nieprzyjemny dreszcz. Myślałam, że mój pierwszy tu spędzony wieczór obejdzie się bez jej obecności. Przypomniałam sobie, w jaki niegrzeczny i ordynarny sposób, uprzedziła mnie ona o zamierzonej przeprowadzce.

Sara dorzuciła do kominka wilgotnego drzewa, które zdusiło płomień i paląc się wolno, wydzielało dużo dymu. Z pewnością zrobiła to umyślnie. Chciałam jednak być dobra dla niej i podziękowałam za trud przy przenoszeniu, ale odburknęła mi tylko niewyraźnie.

— Dziwi mnie bardzo, że taki piękny pokój stał dotąd bezużyteczny

— odezwał się. — Czy nikt dotąd go nie zajmował?

— Owszem. Pan Raynez miał tutaj pracownię — odparła szorstko.

— Nie wiem, dlaczego z niej zrezygnował, zdaje się, że za wysoko było dla niego.

— Czy daleko stąd do innych sypialni?

— Moja jest najbliżej, a sen mam lekki i słuch doskonały, nie ma się pani czego obawiać — rzekła szyderczym tonem.

— W burzliwą noc, ze świstem wichru i ogniem błyskawic będę tu strasznie samotna — szepnęłam drżącym głosem; nadal dziwną trwogą przejmowała mnie jej ponura twarz.

— Znajdzie się wtedy lepsze towarzystwo — rzuciła z cynicznym uśmiechem.

— Tak, rzeczywiście! — przerwałam wzburzona. — Rozbójnicy, złodzieje, opryszki, bo kogóż mogę spodziewać się więcej!

Nagle przeraziła mnie bladość jej twarzy.

— Złodzieje? Jacy złodzieje? — powtórzyła, dzwoniąc zębami ze strachu. — Co pani plecie?

Spojrzałam na nią ze zdziwieniem. A to niespodzianka! Nigdy nie sądziłam, że Sara może się lękać czegokolwiek. No, teraz jestem górą.

— Więc ja mam więcej odwagi od ciebie — rzekłam trochę złośliwie

— bo wcale nie obawiam się złodziei. Zresztą, gdyby nawet przyszli, to na dole z pewnością obłowiliby się dostatecznie. No, no, nie myślałam, żeś taka lękliwa.

Opanowała swoje zmieszanie i uśmiechnęła się bezmyślnie. Jej czarne, okrutne oczy były cały czas utkwione we mnie, jakby pragnęła czytać w mej duszy. Potem, zadowolona widocznie z rezultatu swego badania, powiedziała niegrzecznie dobranoc i wysunęła się z pokoju.

Dziwna myśl wtedy przyszła mi do głowy, że Sara i pani Raynez to są dwie najmniej sympatyczne kobiety, jakie spotkałam w życiu. I obie pod jednym dachem!

Dopalająca się świeca przypomniła mi, że czas najwyższy na spoczynek. Zrzuciłam prędko suknię i z przyjemnością wyciągnęłam się na wspaniałym łóżku. A potem? Nie przyśnili mi się ani złodzieje, ani opryszki, ani rozbójnicy, ale zupełnie ktoś inny...

Nazajutrz była niedziela. Podczas nabożeństwa w kościele powszechną uwagę zwracały dwie nieznanne panny. Jasnowłose, o wielkich szafirowych oczach zajmowały ławkę państwa Reade. Były bardzo niegustownie ubrane. Jedna była brzydka, i takie potrzebne na świecie, filozofowałam w duchu, druga za to przystojna, tylko szkaradnie uczesana: odczułam wielką radość, że jestem ładna. Między nimi siedział pan Jerzy i czytał modlitwy z jednej książeczki z tą ładną, a mnie — nie wiem dlaczego, sprawiło to dużą przykrość. Po nabożeństwie obie panny podeszły do jego siostr. Chwilkę rozmawiali, a potem ruszyli parami, pan Jerzy szedł razem z tą ładną.

Przypominam sobie, że gdy wracałyśmy z Haide do domu, gorąco dokuczyło mi więcej niż w lecie, żar lał się z nieba nielitościwie. Było duszno jak na pustyni, i nikt by się nie domyślił, że otaczają nas moczary. Okropny dzień.

Przy obiedzie pan Raynez zapytał mnie z uśmiechem, czy zauważyłam obce dziewczęta w kościele, zwłaszcza starszą. Gdy odpowiedziałam mu twierdząco, objaśnił mnie z bardzo subtelnym, spojrzeniem, które prawdopodobnie miało być dowcipne, że to przyszła żona pana Jerzego. Rzecz ułożona dawno między rodzi-

cami. Stanowili dla siebie doskonałe partie.

— Widziałem, jak jej asystował i jak się odłączyli od reszty rodziny. Para gołąbków — dodał, śmiejąc się filuternie i wesoło.

Męczyła mnie ta rozmowa, a pan Raynez po raz pierwszy wydał mi się mało dowcipny i nieprzyjemny.

Na drugi dzień pan Raynez zauważył, że jestem bardzo blada i obwieścił uroczyście przy wszystkich, że jeśli w ciągu dwóch dni nie będę zdrowa, to za karę nastąpi przeprowadzka na dawne mieszkanie. Nie wiem jak to się stało, ale po tym czasie zaczęłam wyglądać lepiej. Kiedy następnego ranka mijałam z Haide park Geldhamski, ujrzałam za ogrodzeniem pana Jerzego, jego siostry i owe dwie nieznajome. Grali z zapalem w tenisa. Nie spostrzegli nas z początku, ale gdy powtórnie odwróciłam głowę, moje spojrzenie skrzyżowało się ze spojrzeniem pana Reada. Prędko opuścił otaczające go panny, wytrząsnął liście z kapelusza, których mu nasypały swawolnice, i bez pożegnania zniknął w bocznej alei. Dziewczęta patrzyły na siebie zdumione, nie rozumiejąc tej nagłej ucieczki. Ich twarze miały wyraz tak komiczny, że wybuchnęłam pustym śmiechem.

Ujęłam rączkę Haide i szybko ruszyliśmy w dalszą drogę. Czekał nas jeszcze kawał drogi do przebycia, jej kres był w miasteczku. Pani Raynez dała mi długą listę sprawunków. Jej mąż uważa za ważny obowiązek obywatelski wspierać miejscowy handel kolonialny, co tydzień też robi się w miasteczku większe zakupy. Bawi mnie zawsze ten stary jegomość, który siedzi za kontuarem. Prawdziwy typ kupca; wszystko, począwszy od świec woskowych starożytnej formy do ciasteczek i motków bawełny, ma „zagraniczne”, w najlepszym gatunku. Już kilka minut stałam w sklepie, oczekując na właściciela. Bezmyślnie wodziłam wzrokiem po grubych zwojach świeżo nakrojonej słoniny, stosach haczyków, wędek i niezbyt apetycznych „leciwych” już ciastek, gdy drzwi skrzyknęły i w progu stanął pan Jerzy. Twarze nasze wyrażały tak komiczne zdumienie, że oboje parsknęliśmy śmiechem.

Po zapytaniu o zdrowie państwa Raynez i odpowiedzi z mojej strony nastąpiła przerwa. Zdawało mi się, że pan Reade oczekuje ode mnie, abym podtrzymała rozmowę, ale ja nie chciałam tego. On kręcił się po sklepie, wpakował laskę między sery, przewrócił słoik z tabaką, którą następnie zgarnął starannie nogą i wsypał wraz z kurzem z powrotem do słoja. Kupiec nie nadchodził.

— Musi być na obiedzie — rzekłam z rezygnacją — trzeba zaczekać.

Znałam pana Bowlesa i wiedziałam, że obiada długo. Pan Reade usiadł na kontuarze i zaczął szarpać słoninę jednym z zardzewiałych haków.

— Wygodne są te małe sklepy — powiedział wreszcie.

— O tak! — odrzekłam sucho — jeżeli ktoś nie dba o to, co kupuje, i jakie wszystko jest stare i stęchłe?

Zaśmiał się, ale mnie nie było wcale do śmiechu.

— Zaszedłem tutaj właśnie po... — tu rozejrzał się po sklepie, aż wzrok jego spoczął na stosie zakurzonych zabawek — po parę marmurów. Myślałem, że się przydadzą w szkole do nauki.

Pomyślałam, że lepiej by zrobił, wracając do tenisa i narzeczonej. Nie chcąc być z nim dłużej sam na sam skierowałam się do wyjścia, lecz zatrzymał mnie.

— Stary Bowles musi niedługo wrócić do swojej słoniny, jestem tego pewien — rzekł usprawiedliwiająco — a ja... ja chciałem zapytać, czy pani ma się trochę lepiej. Zeszłej niedzieli zdawało mi się, że pani wyglądała na bardzo chorą.

— Zeszłej niedzieli?

Przyszły mi na myśl nieznajome panny i odpowiedziałam pospiesznie:

— Nigdy w życiu nie czułam się lepiej, dziękuję panu. Jestem zupełnie zdrowa. Państwo Raynez umieścili mnie teraz w wieżyczce, z daleka od wilgoci. To było bardzo uprzejme z ich strony. Mam teraz najlepszy pokój w całym domu.

— Najlepszy pokój w domu? Ale pan Raynez wcale w tym domu nie sypia — powiedział cicho, ale z wielką stanowczością Jerzy.

Wstałam z krzesła i zwracając się do swej uczennicy, zagłębionej w jakąś starą historyjkę, którą znalazła w sklepie, rzekłam:

— Chodźmy, Haide!

— O nie, nie! Jest to zemsta niegodna pani. Nie kłóćmy się. Pan Raynez jest aniołem. Nie, nie to chciałem powiedzieć — zawołał, gdyż skierowałam się znowu ku wyjściu — ma swoje błędy, ale jest prawie możliwie bliski doskonałości. Więc teraz pani jest szczęśliwa w Alders?

— Tak, dziękuję panu.

— I nie ma pani żadnych przykrości?

— O tak, mam Sarę.

— Sarę? Jest to jedna ze służących, nieprawdaż? Olbrzymia, o złośliwym wyglądzie. Spotykam ją często na drodze do Beaconsburgh.

— Tak. Wychodzi ona, kiedy się jej podoba. Jest bardzo ważną osobą w domu, ma większe prawa niż pani Raynez.

— Och! więc to ona pani dokucza?

— Tak. Boję się jej. Ona mnie też nie lubi. Jeżeli powierzyłam jej kiedykolwiek jakieś listy do odniesienia na pocztę, na żaden nie otrzymałam odpowiedzi.

— Czy pan Raynez ją lubi?

— Lubi? Nie myślę, żeby ktokolwiek mógł Sarę lubić, z wyjątkiem chyba jej kawalera. Ale to się nie liczy. Jednak pan Raynez bardzo dba o nią.

— Więc jeżeli kawaler pannę lubi, to się nie liczy? .

— Naturalnie, Tom Parkes, niby jej narzeczony, widzi w niej wiele dobrego — odrzekłam, chcąc podtrzymać rozmowę na temat Sary.

— Dziwny to jest komplement dla kobiet, że ten, komu się podobają, musi być koniecznie łaskawie dla nich usposobiony.

— Pan Bowles musiał już skończyć! — zawołałam. Gwałtowne stukanie w kontuar sprowadziło go w końcu do sklepu. Tłumaczył się, że dopiero teraz usłyszał stukanie.

Byłam bardzo nierada, że w sklepie znalazło się prawie wszystko, czego potrzebowałam, ponieważ były tu rzeczy w najgorszym gatunku. Kiedy mnie obsługiwano, pan Reade znalazł sposobność, by szepnąć:

— Otrzymała pani moje kwiaty?

— Tak, dziękuję panu to było bardzo uprzejme, że pan je przysłał.

— Przyniósł — poprawił — i cóż pani z nimi zrobiła?

Znowu przyszła mi na myśl jasnowłosa obca dziewczyna i moje postanowienie, aby być ostrożną.

— Włożyłam je do wody, a gdy zwiędną, to je wyrzucę.

— Wyrzuci pani?

— Ależ naturalnie! Zwiędłych kwiatów się nie trzyma — odpowiedziałam spokojnie. Zrobiło mi się przykro, gdyż widziałam, że zraniły go moje słowa.

Nic więcej nie powiedział, wziął paczkę i wyszedł ze sklepu, żegnając mnie bardzo zimno. Wzięłam swoją paczkę i już wychodziłam, gdy Haide odezwała się nagle:

— Pani ma w ręku marmury pana Reada, a on wziął mamy wełnę i haczyki do firanek.

Nie zauważyłam tego.

Wyszłam za nim na ulicę. Był już dość daleko i musiałam biegnąć, aby go dogonić. Pośmialiśmy się trochę z kłopotu, jaki sprawiłaby zamiana sprawunków. Wyobraziłam sobie, jakby wyglądał pan Jerzy, wyjmując kłębek bawełny i haczyki do firanek, rezultat wyprawy do miasta, ja, wyjmująca z woreczka marmury dla pani Raynez. Miałam wyrzuty sumienia, że byłam dla niego niemila. Czerwieniąc się, powiedziałam:

— Zatrzymałam jedną z róż, panie Reade, tę, w której był bilecik.

Następnie szybko pobiegłam za Haide, nie oglądając się za siebie. Czy był zaręczony czy nie, nie miałam prawa być niewdzięczna za te piękne kwiaty.

Rada byłam, że Haide nie należy do tych paplących dziewcząt, które o wszystkim opowiadają przy stole.

9

Okrutne i straszne słowa, wypowiedane przez pana Reada o moim chlebowodawcy nie zachwiały mojej wiary w szlachetność i dobroć właściciela Alders, lecz czułam się zaniepokojona, iż muszę dowodzić sama sobie, że zarzuty są bezpodstawne. Przypuszczenie pana Reada, że pan Raynez pozwala swojej rodzinie sypiać w wilgotnym domu, a sam spędza noce gdzie indziej była niedorzeczne. Bo gdzie mógłby on spać, aby nikt w domu o tym nie wiedział? Często słyszałam jego głos i kroki koło domu do późnej nocy.

On też był prawie zawsze pierwszy w jadalni na śniadaniu i nawet w najbardziej dżdżysty poranek nie wyglądało, że musiał być już na dworze.

Często mi się zdarzało, że gdy długo a bezowocnie męczyłam się nad rozwiązaniem jakiejś zagadki, prosty przypadek pozwalał odkryć mi to, co chciałam wiedzieć. Tak np. nazajutrz po rozmowie w sklepie z panem Readem, gdy zabrałam Haide, nie usposobioną jakoś tego dnia do rozrywki pozalekcyjnej, ta zagadnęła:

— Czy pani nigdy nie miewa strasznych snów, które by się sprawdzały?

— Nie, najdroższa, sny są tylko fantazją i nigdy się nie sprawdzają, chyba przypadkowo.

Powiedziałam tak, ponieważ uważałam, że innej odpowiedzi nie należy udzielić dziecku, chociaż sama trochę w sny wierzę.

— Ale mój się sprawdził — ciągnęła Haide poważnie. — Opowiem pani jeden, jaki miałam przed dwoma dniami, jeżeli się pani nachyli i pozwoli mi mówić szeptem. Mamie nie mogę opowiedzieć, gdyż nigdy mi na to nie pozwala i mówi, że nie powinnam rozpowiadać o tym, co widzę. Ale pani mogę opowiedzieć, pani tego nikomu nie powtórzy, prawda?

— Nie, drogie dziecko, nie powtórzę — rzekłam sądząc, że lepiej pozwolić dziecku wywnętrzyć się niżby miało rozmyślać nad swoimi przywidzeniami, do czego nieśmiała dziewczynka miała i tak skłonność.

Haide przyłożyła rączkę do mej twarzy i nachylając mą głowę do swojej, wyszeptała:

— Pamięta pani ten dzień, kiedy odbyły się przenosiny do nowego pani pokoiku w wieżyczce?

— Tak, kochanie, pamiętam.

— Cicho! Trzeba szeptem — wybąkała. — Więc tego wieczora Jane położyła mnie spać o zwykłej porze w moim małym pokoiku. Zaczęłam zasypiać. Naraz śni mi się, że słyszę mamę krzyczącą i płaczącą, a tatko przemawiał do niej, ale tak inaczej, zupełnie inaczej niż zwykle. To mnie przeraziło. Myślałam, że to było naprawdę i próbowałam wyjść z łóżeczka, ale byłam bardzo śpiąca, zresztą sen jakoś się urwał. Dopiero gdy się obudziłam, przypomniałam sobie o nim. Nikomu jednak nic nie powiedziałam. Następnej nocy obawiałam się, że mi się to znowu przyśni. Nie chciałam puścić Jane od siebie. Ale gdy jej powiedziałam, że to z powodu snu, ona odrzekła, że sny są bzdurą i głupstwem, że musi iść zjeść kolację

i położyć się spać. Gdy poszła, ja zaczęłam usypiać. Ale zaraz się obudziłam, gdyż usłyszałam płacz mamy. Myślałam, że to znowu mój sen, więc uderzyłam głową o kratę łóżeczka, żeby się przekonać, że nie śpię. Potem wyszłam z łóżka, cichutko zbliżyłam się do drzwi i zajrzałam do pokoju mamy przez dziurkę od klucza, bo widziałam tam światło. Kiedy się tam pali światło, widzę bardzo dobrze, co się dzieje, mogę widzieć i łóżko, i mamę na nim. Ale teraz nie była sama. Widziałam rękę tatki, trzymającą świecę. Mówił do mamy takim cichym, dziwnym głosem. Mama płakała i odpowiadała jakoś dziwnie i tak strasznie, że się przelekłam. Kiedy mama tak się odzywa, to ja się bardzo boję, bo zdaje mi się, że to nie może być mama. Potem zobaczyłam, jak tatko położył jej coś na twarzy, a mama wołała: „Nie rób tego, nie rób, nie trzeba!” Jęknęła parę razy i uspokoiła się zupełnie. Słyszałam, jak tatko zaraz potem wyszedł z pokoju, więc zaczęłam wołać: Mamo, mamo — ale ona nie odpowiadała. Byłam taka przelekniona, myślałam, że mama umarła. Ale usłyszałam jej westchnienie, więc poszłam do swego łóżeczka.

— Czy bałaś się wejść do pokoju mamy, kochanie?

— Nie mogłam, bo drzwi były zamknięte. Tak jest zawsze, nie wie pani? Ja nigdy nie wchodzę do pokoju mamy. Raz to zrobiłam, to mi powiedziała,

— tu cichy szept dziecka stał się jeszcze cichszym, a małe usta przysunęły się jeszcze bliżej mego ucha — żebym nikomu nie mówiła o tym, co zobaczyłam. Musiałam jej to obiecać, więc nie mogę nawet pani, droga panno Christie, tego powiedzieć. Nie powinnam, kiedy obiecałam, prawda?

— Nie, drogie dziecko, nie powinnaś — odrzekłam, ale dałabym cały świat, aby wiedzieć, co dziecko zobaczyło w tym tajemniczym pokoju.

Dziwna historia Haide obudziła w moim umyśle wszystkie dawne uczucia obawy przed tajemnicami wiszącymi nad tym domem wśród moczarów. Zamykanie drzwi matki przed własnym dzieckiem, jej dziwne, straszne rozmowy i płacz, to „coś na twarz położone”, czym mąż uspokoił żonę, i odkrycie, że istotnie pan domu nie sypia w tym samym pokoju, wszystko to złączyło się w moim umyśle. Przypomniała mi się długa rozmowa, jaką miałam z panem Raynezem w pokoju szkolnym wkrótce po moim przybyciu do Alders, historia o śmierci jego syna, zmiana w zachowaniu żony, jej wybuchy, które go niepokoją.

Zrozumiałam dopiero teraz, że obawiał się o umysł żony. Nie zauważywszy nigdy wielkiej zmiany w jej zimnym, bezdusznym zachowaniu i nie widując jej prawie nigdy jak tylko przy stole, zapomniałam o wszystkich strachach, ojej możliwej chorobie umysłowej, gdyż pani Raynez odgrywała tu rolę bardzo drugorzędnej osoby. Teraz dopiero historia Haide kazała mi się zastanowić, czy nie ma w tym jakiejś tajemnicy, której nie znam, czy pan Raynez, taki swobodny, wesoły, zawsze niby w dobrym humorze w rzeczywistości nie upada pod ciężarem bycia z żoną, której posępne milczenie może w każdej chwili przejść w dziką nieprzytomność. Jak musi mu być ciężko znosić dzikie żale i płacz żony, które próbuje uspokajać perswazją (wszak Haide mówiła, że drugiej nocy, gdy była całkiem przytomna, słyszała jego bardzo cichy głos), a gdy ta nie odnosi skutku, musi je pokonywać środkami uspokajającymi.

Nagle przyszło mi na myśl przypuszczenie, które mogło w znacznej mierze wytłumaczyć stanowisko Sary w tym domu. Być może jest ona wierną i odpowiedzialną dozorczynią pani Raynez w czasie nieobecności męża. Wiedziałam już, że stosunki pomiędzy panią a służącą nie były przyjazne. Chociaż ta ostatnia traktowała swą panią ze wszelkimi zewnętrznymi oznakami szacunku, trudno było nie zauważyć, że Sara nienawidziła swojej pani. Zaś wzrok tej ostatniej zdradzał odrazę i trwogę, gdy patrzyła na Sarę. Nie mogłam zrozumieć, jak może pani domu znosić osobę, do której czuje wstręt. Że pan Raynez starał się o uniknięcie skandalu z posiadania żony wariatki i dlatego trzymał to w tajemnicy, było jasne choćby z tego faktu, że nawet pan Jerzy nie przypuszczał istnienia takiego

stanu rzeczy, jakkolwiek bardzo się interesował sprawami Alders. Stąd samotne życie pani Raynez było przypisywane kapryswi męża (plotki wiejskie używały nawet dobitniejszego wyrażenia), gdy tymczasem ten nieszczęśliwy człowiek nie był tyranem, lecz ofiarą.

Inne wyjaśnienie tego, co widziała Haide, byłoby takie, że pan Raynez, uprzejmy i słodki dla wszystkich, dla żony jest tylko pozornie dobry i troskliwy.

Pierwsze wyjaśnienie wydało mi się bardziej prawdopodobne. Już przyzwyczaiłam się do apatycznego usposobienia pani domu i tych zapatrzonych w dal oczu, w których widywałam błyski strachu, złości, podejrzenia. Nie zdziwiłabym się bardzo, dowiedziawszy się o pogorszeniu jej stanu zdrowia. Myśl, że ta nieszczęśliwa istota nie mogła być w pełni odpowiedzialna za swe słowa i czyny, pozwalała mi wybaczyć jej zimne obejście się ze mną i zazdrość z powodu wzrastającego przywiązania do mnie Haide. Ale najwięcej współczucia miałam nie dla półprzytomnej pani Raynez i jej nieszczęśliwego małżonka, ale dla dziecka, świadka wybuchów matki, jej słów bez związku, płaczu i tajemniczego, ukrytego przed wzrokiem ludzi uspokajania matki przez ojca.

Dziwiłam się, że ataki zdarzały się tylko w nocy, ale wnet przypomniałam sobie dzień, w którym czytałam jej Adama Bede w salonie. Była dziwnie podniecona, na pozór bez żadnej przyczyny. Uspokoila się dopiero po wejściu męża. Zresztą, skąd ja mogę wiedzieć, czy się uspokoiła. Poszli zaraz razem do jej sypialni.

Zaufanie dziecka do mnie zaowocowało zwiększeniem mojej miłości. Poświęcałam małej więcej uwagi. Stałyśmy się prawie nierozłączne nie tylko w czasie lekcji. Ośmielałam ją i wkrótce przyzwyczaiła się opowiadać mi, słuchałam czy nie, drobne historyjki nie mające początku ani końca, które są pociechą dzieci pozbawionych towarzystwa rówieśników.

Pewnego dnia, kiedy zajęta byłam robotą, a ona siedziała na podnóżku przy mnie, trzymając w ręku dwie czy trzy gałązki z żółędziami, które uosabiały pewne osobistości z jej opowiadania, moją uwagę przykuły następujące słowa:

— *I wtedy książę powiedział do księżniczki Christie* (bohaterka historyjki nazywała się tak jak ja, najwidoczniej dla zrobienia mi przyjemności): *przyniosłem ci nieco klejnotów, o wiele piękniejszych od twoich.* — *Ale księżniczka Christie płakała i mówiła: Ja ich nie chcę. Skąd je wzięłeś? Już wiem, skąd je masz. Jesteś brzydki, niegrzeczny książę, a ja nie chcę nosić żadnych więcej klejnotów.*

Pomyślałam wtedy o tym, co mi powiedział pan Raynez o żonie, gdy wróciła

z balu i dowiedziała się o śmierci synka, o jej postanowieniu, że nigdy już żadnych kosztowności nosić nie będzie. Ale Haide musiała być wtedy bardzo malutka i jej opowiadanie nie mogło mieć z tym jakiegokolwiek związku. Inne szczegóły opowiadanej bajeczki były łatwiejsze do wytłumaczenia:

— *A książkę Caramel powiedział: bardzo dobrzej ci przyślę za to więcej róż, jeżeli ich już nie będziesz wyrzucać przez okno, i trochę marmurów. Tylko nie wolno ci płakać, pamiętaj. Nie chcę mieć księżniczki płaczącej. Nie mogę patrzeć na ciebie w kościele, gdy jesteś zapłakana. Jeżeli nie będziesz płakać, to ci pozwolę zjeść trochę szynki i masła i przejechać na koniu rzeźnika po dziedzińcu. A potem wsadzę cię do czarodziejskiego czółna i uciekniemy razem, polecimy prosto ponad drzewami i nad bagnem, ominiemy pana Boggett, popłyniemy prosto w chmury i będziemy mieszkali w gniazdku jaskółki. I nigdy więcej nie będziesz odrabiała żadnych lekcji* — ciągnęło dziecko.

Pomyślałam, że ponura dziewczynka słyszała i widziała o wiele więcej, niż mogłam przypuszczać, i poplątała rzeczywistość z fantazją.

Czasem dziewczynka prosiła: — Zaśpiewajmy razem. — Wtedy śpiewałam jej jakąś balladę. Pewnego razu, gdy tak sobie śpiewaliśmy, siedząc przy otwartym oknie, w ogrodzie zjawił się pan Raynez.

— Dalej, bardzo proszę, dalej! Słucham tego koncertu już od dłuższego czasu, jest tak piękny jak śpiew ptasząt.

Ale nie śpiewaliśmy więcej przed takim wymagającym słuchaczem. Wtedy pan Raynez zaczął żartować, że nabył bilet na to przedstawienie i nie możemy go pozbawić wysłuchania koncertu do końca. Po czym bardziej serio powiedział, że mam głos bardzo ładny i że powinnam czasami zlitować się nad nimi i rozprasać wieczorami ich nudę, grając i śpiewając.

— Czy pani nie próbowała nigdy muzyki świeckiej przy akompaniamencie skrzypiec, panno Christie? Zdaje mi się, że panią to przeraża? Muzyka kościelna jest powolna i pani nie może czytać nut dość prędko, nieprawdaż?

Próbował podrażnić moją próżność, ale roześmiałam się tylko. Powiedziałam, że jestem gotowa mu pomagać, choćby niedołącznie w muzyce, jeżeli tylko nie będzie zbyt trudna.

— Ja wiem, że to bardzo brzydko z naszej strony zabierać pani czas po herbatce, który — według umowy — należy wyłącznie do niej. Lecz będzie to rzeczywiście uczynek miłosierny, jeśli pani czasami przyjdzie i pozwoli nudzić się skrzypcom i naszą nieciekawą pogawędką. Cóż pani sama porabia w swojej wieży jeśli wolno zapytać? Czy systematycznie obserwuje pani gwiazdy i księżyc?

Myślę, że pani jest z nimi w bliskiej komitywie. A może pani podgląda ptaki na najwyższych gałęziach i rozmawia z nimi?

— Nie mam tak fantastycznych upodobań — odpowiedziałam wesoło

— po prostu odrabiam swoje zadania, czytam czasem coś pożytecznego, lub siedzę w jednym z foteli, rozmyślam i bawię się własnymi myślami.

— Więc dobrze. Nie możemy pozwolić, aby pani sama się bawiła, podczas gdy my nudzimy się tu na dole śmiertelnie. Tak więc dzisiaj wieczorem będzie pani łaskawa zejść do nas do salonu.

Zaraz po herbacie pan Raynez przyniósł swoje skrzypce, a ja usiadłam do fortepianu. Graliśmy naprzód kilka popularnych niemieckich piosenek, a potem różne melodie: miłosne, patetyczne, dramatyczne i namiętne, ze starych oper, którymi od wieków zachwycała się Europa: z *Hugonotów*, *Trawiały*, *Rigoletta*, to znowu wdzięczne melodie Balfe'a: *Róża z zamczyska* i *Czeska dziewczyna*. Pan Raynez grał z wielkim ogniem, z entuzjazmem, a ja starałam się mu dorównać. Jak potem to oznajmił, akompaniowałam mu jak nikt dotąd.

Tak byliśmy zajęci muzyką, że nikt z nas nie zauważył, kiedy wszedł doktor Meitlind, stary dżentelmen, o którym pan Raynez mówił, że spoczywa na laurach.

Był naszym najbliższym sąsiadem i często przychodził wieczorami na szachy. Słuchał dzisiaj muzyki z ogromnym zdziwieniem, zwłaszcza gdy zauważył, że czytam nuty i dowiedział się, że dopiero drugi raz akompaniuję mojemu panu. Był zachwycony.

— Na miłość Boską! Nigdy bym w to nie uwierzył. Zdajecie się oboje mieć jedną duszę! — wołał z komicznym zapałem.

Pan Raynez dziwnie się do mnie uśmiechnął, gdy doktor wygłosił swoje uwagi, ja też byłam bardzo ubawiona całym tym epizodem i oceną naszej sztuki przez niemuzykalnego słuchacza. Kiedy skończyliśmy grać pan Raynez, kładąc skrzypce do futerału, zauważył, że jeden jego róg jest zawilgocony.

— Na to nigdy nie pozwolę — zawołał z taką czułością, jakby ujrzął niebezpieczeństwo grożące najlepszemu przyjacielowi. — Lepiej chyba trzymać skrzypce pod gołym niebem niż w tej wilgotnej jaskini — ciągnął dalej zirytowany (muzyka zawsze wprowadzała go w stan podniecenia).

— Hej, Saro! — zawołał, zwracając się do kobiety, która właśnie stawiała świece — weź to do mego pokoju, tylko bardzo ostrożnie.

A więc „jego pokój” nie jest wilgotny, pomyślałam, inaczej nie uważałby go za bezpieczne schronienie dla drogocennych skrzypiec. Powiedziałam dobranoc i

byłam już w korytarzu, gdy zobaczyłam Sarę ze skrzypcami, znikającą w głębi pasażu po prawej stronie klatki schodowej, która prowadziła do gabinetu. Skrzydło domu, gdzie znajdował się pokój pani Raynez, znajdował się na lewo od klatki schodowej. Czyżby pan Raynez sypiał w gabinecie? Było mi strasznie przykro, że nie mogłam zaspokoić swojej ciekawości. Znałam już wszystkie pokoje na pierwszym piętrze. Z wyjątkiem dziecinnego, gdzie sypiała Mona i Jane, pokoju kucharki i Sary oraz mego dawnego, wszystkie wyglądały jakby dawno już nie były zamieszkane. Trzeba było jednak iść na górę zamiast rozważać w sieni nad zagadką, która mnie tak zajęła. Ale gdy doszłam do początku schodów prowadzących na moją wieżyczkę, które znajdowały się zaledwie o kilka kroków od schodów kuchennych, usłyszałam szybki krok Sary w niżej leżącym korytarzu. Postawiwszy świecę na podłodze zbliżyłam się do poręczy i spojrzałam w dół. Zobaczyłam Sarę, walącą gwałtownie rękami w futerał od skrzypiec, jakby to była rzecz znienawidzona. Potem wyjęła z kieszeni klucz i otworzyła drzwi, znajdujące się przy schodach. A więc tam był pokój pana Rayneza! Ale gdy drzwi się otworzyły i Sara prześlizgnęła się przez nie, wyjmując klucz i zakładając go z drugiej strony, by znowu zamknąć je za sobą, zauważyłam, że nie prowadzą one do żadnego pokoju, ale do ogrodu.

Więc przypuszczenie pana Jerzego było słuszne. Lecz nadal nie wiedziałam, gdzie pan Raynez sypia.

10

Nikt inny tylko diabełkowate bobo, Mona, naprowadziła mnie na ślad tajemniczego pokoju pana Rayneza. To zaniedbane stworzonko korzystało z dużej swobody, wałęsało się po całym domu i ogrodzie. Nie było na nią żadnego sposobu. Nieraz Sara lub Jane próbowały mimo rozdzierających jej krzyków, zamknąć ją w pustej sypialni aby goście nie widzieli jej umorusanej twarzy i zabłoconego fartuszka. Lecz najczęściej nikt Mony nie widział, zapominano o niej i zostawiano jej zupełną swobodę; pozwalano rozmawiać samej z sobą, zabierać kamyki, ślimaki i tym podobne rzeczy. Zjawiała się sama na posiłku.

Nazajutrz po seansie muzycznym było bardzo dżdżysto. Gdy wyrzałam

oknem podczas lekcji z Haide, spostrzegłam jej malutką siostrzyczkę kroczącą w zamyśleniu i bez kapelusza w dużym deszczu. Zerwałam się z krzesła i zawołałam na nią, lecz Mona nie zwracała na mnie uwagi. Pobiełam więc po parasol i udałam się w pogoń za zbiegiem. Po niedługim szukaniu dostrzegłam ją między drzewami na bocznej ścieżce prowadzącej ku stajniom. Udałam się za nią, nie nawołując już więcej, aby zagniewana pogonią nie schroniła się gdzie w krzakach, narażając i mnie, i siebie na przemoknięcie.

Stajnie zbudowane były o wiele wyżej niż sam dom, na pagórku, tuż przy drodze. Nigdy dotąd nie byłam w tej stronie domostwa. Postępując za Moną przy samych ścianach zabudowań, zauważyłam nagle, że zaczęła ona bardzo dziwnie podskakiwać, pokazywać język i wykrzywiać się z jakąś wściekłością ku dwóm oknom na pierwszym piętrze, rzucała w nie kamykami i kawałkami drzewa, które nazbierała, błocąc się niewymownie. Chwyciłam ją na ręce tak niespodziewanie, że z początku ze zdziwienia nie krzyczała nawet, lecz zaledwie zawróciłam, by ją zanieść ku domowi, odzyskała głos i napełniła ogród iście diabelskim wrzaskiem. Próbowałam przemówić do niej, uspokoić, wytłumaczyć, ale bezskutecznie. Nagle jedno z górnych okien otworzyło się cicho i ukazał się w nim pan Raynez.

— A tam co nowego? O co chodzi? Porywa pani dzieci, panno Christie?

— Ależ skąd! Mona nie może siedzieć na deszczu w błocie i bez kapelusza, to przecież może jej bardzo zaszkodzić.

— Mniejsza o nią! Jej, zdaje się, nic nie zaszkodzi. Przypuszczam, że jest w połowie żabą — odrzekł dość chłodno.

Dziecko było zbyt małe, aby mogło zrozumieć, że niedobrze jest nie kochać ojca, ale on powinien wiedzieć, że ojciec źle robi, nie kochając dziecka.

— Przemoczy pani nogi, moje drogie dziecko! — odezwał się zupełnie innym tonem. — Niech pani wstąpi do mnie i usiądzie przy ogniu, zanim przyniosą jej kalosze. Nigdy pani nie widziała jeszcze mojej pracowni. Pół życia tu spędzam, malując i paląc, gdy jest mokro. W rękę trzymał paletę, a w ustach fajeczkę.—A może pani nie znosi zapachu terpentyny lub tytoniu?

— Teraz przyjść nie mogę, dziękuję panu. Mam lekcje z Haide.

— Szczęśliwa Haide! Pragnąłbym być również młodym i mieć lekcję!

Zbyt długo już wychylał się przez okno pomimo deszczu, a ja miałam na ręku swój krzyczący ciężar, toteż zawróciłam ku domowi.

Więc tu była jego pracownia. Tu Sara zaniosiła skrzypce. Nigdy dotąd nie słyszałam o żadnej jego pracowni. Wiedziałam jednak, że pan Raynez bardzo dbał o

swoje stajnie i mogłam przypuszczać że ten pokój na pierwszym piętrze o dwu oknach, z kominkiem, musi być bardzo ładny, suchy, ciepły i widny. Czyżby tu sypiał pan Raynez? Nie! Zapraszał mnie przecież do oglądnięcia pracowni. Nie chciałam dopuścić do siebie myśli, że mógł tu urządzić sobie ciepłe gniazdko, podczas gdy jego rodzina mieszkała w wilgotnych oparach u podnóża pagórka. To jest niepodobne do pana Rayneza — pomyślałam, przypominając sobie wszystkie jego trudy związane z urządzaniem ładnego pokoiku dla mnie, która byłam w tym domu tylko nauczycielką. A jednak pragnęłabym bardzo mieć pewność, że oskarżenia pana Jerzego są niesłuszne.

Tego wieczoru pragnęłam zbadać, czy pan Raynez rzeczywiście sypia poza domem. Pozostawiłam drzwi swojej sypialni oraz te, które znajdowały się u dołu schodów otwarte. Nadśluchiwałam odgłosu kroków na parterze i klucza w drzwiach ogrodowych, którymi Sara wyniosła wtedy skrzypce. Lecz nic nie usłyszałam, choć czuwałam długo, do czasu, kiedy wszyscy domownicy udali się już na spoczynek. Nie usłyszałam nic. Uczułam wtedy taką ulgę, jak gdyby rodzony mój ojciec dowiódł swej niewinności wobec zarzuconego mu podłego czynu.

Następnej nocy wiał silny wiatr, który trząsał drzewami i gwizdał dookoła mojej wieżyczki. Drzwi wyjściowe, zawsze przychepione haczykiem do ściany, okropnie skrzypiały w zawiasach. Nie mogłam tego dłużej słuchać. Wiedziałam, że wszyscy domownicy już muszą spać, zeszałam na dół jak najciszej, a gdy doszłam do schodów kuchennych i owych skrzypiących drzwi, zauważyłam nagle małe światełko zbliżające się dolnym korytarzem w moim kierunku. Żadnego szmeru jednak słyhać nie było. Cofnęłam się szybko, tak szybko, że świeca mi zgasła, a potem stałam z bijącym sercem, myśląc o tym, kto to mógł być. Nie śmiałam się poruszyć. Światełko zbliżało się bardzo szybko i gdy zrównało się ze spodem schodów znajdujących się pode mną zauważyłam, że jest to ślepa latarka. Rozpoznałam też osobę, która ją niosła. Czyżby pan Raynez, bo to był on, szedł na górę? On mnie nie widział. Włożył klucz w zamek, obrócił nim, wyjął, przeszedł przez drzwi i zamknął je za sobą tak szybko i bez hałasu, że w chwilę później mogłam pomyśleć, iż mi się to wszystko przywidziało.

Trzęsącymi się rękami zamknęłam drzwi i wróciłam do pokoju. Było mi smutno, że oskarżenie pana Reade'a było słuszne, teraz nie mogłam mieć żadnej wątpliwości, że pan Raynez sypia nad stajniami.

Gdy obudziłam się nazajutrz w jasny poranek i ujrzałam złote słońko, zapomniałam o nieprzyjemnych wrażeniach ostatniej nocy. A gdy pan Raynez po obiedzie przyniósł do salonu teczkę pełną szkiców i studiów zachwyciłam się ich

dużą wartością (znam się trochę na malarstwie, gdyż ojciec mu się poświęcał). Doszłam do wniosku, że nie moja to rzecz sądzić czyny tego człowieka, że muszą być poważne powody, których nie znam, a które zmuszają go do sypiania poza domem. Zaproponował, że chce mnie malować. Pozowałam mu jeszcze tego samego popołudnia w jadalni, której okna wychodziły na północ. Po jakimś czasie oznajmił, że portret musi skończyć w swojej pracowni. Kiedy zaprotestowałam mówiąc, że nie mogę opuszczać lekcji, odpowiedział, że cała rodzina uda się tam jutro rano ze mną.

Następnego dnia, o godzinie jedenastej, państwo Raynez przyszli do szkolnego pokoju. Pani miała zwykły wyraz twarzy, który zdawał się mówić, że robi wszystko wbrew swojej woli. Razem szliśmy ku stajniom. Pracownia, wielki pokój znajdujący się nad wozownią, wyglądała o wiele lepiej niż oczekiwałam. Podłoga froterowana, na niej dwa piękne kilimki, bardzo ładna skóra tygrysa i jeszcze ładniejsza skóra lwa wraz z łbem, przy której Haide natychmiast się usadowiła, położyła go sobie na kolanach i zabawiała się „karmieniem” przez cały czas naszego tam pobytu. W rogu pokoju był parawan, za którym, jak łatwo było odgadnąć, musiał pan Raynez sypiać.

W pięknym kominku palił się wesoło ogień. Fotele były wygodne, nieco zniszczone od ciągłego używania, lecz jeszcze wspaniałe. Na ścianach wisiały obrazy. Stała też wielka, oszklona ciemnodębowa szafa, napełniona ciekawymi i pięknymi przedmiotami i biurko. W całym pokoju panował malowniczy nieład, który tworzyły porozstawiane, na wpół skończone szkice. Koniec końców, pokój ten sprawiał wrażenie o wiele przyjemniejsze niż posępny salon państwa Raynez. Zapewne pani Raynez to samo pomyślała, gdyż patrzyła na gabinet spojrzeniem pełnym ciekawości i podziwu, jak gdyby nigdy przedtem tu nie była. Usiadła i po chwili wyjęła swą robótkę szydełkową i w milczeniu zajęła się nią całkowicie.

Rozpoczęło się pozowanie. Usiadłam tak jak wczoraj, z głową zwróconą na bok. Rękami podpierałam podbródek. Podczas pracy pan Raynez rozmawiał swobodnie.

— Podobają się pani moje szkice z Hiszpanii, panno Christie?

— Tak. Tylko — według mnie — zbyt wiele na nich czarnych sukien księży.

— O bezbożna istoto! Te czarne plamy są właśnie potrzebne na gorącym, słonecznym kolorycie, aby złagodzić jednostajność jasnych, żywych barw pleneru. Musi pani pogodzić się z nimi z punktu widzenia artystki.

— Niech i tak będzie. Ale z żadnego innego. Wszyscy ci księża mają miny Jezuitów.

— Nie wiedziałem, że pani jest takim wrogiem Jezuitów. Ja mam dla nich dużo sympatii i uznania.

— Pan tego nie mówi na serio.

— Dlaczegoż by nie?

— Bo są to ludzie, którzy działają podstępem, pozwalając sobie na wiele dla uzyskania zamierzonego celu. Robią to rękoma innych, którzy są biednymi narzędziami.

' — Ależ „biedne narzędzia” nie są zdatne do czego innego. Śmiały, rozumny umysł zawsze jest kierownikiem, który potrzebuje biernych wykonawców. On dźwiga na sobie ciężar odpowiedzialności stokroć większej i poważniejszej. Wielu z nich cierpiało prześladowanie i męczeństwo. Nikt nie potrafi odnosić zwycięstwa przy pomocy jedynie własnych pięści. Każdy człowiek, mający przed sobą jasno wytkniętą drogę, jest potężnym i rozumnym Jezuitą.

— Niech i tak będzie, ale ja wolę biedaków, którzy nie dążą do celu za wszelką cenę i w trudnej walce poprzestają wyłącznie na swojej pięści

— odrzekłam stanowczo.

Pan Raynez spojrział na mnie z pobłażliwym uśmiechem.

— Większość kobiet to lubi — powiedział sucho i jakby z litością.

Poczułam się urażona, myślę, że tak samo odczułaby jego słowa każda młoda dziewczyna na moim miejscu, będąc zaliczona do „większości kobiet”. Nic jednak nie odpowiedziałam, tylko zacisnęłam usta. Przelotnie spojrzałam na panią Raynez. Była blada i z wielką uwagą przysłuchiwała się tej rozmowie, zdziwiona moją stanowczością.

Po dwugodzinnej pracy pan Raynez pozwolił nam obejrzeć szkic, który przedstawiał bardzo miłą dziewczynę o wielkich ciemnych oczach, nieco większych od moich, purpurowych ustach nieco mniejszych, zębach bielszych. Ciemne włosy, wysoko zwinięte w duży węzeł, były bardziej błyszczące i gładziej niż moje kiedykolwiek. Było w tym szkicu podobieństwo do mojej osoby, uczułam się jednak dotknięta, gdy pani Raynez zdobyła się na odwagę i powiedziała, że jestem pochlebiona, choć czułam, że jej określenie jest najzupełniej słuszne. Pan Raynez odpowiedział natychmiast, że malując portret pięknej kobiety, niepodobieństwem jest pochlebić. Wtedy pani Raynez wzruszyła lekko ramionami i skierowała się ku drzwiom. Haide powstała także, by iść za nią, lecz zatrzymała się w progu, by jeszcze objąć głowę lwa czułym spojrzeniem i poszukać mojej osoby.

— Pani jest wybornym modelem, umie pani siedzieć tak spokojnie. Malować

panią to wielka przyjemność — rzekł pan Raynez powoli i stanowczo, nie patrząc na mnie zupełnie i czyniąc kilka ostatnich dotknięć pędzlem. — Czym się pani odwdzięczę za tak długie pozowanie bez mrugania oczami i ziewania, jak to robią zwykle modele?

— Niczym, rada jestem z portretu, to dosyć. Być malowanym pochlebia próżności każdego, a powiadają, że pochlebstwo jest zawsze najlepszą nagrodą dla kobiety — odrzekłam śmiejąc się i skierowałam się za Haide ku drzwiom.

— Postaram się jednak znaleźć coś konkretniejszego od tych pochlebstw — powiedział pan Raynez cichym głosem, jakby do siebie, żegnając mnie bardzo łaskawym uśmiechem, gdy opuszczałam pokój.

Tego dnia po południu, gdy Haide wyszła z pokoju po skończeniu lekcji, wszedł pan Raynez. W ręku trzymał stare, skromne puzderko.

— Pokorny malarz nie zapomniał o swej obietnicy, jeżeli w ogóle można nazwać to obietnicą — rzekł z udaną skromnością. — Proszę spojrzeć, na co pani zasłużyła swoim spokojnym siedzeniem.

Pociągnął mnie do okna i otworzył puzderko, utkwivszy w mojej twarzy uważne spojrzenie. Na starym i spłowiałym aksamicie, leżał wielki medalion w kształcie serca, obsypany brylantami, których blask mnie olśnił. Byłam zachwycona i przerażona jednocześnie. Wstrzymałam oddech.

— Jest to najpiękniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu — szepnęłam wreszcie, niezupełnie zdolna jeszcze pogodzić się z faktem, że klejnot przeznaczony jest dla mnie.

— Czy pani lubi brylanty? — zapytał pan Raynez cichym głosem.

— Są piękne, najpiękniejsze ze wszystkich klejnotów — wyjąkałam łamiącym się głosem.

— Czy chciałaby pani być obsypana brylantami jak jakaś księżna?

— zapytał bardzo spokojnie, ale w taki sposób, że nie mogłam się zorientować, czy mówił poważnie, czy żartował.

Spojrzałam na niego i roześmiałam się z przymusem.

— Ja? Ależ nie! Nie dbam wcale o brylanty, nic sobie z nich nie robię. Klejnoty są dla wielkich dam, nie dla nauczycielek.

— Nauczycielka może zostać wielką damą — rzekł, przybierając znowu zwykły, żartobliwy ton.

— Myślę, że ogromna większość nie zostaje — odparłam tym samym tonem.

— Choćby pani miała słuszość, to jednak żaden kodeks nie zabrania nauczycielce nie będącej wielką damą nosić klejnotu, na który sumiennie zapracowała?

— No tak, jeśli zapracowała — odrzekłam, starając się utrzymać ciągle w tonie lekkim, choć serce biło mi gwałtownie.

— A więc pani może przyjąć ten drobiazg w nagrodę za usługi oddane wdzięcznemu malarzowi i jako wspomnienie przyjemnego poranka w pracowni.

— O nie! nie! nie mogę! — odpowiedziałam z powagą, odsuwając od siebie pudełeczko, które mężczyzna usiłował włożyć mi do ręki. — Niech się pan nie obraża, panie Raynez, ale sama myśl posiadania czegoś tak kosztownego byłaby dla mnie nieznośnym ciężarem.

Pan Raynez wybuchnął długim, głośnym śmiechem.

— Ależ, naiwna osóbkco! Nie spodziewałem się, żeby mieszkanka Londynu mogła być tak niedoświadczona i nie odróżniła najzwyczajniejszej imitacji od prawdziwych brylantów — powiedział ubawiony. — Ta ozdoba, której wartość tak panią przeraża, kosztuje około piętnastu szylingów. Nie warta nawet własnego pudełka, dlatego włożyłem ją w stare, zawierające niegdyś broszkę. Nie, nie, drogie dziecko! Przestań się niepokoić pieniężną wartością tej rzeczy, która jest bardzo mała. Ma ona dużą wartość w moich oczach, lecz zupełnie z innego powodu. Popatrz!

Odwrócił klejnot tak, że mogłam zobaczyć na drugiej stronie monogram i rok 1792.

— Jakież litery tam pani spostrzega?

— Widzę R. G. D.

— G. D. R. — poprawił — Gerwazy D. Raynez — inicjały moje, mego dziada i pradziada. Jedyną wartością tej drobnostki jest to, że należała do mojej babki. Mam po niej dużo klejnotów. Żona moja też posiada ich mnóstwo, ale złożyła je w banku i nigdy ich nie nosi. Nie pozbawia pani nikogo rzeczy cennej, a robi jedynie przyjemność staremu przyjacielowi: byłbym rad gdybym miał prawo nazywać się pani starym przyjacielem. Proszę przyjąć ode mnie tę drobnostkę. Dzisiaj podczas herbaty powiem rodzinie, że ten medalion należy do pani.

— Ależ ja nigdy nie będę nosiła podobnej rzeczy, choćby to była imitacja — broniłam się mniej pewnym głosem.

— To proszę nosić pod suknią, a wtedy blask jej nie będzie raził nikogo.

Podziękowałam za klejnot ale nie byłam zadowolona, że go zatrzymałam. Zgodnie z obietnicą, pan Raynez przy herbacie poinformował żonę, że z wielkimi oporami zgodziłam się przyjąć za trudy modelki świecidelko za parę groszy, o którym wyraziłam się, że nie jest warte, aby je nosić.

— Och, panie Raynez!

Przedstawił moją niechęć w całkiem odmiennym świetle, a oprócz tego wielka jest jeszcze różnica między piętnastu szylingami a paru groszami. Zauważyłam, że Sara, która była w pokoju, spojrzała na mnie ostro. Z pewnością uważała, że nauczycielki nie powinny nosić świecidełek. Pani Raynez też nie wyglądała na zadowoloną.

Piękna ozdoba, którą tak podziwiałam, ale której nie pożałowałam, sprawiła mi więcej kłopotu niż przyjemności. Doświadczyłam tego wieczorem. Kiedy byłam już u siebie, usiadłam w fotelu i spojrzałam uważnie na prezent. Był rzeczywiście wspaniały. Pomyślałam sobie, że jeśli imitacja ma tak piękne ognie, a kosztuje tylko piętnaście szylingów, to bezsensu jest kupowanie prawdziwych brylantów, które wiele kosztują, a piękniejsze już być nie mogą. Podniosłam medalion ku lampie, czując dreszcz zadowolenia z jego blasku i gry kolorów, i wtedy usłyszałam za sobą głos Sary, która przyszła na górę, aby mi przynieść wodę, choć miałam jej pełen dzbanek.

— Więc to jest owo świecidełko za parę groszy? Tak, pani? — zapytała szyderczo.

Zamknęłam pudełko i powiedziałam lodowatym tonem:

— Chyba rozumiesz, Saro, że pan Raynez nie mógłby nikomu ofiarować prezentu, który rzeczywiście kosztuje parę groszy.

— Nie, panienko, nie, zwłaszcza za takie usługi, jak pani...

Powiedziała to tak przykrym tonem, że kiedy opuściła pokój, rzuciłam pudełeczko daleko od siebie i wybuchnęłam płaczem.

11

Gdy się uspokoiłam, zaczęłam się zastanawiać nad wyrządzoną mi przez Sarę krzywdą. Zachodziłam w głowę, co było powodem tak silnej niechęci, którą mi okazywała. Co prawda jej zachowanie w stosunku do innych też nie było przyjacielskie, lecz dla mnie była szczególnie złośliwa. Kiedy zwracała się do mnie, głos jej przybierał tony zgryźliwe, była w nim nienawiść. Nawet gdy pytała, czy życzę sobie węgla, brzmiało to tak, jakbym w jej przekonaniu wcale nie zasługiwała na ogień w kominku. Nigdy dotąd nie była jednak tak wyzywająca i szorstka jak przed chwilą.

Zaczynałam przypuszczać, że głównym powodem takiego jej zachowania może być troska pana Rayneza o moje potrzeby, chociaż w tym domu byłam nowicjuszem, kiedy ona, pozostająca przy rodzinie od wielu lat, mieszkała stale w tym samym pokoju na górze i nikt jej nie proponował, aby pozowała do portretu. Byłaby to bardzo śmieszna zazdrość kobiety już niemłodej i prostej służącej. Kto wie czy przypuszczenia moje nie są jednak słuszne. Ale cóż mogę zrobić w tym wypadku?

Sara nie może, czy nie chce zrozumieć, że jej pretensje są niedorzecznością, że nie ma prawa być zazdrosna o nauczycielkę, która jeśli chodzi o poziom umysłowy, należy do jednego świata ze swymi chlebodawcami. Widocznie nawet tego nie rozumie, że praca nauczycielki jest o wiele cięższa niż jej proste zajęcia.

Przypomniałam sobie historie wielu znajomych mi dziewcząt i doszłam do wniosku, że Sara musiała służyć w domach, gdzie nauczycielki są lekceważone. Gorszyło ją więc to, że jestem traktowana inaczej.

Potem pomyślałam o radzie pana Rayneza co do noszenia jego podarunku pod suknią. Medalion był rzeczywiście śliczny i zasługiwał na wdzięczność z mej strony. Pan Raynez nie jest winien, że jego prezent stał się dla mnie powodem przykrości. Dwie przyczyny stały na przeszkodzie, abym nosiła medalion.

Pierwsza, to ta, że gdybym to zrobiła i na kawałku wstążki nosiła medalion na szyi, łatwo mogłoby się zdarzyć, że ktoś zauważyłby to 'przypadkowo, np. pani Raynez, nie mówiąc już o Sarze, a wtedy znalazłabym się w bardzo niezręcznym położeniu.

Przyczyna druga była w tym, że nosiłam już jedną pamiątkę pod suknią, przymocowaną do dewizki od zegarka. Był to maleńki medalionik zrobiony przeze mnie ze starej portmonetki. Był w nim liścik, który znalazłam przypięty do róży od pana Jerzego.

Nie chciałam obrazić pana Rayneza, jednak po namyśle schowałam klejnot do szkatułki, a kluczyk zawiesiłam na szyi.

W parę dni później obudziłam się z silnymi dreszczami, nie mogłam podnieść się z łóżka. Sara, z rozkazu pana Rayneza, przyniosła mi herbatę, i wtedy zobaczyła medalion i kluczyk na szyi. Z zazdrością i nienawiścią patrzyła na te przedmioty. Wiem, że dałaby wiele, żeby zajrzeć do wnętrza medalionu. Cieszyłam się, że jej się to nie uda.

Prezent od pana Rayneza dostałam w sobotę. Nazajutrz po nabo- rzeństwie uj- rzałam pana Jerzego. Stał na uboczu oparty o pomnik jakiegoś grobowca i zamy-

ślony patrzył na ludzi powoli wychodzących z kościoła. W tej samej chwili grubo, o jowialnym wyrazie twarzy jegomość zbliżył się do pana Rayneza i żywo gestykułując zaczął mu coś opowiadać.

— Haide, dostaniesz kwiatek, jeśli przeczytasz ten napis — powiedział pan Jerzy, wskazując ręką na jeden z nagrobków, wypełniony staroangielskim piśmem. — Jestem przekonany — dodał, zwracając się do mnie z uśmiechem — że pani jedna potrafiłaby odcyfrować te hieroglify. Ja czuję się wobec nich zupełnie bezsilny.

Weszliśmy z Haide na trawę okalającą pomnik. Dziewczynka przejęta swoją rolą powoli sylabizowała zawity napis. Pan Reade z początku słuchał jej z uwagą, potem jego oczy zaczęły błądzić po grobowcu, sztachetach, zeschniętych wieńcach, w końcu zatrzymały się na mojej twarzy. Zbladłam, serce zaczęło mi bić silniej.

— Ile to czasu upłynęło od wtorku? — szepnął.

We wtorek spotkaliśmy się w sklepie starego Bowlesa.

— Pięć dni — odparłam poważnie.

— Tak. Pięć nudnych, monottonnych dni — rzekł ledwo dosłyszalnym głosem.

— Doprawdy? — spytałam trochę złośliwie, choć nie wiem zupełnie dlaczego. — A przecież teraz dni są coraz krótsze.

— Czy pani rzeczywiście nie rozumie, co chcę powiedzieć? — odezwał się rozdrażniony. — Czas się dłuży, gdy pragniemy ujrzeć kogoś, a jest to niepodobieństwem. To nie zależy od pory roku — dodał z ironią. — Pani widocznie nie doznała nigdy tego rodzaju przykrości i dlatego zrozumieć mnie nie może.

Zbladł, usta mu drżały, a mnie wielka litość chwyciła za serce i żal, że mu dokuczyłam, wbrew przecież własnej woli.

— Najbardziej pragnęłabym ujrzeć matkę — szepnęłam z powagą — ale ona jest daleko i wiem, że życzenie to nie może się spełnić.

— Tak, naturalnie — przerwał niecierpliwie. — Ale ja nie myślałem o nikim z rodziny.

— Może pan myślał o tych pięknych pannach, które siedziały w waszej ławce zeszłej niedzieli — wyrwało mi się.

— O pannach Finches pani mówi? — zapytał zdziwiony. — Ethel i Katie? Och, nie! Nie lubię ich i widuję je rzadko. Będą, niestety, na szkolnym kiermaszu. Zły jestem okropnie, że je zaproszono. Takie lale! Nie raczą tknąć się żadnej pracy. Nie! nie! Miałem kogoś innego na myśli. Czy pani nie zgaduje, kogo?

Popatrzył na mnie, a w jego spojrzeniu było nieśmiałe pytanie czy prośba. Lekki dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy, potem oblałam się rumieńcem. Nastąpiła chwila uroczystej ciszy... Wtem usłyszałam wesoły, trochę ironiczny głos pana Rayneza.

— Zdaje się, że pan Jerzy żywi gorącą sympatię do naszej ślicznej panny Christie, nieprawdaż, panie Reade?

Odpowiedź była tak cicha, że nic nie zrozumiałam, ale jej ton był ostry. W chwilę potem pani Reade przywołała do siebie syna cierpkim głosem i zrobiła mu dosyć niegrzecznie wymówkę, że marudzi „Bóg wie gdzie”, gdy wszyscy czekają na niego. Trochę się jednak rozminęła z prawdą, gdyż sama dosyć długo rozmawiała jeszcze z panem Raynezem, widocznie zainteresowana podniesioną przez niego kwestią. Dochodziły mnie tylko pojedyncze słowa: „Bramleys” i „nasza linia”, ale domyśliłam się od razu, że przedmiotem rozmowy jest drzewo genealogiczne zubożałej rodziny hrabiowskiej, z której się wywodziła stara dama.

Pracowicie zapowiadał się następny tydzień, przede wszystkim miał się odbyć kiermasz szkolny. Nie było go już dwa lata, ponieważ w zeszłym roku spadły o tej porze takie deszcze, że całą okolicę zamieniły w jezioro, a pobliskie wsie i miasteczka w jeden wielki szpital. Teraz nieodwołalnie miał się odbyć w nadchodzącą sobotę. Cuda opowiadano o tym kiermaszu. Uroczystość zaczynała się zwykle w kościele odśpiewaniem hymnu dziękczynnego, potem było kazanie odpowiednie do okoliczności, następnie odbywała się sprzedaż zgromadzonych rzeczy, a wreszcie zabawa. W tym roku podobno miano zrezygnować z uroczystości kościelnych. Okoliczni mieszkańcy, z powodu deszczu ponieśli niepowetowane straty przy sprzęcie zboża i siana, więc miejscowy proboszcz uznał, że wobec ogólnego rozdrażnienia trudno wymagać, by śpiewano, „dziękczynne hymny”. Panny Reade zabrały wiele ozdób z naszego kościółka na sobotnią uroczystość, a żona pastora pomagała nam gorliwie w przygotowaniach do kiermaszu.

Następnego dnia odbyłam z Haide dłuższą niż zwykle poranną przechadzkę. Po powrocie poszłam na chwilę do siebie. Na schodach spotkałam Jane.

— Panno Christie! — szepnęła, z tajemniczą miną. — Był tu niedawno pan Reade i chciał się widzieć z panią. Mówił, że ma pilny interes. Powiedziałam mu, że pani wyszła na spacer z Haide, ale że powtórzę pani wiernie co każe. Pan Reade wolał napisać, bo to rzecz ważna i mogłabym coś niechcący przekręcić.

Dał mi bilecik, a potem—przepraszam panią bardzo, ale doprawdy to nie moja wina — nadbiegła Sara, list mi odebrała i oddała naszemu panu. Mówiłam jej, że kartka adresowana jest do pani, ale nie chciała mnie słuchać!

Poszłam do siebie, drżąc z oburzenia i gniewu. Rzuciłam się na fotel i wybuchnęłam płaczem. Co za okropna, bezczelna kobieta! Życie tutaj stanie się dla mnie wkrótce niemożliwe! Żal ścisnął mi serce, że nie mogę się dowiedzieć, co było w liście adresowanym przecież do mnie. Po jakimś czasie obmyłam zapłakane oczy zimną wodą i ze spokojną, chociaż smutną twarzą zeszłam do jadalni. Przy oknie stał pan Raynez. Zbliżył się do mnie z uśmiechem i rzekł:

— Oto liścik, który tu zostawiono dla pani. Czy wolno wiedzieć, od kogo?

— Od nikogo — odpowiedziałam stanowczo, choć cierpko. Czułam, że się rumienię.

Byłam pewna, że w tym nieszczęsnym liście nie było nic takiego, czego nie mogłabym każdemu pokazać, że zawiera jakieś polecenie od pani Maitland dotyczące kiermaszu.

Rozerwałam kopertę i przeczytałam następujące słowa:

Droga panno Christie! Siostry moje obawiają się, że nie zdążą na czas z nawalem prac związanych z sobotnią uroczystością. Czy pani nie byłaby tak dobra i nie pomogła? jeżeli pani nie ma nic przeciwko temu, to jutro kwadrans po drugiej dostarczę paczkę od sióstr.

Życzliwy przyjaciel Jerzy Reade

Widocznie spodziewałam się czegoś innego, gdyż bilecik sprawił mi zawód. Gdy to sobie uświadomiłam, oblałam się rumieńcem wstydu i upokorzenia. Czego oczekiwać mogłam od pana Reade'a. Co za szalone myśli przyszły mi do głowy?! Przeciągnęłam po czole rozpaloną dłońią. Nagle spostrzegłam, że na odwrotnej stronie listu coś jest napisane. Drżącą ręką wsunęłam papier do koperty i szybko ukryłam w kieszeni. Obiad dłużył mi się nieskończenie, myślałam, że nigdy się nie skończy. Gdy to nastąpiło, podziękowałam i biegłam prędko do swego pokoju. Wyciągnęłam bilecik, przeczytałam:

Czemu pani w niedzielę była taka niedobra i smutna?

Nie miałam możliwości przesłać panu Jerzemu odpowiedzi. Postanowiłam za to pilnie nazajutrz zwracać uwagę na każdy odgłos dzwonka o wskazanej porze.

Gdy obudziłam się następnego dnia serce miałam przepełnione słodyczą.

Uważałam, że nie ma najmniejszej potrzeby informowania się u pana Rayneza, na którą godzinę pan Reade zapowiedział swą wizytę. Przypadek zdarzył, że

koło drugiej siedzieliśmy wszyscy w salonie. Byłam podniecona, nie mogłam sobie znaleźć miejsca. Boże! Czyż oni nigdy stąd nie pójdą?! Nagle pani Raynez przywołała mnie ruchem ręki. Zbliżyłam się do niej, drząc mimo woli. Ta poprosiła cicho, żebym była łaskawa przepisać jej kilka listów, które musi zabrać przedwieczorna poczta. Skinęłam machinalnie głową, bo i cóż innego mi pozostało, i chciałam się zaraz zabrać do pisania.

— Przeszkadzać tu pani będą — szepnęła bezbarwnie pani Raynez.

— Lepiej w zacisznym miejscu, prędzej pani skończy. Gdzie przysłać pani kawę, do szkolnego pokoju czy na górę?

— Idę do siebie — odparłam łamiącym się głosem. — Za kawę dziękuję.

— Wybiegłam prędko z pokoju, tłumiąc łzy, które dusiły mi gardło. Może to było brzydko z mojej strony, że tak niechętnie oddawałam tę przysługę nieszczęśliwej kobiecie, ale ja chciałam być w salonie jeszcze choć pół godziny, przeczytać dzienniki, posłuchać dowcipnych uwag pana Rayneza, doczekać się paczki... z robotą.

Przepisałam właśnie jeden list, zachodząc w głowę, co w nim jest tak pilne, gdy usłyszałam lekkie pukanie w drzwi i zadyszana Jane wpadła do pokoju.

Upłynęła dość długa chwila, zanim złapała oddech. Wtedy zaczęła „trzepać” prędko, z ożywieniem.

— Porwałam paczkę przeznaczoną dla pani. Sara jest okropnie zła! Pierwsza usłyszałam dzwonek i czym prędzej pobiegłam do bramy. Za kratą stał pan Reade na koniu. Podał mi to zawiniątko i kazał oddać pani. Potem zsiadł z konia i poszedł do salonu. Wiedziałam, że pani tam nie ma, więc prędko wysunęłam się na schody, modląc się w duchu, żeby nie spotkać Sary. Ale ta jędrza wylazła z jakiegoś kąta i gwałtem chciała mi odebrać pakunek. Postawiłam się ostro i powiedziałam jej dobitnie, że oddam go tylko pani do rąk własnych. Zwymyślałam ją i uciekłam. Chciała mnie gonić, ale nie mogła nadażyć, więc pogroziła mi tylko, „pomamrotała” trochę i odeszła. Oto paczka.

Z dumą położyła pakiecik na stole.

— Dziękuję ci, Jane — odparłam spokojnie. — To robota dla mnie na sobotni kiermasz. Przysyła ją panna Reade.

Na twarzy dziewczyny odbiło się lekkie rozczarowanie, spodziewała się widocznie, że broni bardziej tajemniczej rzeczy. W milczeniu potrząsnęła głową i podeszła do okna. Umyślnie zerwałam przy niej sznurek, bo chciałam, żeby się przekonała o prawdzie moich słów. W paczce znalazłam pasową flanelę i garść pszenicznych kłosów, z których miałam zrobić rodzaj transparentu z okoliczno-

ściowym napisem. Na spodzie paczki znalazłam jeszcze pudełko zawinięte w papier i list zaadresowany: *dla panny Christie*. W oczach dziewczyny zabłysła ciekawość.

— Wiedziałam, że tak będzie — szepnęła z żywością, ale opamiętała się szybko i twarz jej spłonęła rumieńcem. — Przepraszam panią — powiedziała z pokorą i zawstydzona uciekła z pokoju.

Z bijącym sercem czekałam, aż zejdzie ze schodów. Dopiero gdy ucichły kroki w korytarzu, drżącymi rękami rozerwałam kopertę i zaczęłam pochłaniać drobne, znane pismo.

Droga panno Christie! Posyłam pani kilka ostatnich róż z naszej oranżerii. Staralem się wybrać te, o których wiem, że je pani lubi. Mam nadzieję, że przez drogę nie przeszły zapachem cygar, ale nie miałem innego pudełka. Zgubiłem gdzieś kartkę od siostry z tekstem transparentu, który pani obiecała zrobić. Przyniosę go, jak będę mógł najprędzej, niech tylko pani mi powie, kiedy możemy się zobaczyć.

*Życzliwy przyjaciel
Jerzy Reade*

Róże rzeczywiście były w pudełku po cygarach i przesiąkły, niestety, niemiłym zapachem. Doszłam jednak do przekonania, że właściwie nie jest on brzydki i polubiłam nawet tę ostrą woń, gdyż przypominała mi pana Jerzego.

Tego wieczora czułam się bardzo szczęśliwa i z chęcią przystałam na akompaniowanie mojemu pracodawcy. Wdzięczna mu byłam, że wybierał dzisiaj przepiękne arie z włoskich oper, jak *Don Giovanni* i *II Trovatore*. Namiętne, to znów słodkie i smętne melodie najlepiej odpowiadały memu usposobieniu. Czułam doskonale, że nigdy jeszcze moje palce nie pieściły z taką miłością fortepianu, że nigdy nie rozumiałam tak głęboko wielkich

mistrzów, że nigdy nie grałam z tak wielkim wyczuciem jak tego wieczoru. Pan Raynez był zachwycony.

— Jeszcze, panno Christie, jeszcze chwilkę — prosił serdecznie. Widziałam, że ta muzyka, naprawdę sprawia mu przyjemność. Sam wybierał pieśni i kołysanki, ale zawsze pytał, czy mi się podobają, czy lubię dany utwór. Dość było spojrzeć jednak w moją rozpromienioną twarz, żeby się przekonać, jak wielką przyjemność sprawiała mi dziś muzyka.

Zegar wydzwonił wpół do jedenastej, co w tym domu było niezwykle późną porą, gdy skończyliśmy grać *Voi, che sapete*.

— Czy to się pani podoba? — spytał pan¹ Raynez dziwnym, przejmującym głosem, chowając skrzypce do pudełka. Potem usiadł przy mnie na krzeselku i cicho zagrał na fortepianie tę samą melodię.

— Czy rozumie pani te przepiękne słowa: *Voi, che sapete, che cos'è amore* — zanucił wzruszonym trochę głosem. — Czy wie pani, co to po angielsku znaczy?

— Naturalnie! — odparłam z życzliwością, rada, że mogę popisać się znajomością włoskiego. — *Ty, co wiesz, co to jest miłość* — powiedziałam z dumą.

Usunęłam się nieco na bok i ze szczerym zachwytem słuchałam jego gry i śpiewu. Ileż on uczucia wkłada w wykonanie. Żaden śpiew dotąd nie wzruszył mnie tak głęboko. Zdawało mi się, że pieśń ta przepelnia cały pokój, że śpiewa ją także moja dusza. Ukryłam twarz w dłoniach i wstrzymałam oddech, żeby nie utracić najmniejszego dźwięku. Nagle pan Raynez oderwał palce od klawiszy. Zaległa uroczysta cisza. Po chwili zbliżył się do mnie. Nie mogłam wydobyć głosu, tylko patrzyłam na niego zachwycona. Pan Raynez podszedł do okna, odryglował okiennice. Poczułam orzeźwiający powiew świeżego powietrza.

— Duszę się — szepnął. — Powietrza! Powietrza! Niechże tu pani podejdzie, kochana panno Christie.

Posłusznie spełniłam jego życzenie, a on okrył mnie troskliwie ciepłym wełnianym szalem. Z rozkoszą wychyliłam się przez okno.

— Niech pani spojrzy, jak cudownie księżyc oświetla koronkowe wierzchołki drzew. Czy nie pragnęłaby pani być teraz w Wenecji, w tej zaczarowanej krainie miłości, gdzie się zrodziły te piękne, dyszące namiętnością pieśni?

— Pragnę być tylko tutaj — wyrwało mi się mimo woli i uśmiechnęłam się do swoich myśli.

— Dlaczego? — spytał prędko.

Potrząsnęłam głową. Nie mogę mu przecież powiedzieć dlaczego.

— Skarby całego świata oddałbym bez wahania, żeby być w tej chwili z kochaną kobietą — szepnął namiętnie. — A ona mnie nie rozumie, albo nie chce rozumieć!

Głęboko wzruszył mnie jego głos, drgający szczerym i prawdziwym bólem. I nagle postanowiłam zdobyć się na odwagę. Życzę mu przecież dobrze.

— A czemu pan z nią nie jest? — odezwałam się z powagą i życzliwie.

Spojrzałam mu w oczy, ale przestraszyłam się natychmiast swej śmiałości, bo oczy błysnęły mu jakoś drapieźnie, a twarz pobladła i wargi za-drżały. Po chwili podał mi rękę, którą starałam się serdecznie uścisnąć. Widzia-

łam, że moje słowa zrobiły na nim silnie wrażenie. Zaczynałam się obawiać, że obraził się na mnie.

— Niech mi pan przebaczy moją niedelikatność — zaczęłam cicho — ale właściwie to pan pierwszy poruszył tę kwestię. Dziwię się tylko zawsze, że pan jej stąd nie wywiezie. Nie rozumiem, jak panu może wystarczać obecne życie. Wiem, że jest pan do niej bardzo przywiązany, ale wszystko ma granice i nieraz widzę, że pan znosi to z rezygnacją. Toż pan za życia przykuty jest do grobu! — dokończyłam z wybuchem i umilkłam, przerażona własnymi słowami.

Czułam, że dotknęłam najboleśniej rany jego duszy. Zauważyłam, że wstrząsnął nim dreszcz od stóp do głowy. Nie czuł się obrażony, przeciwnie, wdzięczność malowała się na jego twarzy.

— Powinien ją pan stąd zabrać — dodałam stanowczo, śmielszym tonem — choćby się nawet nie chciała zgodzić dobrowolnie. Z pewnością potem będzie panu wdzięczna. Zobaczy nowych ludzi i nowe miejsca, zbudzi się do życia i zrozumie wtedy, jaki ma skarb, mając pana. Na pewno tak będzie. A wtedy będzie pan wynagrodzony za obecne przykrości i trudy...

Ciemny rumieniec oblał mi policzki, uczułam nagle, że się zapędziłam zbyt daleko, zawsze ten nieznośny język i brak zastanowienia.

Pan Raynez z początku słuchał z rozjaśnioną twarzą, ale prędko pojawiły mu się w oczach ciemne błyski, a w końcu zdziwienie, chłód i jakby pomieszanie, co przejęło mnie goryczą i wstydem. Naturalnie dziwi go i oburza moja nedorzeczna śmiałość. Uspokoił się jednak wkrótce i bez słowa odpowiedzi wyciągnął do mnie drżącą trochę rękę. Uścisnęłam ją z pokorą. Nie mając odwagi podnieść oczu szeptałam wyrazy przeproszenia bez żadnego związku.

— Niech pani nie robi takiej nieszczęśliwej miny — odezwał się wreszcie z dobrocią. — Ja się wcale nie gniewam, pani niczym mnie nie obrażała. Chciałem tylko powiedzieć pani, że my, mężczyźni, mamy tysiące zmartwień i kłopotów, o których pani, niewinne stworzenie, nie może mieć wyobrażenia. A moje położenie należy do wyjątkowych, zmuszony jestem ukrywać chorobę żony i odważnie stawiać czoło światu. Myślę, że gdyby pani знаła choć część moich zgryzot, nieraz pożałowałaby mnie szczerze.

— Mnie i tak bardzo żal pana — szepnęłam.

Pochylił się nade mną i spojrzał mi głęboko w oczy. Twarz mu poweselała i roześmiał się swobodnie.

— Pani jest „niewiadomo co” — powiedział żartobliwie. — Wielkie, siwe oczy powinny być namiętne, a pani są spokojne jak gładka powierzchnia jeziora

w pogodny dzień. Pani jest Undyną, panno Christie. Z pewnością pani nie ma duszy.

— Och, nie! — zaprzeczyłam, udając przerażenie i pobiegłam do fortepianu uporządkować nuty.

— Jest tak, jak mówię. Obserwuję panią przecież od dość dawna. Dobranoc, piękna Undyno!

Bałam się, żeby mnie nie zechciał pocałować, a obraziwszy go tak ciężko, nie śmiałabym odmówić. Zgarnęłam więc nuty i z zapaloną świecą szybko skierowałam się do drzwi. Dopiero przy progu odetchnęłam swobodniej i powiedziałam mu dobranoc. Przykro mi było, że tak się zachowuję, ale czułam, że inaczej zrobić nie mogę i nie powinnam. Trudno.

Przez cały czas umysł miałam zajęty czym innym, myślałam o panu Jerzym, moim serdecznym przyjacielu, i o przysłanych przez niego różach.

12

Na palcach przesunęłam się przez długi szereg korytarzy, po schodach starałam się stąpać ostrożnie, aby nie zbudzić Mony albo kogokolwiek w kuchni. Dostałam się wreszcie na kręcone schody do mojej wieżyczki. Tu już byłam swobodniejsza. Po głowie plątało mi się przewisko jakim mnie na dobranoc obdarzył pan Raynez. Undyna. Ostatnie jego słowa, że nie mam duszy, rozgniewały mnie.

Uczułam żal do niego. Wie doskonale przecież, że tak nie jest! Chciał więc tylko podrażnić moją miłość własną, a może w taki sposób zemścić się za wszystko, co mu naplotłam przedtem. A jednak uczyniłam to z dobrego serca, wiedział o tym. No, ale skwitowaliśmy się w końcu. Nie powinnam jednak zapominać o tym, że jest to człowiek starszy ode mnie o kilkanaście lat i mój chlebowodawca. Tak. Muszę pamiętać i o tym.

Gdy znalazłam się w swoim pokoju, poczułam się spokojna i bezpieczna. Nagle jakiś dziwny powiew zgasił mi świecę. Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głowy. Byłam pewna, że w pokoju słyszę ludzki oddech. Szybko postąpiłam kilka kroków, starając się wzrokiem przeniknąć ciemności. Niepodobieństwem jed-

nak było cokolwiek zobaczyć, bo rolety były spuszczone, a przez ciężkie, spływające do ziemi firanki, nie prześliznie się nawet promyczek księżycy. Strwożona, stałam bez ruchu kilka minut, nie śmiąc ruszyć się z miejsca, potem z zapartym tchem zbliżyłam się do umywalki i gorączkowo zaczęłam szukać zapalek. Ale nie było ich tutaj, więc rozpoczęłam rozpaczliwe poszukiwania na kominku, w którym jak na złość dzisiaj nie palił się ogień. Wtem za sobą usłyszałam ciche stąpanie i przytłumiony oddech. Odwróciłam się gwałtownie i ujrzałam kogoś skradającego się ku drzwiom. Chciałam krzyknąć, ale nie mogłam wydać głosu. Wreszcie rozległo się ciche skrzypnięcie. Zrozumiałam, że tajemniczy gość opuścił mój pokój. Prędko znalazłam się przy drzwiach i ostrożnie wyjrzałam na schody. Pusto, nic nie słyhać. Czy śniłam? Przesunęłam drżącą dłonią po rozpalonym czole. Było mokre od potu. Zamknęłam drzwi na klucz. W tej samej chwili przyszło mi do głowy, że mogłam tym sposobem zamknąć się nie sama. Zastygłam z przerażenia, po czym jak mogłam najciszej zbliżyłam się do stolika, żeby poszukać lepiej owych nieszczęsnych zapalek. Zaczęłam macać palcami po stole — bez skutku. Zrozpaczona, podeszłam do okna myśląc, że może tam je zostawiłam przez nieuwagę. Nagle olśniło mnie: gwałtownym ruchem ściągnęłam firankę i szybko podniosłam roletę. Błady pas światła rozjaśnił trochę czerń podłogi, ale księżyc, niestety, ukrył się właśnie za chmury i zamiast światła tajemnicze cienie napełniły pokój, przejmując mnie jakąś nieokreśloną trwogą. Gorączkowo zabrałam się do szukania zapalek. Była to próżna strata czasu.

Zanadto byłam zdenerwowana, żebym się odważyła rozebrać przy świetle księżycy. Z każdego kąta zdawały się wypełzać ku mnie straszne, potworne postacie, odgłos własnych kroków przejmował mnie trwogą, drżałam na całym ciele. Nie pozostawało mi nic innego, jak zejść ze świecą na dół i zapalić ją w kuchni. Wydawało mi się to niczym w porównaniu z obawą spędzenia po ciemku nocy w tym pokoju.

Otworzyłam drzwi i z bijącym sercem, ostrożnie, tłumiąc jakiś nieznany lęk, zaczęłam schodzić ze swojej wieżyczki. Wstrzymując oddech, mijałam milczące, senne korytarze, otwierałam bezszelestnie drzwi, aż wreszcie znalazłam się w ciasnym, ponurym kredensie. Drzwi do kuchni były zamknięte, ale klucz tkwił w zamku, więc przekręciłam go cicho i przestąpiłam próg z uczuciem ulgi. Wtem usłyszałam suchy, znany mi odgłos. Natychmiast cofnęłam się ze wstrętem. Na podłodze roilo się od karaluchów. Wolałabym się spotkać z całym szwadronem podejrzanych figur niż uczuć pod stopą trzask gnieczonego karalucha. Bez chwili namysłu zatrzasnęłam drzwi od kuchni i wybiegłam z kredensu.

Postanowiłam udać się do sieni, gdzie stale leżały zapalki.

Przerażała mnie jednak możliwość spotkania pana Rayneza. Nie nocuje on przecież w domu i mniej więcej właśnie o tej porze wymyka się do swojej pracowni. A jeżeli go spotkam, jak mu wytłumaczę tę nocną włóczęgę? Jeśli powiem prawdę, którą łatwo odgadnąć może i bez tego z wyrazu mojej twarzy, będzie próbował wszystko wyjaśnić. Domyślałam się, że owym nocnym gościem w moim pokoju była Sara. Przestraszona moim niespodziewanym powrotem, zdmuchnęła mi świecę i nie poznana wymknęła się z pokoju. Ale dlaczego to zrobiła? Co by na to powiedział pan Raynez? W każdym razie to przypuszczenie wydało mi się bardzo prawdopodobne, a nawet jedynie możliwe. Powoli uspokoiłam się.

Ze schodów zeszłam szczęśliwie, nie napotkawszy nikogo. Gdy byłam na korytarzu wiodącym do sieni, dobiegły mnie przyciszone słowa. Stałam jak wryta. Po chwili nabrałam odwagi i na palcach postąpiłam kilka kroków. Głosy były wyraźniejsze. Zorientowałam się od razu, że to w pracowni pana Rayneza ktoś rozmawia. Mijałam właśnie drzwi tego pokoju, gdy usłyszałam Sarę. Mówiła coś z ożywieniem, wzburzonym, gniewnym tonem. Nagle rozróżniłam słowa, które w zupełności zastosować mogłam do siebie.

— Tak! tak! — syczała ze złością. — Okrągła buzia, niewinne spojrzenie, suknia do ziemi. To ci dopiero guwernantka.

— Czy tylko to chciałaś mi powiedzieć? — przerwał jej pan Raynez ostrym, surowym głosem. Drgnęłam. Raz jeden słyszałam go jak mówił takim tonem, wtedy, gdy karcił Sarę na ścieżce w ogrodzie.

— Tylko to! — powtórzyła kobieta z przekąsem.

Nie wiem dlaczego, żal mi się jej zrobiło. Ona cierpi. Ale przez co, czy przez kogo?

— Zejdź mi natychmiast z oczu — odezwał się pan Raynez sucho.

— Czy słyszałaś?!

— Idź! Zabieraj się! Wynoś! — zawtórowała mu z goryczą i wzrastającym rozdrażnieniem Sara. — Oszalał — dodała z rozpaczą. — Czy wyobrażasz sobie, że ta smarkata potrafi mnie zastąpić, czy będzie chciała?

Rozum jej odjęło — przebiegło mi nagle przez głowę. Mówi „ty” do pana Rayneza i odzywa się do niego tak hardo i wyzywająco. Jak on to znosi?

— To moja rzecz — odparł surowo pan Raynez. — Każesz mi wybierać, stara jędzo, między nauczycielką a sobą? Więc doskonale. Już postanowiłem. Stałaś się dla mnie zbyt kosztowna.

— Z tej beczki zaczynasz panie Raynez — przerwała mu zjadliwie i szyderczo. — Zatem usługi moje są przepłacone? Czy ja dobrze słyszę?

— Dopóki się nie wtrącałaś w moje osobiste sprawy, a służyłaś wiernie, dopóty nagradzałem cię hojnie za wszystkie trudy, jakie ponosiłaś dla mnie

— usłyszałam zniecierpliwiony głos mojego chlebodawcy. — Czy ty naprawdę nie widzisz zmian w sobie? Gdzie się podziała twoja zręczność?

O niczym nie myślisz, bo zjada cię głupia zazdrość, postępujesz jak obłąkana, piętnastoletnia dziewczyna. Nie jesteś już młodą kobietą pełną wdzięku. Nie wzbudzasz dzisiaj namiętności. I jeśli nie możesz myśleć dobrze o tamtej, to najlepiej będzie, gdy się rozstaniemy.

— Ty mnie rzucasz? Ty! Dla pierwszej lepszej?! — wybuchnęła Sara.

— Nie mogę wyrzucić kogoś z mego domu tylko dlatego, że ty tego chcesz — odpowiedział pan Raynez z irytacją w głosie. — Choćbyś o wiele więcej uczyniła dla mnie nie zgodziłbym się na to. Słyszysz, Saro?!

— Słyszę! Co nie mam słyszeć! — odezwała się szyderczo. — I zapamiętam to dobrze, nie bój się, kotku. Robota jeszcze nie skończona. Ponieważ ty nie chcesz już moich usług, ofiaruję je komu innemu — dokończyła z wybuchem. — Zobaczysz, ja...

— Powoli, powoli — odrzekł pan Raynez rwącym się głosem. — Wiesz doskonale, że za robotę otrzymasz dobrą zapłatę, albo... spełnię groźbę

— usłyszałam. — Rozważ to sobie, Saro Gooch.

Coś straszliwego było w jego głosie. Dreszcz wstrząsnął moim ciałem. W tej chwili bałam się tego człowieka.

Zapadło głębokie milczenie.

— Czy ty sobie wyobrażasz, że beze mnie dasz sobie równie dobrze radę jak ja bez ciebie? — przemówił pan Raynez zmienionym, dziwnie miękkim głosem.

Znowu cisza, długa cisza. Nagle kobieta wybuchnęła spazmatycznym łkaniem. Czulałam, że rwie się coś w jej piersi, coś się łamie, że strasznie musi cierpieć.

— Czemu ty jesteś taki niedobry? — wyszeptała wreszcie z namiętną rozpaczą. — Jak możesz przypominać mi tak ciągle o tej nieszczęsnej zapłacie, o zyskach, nazywać mnie brzydką i starą? Co ja jestem temu winna? Dawniej nie byłam brzydka dla ciebie! Powinieneś mieć dla mnie chociaż trochę względów. Czy wyobrażasz sobie, że ta panna Christie zechce harować dla ciebie tak, jak ja to robię?

— Nauczycielka nie jest służącą, zapominasz się, Saro — odpowiedział su-

rowym głosem. — Panna Christie nie będzie nigdy dla mnie tym, czym ty byłaś.

— Wiem! Wiem! — przerwała z goryczą. — Ona jest przecież młodą niewinną osobą, ale — za cenę brylantów...

— Milcz! — krzyknął pan Raynez.

— Nic już nie powiem — odparła mu hardo. — Chcę tylko, żebyś wiedział, iż twój podarunek spoczywa w najpiękniejszej szkatułce, ale na szyi nosi list innego i co dzień całuje go namiętnie. Sama widziałam.

— Pleciesz! — odezwał się cierpko pan Raynez. — A zresztą, cóż mnie to obchodzi?

Potem usłyszałam skrzypnięcie fotela, gwałtownie odsuniętego gniewną ręką i szybkie kroki. Mój pan po prostu „latał” po pokoju, potrącając z pasją napotkane sprzęty. Cała drżąca przesunęłam się koło drzwi jak mogłam najciszej i na palcach wyśliznęłam się do sieni. Tam na wielkim dębowym stole znalazłam od razu zapalki. Zabrałam kilka i rozpoczęłam ostrożny i powolny odwrót. Nagle zrobiło mi się gorąco ze wstydu. Boże! Co ja najlepszego uczyniłam?! Podśluuchiwałam pod drzwiami jak pierwsza lepsza pomywaczka. Gorzkie łzy żalu i upokorzenia spłynęły mi po twarzy, trzęsłam się jak liść osiny.

Ze ściśniętym sercem minęłam drzwi, za którymi panowała teraz niczym nie zmacona cisza. Wyobrażałam sobie jak tryumfowałyby teraz Sara, gdyby wiedziała, czego się dopuściłam. I pan Raynez z pewnością zmieniłby opinię o mnie. Przekonałby się, że wierna służąca jest więcej warta, niż nauczycielka podsłuchująca pod drzwiami. Straciłabym w jego oczach, w każdym uczciwym człowieku budziłabym odrazę.

Pastwiłam się nad sobą, dziwną, dziką radość sprawiało mi znęcanie się nad sobą. Spłakana dotarłam do schodów i za chwilę byłam u siebie. Zapaliłam świecę, ale nie bałam się już teraz, zapomniałam nawet przekręcić klucz. Miałam wyrzuty sumienia, które były silniejsze niż strach.

Sprawa nocnego gościa była zresztą wyjaśniona.

Gdy uspokoiłam się, zaczęłam analizować usłyszane tak niedawno słowa. Doszłam do przekonania, że bez wątpienia Sara jest pielęgniarką pani Raynez i dlatego usługi swe uważa za nieocenione. Nic więc dziwnego, że rozumując w ten sposób, oznajmiła panu Raynez, iż potrafi się zemścić, jeśli ją wydali. Naturalnie, że ma potężną broń w ręku. Może rozgłosić, że pani Raynez jest umysłowo chora, a wtedy przez tyle lat ukrywana tajemnica pryśnie jak bańka mydlana. Potem zadałam sobie pytanie, dlaczego Sara tak mnie nienawidzi? Bardzo prędko znalazłam na nie właściwą odpowiedź. Nie wątpiałam nigdy, że jest namiętna,

zazdrosna, podejrzliwa, szorstka, teraz poznałam, jak głęboko jest przywiązana do swego pana. Zrozumiałam więc, co dzieć się musiało w duszy tej zagadkowej kobiety podczas ostatnich miesięcy. Widzi przecież, że cieszę się w tym domu względami, że mnie tu lubią, obdarzają prezentami, psują jak małe dziecko. Zauważyła z pewnością, bo i nie mogło być inaczej, iż pan Raynez jest dla mnie nadzwyczaj uprzejmy, że otacza mnie szacunkiem i darzy przyjaźnią. Dlatego serce Sary wezbrało goryczą i bólem. Uważała, że po latach wiernej, ciężkiej służby, oddania i poświęcenia spotyka ją niesprawiedliwość, na którą nie zasłużyła.

Usiadłam w fotelu, moje myśli krążyły ciągle wokół Sary. Czułam, że cierpi. W głębi duszy starałam się przebaczyć jej zło, jakie mi uczyniła. Nie jest jednak łatwo zapomnieć o wyrządzonych krzywdach.

Nagle spojrzenie moje padło na szkatułkę, w której przechowywałam najcenniejsze rzeczy. Nie była zamknięta. W pierwszej chwili pomyślałam, że otworzyłam ją sama, szukając zapalek, ale natychmiast przypomniały mi się słowa Sary. Mówiła, że trzymam brylanty w szkatułce. Skąd wiedziałyby

o tym? Kluczyki zawsze nosiłam w kieszeni, bo nie cierpię, gdy ktoś przegląda moje rzeczy. Podniosłam wieczko drżącą ręką i blada z gniewu zajrzałam do wnętrza. Śliczny podarunek pana Rayneza leżał na zwykłym miejscu, w osobnej przegródce, migocząc blaskiem tęczy. Następnie wyjęłam lewą zasuwkę, pragnąc przeczytać raz jeszcze dwa bileciki, otrzymane od pana Jerzego. Na dwie przegródki był tylko jeden! Ten, który przysłał dziś z różami — znikł. Jak błyskawica przeleciało mi przez głowę podejrzenie, a po chwili byłam tego pewna, że bilecik zabrała Sara. Po to przyszła tutaj w czasie mojej nieobecności.

Tak, to ona zakradła się dziś do pokoju. Jakimś złodziejskim sposobem musiała otworzyć szkatułkę, zobaczyć „brylanty”, a potem, chcąc się może zemścić za to, że Jane nie oddała jej listu, zabrała bilecik jako niezbity dowód mojej winy. Z pewnością wręczyła go tryumfalnie panu Raynezowi, nie przyznając się naturalnie, w jaki sposób go zdobyła. Cel tego postępku był jasny: pragnęła mnie poniżyć w oczach swego pana. Jakże to! Młoda panna potajemnie koresponduje z mężczyznami! Niegodziwa kobieta! W tej chwili przypominałam sobie, że przecież i pierwszy list pana Jerzego przeszedł najpierw przez ręce mego chlebobawcy za sprawą Sary. Paskudny ma charakter ta kobieta! Jeżeli przeczytała obie kartki, to przekonała się, że nie zawierały nic karygodnego, ale co pomyśli pan Raynez, który ich przecież na pewno nie czytał? Raz po raz wstrząsał mną dreszcz, raz było mi gorąco, raz zimno. Wszystko mogłam jej przebaczyć, nawet

wyszpiegowa- nie, że noszę list na szyi, ale nie kradzież! Nie, tego już za wiele. I przebaczenie ma swoje granice. W mojej duszy nie ma już dla niej litości. Łzy gorącego bólu trysnęły mi z oczu. Długo nie mogłam się uspokoić. Bo cóż mi przyjdzie z tego, że Sara z powrotem włoży list do szkatułki? Już go pokalały jej nienawistne oczy.

Położyłam się wreszcie do łóżka, zmęczona i nieszczęśliwa. Płakałabym dłużej, ale oczy same kleiły się do snu. Po chwili już spałam, trzymając w dłoni medalion w obawie, żeby Sara nie porwała mi tego skarbu.

Przebyte wrażenia, płacz, doznany smutek uczyniły mój sen bardzo lekkim. Nagle przebudziłam się, oblana zimnym potem. Zdawało mi się, że słyszę wyraźnie jakiś szmer w pobliżu, tak cichy, że z początku wzięłam go za wytwór zdenerwowania. Powieki opadały mi na senne oczy i byłabym zasnęła, gdy uzmysłowiłam sobie, że słabe światło w pokoju nie pochodzi od promieni wstającego słońca.

Przerażona, otworzyłam oczy. Przez chwilę leżałam bez ruchu, zdjęta śmiertelnym strachem. Za parawanem rzeczywiście paliła się świeca, rzucając na pokój migotliwe, żółte światło. Moja wina! Moja wina, szeptałam zsiniałymi ustami. Dlaczego nie zamknęłam drzwi na klucz? Ręce i nogi miałam zimne jak lód, a takie ciężkie, że nie mogłam się nawet poruszyć. To z pewnością Sara. Czego chce znowu tutaj?! Położyć list na miejscu? Niegodziwa! Ale nie śmiałam spojrzeć nawet w tamtą stronę.

Leżałam tak cicho, że doskonale słyszałam każde poruszenie Sary. Nagle szmery ustały. Pociągnęłam kołdrę na oczy i udawałam śpiącą. Po chwili poczułam światło świecy na swej twarzy, potem usłyszałam kroki, zmierzające ostrożnie w kierunku mego łóżka. Staralam się oddychać równo i spokojnie. Wiedziałam, że mogę się zdradzić, że nie śpię. Po chwili jednak ogarnął mnie lęk, dostrzegłam, że światło przybliży się szybko, ciepły płomień świecy musnął mnie nawet po twarzy. Nie byłam w stanie uczynić najmniejszego ruchu i wydobyć głosu z nerwowo ściśniętego gardła. Obca ręka dotknęła leciutko mej kołdry, a zaraz potem rozszedł się w pokoju niemiły, duszący, nieznan mi zapach.

Nie poruszyłam się, czułam, że ktoś trzyma świecę przy mej twarzy. Śmiertelnym strachem zdjęta powstrzymywałam oddech i czekałam, co będzie dalej. Każda minuta ciągnęła się dla mnie w nieskończoność. Wtem uczułam na szyi szorstką, kobiecą rękę, szukała medalionu. Ale daremnie próbowała rozerwać kurczowo zaciśnięte palce, w których ukryłam najdroższy skarb. Po chwili bezowocnych wysiłków dano mi spokój. Wkrótce jednak usłyszałam dziwny odgłos,

jaki daje przemocą wyciągany korek. Słuch mnie widocznie nie mylił, gdyż w parę sekund później poczułam mdłą, odurzającą woń, a jednocześnie rzucono mi na twarz chustkę zmoczoną w jakimś płynie... Omal nie zemdlałam!

Krzyknęłam strasznym, przejmującym głosem i na pół przytomna zerwałam chustkę z twarzy. Otworzyłam oczy. Przede mną stała Sara z ponurą, zmienioną twarzą i błyskiem nienawiści w oczach. Z jej posiniałych ust wyleciało przekleństwo. Zauważyłam, że w ręku trzyma niewielką odkorkowaną butelkę, z której wydobywał się dziwny, duszący zapach. Rzuciłam się, chcąc jej wyrwać ten podejrzany płyn, ale ruch mój widać przewidziała, bo usunęła się z wielką zręcznością i jednym skokiem znalazła się za parawanem, który trącony upadł z głuchym łoskotem. W tym momencie Sara skoczyła ku mnie jak pantera i kościstą ręką chciała chwycić medalion. Przytłumiony krzyk wydarł się z mej piersi. Prawie jednocześnie za drzwiami zabrzmiał ostry i rozkazujący głos pana Rayneza:

— Natychmiast wychodź, Saro!

Kobieta zbladła, wyraz strasznej trwogi odmalował się na jej twarzy. Stała bez ruchu, jakby przykuta do miejsca.

— Saro! Czy słyszysz? — odezwał się znowu pan Raynez z wzrastającym gniewem. — Wychodź natychmiast!

Z bladej zrobiła się zielona, ale nie żałowałam jej wcale. Ma to, na co zasłużyła. Schyliła głowę bezradnie na piersi i powoli, ciężkim krokiem skierowała się do wyjścia. Za chwilę byłam sama i natychmiast zamknęłam drzwi na klucz.

Wróciłam do łóżka i wybuchnęłam długo wstrzymywanym płaczem. Łzy mi płynęły po prostu strumieniem i nie umiałam ich powstrzymać. Uczułam nagle wielką niemoc i znużenie, nie miałam nawet siły się poruszyć i pomyślałam z przestrawieniem, że to śmierć pewno nadchodzi.

Wtem od stóp wieżyczki doszedł mnie głuchy łoskot padającego ciała i straszny krzyk kobiety. W parę minut później ktoś zapukał do drzwi.

— Panno Christie!

Poznałam głos pana Rayneza, łagodny teraz i cichy. Nie odpowiedziałam jednak.

— Panno Christie! Czy jesteś tutaj, drogie dziecko? Czy nie jest pani słabo?

Poruszył niecierpliwie klamką, ale wiedziałam dobrze, że drzwi są zamknięte. Co mam robić? Chyba mu odpowiem? Uniosłam trochę głowę i odparłam łamiącym się głosem:

— Jestem zupełnie zdrowa i dziękuję panu za troskliwość.

— A mówi pani takim cichym głosem. Może zraniła panią ta niegodziwa ko-

bieta?! — zapytał niespokojnie.

— Nie! Nie! — przerwałam prędko. — To z powodu przerażenia. Nie jestem nawet skaleczona. Opowiem panu jutro dokładnie o wszystkim, a teraz chcę tylko zasnąć i odpocząć.

— Ale ja nie mogę odejść stąd, kochane dziecko, nie przekonawszy się naocznie, że pani nic nie jest. Błagam, niech pani włoży szlafroczek i podejdzie do drzwi, abym przekonał się, że naprawdę jest pani zdrowa i cała.

— Zapewniam pana, że czuję się zupełnie dobrze. Wstać nie mogę, bo jestem osłabiona doznany przejęciem. Proszę, niech mi pan wierzy.

— Przyniosę trochę wina, ono wzmocni panią z pewnością — odpowiedział łagodnie. — Postawię pod drzwiami. Czy dobrze?

— Och, nie! Dziękuję serdecznie — odrzekłam żywo. — Nie mam odwagi wyjść z pokoju. Boję się tej okropnej kobiety. Ona chce mnie zabić! Niech ją pan oddali! — dodałam błagalnie szeptem i rozplakałam się.

— Sara nie zmać już nigdy twego spokoju, panno Christie — odezwał się z powagą pan Raynez. — Wyrzuciłem ją z domu. Jest pani bezpieczną. A najlepiej będzie, gdy zamknę na klucz schody od wieżyczki, a otworzę dopiero jutro, wczesnym rankiem.

Niezbyt podobał mi się ten projekt, ale cóż miałam robić? Podziękowałam mu grzecznie za dobroć i życzyłam dobrej nocy, raz jeszcze prosząc, aby wydalili Sarę. Powiedział, że to już rzecz postanowiona. Za chwilę usłyszałam, jak schodził ze schodów. Wyskoczyłam wtedy z łóżka, porwałam zapałki ze stołu i zapaliłam świecę. Po raz pierwszy w życiu uczułam paniczną trwogę przed ciemnością. Długo leżałam drżąc, tłumiąc oddech, wsłuchując się w szum drzew i szelest spadających liści. Nie wiem kiedy zmęczona i wyczerpana usnęłam twardo.

Nazajutrz rano właśnie otwierałam drzwi swego pokoju, gotowa już do zejścia, gdy usłyszałam zgrzyt klucza na dole schodów. To z pewnością pan Raynez odmyka drzwi mego więzienia — pomyślałam i zesłam powoli z wieżyczki. Czekał teraz na mnie u wejścia. Gdy mnie zobaczył na jego twarzy widziałam litość i obawę. Zauważyłam już przy ubieraniu, że bardzo źle dzisiaj wyglądam, byłam blada, wzrok miałam mętny i sine obwódki pod oczami.

— Nie powinna pani dzisiaj wstawać — odezwał się mój chlebodawca ze współczuciem. — Należało zostać w łóżku, śniadanie zaniesiono by pani na górę.

Zadrżałam. Przypomniłam mi się dzień, kiedy byłam tutaj chora. Obsługiwała mnie wyłącznie Sara... Za żadne skarby w świecie nie zgodziłabym się na to teraz.

— Proszę oprzeć się o moje ramię, kochana panno Christie — przemówił miękko. — Nie może pani iść o własnych siłach. Szklanka gorącej kawy dobrze pani zrobi. A potem proszę przyjść do mojej pracowni, dobrze? Opowie mi pani dokładnie, co zaszło dziś w nocy. Proszę tylko, żeby pani była łaskawa przy śniadaniu nie wspominać o niczym, to mogłoby źle wpłynąć na żonę.

W milczeniu wsunęłam mu rękę pod ramię, gdyż rzeczywiście kręciło mi się trochę w głowie. Pan Raynez troskliwie doprowadził mnie do samej jadalni i posadził w' wygodnym fotelu. Haide już była w pokoju. Podbiegła do mnie, zarzuciła mi rączki na szyję i obsypała twarz pocałunkami. Z niepokojem patrzyła na moją bladą twarz. Potem na skinienie ojca pociągnęła szeroką taśmę dzwonka. Za chwilę wszyscy domownicy zgromadzą się na modlitwę — pomyślałam. Ścisnęłam kurczowo poręcz fotela, ściągnęłam usta i powiekami przysłoniłam oczy, pragnęłam na widok Sary nie okazać żadnego wzruszenia. Pokój zapełniał się powoli, ale czułam doskonale, że tej znenawidzonej kobiety nie ma między służbą. Po skończonej modlitwie Jane zajęła jej miejsce przy stoliku z kawą. Czyżby Sary już nie było? Serce zaczęło mi uderzać żywiej.

Gdy wszyscy usiedli do śniadania, pan Raynez zabrał głos.

— Proponuję zrobić dzisiaj święto. Nauczycielka i uczennica są bardzo miżerne, jeden dzień przerwy w lekcjach dobrze im zrobi. Nie myślcie tylko

— ciągnął dalej wesoło — że ta propozycja pozbawiona jest zupełnie egoizmu. Mam trochę zaległych rachunków owej groszowej kasy oszczędności i byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby panna Christie raczyła mi na parę godzin ofiarować swą pomoc. Nie będę pani bardzo męczzył — dodał, zwracając się do mnie.

Przystąpiłam chętnie, domyśliwszy się od razu, o co chodzi. Czeka mnie ciężkie zadanie. Muszę się rozmówić z moim panem, opowiedzieć wszystko, co zrobiła Sara wczoraj.

— O której pan sobie życzy, żebym przyszła? — spytałam spokojnie.

— A jak prędko po śniadaniu pani może?

— Wolałabym za godzinę, mam pilną robotę do skończenia — odparłam z wahaniem. — Ale jeśli panu bardzo pilno...

— Nie, wcale — powiedział dość chłodno. — Zatem w mojej pracowni za godzinę? Czekam.

Wstaliśmy wkrótce od stołu. Poszłam do siebie. Zastałam tam Jane sprzątającą pokój. Zauważyłam, że mi się przygląda z dziwną ciekawością. Musiała coś usłyszeć niewątpliwie o nocnym zajściu. Lecz od kogo? Gdy skończyła, z ocią-

ganiem zaczęła się zbierać do wyjścia.

— Bardzo prędko sprzątnęłaś ten pokój — powiedziałam do niej życzliwie.
— Więc to ty dzisiaj jesteś „młodsza”?

— Tak, proszę pani — odrzekła zadowolona. — Może już tak zawsze będzie.

— Skąd ta zmiana? — spytałam z uśmiechem.

— Sara odeszła przecież, pani nie wie? — odpowiedziała szczerze zdziwiona.

— Doprawdy? — szepnęłam, nie wierząc prawie własnym uszom. Oczy mimo woli zajaśniały mi radością.

— Tak, proszę pani — zapewniła Jane. — Narobiła przy tym hałasu i krzyku. Czy pani nic nie słyszała? Sam pan Raynez ją wyrzucił. Nikt z nas nie żałuje tej jędzy, a ja to już chyba najmniej.

— Dlaczego ją wydalono? — zapytałam nagle.

Na twarzy Jane odmalowało się takie zdumienie, że o mało nie parsknęła śmiechem.

— Pani nie wie? — wyjąkała zmieszana.

— Mogę się domyślać — odpowiedziałam jej dyplomatycznie. — Ale co ona wam mówiła?

— Że to pani wszystkiemu winna — szepnęła Jane nieśmiało. — Wpadła dziś rano z wielkim impetem do kuchni i oznajmiła nam ze złością, że ani chwili dłużej nie zostanie pod jednym dachem z panią.

Widziałam, że dziewczyna ma wielką ochotę mówić dalej, sama też byłam niezmiernie ciekawa szczegółów, więc odezwałam się Zachęcająco:

— Opowiadaj dalej, Jane. Cóż Sara powiedziała jeszcze?

— Och! Proszę pani! Plotła, co jej ślina na język przyniosła — rzekła dziewczyna z oburzeniem. — Ani ja, ani kucharka nie uwierzyłyśmy jej ani słowa! Sara kłamie, wiadomo. Mówiła, że... że...

— Cóż takiego?

— Że usłyszała w nocy szmer w pani pokoju — szepnęła Jane zmieszana

— weszła na schody wieżyczki, a wtedy...

— Śmiało, Jane, śmiało — przerwałam jej zniecierpliwiona.

— Wtedy zobaczyła pana Rayneza wychodzącego od pani i... i pan się rozgniewał, że ona tam stoi...

— Co dalej? — zapytałam chłodno.

Ale Jane milczała uparcie, a jej policzki oblał rumieniec. Oczy wbiła w ziemię i zakłopotana kręciła róg fartuszka. Wpatrywałam się w nią z napięciem, pragnąc wyczytać prawdę z wyrazu jej twarzy... Naraz zakryłam dłonią oczy. Te-

raz dopiero zrozumiałam, co musiała powiedzieć im Sara. Przez parę minut nie byłam w stanie wymówić ani słowa, głos więznął mi w krtani i uczułam dotkliwy ból w sercu. Odetchnęłam nareszcie głęboko, muszę przecież wyprowadzić z błędu tę dziewczynę.

— W tym, co mówiła Sara, nie ma słowa prawdy — odezwałam się silnym i stanowczym głosem. — Za to nie wspomniała wam z pewnością, że kiedy spałam, chciała mi ukraść medalion, który noszę na szyi. A ponieważ się bała mego przebudzenia, więc zarzuciła mi na twarz chustkę, zmoczoną jakimś odurzającym płynem. Wtedy krzyknęłam głośno. Pan Raynez zapewne musiał to usłyszeć, bo w chwilę potem był pod drzwiami i rozkazał wyjść Sarze natychmiast. Patrz — dodałam, wyciągając z szuflady dowód winy Sary — to właśnie ta chustka.

Ze wstrętem odrzuciłam ją w najdalszy kąt pokoju. W powietrzu rozeszła się przykra i dusząca woń. Jane słuchała moich słów z przejęciem.

— Ach, jak ja się cieszę, proszę pani — powiedziała uradowana. — Sara opowiadała jeszcze, że pan Raynez zrzucił ją ze schodów. Twarz ma naprawdę pokrzwawioną i spuchniętą, ale wiem teraz, za co ją spotkała ta nauczka. Czułam zawsze, że to bardzo zła kobieta. Źle jej z oczu patrzy. Nie uwierzyłyśmy też wcale jej bredniom. No! Teraz obie z kucharką będziemy miały używanie! Dzięki Bogu, że odeszła. Dokuczyła nam do żywego, stara sekutnica.

Przez parę chwil jeszcze Jane uskarżała się, mówiąc o wszystkich przykrościach, jakie znosiła od Sary, a kiedy wyżałiła się, dygnęła i lekkim krokiem wybiegła z pokoju.

Więc ta znieawidzona Sara naprawdę odeszła. Ale przedtem zdążyła się zemścić. Potrafiła rzucić cień na moją cześć. Nikczemna! A może po tym wszystkim pan Raynez zlituje się nad nią i pozwoli jej zostać przez pamięć wiernej, długoletniej służby. Ha! W takim razie nawet dnia jednego nie spędzę tu z nią razem. Wstałam szybko, zza szafy wyciągnęłam kufer, kosz, walizki i z gorączkowym pośpiechem zaczęłam się pakować. Machinalnie prawie zajrzałam do owej nieszczęsnej szkatułki. Na dnie leżały teraz dwa bileciki. Za chwilę powiem memu chlebodawcy, że zostać tu dłużej nie mogę i proszę o konie na wieczorny pociąg. Czułam, że wyjeżdżać z Alders będę z żalem, przywiązałam się przecież do Haide, lubiłam rozmowy i muzykowanie z moim panem Raynez i... Był jeden jeszcze, najważniejszy chyba powód, dla którego nie chciałam wyjeżdżać ale... trudno. Nie mam wyboru. Nie z samych róż życie się składa, każdą chwilę szczęścia trzeba okupić cierpieniem. Pokój, który tak lubiłam, stał mi się wprost

nieznośnym i chociaż teraz było w nim jasno i słonecznie, nie mogłam się pozbyć dziwnej trwogi za najłżejszym szmerem.

Postanowiłam wyjechać, ponieważ Sarę przeze mnie wydaloną, a z ust pana Rayneza nieraz słyszałam o wielkich jej zasługach dla tego domu. Uznałam, że słuszniej będzie, jeśli to ja się usunę. Nauczycielek jest dużo. Państwo Raynez mogliby żałować służącej, do której się przyzwyczaili. Ja spędziłam tutaj tylko dwa miesiące. Kto wie, może wypłacą mi część należnej pensji. Gdyby nie, to jeszcze na podróż mam środki, bo wuj na wyjeźdny dał mi 20 szylingów.

Tak rozmyślając, gorączkowo skończyłam pakowanie i ze ściśniętym sercem zesłam na dół. Teraz do pracowni. W kieszeni trzymałam kurczowo chusteczkę, którą mi na twarz zarzuciła Sara. Był to dowód, że to, co powiem, jest prawdą.

Przed drzwiami pracowni stanęłam wzruszona i po chwili wahania lekko zapukałam.

— Proszę — odezwał się dobrze znany głos.

Gdy weszłam, pan Raynez powstał i skinieniem ręki wskazał mi wygodny fotel przy kominku. Poprosił, żebym zaczekała chwilę, gdyż musi jeszcze rozmówić się z Samem, i wyszedł. Na wielkiej, białej skórze spał prześliczny dog, ulubieniec pana domu. Uklękałam przy nim na puszystym futrze i zaczęłam głaskać miękką sierść zwierzęcia. Nagle, odwróciwszy głowę, spostrzegłam z przerażeniem Sarę.

W mgnieniu oka zerwałam się z kolan, z piersi mimo woli wyrwał mi się słaby okrzyk, gwałtownym ruchem chwyciłam taśmę dzwonka.

— Nie trzeba! — syknęła Sara tak stanowczo, że machinalnie opuściłam rękę. — Niech pani zechce mnie wysłuchać — rzekła. — Może pani być spokojna: nie ruszę się z miejsca. Zresztą, lada chwila powróci pan Raynez, bo przecież nie zostawi pani długo samej — dodała zjadliwie i umilkła nagle. — Nie zrobię pani nic złego — szepnęła po chwili głosem niezwykle łagodnym. — I nie miałam nigdy takiego zamiaru — ciągnęła dalej gorączkowo. — Czy pani myśli, że listy chciałam ukraść? A cóżby mi z tego przyszło?! Ja pani powiem prawdę: chciałam je tylko przeczytać, bo z natury jestem ciekawa. Od dziecka byłam taka, a nikt mi nie powiedział za to złego słowa. Pani się najwięcej gniewa o tę chustkę, wiem o tym doskonale, i myśli pani, że ten zapach mógł ją udusić?... To nieprawda! Od tego tylko zasypia się mocno, a ja właśnie chciałam wtedy przeczytać bilecik, który pani tak chowa. I byłabym go włożyła na to samo miejsce. Ja pani przecież nie chciałam przestraszyć i teraz żałuję. Przebaczy mi pani?

Powiedziała te słowa takim ostrym tonem, że zakipiałam z gniewu.

— Nie! Nie mogę przebaczyć! — odparłam wzburzona. — Nie wierzę ci, Saro. Nie wiem, czy list chciałaś zabrać, czy przeczytać, ale pamiętam dobrze wyraz twoich oczu. Te oczy mówiły, że chcą zabić! — dodałam, patrząc jej prosto w oczy. — O, nie! Nie mam siły ci przebaczyć! Tyś uczyniła coś jeszcze gorszego — zawołałam, drżąc z gniewu. — Targnęłaś się nie tylko na moje życie, ale i na moją cześć... Powiedziałaś w kuchni, że pan Raynez był u mnie w pokoju! Wiesz dobrze, że to jest ohydne kłamstwo!

— O! widzę, że już Jane zdążyła otworzyć swoją piękną buzię! — mruknęła szyderczo. — Nawet mi przez głowę nic podobnego nie przeszło! Ona tak zawsze! To łgarz pierwszej wody, proszę pani.

Nie wiedziałam, co jej na to odpowiedzieć. Ale nie zdawało mi się, żeby Jane była zdolna wymyślić coś tak okropnego, przeciwnie, jasna, szczerą twarz dziewczyny stokroć więcej budziła we mnie zaufania niż ponure spojrzenie Sary.

— To nieszlachetnie, panno Christie, być tak niedobłą i twardą dla biednej służącej — zaczęła znów Sara. teraz już pokornym tonem. — Nie zapieram się, że byłam zazdrosna o panią i przyznaję się do tego. Listy chciałam ukraść, żeby je pokazać panu i powiedzieć, że pani dostaje od młodych mężczyzn bileciki. Wiem, że źle postąpiłam, pokornie przepraszam panią za to. Ale teraz niech pani pomyśli. Służyłam wiernie siedem lat u państwa Raynez i mam odejść przez panią?

— Mylisz się, Saro — odparłam spokojnie. — Nie przyczyniłam się do tego wcale.

— Jak to? Pani nie cierpi mnie przecież, wiem dobrze!

— Z początku było inaczej — odpowiedziałam jej chłodno. — Ty jednak starałaś się okazywać mi na każdym kroku, że mnie nienawidzisz, zatrulaś mi niejedną chwilę, usługiwałaś z wyraźną niechęcią. Trudno lubić kogoś za to. A o twym odejściu dowiedziałam się od Jane dzisiaj rano. Pytałam jej, dlaczego sprząta zamiast ciebie mój pokój.

Czułam, że się rumienię przy tych słowach, ale nie mogłam powiedzieć jej przecież, że pierwszą zapowiedź odejścia słyszałam jeszcze w nocy, od pana Rayneza.

—Więc to nie pani mnie wypędza?

— Żartujesz chyba, Saro — rzekłam zniecierpliwiona. — Czy ja rządę tutaj? A zresztą, nic mnie to już nie obchodzi, czy zostaniesz na miejscu, czy odejdziesz, bo dziś wieczornym pociągiem jadę do Londynu. Rzeczy już zapakowane.

Zauważyłam zdziwienie na jej twarzy. Po chwili wybuchnęła ostrym, nieprzyjemnym śmiechem.

— Pani nie pojedzie — odparła, strojąc jakieś głupie miny.

— Więc idź na górę i zobacz! — przerwałam rozgniewana.

— Czy pani powiedziała o tym panu? — rzekła chłodno.

— Nie jeszcze. Teraz powiem.

— A więc błagam panią — szepnęła bardzo cicho — błagam serdecznie, niech się pani za mną wstawi, niech pan Raynez pozwoli mi zostać! Sama pani mówiła, że jej wszystko jedno... a mnie... a dla mnie... to... to znaczy wiele.

— Powiedzieć mogę — przemówiłam trochę łagodniejszym głosem

— ale wątpię, czy to cokolwiek pomoże. Jestem tutaj obca. Twoja własna prośba i szczerza skrucha z pewnością więcej znaczą niż moje wstawiennictwo. — Sara spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem, nie odrzekła jednakże ani słowa. — To zresztą jest zupełnie naturalne — dodałam — przecież mówiłaś sama, że służyysz tu wiernie od dawna.

Dotknęły ją widocznie moje słowa, bo gniewny błysk zajaśniał w jej namiętnych oczach. O co znowu mogła się obrazić?

— Proszę panią raz jeszcze o łaskawe wstawienie się za mną — odezwała się po chwili ciszej, nie patrząc na mnie wcale. — To nic nie szkodzi, że pan Raynez zna panią tak krótko.

Wzruszyłam ramionami. Wszystko mi jedno, skoro wyjeżdżam. A wstawić się za nią mogę.

— Dobrze więc. Poproszę pana Rayneza — odpowiedziałam po chwili wahania.

— Obiecujecie pani? — spytała z dziwnym blaskiem w oczach. — Ja wiem, że państwo zawsze dotrzymują słowa. Błagam, niech pani jeszcze raz powie „obiecuję”, a będę o sobie spokojna. Proszę!

Och! Bardzo jej musi zależeć na mojej prośbie, jeżeli raczyła porównać mnie z „państwem”.

— Przyrzekam ci — rzekłam sucho.

Myślałam, że mi zacznie gorąco dziękować, widziałam przecież, jak bardzo pragnie uzyskać ową obietnicę. Tymczasem stało się inaczej. Zaledwie wymówiłam słowa przyrzeczenia, na ustach Sary pojawił się dawny, szyderczo-ironiczny wyraz, w oczach był tryumf, pokora zniknęła bez śladu. Wyprostowała się dumnie i powiedziawszy chłodno i obojętnie dziękuję, szybko wyszła z pokoju.

Odetchnęłam. Rada byłam, że nie okazałam się dla niej zbyt twarda. W parę

minut później drzwi lekko skrzypnęły i na progu stanął pan Raynez. Nie wspomniałam ani słowa o wizycie Sary, ani o swoim odjeździe, gdyż od razu zabraliśmy się do sumowania długich kolumn cyfr i sprawdzaliśmy rachunki Kasy Oszczędności. Zdawałam sobie doskonale sprawę, że tę robotę sam wykonałby z łatwością, że to był tylko pretekst do przzerwania lekcji z Haide, a wszystko dlatego, że wyglądałam dziś trochę mizernie. Pan Raynez ma naprawdę dobre serce, pomyślałam z wdzięcznością. Po skończonej pracy kazał mi usiąść w fotelu i zmusił mnie do wypicia szklanki wina z wodą. Zaczynałam się lękać, że nie tak łatwo przyjdzie mi uzyskać zgodę na natychmiastowy wyjazd.

— Czy się pani uspokoiła już trochę po nocnych przygodach?—zapytał z dobrocią.

— Niezupełnie. Jestem zdenerwowana — odparłam cicho, uważnie przyglądając się paznokciom.

— To naturalne. Ale mam nadzieję, że zapomni pani prędko o tym wszystkim, otoczona naszą troskliwą opieką. Z podwójną życzliwością czuwać będę nad panią — dorzucił zmienionym trochę głosem.

— Życzliwości większej nad tę, której tu doznałam, nie mogę sobie nawet wyobrazić — odpowiedziałam szczerze, patrząc mu z wdzięcznością w oczy. — Ale zdarzają się rzeczy — ciągnęłam dalej nieśmiało — o których przeciętny człowiek zapomnieć nie może, chyba będąc daleko od miejsc, w których zaszły. Proszę — szepnęłam błagalnie, składając ręce — niech pan nie myśli, że nie umiem docenić dobroci, jaką mi okazywano w tym domu, że jestem kapryśna, ale... spakowałam rzeczy i przyszedłam tutaj prosić pana

o zwolnienie mnie z umowy i o konie na wieczorny pociąg do Londynu. Niech pan się tej mojej prośbie nie sprzeciwia, bo... jeśli jedną noc jeszcze prześpię w swym pokoju, to... zwariuję!

Odetchnęłam ciężko i umilkłam. Już wie wszystko. Lecz co mi odpowie?

Pan Raynez powoli wstał ze swego miejsca i usiadł tuż przy mnie.

Zapanowała kłopotliwa cisza.

— Nie zrobisz tego, drogie dziecko — szepnął — nie zrobisz przez wzgląd na nas.

— Ależ ja muszę jechać, muszę naprawdę! — przerwałam mu zrozpaczona, że trafiam na opór. — Pan nie wie, bo ja bym nawet nie umiała opowiedzieć — mówiłam dalej gorączkowo — co czułam w chwili, gdy jej ręka dotknęła mej szyi. Od razu zrozumiałam, że ona chce mnie zabić! A chustkę, którą mi rzuciła na twarz, oblała jakąś nieznaną trucizną. Utrzymuje wprawdzie, że ta woń duszą-

ca usypia tylko, ale ja nie wierzę.

Niech pan sam osądzi. Oto chustka. — To mówiąc, ze wstrętem wyciągnęłam ją z kieszeni.

— Sara powiedziała prawdę — odparł po chwili. Zauważyłam, że głos drży mu lekko. — Ten płyn to chloroform. Musiała go zabrać z mojej apteczki.—Tak, drogie dziecko, to uspiłoby cię tylko. A zatem nie chciała ci zrobić nic złego. Nie wierzę, żeby chciała popełnić zbrodnię. Czy pani wie, dlaczego ona to zrobiła? — zapytał nagle.

— Tak — odrzekłam żywo. — Z jej własnych ust. Chciała z medalionu, który mam na szyi, wyjąć list... od... od... pewnego mego przyjaciela.

— Obląłam się silnym rumieńcem, bo właśnie w tej chwili przypomniało mi się wszystko, co Sara mówiła mu o tym wtedy, gdy podsłuchiwałam.

— Podobno miała ochotę tylko go przeczytać. Mniejsza zresztą o to — szepnęłam trochę ciszej. — Przebaczyłam jej wszystko i obiecałam nawet, że prosić będę pana o pozostawienie jej tutaj. Mówiłam jej wprawdzie od razu, że moja prośba bardzo niewiele może znaczyć, ale nie dała się przekonać i musiałam jej przyrzec, że to zrobię.

— Dlaczego pani zgodziła się na to?

— Bo nie może być przecież inaczej! — odparłam z prostotą. — Naturalnie, nie byłabym może ustąpiła tak łatwo, gdybym nie miała pewności, że sama stąd wyjadę. Ja muszę wyjechać — wyszeptałam błagalnie.

— Nie będę przecież zatrzymywał pani gwałtem, niech pani jedzie, jeśli jej postanowienie jest nieodwołalne — rzekł szorstko. — Alders wprawdzie bez ciebie, dziecko, straci cały urok i teraz już naprawdę podobne się stanie do grobu — zaczął po chwili łagodnie, a mnie mimo woli łzy napłynęły do oczu. — Ciemno nam będzie tutaj bez twojej jasnej, słodkiej twarzy, pusto i głucho bez srebrnego głosu, którym rozweselałaś to smętne ustronie. Nie może pani jednak jechać dzisiaj. Niech się pani tylko zastanowi. Za kilka dni aż huczeć będzie w okolicy, że nauczycielkę Haide traktowaliśmy w tak okrutny sposób, iż uciekła pewnego pięknego poranka. A nasz wspólny znajomy pan Jerzy (czemu pani spiekła raka?), oskarży mnie z pewnością o jakieś mordercze zamiary względem pani. Na cztery strony świata głośić będzie, że wysłużyła pani sobie męczeńską koronę w moim domu. O jednym jeszcze niech pani pomyśli, mówię jak szczerzy, oddany przyjaciel: po takiej awanturze będzie pani bardzo trudno znaleźć gdzieś miejsce. Bo jaki poda pani powód zerwania umowy? Nie uwierzą żadnemu, i przylgnie do pani miano histeryczki. A teraz życzliwa rada: niech pani zostanie

do trzech miesięcy. Jeśli po upływie tego czasu zechce pani odjechać, nikt z nas jej zatrzymać nie będzie, daję pani słowo. Będziemy jednak tęsknić za panią.

Ostatnie słowa wymówił bardzo cicho, był wyraźnie wzruszony. Czułam się wstrząśnięta jego serdeczną dobrocią. Przewidział wszystko i ma najzupełniejszą słuszość. Toteż po chwili krótkiego wahania przystałam na tę propozycję. Zostaję zatem, choć trochę niechętnie. Chciałam mu się odwdzięczyć tylko za opiekę, którą tak troskliwie roztacza nade mną. Ponowiłam prośbę o niewydalanie Sary. Po namyśle zgodził się. Przyznaję, że miałam nadzieję, iż stanie się wprost przeciwnie. Poprosiłam jeszcze, żeby odtąd Jane pełniła przy mnie te wszystkie posługi, które należały do Sary.

Doznałam dziwnie przykrego ukłucia, gdy Sara, dowiedziawszy się, że także zostaję, odezwała się szyderczo, z niemiłym uśmiechem:

— Wiedziałam, że tak będzie.

Udałam, że nie zauważyłam niegrzecznego tonu.

— Dotrzymałam obietnicy, Saro — powiedziałam spokojnie. — Prosiłam pana Rayneza, żeby cię zostawił.

— No i zostaję — szepnęła z ironią.

Spojrzałam jej w twarz. Nie zauważyłam w niej cienia życzliwości dla mnie. Owładnęło mną dziwne i przykre uczucie, poczułam strach i bezmierną trwogę. Pięć tygodni spędzić mam pod jednym dachem z tą kobietą! Sama sobie zgottałam tę mękę!...

14

Reszta dnia upłynęła mi na gorączkowej pracy przy transparencie. Był już prawie skończony. Spodziewałam się, że dziś pod wieczór zjawi się po niego pan Jerzy. Myliłam się jednak, nikt nie przyjechał. Nazajutrz był czwartek. Jakoś przed wieczorem skończyłam szczęśliwie swoją robotę. No, teraz może go zabrać w każdej chwili! Nie wychodziłam dziś z Haide na poranny spacer, bo ją to zanadto męczyło, więc po skończonych lekcjach z lekkim sercem wybiegłam z książką do mojej samotni. Nie byłam tu wczoraj, ze względu na panującą tego dnia wilgoć. Pan Raynez przestrzegwał mnie, że po tylu przejściach mogłabym złapać jakąś niepożądaną chorobę.

Z daleka już dojrzałam Monę, której główka wychylała się spośród srebrnych łądyg trzciny, porastającej tuż nad brzegiem stawu. Tym razem nie siedziała jak zwykle pod mostem, ale blisko mego gniazdka. Śpiewała coś słabym głosem. Kiedy się zbliżyłam, spostrzegłam od razu, że mała bawi się podartymi kawałkami papieru. Gdy mnie zauważyła, zerwała się z oznakami lęku i rzuciła pomiędzy trzciny. Krzyknęłam z przestachu. Zniknęła mi zupełnie z oczu, z łatwością przecież mogła wpaść do wody albo na zawsze zostać w lepkim błocie. Bez tchu pobiegłam do miejsca, gdzie niedawno siedziała, i ostrożnie zaczęłam rozchyłać gęste trzciny. Znalazłam ją bardzo szybko. Gramoliła się z błota, opierając o kawałki pokruszonych cegieł i chwytając twardych łądyg. Wokoło leżały rozsypane kawałki papieru. Widziałam, że stara się zachowywać cicho, ale skoro tylko mnie ujrzała natychmiast zaczęła krzyczeć, płakać, chciała się ukryć w sitowiu. Nie witała mnie w ten sposób nigdy jeszcze. Przyszło mi do głowy, że chyba coś zbroiła. Schyliłam się szybko i podniosłam z ziemi parę kawałków papieru, którymi się bawiła. Poznałam drobne, znane pismo. Domyśliłam się, że Mona musiała znaleźć list Jerzego do mnie.

Jak nieprzytomna rzuciłam się do zbierania zabłoconych resztek bileciku. Zapadłam się po kostki w lepłą mądę, lecz nie zwracałam na to najmniejszej uwagi. Pozbierałam troskliwie wszystkie kawałki i odebrałam małej te, które trzymała w zaciśniętej ręczce. Potem zajrzałam do mojej samotni i tam znalazłam jeszcze kilka, a także rozdartą kopertę. Czerniał na niej wyraźny napis: ***Dla panny Christie***. Wróciłam do Mony, dałam jej porządnego klapsa i odprowadziłam do domu. Jane zaniemówiła na jej widok. Pobiegłam do siebie, drzwi zamknęłam na klucz i zaczęłam swój skarb ostrożnie składać na stole. Złożenie w całość tych wszystkich porwanych kawałków kosztowało mnie dużo pracy. Zaczynało już się ściemniać, kiedy nareszcie ułożyłam wszystko jak należy.

Droga panno Christie! Tak o panią jestem niespokojny, że nie mogłem się powstrzymać od napisania tego listu. Chciałbym wiedzieć, czy prawdą jest (tu brakowało kawałka) ten wypadek i że pani jest obecnie chora, pokaleczona? Jeżeli pani czuje się zupełnie zdrowa to może byłaby pani tak dobra i przyszła jutro do lasu ze swą uczennicą, żebym mógł ujrzeć ją choć z daleka i przekonać się naocznie, iż (znowu brakujący kawałek) kładę tę kartkę w gniazdku, bo wiem, że pani przychodzi tu co dzień wieczorem.

***Szczerze oddany przyjaciel
Jerzy Reade***

Spojrzałam na datę. Wtorek! A dziś mamy czwartek! Więc wszystko przepa-
dło! Chodziło właśnie o wczorajszy ranek. Ach! Czemuż nie wymknęłam się tu
wczoraj! Nie trzeba było słuchać pana Rayneza. Pójdę do lasu jutro rano, ale to
nie zda się na nic. Za późno. Nie będzie go tam z pewnością, bo myśli, że jestem
słaba i nie mogę wychodzić.

Następnego ranka z bijącym sercem wzięłam za rączkę Haide i skierowa-
łyśmy się w stronę lasu. Kwadrans już może trwała ta przechadzka, wszędzie
pusto, cicho. Postanowiłam wracać, gdy spomiędzy drzew dobiegła nas głośna
rozmowa, a po chwili w alei ukazała się pani Reade z moim panem, zatopieni w
niezwykle przyjacielskiej pogawędce. Zauważyłam, że od pewnego czasu ta sza-
nowna matrona w rozmowie z moim chlebodawcą przestała przybierać jakieś
„wyższe” tony, przeciwnie, z wielką uprzejmością zatrzymywała się teraz po na-
bożeństwie przed bramą kościoła, żeby z nim zamienić kilka słów. Jej córki stale
jednak udawały, że nas nie dostrzegają. Nie wiedziałam jednak, że pan Raynez
bywa w Geldham Hall, i że z panią Reade są na takim stopniu zażyłości. Dumna
dama opierała się z wdziękiem na jego ramieniu i śmiała się z czegoś swobodnie,
zupełnie inaczej, niż nakazywało jej dotąd urodzenie.

Zawróciłyśmy szybko w stronę domu, nie chcąc być dostrzeżone.

Nazajutrz obudziłam się dziwnie radosna. Wieczorem czekała mnie miła roz-
rywka — zebranie organizatorów kiermaszu u pani Manners. Dzień dłużył mi się
nieskończenie. Gdy zbliżyła się nareszcie upragniona godzina, ubrałam się i po-
biegłam na spotkanie. Pani Manners przyjęła mnie bardzo uprzejmie (nadzwyc-
zaj miła i sympatyczna osoba) i przedstawiła zaraz pannom Reade, które już by-
ły w salonie. Starsza niedbale i chłodno podała mi rękę, młodsza — z wystraszo-
ną miną — końce palców. Staralam się również przybrać obojętny wyraz, zdaje
się, że mi się to doskonale udało. Obie podziękowały mi konwencjonalnie za trud
i pracę przy transparencie dodając, że nigdy nie ośmieliłyby się obarczać mnie tą
pracą, ale brat nalegał. Potem zaczęły coś żywo opowiadać pani Manners, do
mnie nie zwracały się wcale, jakby mnie nie było w pokoju. Serdecznie je nie-
nawidziałam w tej chwili i modliłam się w duchu, żeby ktokolwiek jeszcze przy-
szedł. Bóg wysłuchał widocznie mojej gorącej prośby, bo po chwili do salonu
wtoczyły się dwie okazałe damy w średnim wieku. Gdy mnie przedstawiono,
zdawały się niezbyt zadowolone z takiej znajomości. Dowiedziałam się zaraz, że
na jutrzejszą sprzedaż przygotowały całą kolekcję lalek przeróżnej wielkości w
narodowych strojach. Panny Reade rozmawiały z nimi z umiarkowanym chło-

dem, nie wiem dlaczego. Potem przyszła przystojna, młoda panna, ładnie ubrana, zgrabna, o sympatycznym spojrzeniu wielkich, siwych oczu, ale z nią nie raczo-
no się wcale zadawać. Objasniono mnie potem, że jest to córka rządcy jakiegoś
majątku i z tego powodu nie jest przyjmowana w Geldham Hall. Spotykają się z
nią jedynie u proboszcza, na neutralnym gruncie.

Zaczęła się nudna, ogólna rozmowa. Przekonałam się bardzo prędko, że owo
„towarzyskie zebranie” to zupełnie nie to, co sobie wyobrażałam. Wy krygowane
miny, sztywne ruchy, dyskretne aluzje i spojrzenia przeplatane dysputami na te-
mat parafialnej moralności, zepsucia w wielkich miastach, niedzielnej szkoły,
złych produktów w sklepie starego Boggesa i osamotnienia pani pastarowej z
powodu licznych zajęć małżonka! Nie! To nie jest zajmujące! Znudzona, wsta-
łam cicho i wymknęłam się do oddalonego kąta salonu. Nikt tego nie zauważył.
Niepostrzeżona mogłam swobodnie zasiąść przy zarzuconym fotografiami stoli-
ku, przeglądać leżące albumy. Niedługo jednak korzystałam z ciszy, bo wkrót-
ce wszedł do pokoju pastor Manners i powstało lekkie zamieszanie. Wszystkie
zebrane panny i panie uśmiechały się do niego i jednocześnie zasypywały gra-
dem pytań. Odpowiadał z dobrocią, a kiedy uciszyło się trochę, oznajmił uroczy-
ście, że na jutro zapowiada się śliczna pogoda i że kiermasz powinien przynieść
znakomity dochód. Po chwili zbliżył się z uśmiechem do mnie i spytał, czemu
siedzę tak samotnie. Odpowiedziałam, że prawie nie znam tego towarzystwa i że
pragnęłam obejrzeć fotografie. Przysiadł się i z wielką uprzejmością objaśniał
kto jest na fotografiach. Potem pokazał mi prześliczne reprodukcje widoków Alp
i Szwajcarii. Zauważyłam, że zebrane damy obrzucają mnie spojrzeniami pełny-
mi gniewu i zazdrości.

Poproszono na herbatę. Uprzejmy pastor wskazał mi miejsce koło siebie, co
wywołało niezadowolenie zgromadzonych. Udałam, że tego nie spostrzegam. Po
herbacie pastor udał się do swej pracy, a panie wróciły do salonu. Zaczęłyśmy
pisać numery na biletach. Już nie pamiętam, ile ich było, wiem tylko, że było du-
żo omyłek, wiele biletów miało jednakowy numer. Pierwsza skończyłam wyzna-
czoną mi pracę. Pani Manners zaproponowała mi, żebym poszła na górę obejrzeć
fanty. Pozostałe panie już je widziały. Przystałam chętnie i po chwili podziwia-
łam nagromadzone przedmioty.

— Czy Alders to jest pierwsza pani praca? — zapytała pani pastarowa.

— Tak — odparłam zdziwiona tą nagłą zmianą tematu.

— Praca nauczycielki jest ciężka i nieraz niebezpieczna — szepnęła.

— Dotąd nie doświadczyłam tego — odpowiedziałam z uśmiechem.

— Widocznie mam szczęście.

Pani Manners spojrzała na mnie badawczo. Czułam, że się rumienię.

— Przyzna pani — odezwała się cicho po chwili namysłu — że nie z każdym żyć można jednakowo. W jednej rodzinie łatwiej, w innej trudniej. I nigdy nie można przewidzieć, jak trafimy. Dlatego nie należy w życiu nic robić bez zastanowienia.

Przypomniałam sobie, że chciałam opuścić Alders. Pod powiekami zamajaczyła mi ponura twarz Sary.

— Pani ma rację!

Spodobały jej się moje słowa. Popatrzyła na mnie z uwagą i szepnęła jakby do siebie: — Szczera, uczciwa twarz.

Krew napłynęła mi do twarzy! Co to znaczy? Co ona przez to pragnęła wyrazić?

— Pani już nie ma ojca i mieszkała pani z matką? — zagadnęła z życzliwością. — Czy pisuje pani do niej?

— Naturalnie!

— Zatem w każdym wypadku może pani liczyć na jej radę i doświadczenie?

Zawahałam się z odpowiedzią. Od najmłodszych lat powtarzano mi zawsze, żeby starać się ją oszczędzać, żeby jej nie niepokoić. Tałam więc przed mamą wszystko zło, jest taka delikatna i tyle już w życiu przeszła.

— W razie jakichś powikłań natury moralnej liczyć mogę tylko na siebie, proszę pani. Zdrowie mamy nie pozwala mi obarczać jej kłopotami. Ale mam nadzieję, że sama dam sobie radę w życiu.

Objęła mnie bardzo poważnym spojrzeniem, i powiedziała po chwili z wahaniami:

— Myślę, że pani nie weźmie mi za złe tej rozmowy. Nie robię tego przez prostą ciekawość, ale mnie i męża bardzo obchodzi pani los. Taka młoda, niedoświadczona i już tułać się pani musi po świecie. Mąż robił mi wymówki, że zaniedbuję panią. Ale pani Raynez jest tak dumna i wyniosła, że nie sposób nawiązać jakiegokolwiek serdecznego kontaktu. Chciałam tylko pani powiedzieć, że gdyby pani potrzebowała kiedykolwiek przyjacielskiej rady, to z całym zaufaniem może się pani zwrócić do mnie, a jeśliby mój sąd nie wystarczał, może się pani zwrócić do mego męża, osoby duchownej.

Podziękowałam jej ze łzami w oczach za dobroć. Przedtem wyczuwałam niechęć gdy rozmawiała ze mną, teraz była dla mnie jak matka. Nie przypuszczałam, żebym miała skorzystać z jej dobroci. Ona nie wie, że sytuacja w Alders

spowodowana jest chorobą umysłową pani domu, a ja nie mogę jej tego powiedzieć.

Zeszliśmy na dół; resztę wieczoru wypełnić miała muzyka. Owe dwie otyłe damy zaczęły śpiewać chropawym głosem jakąś włoską piosenkę, ale mogłabym dać głowę, że jej nie rozumiały. Z przymkniętymi powiekami słuchałam namiętnych słów, na śpiewaczki wołałam nie patrzeć. Potem starsza panna Reade siadła do fortepianu i zagrała *Fantazję C-minor* Mozarta. Grała ją bez uczucia i tak jednostajnie, że dopiero przy końcu mogłam poznać, co to. Następnie młodsza wybęgnięła *Galop de Salon*. Później panna Lane, córka rządcy, zaśpiewała dźwięczną piosenkę *Dziewczyna z Arkadii*. Pani Manners zdążyła szepnąć mi przedtem do ucha, że to byłoby wcale ładne, gdyby nie słowa bez sensu. Przyznałam jej słuszość. Potem ja zbliżyłam się do fortepianu. Na ten popis wybrałam cudowne *Arabesque* Schumanna. Spostrzegłam jednak zaraz, że wszystkie panie są mocno zgorzzone tym, że gram z pamięci.

— Nie lubię tego rodzaju wykonania — dobiegł mnie szept starszej panny Reade. — Tak znaczną różnicę między forte i piano uważam za przesadę i brak zrozumienia ducha kompozytora.

Myślałam, że wybuchnę śmiechem, potrafiłam się jednak opanować w porę. Paradne dowodzenie i zdumiewająca logika. Spuściłam oczy na klawisze.

Kiedy znowu podniosłam powieki, spotkałam poważny wzrok pana Jerzego. Przez chwilę nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. Pobladłam i zaledwie zdołałam uderzyć ostatnie, cichnące akordy. Potem powoli odsunęłam krzesło i podałam mu drżącą rękę. Uścisnął ją krótko, lecz mocno. Oczy wszystkich zebranych skierowane były na nas, a ciekawe uszy. łowiły każde słowo.

— W Hall doszła nas smutna wiadomość, że pani jest tak osłabiona, że nie weźmie udziału w jutrzejszej zabawie — powiedział z pozornym spokojem.

— Wcale nie byłam chora! — przerwałam z żywością. — Tylko jedna ze służących bardzo mnie przestraszyła. Weszłam po ciemku do swojego pokoju i zastałam ją przewracającą w moich rzeczach. Pan Raynez zrobił jej z tego powodu ogromną awanturę.

W salonie panowała uroczysta cisza, goście z zapartym tchem słuchali o mej nocnej przygodzie. Byłam zadowolona, że słyszą to z moich ust, bo czułam, że w okolicy opowiadają sobie niestworzone rzeczy.

Pani Manners zbliżyła się do nas i poprosiła pana Jerzego o pomoc w jutrzejszym dniu. Zgodził się chętnie. Zastrzegł jednak, że nie będzie wiązał mioteł i miotełek jak ostatnim razem.

— Słyszałem, że w tym roku kiermasz zapowiada się imponująco

— powiedział pan Reade po chwili milczenia.

— Obawiamy się, że nie wszystko uda się sprzedać z powodu braku kupujących... Lady Mills wprawdzie obiecała przywieźć mnóstwo swych znajomych i sama zrobić ma duże zakupy, ale... Bóg raczy wiedzieć, czy nie zapomniała. Mieli przyjechać także z Beaconsburgh.

Nagle pastorowa umilkła. Wszyscy obecni wiedzieli, że stary pan Reade obiecał sprowadzić stamtąd licznych gości...

— Nie podoba się ludziom — ciągnęła z wahaniem pastorowa — że ta zabawa przeznaczona jest w końcu dla ludu i drobnych mieszczan z okolicy, a nie dla ziemiaństwa i paniczów z Londynu. Nie życzyłabym sobie, żeby młodzi panowie przywiezieni przez lady Mills zawierali znajomość z dziewczętami ze wsi.

— Ręczę za tych panów. Może być pani spokojna — zapewnił pan Reade stanowczo.

— To wszystko są uczciwe, porządne dziewczyny — mówiła dalej zakłopotana — te z pierwszej klasy, ze szkoły niedzielnej, mają jutro usługiwać.

— Najstarsze? Niech pani nie obawia się niczego.

— Panowie przyjadą tu głównie, żeby się zabawić — dodała pani Manners. — Boję się, że będą nadskakiwać pięknym sprzedającym, zabawiać je i może być mały obrót.

— Niechże pani niczego nie przesądza — rzekł z zabawną powagą pan Jerzy. — Biorę tych panów na siebie. Będę pilnował, żeby sprzedające damy czas swój poświęciły wyłącznie na obsługiwanie klientów.

Pani Manners spojrzała na niego badawczo. Nie wiedziała, czy słowa pana Jerzego ma brać na serio.

— Ciężka praca czeka pana jutro, jeśli się pan zjawi — odezwała się wreszcie. — Musi pan dawać dobry przykład londyńskim dżentelmenom.

— Właśnie mam taki zamiar — odparł pan Reade wesoło i zbliżył się do mnie.

— Niech pani się zatrzyma — szepnęła — ja zaraz wracam, wyjdziemy razem.

Nie spiesząc się, włożyłam kapelusz. Gdy zapinałam guziczki żakietu, pani Manners poprosiła mnie do salonu, chciała mi coś jeszcze powiedzieć

o kiermaszu. Nie słyszałam prawie, co do mnie mówiła, myślałam tylko

o tym, gdzie mogłabym spokojnie na pana Jerzego zaczekać. Wtem do moich uszu dobiegł dźwięk dzwonka, a chwilę później usłyszałam pana Rayneza. Zadrżałam, zaczerwieniłam się, a po chwili zbladłam. Pani Manners patrzyła na

mnie ze zdziwieniem i jakby z wyrzutem.

— Zdaje się, że pan Raynez przyszedł po panią — rzekła oschle.

— Co to będzie, Boże?! Obiecałam, że będę towarzyszyć panu Jerzemu. Tak się boję! — szepnęłam z rozpaczą.

Pani Manners patrzyła na mnie z wzrastającym chłodem. Co mam zrobić? Jedną tylko widzę drogę...

— Droga pani Manners — wyszeptałam błagalnie. — Pan Reade koniecznie chce mnie odprowadzić, a teraz...

— Czy pani woli z nim wracać do domu?

— Tak! Po stokroć!

Od razu zmienił się jej stosunek do mnie, twarz jej rozjaśnił dobrotliwy uśmiech. Objęła mnie serdecznie. Podeszliśmy prędko do zamkniętego okna. Otworzyła je, nie robiąc hałasu.

— Tędy, tędy, moja droga — szeptała wzruszona, pomagając mi wyjść przez okno. — Zaczekaj na pana Jerzego przy bocznej bramie, zawsze tamtędy przechodzi. Nie powinnam może tak postąpić, ale już się stało. Idź, dziecko, idź prędko. Jerzy to dobry i uczciwy chłopiec.

Zsunęłam się z okna prawie bez szelestu i zaczęłam ostrożnie iść we wskazanym kierunku. Było już prawie ciemno, ale bałam się okropnie, żeby mnie nie zauważył pan Raynez. Starając się uciszyć ręką łomoczące serce, biegłam prawie do upragnionej bramy. Nareszcie zamajaczyła przede mną ciemna krata. Zaczęłam mocować się gorączkowo z zamkiem, ale w żaden sposób nie mogłam go otworzyć. Wtem ktoś pchnął furtkę. Był to pan Jerzy.

— Przepraszam, ja chciałam — szepnęłam zmieszana, trochę nieprzytomnie.

Wziął moje ręce w swe dłonie i przytrzymał je długo w serdecznym uścisku.

— Panno Christie — powiedział bardzo cicho — niech się pani nie tłumaczy. Czy mogę wiedzieć, gdzie pani tak biegła?

— Ja... ja szłam do domu — odparłam.

— Ale to przecież nie tędy.

Zapanowało długie milczenie.

— Czy pani wyszła na moje spotkanie? — zapytał zmienionym, drżącym głosem.

— Nie! nie! — wyszeptałam prawie płaczem. Wiedziałam doskonale, że mówię nieprawdę.

Nie mogłam się jednak przyznać, że tak było.

— Nie? — zapytał przeciągle i jakby ze smutkiem. — A ja myślałem... my-

ślałem. Biegłem tutaj, jak mogłem najprędzej, żeby zastać jeszcze panią!

Nie mogłam mu nic odpowiedzieć, dusiły mnie łzy.

— Czemu pani chciała sama iść do domu? Miałem przecież odprowadzić panią?

— Nie chciałam pana trudzić — rzekłam ledwo dosłyszalnym głosem.

— Bardzo to uprzejmie z pani strony, że tak dba o mnie — odparł z gorzką ironią. — Ale teraz, skoro już jestem, zapewne mogę towarzyszyć pani. A może pani woli wracać sama?

— Tak, właśnie, i dziękuję panu — szepnęłam z wysiłkiem. Myślałam, że serce mi pęknie, gdy wymawiałam te ostatnie słowa. Wiedziałam, że mogę się zdradzić, że mi na nim zależy.

Przyspieszyłam kroku, łzy spływały mi po twarzy. Modliłam się, żeby Jerzy ich nie zauważył.

On zrównał się ze mną i chwilę szliśmy razem w milczeniu. Wtem przystanął. — Co to? Pani płacze? — usłyszałam jego gorący szept. — Płacze pani?! Ty płaczesz przeze mnie, najdroższa?!

I zanim się zdążyłam cokolwiek odpowiedzieć, objął mnie silnym ramieniem i drżącą dłonią starł łzy z twarzy.

— Niech pan pozwoli mi odejść — szepnęłam zmieszana.

Nie odrzekł ani słowa, tylko przycisnął mnie mocniej do siebie. Przymknęłam oczy, czułam jakąś dziwną, słodką niemoc... Potem poczułam jego usta na swoich. Świat cały zakreślił się ze mną. Nasze serca połączyły się. Czułam, że Jerzy mnie kocha, że przy nim jestem bezpieczna, że będzie nam dobrze z sobą.

Pamiętam z tej naszej wędrówki każde słowo, a jednak gdy w domu usiadłam, żeby je zapisać, aby móc je odczytywać później w dniach bólu i smutku, na martwym papierze wydały się blade, martwe i chłodne.

Zbliżaliśmy się do Alders powoli, dłoń w dłoni, z pragnieniem, żeby droga nasza nie miała dziś końca. On mówił mi cicho rzeczy święte, wielkie, a ja słuchałam tego w skupieniu przytulona do jego ramienia. Wzruszenie i szczęście tak niespodziewane odejmowało mi chwilami mowę.

Nie poszliśmy najkrótszą, zwykłą drogą, ale krążyliśmy polami.

Lecz wszystko ma swój koniec. Nadeszła chwila, w której ujrzeliśmy ciemną kartę bramy. Nie chciałam jednak dzwonić, bo pragnęłam dzisiaj uniknąć spotkania z moim panem. Przeszliśmy kawałek północnym skrajem parku. Znajdowała się tam nie zamykana nigdy furтка. Tutaj Jerzy pożegnał się ze mną. Nie chcieliśmy, żeby widziała nas Sara. Ciężko było nam się rozstać. Długo stałam

przed kratą, odprowadzając spojrzeniem ciemną sylwetkę Jerzego, potem zawróciłam zwolna i cicho zamknęłam furtkę za sobą. Teraz ostrożnie jak kot przemykałam między krzakami. Twarz mi płonęła. Po kilku minutach zamajaczyły przede mną czarne ściany stajni. Zdwoiłam ostrożność, starałam się stapać prawie bez szelestnie. Pan Raynez mógł przecież być w swoim pokoju, usłyszeć moje kroki, a nawet mnie dojrzeć, gdyż niezupełnie jeszcze było ciemno. Co by się stało, gdyby zapytał, co robię w parku o tej porze?

Pragnęłam niepostrzeżenie dostać się do siebie i położyć się spać, pamiętając o pocałunku Jerzego, z jego obrazem w oczach. Nie chciałam, żeby obca twarz, może mi nienawistna, mąciła mi słodkie widzenie.

Ale stało się inaczej. Od czarnej ściany stajni oderwały się nagle dwie ciemne postaci, dwóch mężczyzn. Jeden miał w ręku latarkę. Przestraszona, instynktownie skryłam się pomiędzy drzewa. Mężczyźni posuwali się powoli bez żadnego szmeru. Po chwili wślizgnęli się do wozowni. Wiedziałam, że tamtędy idzie się do pana Rayneza. Uplłynęła rozpaczliwie długa chwila. Bałam się zostać i bałam poruszyć. Nagle drzwi stajni skrzypnęły leciutko, pod ścianą znów zaczerniały sylwetki dwóch mężczyzn. Ostrożnie zaczęli okrażać prawy węgiel ciemnego budynku i wydostali się na ścieżkę biegnącą wzdłuż stajen i w dół parku. Tu przystanęli. Jeden z nich gwizdnął. Czekają tu widać na kogoś — przemknęło mi szybko przez głowę i mrowie przeszło mi po skórze. Dotąd nie zauważyli wprawdzie mojej obecności, dostatecznie zasłaniał mnie gruby pień klonu i mroczny cień otaczających krzaków, ale... ci ludzie mają jakieś złe zamiary, czułam, że powinnam obudzić służbę i pana Rayneza. Strach jednak mroził mi krew w żyłach i me pozwalał poruszyć się z miejsca. Tajemnicze sylwetki zbliżyły się trochę. Znajdowały się na oświetlonej księżycem przestrzeni. Znałam ich obu! Jednym z nich był Tom Parkes, niewierny narzeczony Sary, w drugim poznałam mężczyznę, który kiedyś odwiedzał pana Rayneza w Alders, a potem rozmawiał z Sarą za parkanem w dziwny, niewytłumaczalny dla mnie sposób. Byłam wtedy w swoim „gniazdku”.

Księżyc był już wysoko i cały park oblał jasnym, srebrnym światłem. Oświetlił mężczyzn. Nie omyliłam się. To byli oni. Wysmukła i szlachetna postać nieznanego stanowiła dziwny kontrast z jego ruchami. Od czasu do czasu zagadkowo gwizdał. Na ramionach miał eleganckie paltó, całe jego ubranie świadczyło o wykwinnym smaku. Mężczyźni zbliżyli się o kilka kroków do mojego ukrycia. Zęby zaczęły mi dzwonić ze strachu. Nie wiedziałam co mam zrobić, gdy nagle obaj skierowali się w kierunku uspiętego domu. Powiodłam za nimi przerażo-

nym wzrokiem. Po chwili skrzypnęły drzwi sieni i na progu stanęła Sara z latarką w ręku. Podeszła do nich cichym, kocim krokiem i w milczeniu skierowali się w stronę wozowni. Bezszelestnie wśliznęli się przez uchylone wrota. Usłyszałam ciężki zgrzyt klucza w zamku. Domyśliłam się, że weszli do pracowni mego chlebodawcy. Stałam ciągle za tym samym drzewem, nie mając odwagi nawet odetchnąć głośniej. Nagle z alei wynurzyła się wysoka, smukła postać. Był to pan

Raynez. Chciałam na niego zawołać, ale nie mogłam wydobyć głosu. Szedł prędko, i po chwili zniknął w ciemnych czeluściach wozowni. Pomyślałam, że jednak dziwne rzeczy dzieją się w Alders. Kiedy indziej może próbowałabym rozwiązać nową tajemnicę, ale dzisiaj czym innym miałam przepelnioną duszę. Wyszłam ostrożnie ze swego ukrycia, a potem już co tchu pobiegłam do domu. Zapukałam do drzwi, jak mogłam najciszej. Otworzyła mi Jane.

Poszłam do siebie na górę, zrzuciłam prędko suknię i zgasłam świecę. Przymknęłam oczy — chciałam marzyć.

Ale w słodkie marzenia wplątały się dwie ciemne postaci, ich zagadkowe ruchy i tajemnicze, nieznane zamiary. Później śniłam o Jerzym, ale był to straszny sen: śniło mi się, że rozbójnicy nas rozdzielili.

15

Obudziłam się bardzo wcześnie z uczuciem wielkiego spokoju i cichego szczęścia. Dziś miałam znowu zobaczyć Jerzego, mówił, że przyjdzie po mnie pod pozorem pomocy przy urządzaniu namiotów dla pań mających sprzedawać.

Rano mieli przyjść do Alders synowie pastorowej i zabrać krzesła. Dźwięczały mi jeszcze w uszach słowa Jerzego: pójdę do pani Manners i poproszę, żeby zażądała także i pomocy pani. Zgodzi się z pewnością. Wtedy przyjdę z jej chłopcami, zabierzemy krzesła, a potem, gdy już będziemy za bramą, każę malcom jechać naprzód, a sam wrócę do lasu i zaczekam na ciebie, najdroższa.

Zdziwiłam się trochę, że Jerzy nie chce czekać na mnie u moich państwa, ale nic nie powiedziałam, on wie, co robi.

Długą chwilę stałam dziś przed lustrem. Twarz miała poważny i słoneczny wyraz, oczy patrzyły promiennie i jasno, z całej postaci biło szczęście... Usta...

Na nich położył wczoraj Jerzy pieczęć... Narzeczona! Jaki to cudny, słodki wyraz. Uczułam w tej chwili, że bardzo kocham mego najdroższego.

Starannie uczesałam włosy i włożyłam białą, prawie nową suknię, którą nosiłam tylko „od wielkiego dzwonu”. Przewiązałam ją śliczną bladozieloną szarfą. Pragnęłam jeszcze bladożółtą różę wpiąć we włosy, drugą do stanika. Zbiegłam więc prędko ze schodów i wpadłam do ogrodu, po kwiaty. Żeby nie zwiędły, chciałam je włożyć do wody. Zawróciłam więc w stronę wielkiej sieni i wtedy na ganku spostrzegłam pana Rayneza. Groził mi palcem z uśmiechem.

— A ślicznie, ślicznie! Po kryjomu zrywa pani moje róże! — wołał wesoło. — Nie wahała się pani obciążyć grzechem czystego serduszka? Sumienie nie wyrzuca pani takiej zbrodni? Jestem jednak szlachetny i nie pozwolę, żeby pani zeszpeciła taką ładną suknię na pół zwiędłym zielskiem. Proszę pójść ze mną, znajdziemy może coś odpowiedniego.

Nie życzyłam sobie takiego zakończenia, ale cóż było robić, musiałam posłusznie iść za nim. Zaprowadził mnie do najpiękniejszego klombu i ściał dwie cudne bladomorelowe róże. Podziękowałam mu serdecznie. Teraz Jerzy już nie będzie mógł powiedzieć, że są nie dosyć ładne dla mnie!

Po śniadaniu musiałam odbyć z Haide lekcje. Nigdy jeszcze nie byłam tak roztargniona.

Po chwili przy bramie rozległ się głośny dźwięk dzwonka. Drgnęłam lekko i machinalnie prawie wyjęłam książkę z rąk dziewczynki. „Child’s Guide to Knowledge” — przeczytałam w skupieniu, potem przeglądając zaczęłam z uwagą pierwsze kartki.

— Dzisiejsza lekcja zaczyna się od pytania „co to jest tapioka?»’

— szepnęła Haide zdziwionym głosikiem.

Zawstydziłam się. Całą mocą woli opanowałam się, potem uważnie ją przepytawałam. W chwilę później w korytarzu usłyszałam znane kroki

— Jerzy! Wszedł z chłopcami na ganek i ładowali na wózek krzeselka. Był trochę blady, ale opanowany. Usiadłam przy oknie. Za parę minut przyjdzie pan Raynez i oznajmi, że żona pastora prosi mnie o pomoc. Nikt się nie zjawił jednak, wózek potoczył się prędko w aleję, pchany silnymi ramionami chłopców... Co to znaczy? Czyżby mój Jerzy zapomniał o mnie? Łzy zaczęły cisnąć mi się do oczu.

Zeszłam na obiad z pobladłą twarzą i przygaszonymi oczami. W jadalni wszyscy już byli, usiadłam szybko na swoim miejscu.

— Pani Manners — odezwał się wesoło pan Raynez — prosiła, żeby pani

przyszła jej pomóc w urządzaniu namiotów i rozstawianiu stołów. Podobno mają jeszcze dużo do roboty przed dzisiejszym kiermaszem. Ale pozwoliłem sobie powiedzieć za panią, że dopiero po południu będzie pani wolna. Obawiałem się, że zanadto panią zmęczą te przygotowania. Nie gniewa się pani?

— Nie, dziękuję — szepnęłam. Wszystka krew zburzyła się we mnie. Co za rozporządzanie moją osobą! Nie prosiłam o to. Nie mogłam nawet okazać niezadowolenia, bo pan Raynez postąpił tak jedynie z życzliwości.

Muszę się nawet uśmiechać. Przez chwilę zdawało mi się, że nienawidzę tego człowieka z całej duszy, a potem było mi wstyd, że tak myślałam.

Obiad się wreszcie skończył. Pan Raynez oświadczył uroczyście, że sam odprowadzi mnie i Haide do High Field, to jest tam, gdzie miał się odbyć kiermasz. Pani Raynez miała się tam zjawić znacznie później. Musiałam na to przystać, choć niechętnie.

Na łąkach już barwiły się różnokolorowe sukienki dzieci, przy namiotach stały niewielkie grupy znajomych z sąsiedztwa i miejskich gości, nieco dalej gromady okolicznych chłopów, robotnicy, większość to rodzice dzieci, dla których urządzana była zabawa. Wszyscy uważali za najświętszy obowiązek kupić choćby drobnostkę na tym kiermaszu. Nagle ujrzałam bladą twarz Jerzego. Stał objętnie przy wejściu do jednego z namiotów ze ściągniętymi brwiami i wyrazem dziwnej zaciętości na ustach. Biła od niego powaga i smutek... Co mu się stało, rano był taki pogodny?! Nie patrzy wcale na mnie, ale czy nie widzi? Może go dotknęło, że nie przyszłam wcześniej? Mógł się domyślić przecież, że nie z własnej woli.

Wtem z najbliższego namiotu wybiegła jego starsza siostra i podała mi rękę niezwykle uprzejmie.

— Czekamy na panią — odezwała się grzecznie. — Proszę za mną, zatrzymaliśmy dla pani miejsce, będzie nam wesoło.

Skąd taka zmiana? Skąd ta nagła uprzejmość? Czyżby Jerzy zwierzył się siostrze? Taka serdeczna! Może robi to dla brata? Weszliśmy do namiotu. Usiadłam przy wąskiej ladzie. Na długich półkach, świeżo zapewne zbitych z sosnowego drzewa, leżały pięknie ustrojone lalki, książki, zabawki, na każdej numer i cena, wszystko we wzorowym porządku. Stół uginał się pod ciężarem nagromadzonych słodczy, w kryształowych dzbanach były napoje chłodzące, obok stały szeregi szklanek. Obsługiwały hoże, rumiane dziewczęta ze szkoły niedzielnej pod czujnym okiem gospodyń i rodziców Jerzego. Z głębi innych namiotów wycierały ciekawie wielkie lale w starożytnych kostiumach angielskich, stosy mat

różnobarwnych, cygańskie cymbalki, ciepłe, włóczkowe szale o jasnych kolorach, wzorzyste poduszki, robótki szydełkowe i całe mnóstwo mniej lub więcej potrzebnych drobnostek. Nam, sprzedającym, zależało na tym, żeby za każdy przedmiot uzyskać możliwie największą sumę. Niezbyt to miłe zajęcie, ale — „pro publico bono”!

Były także i pożyteczne rzeczy, przeznaczone głównie dla mieszczan i ludu. W jednym z namiotów rozwieszono jaskrawe ubiory kobiece, męskie garnitury, niezliczoną ilość sukienek i ubrań dziecięcych, w drugim były garnki i urządzenia kuchenne, które ofiarowali nam łaskawie kupcy z Beaconsbourgh.

Długą chwilę siedziałyśmy wszystkie razem, gawędząc wesoło, nikt jakoś nie zjawiał się w naszym sklepie. Starsza panna Reade gdzieś zniknęła. Po niejakim czasie uchyliła płótno i skinęła na mnie. Wyszłam do niej, a ona zaciągnęła mnie do namiotu z garnkami.

— Droga panno Christie — zaczęła z wahaniem. — Czy pani nie byłaby taka dobra i nie przeniosła się do tego namiotu? Sprzedające panie rady sobie dać nie mogą. Słyszałam, że pani jest bardzo cierpliwa. Nie ukrywam, że roboty będzie tu dużo. Nikt się nie chciał podjąć pracy tutaj. Stare wieśniaczki i mieszkanki z nudzącą panią będą drobiazgowym oglądaniem każdego przedmiotu, zanim wreszcie zdecydują się coś kupić. Cóż, zgadza się pani?

Oburzyły mnie te słowa. Dlaczego ja mam zostać kozłem ofiarnym dzisiejszej zabawy? Też wolałabym sprzedawać mniej nudne przedmioty. Po chwili zastanowienia zgodziłam się jednak. Panna Reade ma słuszość, nie przyszłyśmy tutaj dla rozrywki, chcę być pożyteczna. Usiadłam z rezygnacją na swoim krzeselku i zaczęłam uważnie przeglądać ceny przedmiotów powierzonych mojej pieczy. Gdy podniosłam oczy, zobaczyłam Jerzego, który stał niedaleko i patrzył na mnie ze smutkiem w oczach. Po chwili zbliżył się, wziął moje ręce w swoje dłonie i długo tulił je serdecznie.

— Jak się pani czuje? — zapytał bardzo cicho. — Spodziewaliśmy się pani znacznie wcześniej.

„Pani” i „panno Christie”? Co to znaczy? Uczułam dotkliwy ból w sercu, nie mogłam wykrztusić ani słowa. Nie spodziewałam się, że będzie nazywał mnie po imieniu, jak to robił wczoraj, kiedy byliśmy tylko we dwoje... bo rzeczywiście, ktoś mógłby usłyszeć. Ale ten styl urzędowy! Oparł się teraz jedną ręką o kontuar i machinalnie bawił się jakąś brytfanką.

— Koniecznie muszę pomówić dziś z panią — szepnął niespodziewanie.

— Niech się pani wyrwie wcześniej pod jakimkolwiek pozorem. Będę czekał

za ogrodem. Mam złe nowiny, to jest, nie wiem, czy i dla pani będą tym, czym są dla mnie...

W jego głosie było tyle bólu, że zapragnęłam nagle ramionami otoczyć mu szyję i szeptać długo słodkie, kojące słowa. Siłą woli zdołałam się opanować i tylko wyszeptałam z głębokim wzruszeniem:

— Wszystko, co smuci pana, mnie także boli...

Objął mnie rozjaśnionym, głębokim spojrzeniem, w którym było tyle wstrzymywanych pragnień, tyle słów nie wypowiedzianych, że zbladłam, a świat zakręcił mi się w oczach...

Przez te kilka chwil, gdy ja rozmawiałam z Jerzym, we wszystkich namiotach powstało wielkie zamieszanie, bo przyjechała lady Mills ze swoim „sztabem”. Oczarowała mnie. Nie widziałam nigdy tak pięknej kobiety. Prześliczny strój podnosił jeszcze jej urodę. Wszystkie przybyłe z nią panie były też bardzo wystrojone. Mimo woli przyszły mi na myśl słowa pani Manners o tak zwanych „wyższych sferach”. My, panny, wyglądałyśmy przy nich niezgrabne, byłyśmy niemodnie ubrane i zalęknione. Przybyli rozmawiali i śmiali się głośno, zdawało się, że nic sobie nie robią z naszej obecności, co chyba nie należy do dobrego wychowania. Piękna lady Mills oznajmiła pani Manners z uśmiechem, że za chwilę przyjadą pozostali wielkim brekiem i że zapowiedziała im surowo, iż mają wykupić wszystko. Pani pastorowa zdawała się być zmieszana tym wyznaniem i powiedziała nieśmiało, że przecież nikt nie żąda, żeby ci panowie kupować mieli rzeczy niepotrzebne. Znajdzie się dla nich kilka sportowych czapeczek i ozdobnych męskich cygarniczek. Potem pani Mills oświadczyła z czarującym uśmiechem, że chciałyby sprzedawać w jednym z namiotów, żeby ująć pracy zmęczonym paniom. Ujęła mnie swą dobrocią.

Wesołe okrzyki młodych pań oznajmiły nam wkrótce o przybyciu oczekiwanego breku. W namiotach nastąpił gorączkowy ruch, błyszczące oczy dam zwracały się z utęsknieniem w stronę czarnych fraków. Ja jedna chyba pozostałam na swoim miejscu. Ale przybyli mężczyźni byli mi obojętni, żaden z nich przecież nie będzie kupował garnków ani rondli. Obsługiwałam więc pocziwe wieśniaczki, które cisnęły się do lady. Nic dziwnego, w prawdziwym sklepie miałyby wszystko o połowę drożej. Wtem jeden z panów, młody, wysoki blondyn, wszedł z uśmiechem do namiotu

i spytał o cenę zgrabnego kociołka do gotowania herbaty. Myślałam, że żartuje i powiedziałam dość wysoką cenę, ale ku wielkiemu mojemu zdziwieniu kupił go. Dał za niego nawet więcej niż się należało. Potem weszło do namiotu

dwóch panów, jeden żądał imbryka, drugi porcelanowej mydelniczki. Zabrali oba przedmioty i położyli przede mną złoty pieniądz.

Po chwili powrócił wysmukły blondyn i zapytał o cenę tylu rzeczy, że straciłam głowę, zaczęłam się mylić i w końcu zirytowana, że zabiera mi czas, powiedziałam mu niezbyt grzecznie, że w namiocie obok znajdzie cygarnice, laski i inne, odpowiednie dla siebie przedmioty. Ale nie zmieszał się wcale moim tonem, powoli włożył na nos w złoto oprawne binokle i odparł, przypatrując mi się impertynencko, że nie myśli wyrzucać pieniędzy na głupstwa, przeciwnie, chce kupić coś pożytecznego i dlatego prosi jeszcze o rożen do pieczenia drobiu. Podałam mu dwa do wyboru. Namyslał się tak niemożliwie długo, że zniecierpliwiona, odezwałam się w końcu, iż robi najlepiej, kupując obydwa. Pokręcił głową i odrzekł po namyśle, że to właśnie byłaby rozrzutność nie do darowania i, obejrawszy je raz jeszcze w wielką dokładnością, wziął tańszy.

Do namiotu znów weszło kilku młodych panów, a z nimi, już po raz trzeci, nudny blondyn. Wygłosił trochę przydługą przemowę, że jako troskliwy dziedzic licznych włości dbać musi o szczęście tych, którzy zamieszkują jego dobra, więc postanawia zakupić nieduży komplet kuchennych statków i ofiarować go na gospodarstwo pewnej młodej parze, która ma połączyć się węzłem małżeńskim za miesiąc. Odpowiedziałam mu grzecznie, że to bardzo dobry pomysł, ale żałuję niezmiernie, bo prawie wszystko jest już rozkupione. Młody lord odrzekł z głębokim ukłonem, że w takim razie pragnie nabyć to, co pozostało. Kazał zapakować wszystkie pozostałe statki, wziął jeszcze parę męskich łyżew i wspaniałą kolekcję pułapek. Potem z nonszalancją prawdziwie londyńską wyciągnął z kieszeni garść złotych pieniędzy. Za chwilę trzymałam je w dłoni, trochę niepewna, czy powinnam przyjąć. Ale zanim zdążyłam się namyślić, czarne fraki zniknęły w otworze namiotu.

Jasnowłosy nieznajomy powrócił raz jeszcze, prowadząc lady Mills. Pani Manners szła obok z lekko nachmurzoną twarzą. Gdy zbliżyły się do mnie ze zdziwieniem powiodły wzrokiem po prawie pustych półkach. Wisiało tylko parę jaskrawych fartuchów i kilka dziecinnych sukienek. Lady Mills zapytała wtedy pani Manners, czy może wyznaczyć tu kogoś innego do sprzedaży tych kilku pozostałych rzeczy, ponieważ ona pragnęłaby bardzo zabrać z sobą tę „młodą lady w białej sukni”. Pani pastorowa rzuciła mi spojrzenie pełne niepokoju, lękała się widocznie o mnie, nie chciała, abym przebywała w rozflirtowanym towarzystwie. Zgodziła się jednak mnie zwolnić. Inne sprzedające damy zazdrościły mi tego „zaszczytu”.

Lady Mills i jej goście urządzili naprędce dwa namioty, przypominające zaczarowaną krainę wróżek i cudownych marzeń. W jednym cały stół zaścielały śliczne, delikatne wyroby londyńskich fabryk, srebrne i złote ozdobne cacka, indyjskie szale tkane z barw tęczy, kryształowe dzbany, bogate patery i mnóstwo innych cennych przepięknych drobiazgów. Drugi namiot tonął w powodzi cudnych, świeżych kwiatów. Bładozłote róże, wielkie pąsowe goździki, parmeńskie fiołki, śnieżne gałązki konwalii, lewkonie, rezeda wychylały się z prześlicznych, stylowych wazonów. W głębi, na tle zielonych paproci i mchów siedziały wystrojone, młode panie. Chłopi, robotnicy i drobni mieszczanie przyglądali się tym cudom w skupieniu. Mówili do siebie przyciszonym głosem, jakby się obawiali spłoszyć tęczowe zjawisko. Za to panowie i piękne panie przybyłe z Londynu, najbogatsze rodziny szlacheckie z sąsiedztwa i zamożni obywatele Beaconsborough krążyli ciągle przy tych dwóch namiotach, ciągle błyskały w słońcu złote i srebrne pieniądze, wybuchały śmiechy. Tu był największy ruch na całym kiermaszu.

Lady Mills napęłniła śliczny koszyk mnóstwem kwiatów i poprosiła, żebym zechciała je roznosić, wtedy szybciej się je sprzeda. — Niech pani idzie w stronę panów — szepnęła mi do ucha z wesołym uśmiechem. Nie poszłam jednak za jej radą i stanęłam na uboczu. Czekałam niedługo. Po chwili zjawił się przy mnie nieznamy blondyn. Wybrał zaledwie rozkwitły pączek żółtej róży i położył na talerzu pół korony. Przypomniały mi się jego wzniosłe słowa o zbytkach i rozrzutności, jakie wygłosił, kupując najtańszy rozeń. A teraz tyle pieniędzy dał na maleńki kwiatek! Nagle ujrzałam poważną twarz mego narzeczonego. Zburczał mnie trochę, że dźwigam taki ciężki koszyk. Zabrał mi go przemocą z rąk i zaczęliśmy sprzedawać razem. Czułam, że błędę, to rumienie się ze wzruszenia. Jerzy co chwila patrzył na mnie czule i szeptał namiętne słowa, gdy tylko oddaliśmy się nieco od gwarne go tłumu. Powiedział mi, że jestem tu ze wszystkich kobiet najpiękniejszą. Wiem doskonale, że tylko rozmiłowane oczy mego najdroższego widziały mnie taką, ale mówił szczerze. Szczęśliwa byłam, że taką mnie widzi. Wkrótce zabrakło nam kwiatów, a na talerzu piętrzyła się spora garść srebrnych monet.

— Teraz trzeba się wymknąć — cicho szepnął Jerzy — musimy pomówić.

Wsunęłam się ostrożnie do namiotu i zsypałam pieniądze do puszeki. Było tak tłoczno, że nikt mnie nie zauważył. Wyślizgnęłam się z namiotu

i skręciliśmy oboje prędko za ogrody. Wydostaliśmy się na łąkę, pełną kwiatów.

— Cóż to za nowiny? — zapytałam cicho.

Zbladł. Był smutny.

— Będę musiał wyjechać, słodka moja Violet — rzekł z ciężkim westchnieniem; po raz pierwszy wymówił moje imię.

— Wyjechać! O Boże! Dlaczego? — szepnęłam, czując łzy napływające mi do oczu. Nie przypuszczałam, że ta zła wiadomość jest aż tak straszna.

— Matka tak postanowiła. Utrzyma, że tu nie służy jej pobyt jesienią z powodu wilgoci. Jedzie na Rivierę i oświadczyła, że muszę jej towarzyszyć.

— Ale pan wróci? I to prędko, nieprawdaż?...

— Nie wiem. Nie wiem nawet, co tutaj zająć może, zanim powrócę — wyszeptał z bólem. — Nie znam i nie mogę przeniknąć w zupełności skrytych zamiarów i planów osoby, której intrygi sprawiły, że odjeżdżam wbrew woli i najgorętszym pragnieniom...

— Jak to? Co pan mówi? Jerzy! Kto to sprawił? Matka twoja? Siostra?

Znów spojrzał na mnie dziwnym, jakby pytającym wzrokiem i przez długą chwilę patrzyliśmy sobie w oczy... Czułam w spojrzeniu Jerzego wahanie.

— Uważaj, co ci powiem, Violet — szepnął w końcu zmienionym, rwącym się głosem. — Ty jesteś taka niewinna i czysta, że doprawdy nie wiem, jak mam ci powiedzieć to, co muszę.

Zbladłam, nogi drżały pode mną. Boże, czy usłyszę jeszcze coś straszniejszego?... Jerzy spostrzegł, co się ze mną dzieje, łagodnie wziął moje dłonie w swoje ręce i przez chwilę przyciskał je w milczeniu do ust.

— Nie drzyj tak, Violet moja — przemówił serdecznie. — Chciałem powiedzieć ci tylko, że wczoraj, kiedy cię odprowadziłem i wracałem do domu, spotkałem się z panem Raynezem przy Geldham. Szedł od nas.

— Pan Raynez! Ach! Rozumiem teraz! A więc on prosto z probostwa musiał pójść do białej willi państwa Reade z wizytą. Stamtąd to zapewne wracał tak późno. Cóż jednak mógł uczynić złego nam obojgu?

— Udałem się wprost do gabinetu ojca — ciągnął Jerzy — choć już było późno. Ty wiesz, moja droga, że z ojcem łączy mnie głębokie uczucie, do niego jestem najbardziej przywiązany, najwięcej go szanuję. Powiedziałem mu wszystko o tobie, o tym, jaka jesteś pocziwa, dobra, słodka, a potem

— tu głos zadrżał mu z wielkiego wzruszenia — potem prosiłem, żeby mi dopomógł znaleźć jakąś posadę, chociażby rządcy na folwarku, coś, żebym cię mógł zabrać, zanim rok upłynie... Pocziwe ojczyisko odrzekło mi na to, że masz

twarz szlachetną i czyste spojrzenie, że taką właśnie synową mieć pragnie, ale co powie matka? Wiesz już, jak matka wszystkich krótko trzyma! Ojciec ma złote serce. Matka moja ma swoje zasady. Mówi, że musi mnie ożenić z posagiem, aby podnieść naszą pozycję. Teraz jednak nic mnie to wszystko nie obchodzi. Rozmówiłem się z ojcem stanowczo, przypomniałem mu, że skończyłem przecież lat dwadzieścia cztery, a więc jestem pełnoletni i mogę robić, co chcę. Zgodził się ze mną. Prosił tylko, żebym łagodnie postępował z matką, bo jak się uprze, to nic nie wskóram. Miałem mu już powiedzieć dobranoc, kiedy oznajmił mi rzecz najważniejszą. Powiedział, że niespodziewanie matka postanowiła jechać na Rivierę na kurację i że koniecznie chce mnie zabrać z sobą. Ojciec prosił mnie żebym się jej nie sprzeciwiał, a on za to wyszuka mi jakąś pracę. Nie przypuszcza, żeby nasza podróż miała trwać dłużej niż dwa miesiące. Obiecał, że po powrocie mogę cię poślubić. Mówił, że w podróży będę miał sposobność porozmawiać z matką i uzyskać jej zgodę na nasze małżeństwo. Prosił, bym teraz o niczym jeszcze nie wspominał siostronom ani matce. Nie podobały mi się te słowa ojca, nie mogłem mu jednak powiedzieć: ja nie chcę tak. Nie mogłem też nie zgodzić się na towarzyszenie matce. Krew się burzy we mnie, gdy sobie pomyślę, kto jest sprawcą naszego smutku! Ja wiem, za czyją namową matka działa!

— Za czyją? Proszę, powiedz mi, Jerzy! — szepnęłam z trwogą.

— Pana Rayneza — odparł ponuro. — Czyś tego nie zauważyła, Violet? Nie widziałaś, jak pochlebia mojej matce od kilku tygodni? Jak ją „urabia”? On ma prawie taki wpływ na nią jak matka na ojca! Z początku próbowałem ją ostrzegać przed tą podejrzaną, nagłą uprzejmością, ale na próżno! Wtedy nie wiedziałem jeszcze, do czego on zmierza. Teraz wiem.

— Czy nie mylisz się, Jerzy? — przerwałam mu nieśmiało. — Jesteś do pana Rayneza bardzo uprzedzony, a on jest dla mnie taki dobry, taki życzliwy. Dlaczego miałoby mu zależeć na wyjeździe twojej matki?

Spojrzał na mnie ze zdziwieniem i jakby zmieszany.

— Ależ — zaczął wahającym tonem — nic, naturalnie. Chciał tylko mnie się pozbyć.

— Pozbyć się? — szepnęłam zdumiona. — Dlaczego?

Silny rumieniec oblał twarz Jerzego. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy.

— On mnie nie cierpi, Violet — odparł wreszcie cicho — i nie chce, żebyś była moją...

— Czy jesteś tego pewien, Jerzy? Pan Raynez często cię chwali.

— O tak! — odpowiedział z goryczą. — Jest dość przebiegły. A jednak...

wiem i czuję, że pragnie przeszkodzić naszemu małżeństwu. I nie będę miał chwili spokoju, dopóki ty, najdroższa, jesteś pod jego dachem — dodał wzburzonym głosem, a głęboka rysa przecięła mu czoło. — To zły, niebezpieczny człowiek!

— Jerzy! Drogi Jerzy! Nie mów tak, ja nie mogę tego słuchać

— wyszeptalam. — Znam lepiej od ciebie pana Rayneza i zaręczyć mogę, że to chodząca dobroć i szlachetność.

— Dziecko jesteś, Violet — odrzekł zniecierpliwiony. — Czyste, niewinne dziecko. Czy nie widzisz, jak okrutnie obchodzi się z żoną? Czy to jest dobroć?

— Z żoną! Ach, Jerzy! Znam dobrze całą tę historię, ale dałam słowo i nie mogę ci nic opowiedzieć! On jest zmuszony tak z nią postępować. Pani Raynez jest chora. Wierz mi, Jerzy, nie masz tym razem słuszności.

— Zmusiłaś mnie Violet, dziecinnym swoim dowodzeniem do powiedzenia ci czegoś, co chciałem zachować w tajemnicy na zawsze — odezwał się po chwili niedosłyszalnym prawie głosem. — Czy ty nie widzisz, że on dba o ciebie sto-kroć więcej niż o żonę? Że ma dla ciebie uczucia, niegodne nazwania ich miłością...

— Jerzy! — krzyknęłam z rozpaczą. — Jak śmiesz mówić mi coś podobnego! O Boże! Boże! Jak mogłeś pomyśleć, że pozwoliłabym na taką ohydę! Przecież to człowiek żonaty! Jak myśląc w ten sposób, mogłeś mnie kochać? Wszystko skończone. Nie powiem do pana więcej ani słowa.

Zawróciłam prędko i nim się zdążył zorientować byłam już na placu, gdzie odbywał się kiermasz. Rozdawano właśnie herbatę dzieciom ze szkoły niedzielnej, więc ofiarowałam się z pomocą. Ale strasznie ciężko było mi na duszy i musiałam powstrzymywać łzy, cisnące się gwałtem do oczu. Dostałam duży koszyk pełen ciastek i zaczęłam je rozdzielać między dzieci. Byłam półprzytomna, prawie nie wiedziałam, co robię. Zaledwie rozdałam wszystkie ciastka, zjawiała się przy mnie lady Mills, a w chwilę później nadeszli państwo Raynez. Rozmowa była bardzo zajmująca i dowcipna, przeplatana wesołymi wybuchami śmiechu. Nagle lady Mills zapytała moich chlebodawców, czy pozwolą jej zabrać mnie do siebie i zatrzymać do poniedziałku. Zgodzili się z chęcią. Rano jeszcze to zaproszenie sprawiłoby mi radość, teraz byłam nim prawie przerażona. Co ja tam pocznę wśród tylu obcych twarzy — myślałam z rozpaczą — jak ukryję swój ciężki smutek? Lady Mills poinformowała mnie uśmiechem, że wyjeżdżają niedługo, jeśli więc pragnę zabrać jakieś rzeczy, to muszę się spieszyć.

Cóż było robić? Pobiegłam do domu, włożyłam do walizki nową, muślinową

suknię, której jeszcze nie miałam na sobie, parę drobiazgów i zaczęłam się rozglądać co jeszcze może mi się przydać. Wtem przyszło mi na myśl brylantowe serce. Nie chciałam go zakładać, więc poszukałam czarnej wąskiej aksamitki i zapakowałam wszystko razem do walizki. Chowałam właśnie kluczyki do kieszeni, kiedy do pokoju wpadła zdyszana Jane i oznajmiła, że powóz lady Mills czeka już przed bramą.

W alei spotkałam Jerzego, w rękę trzymał różę.

— Violet, Violet najdroższa, nie odchodź ode mnie bez słowa — szepnęła z bladą twarzą. — Weź ten kwiat, niech zwiędnie w twoich włosach.

— Chciałabym spełnić życzenie pana — odparłam, siląc się na spokój

— ale nie mogę przecież wyrzucić z włosów róż, które jeszcze żyją, byłabym niewdzięczna.

— Czy ofiarował je pan Raynez?

— Tak.

Gwałtownie wyrwał z mojej ręki tylko co podaną różę i rzucił od siebie daleko. Ogień rozgorzał mu w oczach.

— Przepraszam panią — odezwał się chłodno — nie wiedziałem, że te kwiaty pochodzą od niego. Nic dziwnego, że się wydają piękniejsze. Żegnam panią, dobrej nocy.

Odwrócił się i zaczął oddalać się szybko w stronę lasu.

— Jerzy! Jerzy! — zawołałam nabrzmiałym łzami głosem. Usłyszał mnie, bo drgnął lekko, w ruchach odbiło się wahanie, ale poszedł dalej. Pragnęłam biec za nim, ale za kratą czerniał już powóz pięknej lady. Podniosłam z ziemi kwiat Jerzego i namiętnie przycisnęłam do ust, a dwie herbaciane róże od pana Rayneza rzuciłam z rozpaczą na ziemię. Jestem niewdzięczna, ale trudno, uważałam, że powinnam spełnić życzenie mojego narzeczonego.

Wsiadłam do powozu z ciężkim sercem. Po co tam jadę? Po co?

Oprócz mnie w powozie były jeszcze cztery panie. Lady Mills umieściła się wygodnie na tylnym siedzeniu, obok niej, wyprostowana jak świeca, siedziała

poważna pani Cunningham. Na przednich poduszkach powozu dojrzałam kościstą twarz pani Clowes i jakąś nieznaną młodą pannę. Usiadłam przy niej. Zrobiło się trochę ciasno i zdaje się, że moje dwie towarzyszki nie były z tego powodu zadowolone. Na życzenie lady Mills pojazd skierował się w stronę High Field. Piękna pani przypomnieć jeszcze chciała swoim gościom, żeby nie bawili się zbyt długo i nie spóźnili na obiad. Niepotrzebnie jednak zboczyłyśmy z drogi, gdyż strojne panie wsiadały już do swych powozów, a breki czerniły się od męskich fraków. Panie ze śmiechem urządziły loterię z przeróżnych drobnostek, lokaje ładowali w kosze zakupione przez ich lordowskie moście stopy gratów. Na uboczu stał śliczny, malutki powóz. Oparty o niego jeden z dżentelmenów palił spokojnie cygaro, drugi, wysmukły blondyn, pieścił zgrabny łebek konia. Poznałam w nim od razu nieznanego z kiermaszu. Zaledwis spostrzegł nasz powóz, zbliżył się z głębokim ukłonem i powiedział uprzejmie:

— Paniom tu bardzo ciasno, czy... czy panna Christie nie zechciałaby się przesiąść do naszego powozu?

— A co zrobisz z Karolem? — spytała lady Mills z uśmiechem.

— Posadzę go z tyłu.

— Doskonale. Karol widać przyzwyczajony do tego — odezwała się z ironią starsza dama, patrząc impertynencko na panią Clowes.

— Tak. To odpowiednie miejsce dla małżonka — odparł z uśmiechem blondyn.

Powiedziano mi później, że Karol jest kapitanem i mężem pani Clowes.

— Panno Christie — zwrócił się młody lord do mnie — czy zechce pani przesiąść się do nas?

— Nie, Tomie — przerwała lady Mills stanowczo, zanim zdążyłam odpowiedzieć. — Panna Christie pojedzie z nami, tak będzie najlepiej.

— I ze mną byłoby dobrze — odparł z zabawną powagą.

Moje towarzyszki zaśmiały się.

— Pani Clowes — dodał jeszcze prosząco — niech się pani za mną wstawi. Czemu się panie ze mnie śmieją, dlaczego lady Mills jest taka sroga? Przecież panna Christie pod moją opieką będzie zupełnie bezpieczna.

Wszystkie spojrzenia zwróciły się na żonę kapitana z niekłamaną ciekawością. Zauważyłam, że na twarz biją jej rumieńce.

— Ale Karol nie pojedzie z tyłu?! — rzuciła wreszcie pół gniewnie, pół prosząco.

Śmiech ogarnął całe towarzystwo.

Niezmiernie byłam wdzięczna chwilowej mojej opiekunce, że się nie zgodziła na niestosowną propozycję młodego dżentelmena. Zanadto sobie ten panicz pozwala. Jerzy miał słuszość w tym, co mówił o nich, blondyn od razu mu się nie spodobał. Po chwili stangret zaciął konie i powóz potoczył się prędko po szerokiej drodze.

Siedem mil do Denham Court to dosyć daleko, ale czas schodził mi szybko i nie nudziłam się wcale, choć mijaliśmy płaskie, jednostajne okolice. Deszcze, które w przeszłym tygodniu spadły obficie, odświeżyły roślinność, lasy i łąki okryła prawie wiosenna zieloność. Słońce chyliło się już zwolna ku zachodowi. Błade, jesienne promienie złociły krzewy, kwiaty i zioła. Wsunęłam się w głąb powozu i z upojeniem chłonełam delikatną, tęczową grę kolorów, nie uważając bardzo na wesołą rozmowę i śmiechy starszych towarzyszek. Jedna z nich powiedziała z dowcipną ironią, że jak na uznaną piękność jestem zanadto spokojna, a druga dorzuciła ciszej, iż z pewnością nieobecność Toma usposabia mnie melancholijnie, widziała bowiem, jaka byłam ożywiona, rozmawiając z nim na kiermaszu.

Przyglądałam się tym paniom i myślałam, jaki pusty jest ich świat, jak różny od mojego! Nie umiem oddychać w ich towarzystwie. Te panie potrafią śmiać się i żartować z najświętszych rzeczy, opowiadają sobie anegdotki i dowcipy, które mnie nigdy nie przeszłyby przez usta, drwią ze wszystkiego, wszystko umieją ośmieszyć!... Kiedy już wyczerpały cały zapas dowcipów przyszła kolej na plotki i obmowę nieobecnych. Potem zaczęły się wyśmiewać z męża lady Mills. Piękna pani śmiała się razem z nimi, próbowała naśladować głos i ruchy męża. Stała w powozie, wyprostowana jak słup, popatrzyła w niebo i mówiła uroczystym głosem: Mam nadzieję, żeście się dobrze bawili, dzień taki pogodny. Wprawdzie idiotyczny wymysł te kiermasze, ale gromadzą dużo pięknych kobiet.

— Na stare i tak nikt nie patrzy — odezwała się pani Clowes z patosem.

I znowu wybuchnęły śmiechem.

Wtem na horyzoncie błysnęły białe mury Denham Court.

W kilkanaście minut później powóz stanął przed bramą pałacu. Z przedpokojów wybiegła zaraz służba, otworzono bramę i wjechaliśmy w wielką, cieniastą aleję, a potem przed ganek. Wszystkie panie rozeszły się do swych pokojów, mnie dano także jeden, jasny i słoneczny. Otworzyłam okno i spoglądałam długo na cudowny widok. Cudnie tutaj i uroczo, aleja miałam stale w oczach bladą twarz Jerzego, myślałam o naszej ostatniej rozmowie. Nie odwrócił się na moje błagalne wołanie, obraził się i pewno nigdy... nigdy... Łzy zaczęły mi płynąć po

policzkach. Pomyślałam z rozpaczą, że bez niego nie ma już dla mnie radości... że szczęście odleciało ode mnie na zawsze.

Wtem przed gankiem rozległy się wesołe śmiechy. Były to moje towarzyszki, już przebrane. Z pośpiechem wyjęłam z walizki swoją muślinową sukienkę i zaczęłam się przebierać gorączkowo. Na szyi zwiesiłam na wążutkiej czarnej ak-samitce brylantowe serduszko, migocące wszystkimi kolorami tęczy, i wpięłam w koronki pąsową różę, którą ofiarował mi Jerzy. Potem spojrzałam z uwagą w zwierciadło. Uznałam, że ślicznie wyglądam w tej sukni, z różą na białych muślinach. Czemu teraz nie widzi mnie Jerzy? Może zlitowałby się nade mną, bo twarz mam bielszą od sukni.

Wyszłam powoli na korytarz, ale zaledwie postąpiłam kilka kroków, stanęłam zdumiona. Przede mną stał niedbale oparty o poręcz schodów tajemniczy gość pana Rayneza, ten sam, który był onegdaj w Alders

i z Tomem Parkesem i Sarą czekał na niego w pracowni, który się tak tajemniczo skradał przez aleję. Gdy mnie zobaczył schodzącą ze schodów, wyprostował się i odrzucił cygaro. Był to jednak służący. Jakie uderzające podobieństwo! Sobowtór po prostu! Gdyby miał na sobie ubranie tamtego, nie umiałabym powiedzieć, który jest przyjacielem pana Rayneza, a który jednym z tutejszych lokai.

Na dole spotkała mnie służąca i pokazała drogę do salonu. Nie było w nim jeszcze nikogo. Wielkie, oszklone drzwi prowadziły stąd do oranżerii.

Gdy tam weszłam, stanęłam oczarowana. Powietrze przesyciły łagodne, balsamiczne i upajające wonie, kwiaty zwieszały cudne tęczowe kielichy, paprocie pieściły oko czystością barw i kształtem delikatnych liści, wszędzie zieleń była świeża, nieskalana. Zaczęłam krążyć z zachwytem niby po rajskim ogrodzie. Na środku, z kwitnących pnączy i ciemnych gałązek bluszczu wyrastała maleńka altanka, do połowy zakryta przez korony kwiatów. Przy wejściu ustawiono jakąś nieznaną roślinę, obsypaną ślicznym, do lilii podobnym kwieciem. Bez namysłu przycisnęłam usta do cudnych, śnieżnych płatków. Wtem lekki szelest doszedł mnie z altanki. Po chwili ujrzałam przed sobą blondyna, którego wszyscy nazywali Tomem. Jego oczy przez złote binokle wpatrywały się z niezwykłą uwagą w moje brylantowe serduszko. Ukłonił się i podszedł bliżej.

— Śliczpe ustronie, nieprawdaż? — zapytał z uśmiechem. — Nie darmo sir Jonas jest tak dumny ze swej oranżerii.

— Nic podobnego nie widziałam dotąd! — przerwałam zachwycona.

— Niech pan spojrzy na te białe kwiaty. Czy to lilie?

— Zdaje mi się, że botanicy nazywają je „Eucharistis Amazonia” czy coś w tym rodzaju — odparł uprzejmie. — Zerwę ich kilka dla pani.

— O nie! nie! — zawołałam — szkoda tak pięknych kwiatów!

— Te śnieżne plamy ślicznie wyglądałyby w pani ciemnych włosach.

— Nie, nie trzeba! — powtórzyłam bardziej już stanowczym tonem.

— Co powiedziała by zresztą sir Jonas, gdyby się dowiedział, że pan niszczy rośliny w jego oranżerii!?

— Sir Jonas! Z pewnością nie piśnie słówka — odrzekł mój towarzysz z odzieniem pogardy. — Ogrodnik jest tu daleko ważniejszą osobą, a nie odważył się dotąd zrobić mi uwagi. Odgrywam tu rolę kapryśnego dziecka, któremu wszystko wolno, więc jeśli pani pragnie, żeby spełniano jej zachcianki, to radzę ze mną zawrzeć przymierze.

— Przymierze! Nie jestem przecież pańskim wrogiem.

— Przynajmniej w tej chwili, bo przyszłość ukryta jest przed wzrokiem śmiertelnych — zadeklamował patetycznie. — A jednak mam wroga w człowieku, który dał pani tę różę — szepnął, wskazując oczyma kwiat Jerzego.

Drgnąłam lekko i z początku nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć.

— Nawet jeśli to była kobieta? — spytałam wreszcie czując, że oblewam się rumieńcem.

— No, no! Mnie pani nie oszuka! — rzekł ze śmiechem. — Jestem czarno-księżnikiem i wiem dużo rzeczy, ale nie myślę darmo uczyć pani tego cudownego kunsztu. Zresztą, zrobmy umowę: ja ofiaruję pani ten kwiat śnieżnobiały i uchylę rąbka swych tajemnic, a pani odda mi różę...

Potrząsnęłam głową.

— Nie pragnę zamiany — odparłam spokojnie, lecz chłodno. — I wcale nie jestem ciekawa „czarnej magii”.

— Proszę! Co za królewska duma! — rzekł zuchwale. — Myślę, że nie dla wszystkich jednakowa. Jakże pani ma piękne brylanty — dorzucił ciszej, wpatrując się we mnie dziwnym spojrzeniem.

— Brylanty?! — powtórzyłam szczerze ubawiona. — To tylko imitacja.

Zmarszczył brwi z niedowierzaniem.

— Doprawdy? Zatem, winszuję pani posiadania najlepszej na całej kuli ziemskiej imitacji prawdziwych brylantów — powiedział po chwili z ironią.

— Znam się trochę na diamentach i nigdy jeszcze nie omyliłem się w sądzie.

— Przejdę się kilka kroków. Proszę obserwować blask kamieni. Przekona się pan, że mam rację.

Zacząłam powoli iść w stronę drzwi. Mój towarzysz wpatrywał się w klejnot jak w tęczę. Wtem drgnął i przystanął.

— Czy wolno zapytać — odezwał się zmienionym trochę głosem — czy są jakieś litery na odwrotnej stronie?

— Są — odrzekłam zdziwiona jego zachowaniem.

— Czy może pani mi powiedzieć, jakie?

Zawahałam się. Bo jeśli ten pan uważa brylanty za prawdziwe, to dziwnym mu się wyda, że pan Raynez ofiarował tak kosztowny prezent nauczycielce. Ja wiem, że tak nie jest, ale...

— Wolałabym nie mówić — rzekłam ze spokojem.

— Przepraszam panią. Wybaczy mi pani ciekawość? — zapytał jakimś dziwnym tonem. — Widziałem raz klejnot podobny do tego, tylko że były to prawdziwe brylanty. Szkoda, że nie mogę go pani pokazać!

— Prawdziwe muszą być stokroć piękniejsze! — szepnęłam zamyślona.

— Zupełnie takie same, zapewniam panią.

— Więc czy nie szkoda wydawać tylu pieniędzy bez celu! — zawołałam ze szczerym zdumieniem. — Ile na przykład może kosztować serduszko tej wielkości z prawdziwych kamieni?

— Około 1500 funtów szterlingów.

— I pan przypuszczał, że ja posiadam tak kosztowny klejnot?! — odparłam z głośnym śmiechem. — Wyobrażam sobie, jakby się ubawiła tą pana pomyłką osoba, która mi ofiarowała to serduszko. Uśmiełby się serdecznie.

— Uśmiełby się? — powtórzył młody lord z naciskiem. — On zatem.

Zagryzłam do krwi usta; A tak starałam się nie zdradzić!

— Będzie mu zapewne miło, że tę imitację wzięto za prawdziwe brylanty? — zauważył trochę ironicznie.

Wybuchnęłam szczerym śmiechem.

— Czy nasze panie podziwiały „skarb” pani? — zapytał nagle.

— Jeszcze nie. Teraz nie pokażę go już nikomu. Może, podobnie jak pan nie uwierzyłyby moim słowom.

I zaczęłam rozplątywać aksamitkę. Ale zaledwie zdołałam rozluźnić wiązanie, gdy pani Cunningham i inne panie, weszły z hałasem. Badawcze oczy starej damy zatrzymały się na moim serduszku.

— Jaki prześliczny klejnot! — przemówiła wreszcie z zachwytem.

— Dlaczego pani go zdejmuje!

— Dlatego, że ten młody dżentelmen nie chciał mi uwierzyć, iż jest to tylko

imitacja — odparłam lekko drżącym głosem. — To nie są prawdziwe brylanty i nie życzę sobie, żeby ktokolwiek przypuszczał...

— Niechże pani nie zważa na Toma—przerwała stara dama z dziwnym błyskiem w oczach. — On często plecie koszałki-opałki. Niech pani zostawi w spokoju to serduszko, takie ładne ognie dają te kamienie. Tom! Pomóż zawiązać pannie Christie aksamitkę.

Nie mogłam się upierać, więc posłusznie podałam młodemu lordowi ciemne końce i lekko pochyliłam głowę, żeby łatwiej było związać. Zaczął coś jednak majstrować koło aksamitki utrzymując, że musi rozplątać supełek. Nagle pociągnął ją mocno. Spodziewałam się tego podstępnie

i szybko dłonią zakryłam odwrotną stronę klejnociku. O zdrajca! Chciał zobaczyć litery! Ale daremnie! Obecne panie nic nie zauważyły, z czego byłam niezmiernie rada.

Nie ostatnia to wszakże nieprzyjemność z powodu nieszczęsnego daru pana Rayneza. Oczy wszystkich wpatrywały się to w klejnot, to znów we mnie. Nie wiem, jakby się skończył ten „przeгляд”, gdyby silny dźwięk dzwonka nie rozległ się w tej chwili. Zeszliśmy na obiad. Spostrzegłam, że młodzi panowie przyglądają mi się dziwnie. Poczułam, że gorąca fala krwi napływa mi do twarzy. Po chwili zbliżył się do mnie wysoki pan, oznajmił, że „ma zaszczyt” być małżonkiem pani domu, i spytał, czy pozwolę towarzyszyć sobie do stołu. Skinęłam uprzejmie głową i wsunęłam mu rękę pod ramię, dziwiąc się w duchu, że piękna lady Mills ma tak starego męża. Wypytywał mnie o mój dom, i rodzinę, potem prosił, żebym mu opowiedziała rozmaite szczegóły z kiermaszu. Podobał mi się, uznałam, że to sympatyczny człowiek, chociaż ciągle dolewał mi wina i pod koniec obiadu czułam lekki zawrót głowy.

Nareszcie wszystkie panie przeszły do salonu. Kozetki i fotele błysnęły wiankiem pięknych twarzy, zabrzmiały śmiechy i gwar'się zrobił w cichym przed chwilą pokoju. Jedna z młodych pań przysiadła się do mnie

i wypytywała o matkę, czy dawno jestem już nauczycielką, jaki rodzaj życia prowadzimy w Alders, czy to prawda, że pan Raynez jest taki niesłychanie grzeczny i uprzejmy.

Odpowiadałam monosylabami.

— Mówią, że to zły i zepsuty człowiek — zagadnęła nagle moja towarzyszka. — Czy to prawda?

— O, patrzcie, jak panna Christie się czerwieni! — wykrzyknęła lady Mills ze

śmiechem.

Mówiła nieprawdę, bo nie miałam powodu, aby się rumienić. Żart był niezbyt dowcipny.

— Ale gdzież tam! — odparłam na pozór spokojnie. — Trudno jednak zaprzeczyć, że uchodzi za takiego w okolicy, ponieważ gra ślicznie na skrzypcach i chodzi na wyścigi. „Prowincja” nie jest wyrozumiała. Pan Raynez jest bardzo dobry i szlachetny.

— Nie wątpimy o tym — szepnęła dziwnym tonem żona kapitana.

— Bo panie zapewne myślą, że lubię go dlatego, iż jest dla mnie dobry!

— przerwałam rozdrażniona. — A ja nie umiałabym żyć pod jednym dachem ze złym człowiekiem, bez względu na jego stosunek do mnie!

— Czy cieszy się pani łaskami pani Raynez?

— Pani Raynez jest bardzo miła i uprzejma — rzekłam chłodno.

W rzeczywistości rzecz ma się inaczej, ale byłam pewna, że jeśli powiem „nie”, wszystkie wybuchną śmiechem. Co ta biedna chora jest winna, że nie-szczęście zabrało jej zdrowie i że nie jest uprzejma jak jej mąż.

Zapanowała kłopotliwa cisza.

Po chwili pani Cunningham wstała i zapytała mnie, czy pragnę obejrzeć ostatni portret pięknej właścicielki, po czym pociągnęła mnie w przeciwny róg salonu.

— Nie interesuje mnie, od kogo pani dostała ten klejnot — szepnęła cicho, jakby nie chciała być przez nikogo słyszana — pragnęłabym tylko wiedzieć, czy pani ma więcej biżuterii, a jeśli tak, to gdzie ją pani przechowuje?

— Posiadam tylko to jedno serduszko — odparłam zdziwiona trochę zachowaniem starej damy — leży zwykle w zamkniętej na kluczyk szkatułce.

— Domyślałam się tego po pełnym niedbałości ruchu, jakim pani zsuwała z szyi ten klejnocik. Jesteś nieostrożna, kochana panno Christie. Ja mam wprawdzie cenną biżuterię, dwa cenne garnitury z brylantów i pereł, ale chowam ją codziennie na noc pod poduszkę. To rzecz łakoma i wielkiej wartości. Niech pani pójdzie za moim przykładem — ciągnęła dalej poważnie. — Szczególnie ostrożną trzeba być w podróży albo będąc u kogoś z wizytą. Niepodobna przecież spuścić się na przysłowiowe niedbalstwo służących. Klejnoty wymagają pieczy.

— Nie takie jak moje — powiedziałam chłodno. — Wątpię, czy się ktoś złąkomi na zwyczajną imitację.

Obrzuciła mnie szybkim spojrzeniem, w którym widać było tłumiony gniew.

— Na tę znajdzie pani wielu amatorów, zaręczam — wycedziła sucho.

Nie zdążyłam już odpowiedzieć, bo lokaje rozwarli szeroko podwoje i do salonu weszli panowie. Jeden z nich niósł w ręku spory zwitek i z ukłonem oznajmił zgromadzonym paniom, że przywiózł modne walce i pragnąłby niezmiernie, żeby któraś z łaskawych pań raczyła je zagrać. Ale wszystkie odmówiły stanowczo twierdząc, że nie podejmują się grać bez przygotowania. Młody lord, rad nie rad, złożył nuty na stoliku. Zauważyłam, że jest naprawdę zmartwiony. Zaczęłam je przeglądać, układ był łatwy. Po chwili wahania zaproponowałam nieśmiało, że mogę zagrać. Lord podał mi skwapliwie nuty. Usiadłam do fortepianu. Spod moich palców popłynęła śliczna melodia. Grałam zupełnie swobodnie, przyzwyczajona akompaniować mojemu panu w daleko trudniejszej muzyce. Kiedy skończyłam pierwszy walc, zerwała się burza oklasków, tańczące pary stanęły na środku i urządziły mi taką owację, że nie wiedziałam, gdzie mam się schować.

— Przecież to nic dziwnego — broniłam się, zarumieniona. — Wszyscy państwo wiecie, że jestem nauczycielką.

— Tak. Ale są różne nauczycielki — szepnęła pani Clowes z ironią.

Wróciłam do fortepianu i zaczęłam grać następnego walca. Grałam długo. Musiałam się zmęczyć, bo czułam, że blednę. Nagle zbliżył się do mnie pan o jasnym zaroście przezywany Tomem (właściwe jego nazwisko brzmi Carruthers) i przemocą prawie zmusił mnie do wstania z krzeselk tłumacząc, że nie ma sensu, żebym cały wieczór poświęciła wyłączni przyjemności innych. Następnie z zabawną powagą obwieścił najbliższemu stojącemu, że ma ze mną do omówienia bardzo ważne sprawy i zaprowadził mnie w ustronny kąt salonu, przysunął mi fotel, a sam zasiadł na drugim. Milczeliśmy dość długo.

— Jak pani cudownie gra — szepnął wreszcie ze szczerym zachwytem.

— Po raz pierwszy zdarza mi się spotkać piękność, która dba naprawdę o swe wykształcenie i pielęgnuje troskliwie talenty!

Nasłuchałam się już dzisiaj tyle komplementów, że ten pominęłam milczeniem.

— Czy pan, panie Carruthers, sądzi, że tylko brzydkie kobiety powinny się kształcić? — spytałam ubawiona.

— Przede wszystkim, żaden pan Carruthers — przerwał z wesołym uśmiechem. — Ośmieszy się pani w oczach pięknych towarzyszek. A teraz odpowiedź. Otóż, moim zdaniem, brzydkie kobiety uczą się dlatego, żeby błyszczeć rozumem i chociaż w ten sposób zwracać na siebie uwagę. Piękne nie potrzebują tego, dość im wejść na salę!...

— Przypuśćmy — odparłam żywo — ale w każdym razie mogą tak postępo-

wać jedynie bogate. A tyle jest ubogich, które muszą pracować na życie! Nauczycielki choćby! Tych nikt nie pyta, czy są piękne, tylko co umieją i jak uczą...

— No tak, naturalnie — rzekł niepewnym trochę głosem. — Zapomniałem o tym. Wyobrażam sobie, ile mądrych rzeczy siedzi w pani główce. I z pewnością, ze wszystkich tu zgromadzonych dam ma pani najwięcej wiadomości.

— Ależ nie! Co znowu! Tego nie chciałam powiedzieć! — zaprzeczyłam prędko. — Te panie są bez porównania bardziej wykształcone ode mnie. Nie umiałabym nawet mówić tak jak one!

— Sprawiedliwe nieba! Nie mogę pozwolić pani tak się szkaradnie obmawiać! — wybuchnął z udaną zgrozą. — Umieją prędko i zrecznie obracać językiem, to wszystko. Czy pani знаła którąś z nich już dawniej?

— Nie. Dopiero dzisiaj je poznałam.

— Ciekaw jestem bardzo, czy mamy wspólnych znajomych? — zagadnął niespodziewanie. — Zna pani rodzinę Temples z Crawley Hall?

— Nie.

— Czy była pani kiedykolwiek w Staffordshire, w Derbyshire?

— Nie, nigdy.

— Więc może zna pani Dalstonów? — rzucił nagle, obejmując mnie badawczym wzrokiem.

— Nie-e — odparłam niepewnym trochę głosem.

— Czy na pewno? W głosie pani czuć wahanie. Nie zna pani lorda Dalstona, słynie przecież z szaleństw?

— Nie — powiedziałam stanowczo, zniecierpliwiona już tą indagacją.

— Zdaje mi się jednak, że musiałam kiedyś słyszeć to nazwisko, bo nie jest mi obce.

Dziwny błysk zauważyłam w jego oczach. Przez godzinę chyba nudził mnie, usiłując pomóc mej słabej pamięci. Chęiał, abym sobie przypomniała, kto wymienił przy mnie nazwisko szalonego lorda. Ale wszystko na próżno. W końcu dał mi spokój.

Tymczasem w salonie rozmawiano i śmiano się, i dopiero późno w nocy rozeszliśmy się do sypialń. Nie znałam rozkładu pokoi i zabłądziłam. Znalazłam się w korytarzu długim i wąskim, w którym prawdopodobnie znajdowały się pomieszczenia dla służby. Bezradna, przystanąłam na chwilę nie wiedząc, gdzie mam się udać, gdy nagle dobiegły mnie wyraźne słowa:

— Nie spiesz się, zostań, masz jeszcze najmniej godzinę czasu — mówił niecierpliwie jakiś mężczyzna. — Przecież wcześniej nigdy nie dzwoni na ciebie. I

mój stary także. Chodź tu, czy słyszysz? Pocałuj mnie... już tak dawno...

Usłyszałam cmoknięcia, potem szept.

Zawróciłam i zaczęłam biec. Zatrzymałam się aż na schodach. Ja znam ten głos, o Boże! Co to znaczy, Boże! To ten, który z Sarą rozmawiał za parkanem! To przyjaciel pana Rayneza. Tutaj jest służącym, kochankiem garderobianej lady Mills? Nic nie rozumiem, w głowie mi się mąci, a jednak nie mam wątpliwości! Nie mylę się z pewnością. Ten lokaj i przyjaciel właściciela Alders, który rozmawiał poufale z Sarą i szedł po nocy z Tomem, jest jedną i tą samą osobą! Ciągłe zagadki, wszędzie tajemnice.

O całe piętro weszłam za wysoko, teraz od razu znalazłam właściwy korytarz i za chwilę otworzyłam drzwi swojej sypialni. Zaczęłam się rozbierać, jeszcze drżąc z przestachu oszołomiona dziwnym odkryciem. Zerwałam z szyi klejnocik postanawiając nie wkładać go więcej. Byłam zmęczona, znużona i śpiąca. Położyłam się, usiłując nie myśleć o tym, co mnie dziś spotkało.

17

Źle spałam tej nocy i obudziłam się nazajutrz bardzo wcześnie. W pałacu panowała niezmacona cisza, przez okno lały się potoki światła. Wyskoczyłam z łóżka, prędko się umyłam, ubrałam i zbiegłam do ogrodu szczęśliwa, że mogę być sama. Za wielkim klombem gęstych krzaków dojrzałam biały wąski budynek. Z początku zadziwił mnie kształtem, ale zaledwie postąpiłam kilkanaście kroków w tym kierunku, poznałam jego przeznaczenie — to łazienki. Wtem klucz zgrzytnął w zamku i na progu stanął Tom Parkes z koszykiem jaj w ręku. Zmieszał się widocznie na mój widok, bo się cofnął i uczynił ruch, jakby chciał się ukryć.

— Tomie! Tomie! — zawołałam. — Gzy mnie nie poznajesz? Co tu robisz?

— Nie... to jest... owszem... poznałem panią. Nie wiedziałem, że pani

— bełkotał niezrozumiale.

— Co ci jest, Tomie? Wyglądasz, jakbyś się wstydził czy przeląkł?! Możeś tu co zbroił?

— Powiem całą prawdę — zaczął po chwili. — Przeląkłem się w pierwszej chwili, gdy panią zobaczyłem. Przyszedłem pomóc znajomemu ogrodnikowi w

pilnej robocie, ale główny ogrodnik nie cierpi mieszkańców stolicy, bo go tam jedna kobieta zdradziła. Wie, że jestem z Londynu, więc gdyby się dowiedział... Dlatego najpokorniej proszę, żeby pani nikomu nie mówiła, że mnie widziała tutaj i... że pani mnie zna...

— Dobrze już, dobrze, nie zdradzę cię, Tomie.

— Dziękuję pani — rzekł z wdzięcznością i po chwili znikł. Wracalam ubawiona tym spotkaniem. Zabawny ten Tom. Widocznie wyobraża sobie, że główny ogrodnik jest potworem pożerającym mieszkańców Londynu. Boi się go jak ognia.

Przyspieszyłam trochę, bo ruch już panował w pałacu i lada chwila zadzwonić mogli na śniadanie. Nagle tuż przy drzwiach frontowych usłyszałam dwa męskie głosy.

— Jesteś niepoprawny, Tomie — odezwał się ktoś ze śmiechem. — Bella rwie włosy z zazdrości.

— Małomnie to obchodzi — odparł pogardliwie drugi mężczyzna i zaczął gwizdać arię z operetki.

Po chwili roześmiane towarzystwo znalazło się przed pałacem. Wmieszałam się niepostrzeżenie między panie. Były wszystkie i tylko dwóch panów: pan Carruthers i pan Cole. To ich słyszałam. Ten drugi jest niemuzykalny, zatem to pan Carruthers gwizdał arię. Kto to jest Bella?

Z pobliskiego kościoła dobiegł uroczysty dźwięk dzwonu. Lady Mills uprzejmie zwróciła się do gości z pytaniem, kto z nią pójdzie na mszę.

— Mogę iść — powiedziała pani Clowes, patrząc z ukosa na pana Carruthersa, który w skupieniu jadł ciastko.

— Zdecydujcie się, państwo! — zawołała lady Mills z udanym oburzeniem. — Wszystko mi jedno, jakie są wasze przekonania, niedowiarki, idzie tylko o waszą obecność w kościele. Na wsi bardzo surowo przestrzegają tego. A my sięjemy tu ciągle zgorszenie. I tak już gromy na nas rzucają w sąsiedztwie, że nie chodzimy spać razem z kurami, że... dajmy pokój zresztą, wyliczanie zajęłoby zbyt wiele czasu. Zeszłej niedzieli było u mnie siedemnaście osób, a tylko troje było na mszy.

— Czy pójdzie pani, panno Christie? — spytał pan Carruthers przyciszonym głosem. — No tak, naturalnie. I ja idę, jeśli pani zechce mi w książce wyszukiwać odpowiednie ustępy.

Wybraliśmy się wreszcie w osiem osób. Pan Carruthers usiadł przy mnie w wielkiej ławce, sięgnął po najcięższą z książek i otworzył ją uroczyście.

— Niech mi pani znajdzie właściwe miejsce.

Potrząsnęłam głową, nie chcąc pozwolić na takie lekceważenie świątyni, ale mój towarzysz zaczął się umyślnie kręcić, przewracać z szelestem kartki, potracać sąsiadów, przepraszać, ciągle przy tym zaglądając do mojej książki. W końcu byłam zmuszona wyszukać mu żądany ustęp i wszystkie potrzebne w czasie nabożeństwa modlitwy. Przez całą mszę robił głupie miny, jakby do trzech nie umiał zliczyć. Denerwował mnie, więc kiedy wyszliśmy z kościoła, wmieszałam się zaraz między inne panie. Ale po chwili znalazł się tuż koło mnie. Długą chwilę szedł w milczeniu, widocznie skruszony, ale udawałam, że tego wcale nie spostrzegam.

— Czy obraziłem panią? — szepnął na koniec z niekłamany żalem.

— Tak — odparłam chłodno. — Zachowanie pana było niewłaściwe.

— Nie robiłem przecież tego naumyślnie. Gdyby pani wiedziała, jak to przykro siedzieć podczas nabożeństwa jak na tureckim kazaniu! Gdybym zaczął sam szukać właściwego miejsca, to z pewnością nie znalazłbym go do jutra, a pani od razu znalazła.

— Jeśli pan częściej zacznie chodzić do kościoła, pan też znajdzie

— odrzekłam niechętnie.

— Tak. Łatwo to powiedzieć! — przerwał z gniewem. — Ja rano mam bardzo zajęty. Muszę wypalić kilka dobrych cygar i... i... załatwić wiele interesów. Ale od dziś postanawiam chodzić częściej na mszę, może w niebie nagrodzą moje dobre chęci.

— Dobrymi chęciami piekło wybrukowane, wie pan o tym? W kościele nic po panu — mówiłam pół żartem, pół serio.

Pan Carruthers wybuchnął długim, dźwięcznym śmiechem. Potem z powagą oznajmił, że nie godzi się odpędzać pragnących pokuty grzeszników, i że widocznie jestem zła, jeśli nie chcę zbawienia duszy bliźniego.

Przy podwieczorku znalazłam się między nim a panią Clowes. Koścista lady trawestowała dzisiejsze kazanie w taki sposób, że trudno było wstrzymać się od śmiechu. Potem zaczęła opowiadać różne, mniej lub więcej dowcipne anegdotki, w których dostało się każdemu z obecnych. Wtem z błyskiem w oczach zwróciła się do mego sąsiada.

— Czy mogę dolać panu sherry? — spytała złośliwie. — A może prawdą jest, że pan postanowił pić tylko mleko i wodę?

— Szczera prawda — odparł obojętnym tonem. — I powiem nawet pani — dorzucił z lekką ironią — że przyszło mi to bez żadnej trudności. Panno

Christie — dodał, zwracając się do mnie — uprzejmie proszę o przysunięcie winogron.

Pani Clowes z gniewem odwróciła głowę, jak gdyby w słowach pana Carruthersa było coś obraźliwego.

Po południu niektórzy z zapalem grali w tenisa, czułe pary popłynęły rzeką łódkami, starsi panowie udali się do biblioteki, a ja i kilka młodych pań i paru panów usiedliśmy na trawniku w cieniu klonów. Podano nam mrożony szampan. Doprawdy, to bardzo przyjemne siedzieć tak w chłodzie, w bujającym się fotelu i pić powoli zimny, smaczny napój.

Nagle przed pałacem pojawił się tajemniczy służący, przyjaciel pana Rayneza. Obrzucił nas bystrym spojrzeniem i postąpiwszy kilka kroków w stronę oranżerii zaczął wołać donośnym głosem: Ogrodniku, hej! ogrodniku, chodź tutaj! Spomiędzy drzew wysunął się prędko Tom Parkes. Przymknęłam oczy, żeby obecni nie zauważyli mego zmieszania. Cóż to znaczy? Ten lokaj udaje, że widzi Toma po raz pierwszy w życiu, jak gdyby onegdaj nie szedł z nim po nocy koło stajen w Alders i nigdy z nim nie rozmawiał. Tom widocznie kręci; skąd tak nagle został ogrodnikiem? Kiedy zdołałam trochę zapanować nad sobą, zwróciłam się z uśmiechem do pana Carruthersa i wskazując wzrokiem służącego, spytałam, czy wie, jak on się nazywa.

— To mój lokaj — odparł z dumą. — Nie miałem jeszcze służącego, który tak sumiennie spełniałby swoje obowiązki. Służy u mnie od pół roku i z własnej woli podwyższyłem mu pensję.

Zamyśliłam się głęboko po tych słowach. Pomału w mej głowie tworzyło się fantastyczne rozwiązanie tej dziwnej zagadki. Ten nieskazitelny służący mógł być przecież niegdyś zamożnym człowiekiem i stracić majątek, tak że był zmuszony w ten na przykład sposób zarabiać na życie. Naturalnie, że wstydzi się tego, co robi i w najgłębszej tajemnicy utrzymuje przeszłość. A od czasu do czasu skrycie odwiedza przyjaciół. Wydało mi się bardzo prawdopodobne takie rozwiązanie.

Pan Carruthers znowu „przyczepił się” do mnie i zanudzał o przeczytanie niedzielnych dzienników. Od jednej z pań słyszałam, że „przepełnione” są jakimś skandalem na tle erotycznym, więc odmawiałam stanowczo. Nie zrażony, zaczął czytać je głośno sam. Zagniewana wstałam z fotela i odeszłam. Natychmiast zbliżył się do mnie pan Cole i zaproponował wyprawę do sadu na śliwki. Przystałam z ochotą. W sadzie było zacisznie i spokojnie, drzewa uginały się od owoców, w rzeczce migotały srebrną łuską ryby, na długich, zielonych zagonach

grzebały się kurczęta. Sielanka.

Mój towarzysz zerwał dla mnie kilka kwiatów, które przypięłam zaraz do stannika, tam, gdzie błyszczało wczoraj tęczowe serduszko. Jednak moja lekka, muślinowa szata wyglądała bez porównania lepiej z klejnocikiem. Szkoda, że zwracał uwagę wszystkich, gdyby nie to, włożyłabym go i dzisiaj.

Zamyślona, wróciłam do swojego pokoju. Rozpuściłam włosy i sięgnęłam do szkatułki po grzebień. Wtem mój wzrok padł na otwarte, puste pudełeczko. Klejnot zniknął. Przerazona, zaczęłam przetrząsać wszystkie drobiazgi w walizie. 20 szylingów leży nieruszone, broszka także, podobnie listy Jerzego związane zieloną wstążeczką. Wywróciłam kieszenie obu sukien, zajrzałam w każdy kąt pokoju, przerzuciłam książki. Serduszko przepadło bez śladu. Przypomniałam sobie, że wczoraj wieczorem włożyłam je do szkatułki. Niepotrzebnie przewróciłam cały pokój!

Zatem klejnocik skradziono. Ale kto to zrobił? Cała drżąca usiadłam na krześle. Nieokreśloną trwogą przejęła mnie ta strata, na myśl mi przyszyły ostrzegające słowa pani Cunningham... Czyżby w tym domu był złodziej i ona coś wiedziała o tym? W pierwszej chwili zerwałam się, aby iść i opowiedzieć lady Mills o wszystkim, jednak zrezygnowałam po namyśle. Wiadomość o kradzieży i poszukiwania wywołałyby tylko zamęt w całym domu i zapewne oburzenie pałacowej służby. Byłam prawie pewna, że moje serduszko ukradł któryś z przyjezdnych lokai i to ostatecznie skłoniło mnie do wstrzymania się od poszukiwań. Goście mogliby się poczuć urażeni, gdyby na ich służbę padło podejrzenie i dla gospodyni domu mogłyby wyniknąć stąd nieprzyjemności. Więc już niech tam. Będę milczała, nie odpłacę lady Mills zamieszaniami za gościnność. Zresztą, może i lepiej, że te pseudobrylanty zniknęły. Tak ładnie przystrajały suknię, że nie powstrzymałabym się od włożenia ich znowu przy jakiejś okazji. I miałabym ciągle przykrości z powodu ich pięknego blasku, ponieważ brano by je za prawdziwe. Nie zniósłabym tego. Uczciwe, ubogie dziewczyny nie posiadają 'kosztownych klejnotów. Tylko czym osłonić szyję?

Zrobiłam szybki przegląd garderoby i znalazłam kawałek szerokiej, czarnej aksamitki. Przyszyłam haftki i zbliżyłam się do lustra: zaimprovizowane tour-de-cou zupełnie dobrze wyglądało.

Rozległ się dzwonek na obiad. Uspokojona zesłam na dół. Zostałam natychmiast otoczona przez panie. Wtem jedna z nich zauważyła brak serduszka. Zarzuciły mnie gradem pytań. Odparłam lekko drżącym głosem, że uznałam serduszko za zbyt piękne dla ubogiej nauczycielki i że nie będę już nosić go więcej.

Pan Carruthers szepnął wtedy z głębokim ukłonem, że w takim razie powinnam schować także do szkatułki swoje oczy, ponieważ ich blask jest stokroć silniejszy niż brylantów. Wzruszyłam tylko ramionami.

Wieczór był taki pogodny i ciepły, że po obiedzie prawie wszyscy poszli do ogrodu.

— Czy pani zechce poprosić pannę Christie, żeby nam zagrała?

— odezwał się nagle tuż za mną męski głos.

— Nie pozwolę po raz drugi męczyć mojego gościa — odparła lady Mills stanowczo. — Przegrałam te walce dziś rano i mogę teraz państwu służyć.

— I owszem — mruknął pan Cole, krzywiąc się pocieszenie. — Żeby pani wiedziała, jak lady Mills „bębni”! Ma „silne uderzenie” — dodał ciszej.

Część towarzystwa powróciła do salonu, reszta, w tym i ja, pozostali w ogrodzie. Rozmawiałam z lordem Millsem, którego ujęłam niezmiernie wiadomościami z botaniki. zaproponował mi obejrzenie uprawy winogron. Zgodziłam się. Z przyjemnością patrzyłam na symetrycznie rozpięte gałęzie, z których zwisały wielkie, przejrzyste grona. Mój towarzysz zachęcał mnie właśnie do spróbowania soczystych owoców, gdy nadbiegł zdyszany pan Carruthers z szalem w ręku.

— Dostałem burę od lady Mills — rzekł z wyrzutem. — Kazała mi powiedzieć pani, że zaziębi się, jeśli wyjdzie z cieplarni w tej wydekoltowanej sukni. Przysyła...

— Moja żona? No, no, dowcipny jesteś, młodzieńcze — przerwał mu lord Mills z zabawnym grymasem. — Niechże pan okryje tym szalem naszego gościa.

— A więc uprzedziłem tylko jej życzenie — powiedział pan Carruthers.

— Jak zwykle! — dodał z zagadkowym blaskiem w ciemnych oczach, otulając mnie prześliczną, indyjską tkaniną.

— A teraz zabierajcie się państwo stąd, i to prędko, bo panna Christie się zaziębi — odezwał się lord Mills. — Osiwiałbym z rozpacz.

— Ja także — szepnął pan Carruthers z powagą. — Chodźmy.

Było mi całkiem ciepło i chciałam się sprzeciwić takiemu rozporządzeniu moją osobą, ale pan Carruthers ujął mnie silnie pod ramię i rzekł z powagą:

— Strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Prawie przemocą wyprowadził mnie z oranżerii. Szliśmy bardzo szybko.

Nagle stanął.

— A teraz — powiedział cicho — pójdziemy inną drogą.

I pociągnął mnie w aleję, prowadzącą do rzeki.

— Przejdziemy się trochę, dobrze? — zapytał po chwili.

— Już późno i jestem tak lekko ubrana — próbowałam się bronić.

— Czy pani jest śpiąca? — zagadnął z uśmiechem, nachylając się nade mną.

— O nie! Oczy błyszczą jasno, są szeroko otwarte. Więc czemu mamy wracać? Żeby się nudzić śmiertelnie w salonie? A i tak zaraz posadzono by panią do fortepianu. O przeziębienie może być pani spokojna, ten szal indyjski, choć taki lekki, grzeje. Do twarzy pani w tym wschodnim przebraniu. Pora jest trochę spóźniona, to prawda, ale też na pewno nie spotkamy żywego ducha. Gdyby zresztą, to, w ciemnościach nie poznają pani. Nie widzę nic złego w tej przechadzce.

Pan Carruthers mówił tak stanowczym tonem, że zrozumiałam, iż muszę ustąpić. W chwilę później byliśmy nad rzeką. Zamajaczył przed nami wielki budynek, w którym przechowywano łodzie.

— Cudowna, cicha noc, jedyna do przejażdżki po rzece — szepnął mój towarzysz drżącym głosem.

Skinęłam w milczeniu głową.

— W dół, do jeziora, między śpiące trzciny — mówił rozmarzony

— poprzez ten jasny pas księżycowego światła aż do tych ciemnych cisów i z powrotem? Czy popłynię pani ze mną?

— Niedziela dzisiaj — odparłam nieśmiało.

Tak mnie zachwyił ten pogodny wieczór, że innej przeszkody nie widziałam. Spojrzał na mnie z wahaniem.

— Ma pani słuszność — rzekł cicho. — Rozumiem dobrze te skrupuły

— wyjął powoli zegarek. — Za kwadrans dwunasta! Niebo sprzyja naszym zamiarom. Za piętnaście minut zaczyna się poniedziałek, do tego czasu spuszczę łódź na wodę i wszystko będzie w porządku.

Pchnął silnie najbliższe czółno — zakołysało się z jękiem na falach i po chwili już w nim był.

— Carruthers — przemówiłam błagalnie — nie szalejmy. Północ przecież. Co lady Mills powie?

— Ja sam jej wszystko wytłumaczę — powiedział z powagą. — Pani wszystkich zachwyiła, nikt nie śmie coś przeciw pani pisnąć.

Przyjęłam te słowa jak zwykły komplement i dopiero później, niestety, zrozumiałam ich znaczenie. Dziwne jednak przeczucie ścisnęło mi serce i zaczęłam żałować, że dałam się namówić na tę przejażdżkę.

— Dwunasta! — oznajmił zmienionym głosem mój towarzysz. — Jesteśmy

wolni. Proszę o rączkę. Ostrożnie! O tak, powoli.

Posadził mnie wygodnie na ławeczce i w tej chwili byłam mu głęboko wdzięczna za ten pomysł — jeszcze nigdy w życiu nie płynęłam łódką!

— Nie ma prawie wiatru — powiedział pan Carruthers wesoło.

— Płyniemy zatem do jeziora. Niech pani teraz usiądzie przy sterze i weźmie do ręki te dwa sznurki. Będę pani mówił, który należy pociągnąć.

W milczeniu wysunęłam ręce spod miękkiej tkaniny i zrobiłam wszystko tak, jak kazał. Zaczęliśmy płynąć. Słysząc było tylko tarcie czółna o wodę i lekki plusk wiosł. Wszystkie moje myśli pobiegły w dal — do Jerzego... Tęskno mi tutaj i smutno bez granic. Nie umiem swobodnie oddychać w tych salonach, nie umiem żyć takim pustym i bez treści życiem. Duszę się po prostu! O! najdroższy, jedyny, gdzie jesteś? — rozmawiałam z nim w myśli.

— Pani nie o mnie myśli — rzekł nagle mój towarzysz.

Drgnęłam obudzona z cudownego snu. Fala krwi oblała mi policzki, sznur wysunął się z dłoni...

— Niech pani nie drży — szepnął cicho. — Ja pani nie chciałem obrazić... ale czemu myśli pani o nim, a nie raczy nawet spojrzeć na mnie? On ani w połowie nie jest panią tak zajęty, jak ja.

— Zajęty? — przerwałam, usiłując ukryć zmieszanie. — Myślałam o pani Manners.

— Szczęśliwa jest Manners, jeżeli myśl o niej wywołuje niebiański uśmiech na pani twarzy — odparł z ironią.

— A więc? — zapytałam chłodno.

— Jeżeli go spróbuję zastąpić — odparł rozdrażniony — każe pani natychmiast przybijać do brzegu, albo wydrapie mi oczy.

— Nie ma obawy! — rzekłam szyderczo. — Zaręczam panu nietykalność. Proszę kończyć, nie lubię półsłówki!

— Dobrze. Tylko przesiądę się bliżej, bo szmer wody głuszy pani słowa. Łódź płynie teraz z prądem, więc zluzuję panią przy sterze.

W milczeniu usiadłam na innej ławeczce.

— Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie — rzekł nagle mój towarzysz zmienionym, drżącym nieco głosem. W świetle księżycy zauważyłam, że twarz ma bladą jak płótno. — Czemu na przykład kobieta nie pokocha nigdy mężczyzny, który kocha ją prawdziwie, najgoręcej?...

Zadrżałam.

— Czy nigdy? — wyszeptałam cicho.

— Nigdy — powtórzył jak echo. Popatrzył na mnie oczyma, w których była rozpacz i głęboki smutek. Zrobiło mi się dziwnie przykro.

— Jak się poznaje tę największą miłość? — spytałam bezmyślnie, żeby tylko coś powiedzieć.

— Kobieta powinna ją poznać z rozkochanych oczu.

Odwrociłam głowę.

— Powinna ją odczuć wtedy, gdy jej usta połączą się z jego ustami — mówił niedosłyszalnym prawie głosem — gdy w jego oczach zauważy wzruszenie i szczęście, i szął, który go ogarnia z jej przyczyny...

— Tak... — szepnęłam cicho, przymykając oczy. Ogarnęło mnie słodkie wspomnienie pierwszego pocałunku. Zapomniałam, gdzie jestem, co mówię.

Pan Carruthers poruszył się gwałtownie i z wściekłością zaczął szarpać wąs. Twarz mu się zmieniła, z oczu sypnęły się iskry.

— Dawno się domyślałem, że cała pani młodość nie upłynęła na prowincji — rzekł z przekąsem.

W spojrzeniu wyczytałam resztę i tchu mi w piersiach zabrakło. Jak on rozumiał moje słowa? Co powiedział? I co mówił przedtem? Pozwoliłam mu odzywać się do mnie słowami miłości i upajałam się ich dźwiękiem. Ale ja wtedy myślałam o Jerzym! A ten... ten... Teraz pozostaje mi tylko szczerze powiedzieć prawdę.

— Nie gniewam się na pana, choć przed chwilą dotknął mnie pan boleśnie i niesłusznie. Ostatnie moje słowa znaczyć miały, że zgadzam się z panem, nie uznaję tylko jego pesymizmu. Jestem narzeczoną i wierzę gorąco, że wybrany daje mi pełnię uczucia — dodałam głosem drżącym.

— Nie można kochać więcej.

Wziął moją rękę i całował ją długo w milczeniu. Zbladł bardzo, ale twarz dziwnie mu wyszlachetniała. Czułam, że w jego zachowaniu nie ma niczego, co by mogło obrazić Jerzego.

Nagle się wyprostował i wyszeptał, że może lepiej byłoby już wracać. Popłynęliśmy z powrotem. Przez całą drogę nie padło między nami żadne słowo.

Gdy czółno przybiło do brzegu, pan Carruthers złożył wiosła i wyskoczył na brzeg. Za nim wysiadłam ja. Mój towarzysz wyciągnął zegarek.

— W pół do drugiej — oznajmił zdziwiony.

Przeraziłam się.

— Niech się pani nie lęka. W pałacu nie wszyscy już śpią. Wprowadzę panią do biblioteki bocznym wejściem, usiądzie pani gdzieś w kącie z pierwszą lepszą

książką. Potem wejść głównymi drzwiami i zapytam kogokolwiek, czy nie widział pani. Zaczniemy szukać, ktoś na pewno panią znajdzie i wtedy powie pani, że zasnęła przy czytaniu.

— Ale po co to wszystko? — przerwałam zdziwiona. — Przecież nie robiliśmy nic złego. Sam pan utrzymywał, że lady Mills jest przyzwyczajona do takich wycieczek.

— Nie zapieram się wcale. Opowiem lady Mills całą prawdę. Niech pani się o to nie troszczy. Nie usłyszy pani od niej słowa wymówki. Ale pozostałe panie mają języczki. W najniewinniejszej rzeczy⁷ potrafią odnaleźć zgorszenie i boję się, że będą ostrzyć swój dowcip na pani. Dla pani dobra nie chciałbym, żeby doszła je wieść o naszej przejażdżce.

— Powiada pan w najniewinniejszej rzeczy. Czy to będzie rzecz najniewinniejsza, jeżeli będę utrzymywać, iż nie wychodziłam do ogrodu? Czy pan naprawdę tak sądzi? Jeździłam łódką z panem i nie mam się czego wstydzić, nie popełniłam chyba nic zdrożnego? Lady Mills na pewno jeszcze się nie położyła. Pójdę do niej i opowiem jak było.

Zanim się zorientował, szybko się oddaliłam.

Zdyszana wpadłam do salonu. Na fotelu siedziała lady Mills z pobladłą twarzą, a obok niej pani Clowes z gniewnym spojrzeniem.

Na mój widok powstały jednocześnie.

— Gdzie pani była, kochana panno Christie? — spytała lady Mills głosem drżącym. — Już myślałam, że się pani przytrafiło coś złego!

— Och! lady Mills! Tak mi przykro! Jeździliśmy z panem Carruthersem po rzece łódką. Z początku nie chciałam zgodzić się na przejażdżkę, było już po dwunastej, ale on nalegał. Mówił, że pani z pewnością nie będzie się gniewać. Teraz widzę, że zrobiłam źle.

— Przyznanie się do winy zmazuje połowę występku — odezwała się pani Clowes słodziutko.

Lady Mills patrzyła na mnie z rozjaśnioną twarzą.

— Czy pani nie wie, że pan Carruthers ma opinię jednego z najbardziej niebezpiecznych mężczyzn? — powiedziała wreszcie ze śmiechem. — Nie boi się go pani?

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo właśnie mój „współwinowajca” stanął w progu. Lady Mills umilkła i spojrzała na niego surowo.

— Czy nie wstyd ci, Tomie, takiego postępu? — rzekła sucho.

— Może — odparł z niezwykłą powagą — ale to nie należy do rzeczy. Mo-

głaby pani nie zadawać sobie trudu z tą całą śmieszną indagacją. Czyż pani nie widzi niewinnych oczu tego dziecka? Kto śmiałby je skrzywdzić. Nawet w towarzystwie szalonego Dalstona nie stałoby się jej nic złego!

— Wie pani — dodał, zwracając się do mnie — dobrze, że pani nie usłuchała mojej rady. Zawsze prosta droga jest najlepsza.

Z głębokim wzruszeniem uścisnął mi rękę, lady Mills objęła mnie serdecznym ruchem i ucałowała jak siostra, a pani Clowes lekko dotknęła mego policzka zimnymi ustami. Poszłam na górę z lekkim sercem i położyłam się. Nazajutrz rano wyjeżdżam. W nocy śniłam słodko o Jerzym...

Przy śniadaniu lord Mills oznajmił, że jedzie do Beaconsburgh po ważne listy i sam mnie odwiezie do Alders.

Młode damy żegnały mnie serdecznie i z żalem, panowie z oznakami udanej rozpaczki, jedna tylko pani Clowes wcale się do mnie nie zbliżyła. Siedziałam już w powozie, gdy z bocznych zabudowań wybiegł Gordon, ów tajemniczy lokaj, zbliżył się do mnie z pokornym ukłonem i powiedział:

— Przepraszam panią, zdaje się, że to pani broszka. Znalazłem ją wczoraj wieczorem na schodach, boję się, czy aby „to-to” nie zdeptane.

Podał mi tęczowe serduszko, a ja byłam tak wzruszona cudownym odnalezieniem mego klejnociku, że nie podziękowałam służącemu.

Poruszałam brylantowym cackiem, które w słońcu dawało przepiękne blaski i wtedy zauważyłam brak złotej blaszki na odwrotnej stronie... blaszki z monogramem...

Tysiące sprzecznych myśli zawirowało mi w głowie. Czyżby Gordon rzeczywiście ukradł to serduszko, a potem zwrócił mi obawiając się kary? A może prawdziwy złodziej wstydził się oddać i poprosił lokaja, aby to zrobił? A może to ja zgubiłam klejnot? Może mi się tylko śniło, że go kładłam do szkatułki?

Kiedy sir Jonas wysadził mnie przy ciemnych kratkach Alders, ogarnęło mnie uczucie dziwnego smutku, jakby przygnębienia. Z pochyloną głową szłam za nachmurzoną Sarą, która niosła moją walizkę. Wyglądałam jak schwytyany więzień-uciekier. Gdy z wieńca drzew wynurzył się wielki czerwony dom, z malowni-

czymi festonami bluszczu na wilgotnych ścianach, pomyślałam, że jestem już tutaj przeszło dwa miesiące, a „dom na moczarach” nadal jest dla mnie zagadką...

Wiedziałam, że kryje on jakąś tajemnicę. Tylko jaką? Wszystkie zagadkowe wydarzenia związane z tym domem nasuwały mi się z podwójną siłą. Czy pani Raynez jest naprawdę umyślowo chora? Na wsi nie brakuje plotkarzy, najmniejszy wypadek nie ukryje się przed sąsiadami. Gdyby ktokolwiek domyślał się prawdy, nie omieszkałby pochwalić się tą wiadomością, nie oszczędzając nikogo. Jak panu Raynezowi udało się to ukryć? Dlaczego wszyscy, których poznałam, nazywają właściciela Alders złym człowiekiem?! Nie dlatego z pewnością, że gra na skrzypcach i lubi wyścigi, nie! Dlaczego pomimo tego sąsiedzi pragną utrzymywać z nim kontakty? Co łączy pana Rayneza i Gordona, tego służącego? Jeśli pani Raynez jest chora, to mąż wybrał dla niej nieszczególną opiekunkę. Podejrzewam, że Sara musi być także niespełna rozumu. Dlaczego ona mnie tak nienawidzi?! Boję się tej kobiety. Czuję, że ona coś przeciw mnie knuje, jakąś okropną zemstę. Nie wiem, jak wytrzymam z nią jeszcze trzy tygodnie pod jednym dachem. A biedna Jane pewno się też nie domyśla, jaka ciemna chmura wisi nad jej głową.

Wstrząsnął mną dreszcz pod wpływem tych myśli. Przewyciężyłam niechęć do Sary i zaczęłam wypytywać ją o zdrowie państwa, Mony, Haide. Odpowiadała niechętnie, wymruczała, że Haide jest słaba, dziś nie wychodziła i nie wiadomo, czy będę mogła ją teraz zobaczyć.

— Zaziębiła się w sobotę wieczorem, bo siedziała długo nad stawem, przy moście. Nie dała się stamtąd zabrać, mówiła, że rozmawia z panią. Niemądra! Czasem myślę, że starsza panienka ma naprawdę bzika.

Głęboko wzruszył mnie ten dowód przywiązania Haide. Chciałam do niej iść, ale Sara powiedziała szorstkim głosem, że może później, bo teraz czuwa przy niej pani Raynez.

Na górze odebrałam z rąk służącej walizkę, nie chciałam, żeby wchodziła do mego pokoju. Spytałam ją tylko, czy są dla mnie jakieś listy. Ale nie było żadnych. Spodziewałam się w duchu paru słów od Jerzego. Uważałam, że nie możemy się dłużej gniewać na siebie, zrozumiałam, że musimy we dwoje iść przez życie, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Czemu nie napisał? Przecież wie, że go kocham, nazwał swoją narzeczoną.

Siadłam przy oknie i ukryłam twarz w dłoniach. Chciało mi się płakać, czułam się bardzo nieszczęśliwa.

Opanowałam się jednak. Zbliżała się pora obiadowa, nie mogłam zejść na dół

zapłakana. Gotowi pomyśleć, że mnie w Londynie spotkało coś przykrego.

Przez cały obiad czułam na sobie badawczy, przenikliwy wzrok pana Rayneza i poznałam po wyrazie jego twarzy, iż zauważył we mnie pewną zmianę. Spytał, czy dobrze bawiłam się z arystokracją. Odpowiedziałam twierdząco, ale tak niepewnym głosem, że zwróciło to uwagę pani Raynez.

Po południu pozwolono mi odwiedzić Haide. Dzień był dość ciepły, chociaż trochę wietrzny, ale w korytarzu przyległym do pokoju malej i w samym gabinecie panował przykry chłód piwniczny, taka wilgoć, że wstrząsnęło mną. W pokoiku nie było ognia, ani nawet kominka, dziewczynka leżała w łóżeczku rozpalona i nawet jakby trochę nieprzytomna. Jak można chore dziecko trzymać w zimnym, wilgotnym pokoju? Sama nie wiedziałam, co mam myśleć o tym! Haide na mój widok uniosła główkę, w oczach jej była wielka radość. Zarzuciwszy mi na szyję chude, rozpalone gorączką rączki zaczęła szeptać, że mnie bardzo kocha, prosiła, żebym jej opowiedziała, co robiłam u lady Mills. Spełniłam z chęcią jej życzenie. Mówiłam o ślicznych żółciutkich kurczątkach, złotych rybkach i hodowli winogron w cieplarni. Wybierałam naturalnie tylko to, co ją rzeczywiście zająć mogło. Dziewczynka słuchała z otwartymi szeroko oczyma. Wtem pan Raynez wszedł na palcach do pokoju. Dał mi ręką znak, bym nie przerywała.

— Ja chciałbym także dowiedzieć się z pani ust o wszystkich pani przygodach — rzekł półgłosem. — Bez żadnych upiększeń naturalnie.

Trochę mnie nieprzyjemnie dotknęły te słowa.

Haide poprosiła, żebym koniecznie z nią zjadła podwieczorek. Przystałam na to z ochotą. Pani Raynez nie było w pokoju. Zauważyłam, że jej stosunek do mnie się zmienił. Takim przykrym wzrokiem patrzyła dzisiaj na mnie przy śniadaniu. Nie raczyła się wcale odezwać, udawała, że nie spostrzega mojej obecności. Czego ta kobieta chce ode mnie!

Gdy Haide skończyła pić herbatę, położyła paluszek na ustach. Miała tajemniczą minę.

Zbliżyłam się do niej, zdziwiona wyrazem jej twarzy.

— Niech pani na palcach podejdzie do tych drzwi od korytarza

— szepnęła mi cicho do ucha — i zobaczy, czy nas nikt nie podsłuchuje?

Spełniłam tę dziwną prośbę, nawet uchyliłam drzwi, żeby uspokoić dziecko.

— Dziękuję. A teraz — jeszcze drzwi od pokoju mamy.

Poruszyłam klamką, były zamknięte na klucz, przyłożyłam ucho do drzwi, ale nic nie słyszałam. Z czystym sumieniem zapewniłam małą, że i tu-

taj nie ma nikogo.

Przywołała mnie ruchem ręki i zbliżyła usta do mojego ucha.

— Przedwczoraj wieczorem ta szkaradna Sara zrobiła mamie coś złego

— szepnęła — mama jęczała i płakała. Słyszałam wszystko z łóżka. Przeleżałam się bardzo i żal mi było mamusi. A potem zrobiło mi się zimno i gorąco — i zachorowałam. Tss! Cicho! Ktoś podsłuchuje nas znowu.

Ale nikt z pewnością nie byłby w stanie rozróżnić jej cichego szeptu, ja sama rozumiałam go zaledwie, choć główka Heide opierała się o moją szyję.

Zacząłam dziecku łagodnie tłumaczyć, że pewno coś jej się przywidziało, że Sara nie może zrobić mamie żadnej krzywdy. W końcu uspokoiła się trochę.

Siedziałam przy niej, póki nie zasnęła. Dopiero wtedy cichutko wstałam, wzięłam szal z przedpokoju i pobiegłam do swojego gniazdka.

Podeszłam do okna. Przy płaczącej wierzbie zauważyłam wysmukłą, znaną postać. Jerzy! To Jerzy! Serce zaczęło mi tłuc się w piersiach. Wybiegłam z pokoju i po chwili stanęłam zadyszana przed nim.

— Dobry wieczór pani — powiedział obojętnie.

Przeszył mnie dreszcz ostrego bólu.

— Czemu pan do mnie tak mówi? — wyszeptałam zdławionym łzami głosem. — Czy pan się jeszcze gniewa?

— A za cóż miałbym gniewać się na panią? — odparł, jakby z przymusem. — A zresztą to zapewne pani obojętne — poznała pani w Denham Court tylu nowych, zajmujących ludzi.

— Panie Jerzy! — szepnęłam boleśnie — czy pan nie wie, czym jest dla mnie towarzystwo pana?... Czemu pan mnie dręczy?

— Nie mam tego zamiaru — rzucił z gorzkim chłodem. — Wiem, że pani jest bardzo uprzejmą osobą i chętnie rozmawia ze mną z braku innej rozrywki.

— Okrutny jest pan dzisiaj — rzekłam z płomieniem w oczach, bo krew zaczęła burzyć się we mnie. — Czy mój pobyt w Denham Court tak rozdrażnił pana? Nie mogłam się od niego wymówić, lady Mills była dla mnie taka uprzejma. I oświadczam panu z ręką na sercu, że nie popełniłam tam nic takiego, czego potrzebowałabym się wstydzić. Nie rozumiem ani trochę powodów pańskiego zachowania. Ciągle myślałam o panu... — dodałam drżącym głosem.

— Czy i wtedy, gdy pan Carruthers zabawiał panią dowcipną rozmową w ciepłarni? Czemu pani blednie? A w ów sobotni wieczór w salonie przy oknie, rozmawiając z tym pięknym młodzieńcem, czy także myślała pani o mnie? Zapewne

i w kościele, kiedy modliliście się z jednej książki?

I naturalnie wtedy, gdy pan Carruthers znosił pani owoce i kwiaty i podziwiał z panią na mostku pływające rybki, dostarczał nut do tańca własnego układu, mówił tak cudownie o poezji...

— Niech pan przestanie — przerwałam blada z oburzenia. — To kłamstwo! Wszystko kłamstwo! Prawdą jest, że chodziłam do sadu rwać śliwki i oglądać ryby — ale z panem Cole. On także zbierał dla mnie kwiaty. Grałam walce, ponieważ prosił o to pan Standing, a potem z nim rozmawiałam o poezji! Ale pan Carruthers...

— Pan Standing!? — wycedził ironicznie Jerzy. — A więc już drugi Apollo? Znakomicie pani wybiera przyjaciół. Tylko że ja nie chcę być jednym z nich! Jestem niegodny takiego zaszczytu!

— Więc niech pan mną pogardza! — wybuchnęłam. — Nikt się nie ujmie za mną. Nie wiem, co ci panowie popełnili tak karygodnego, że zasłużyli sobie na taką opinię. Żaden z nich mnie nie obraził i nie odzywał się do mnie tak, jak pan teraz.

— Dobrze pani broni swych przyjaciół! Więc wszyscy są cnotliwi? A czy z każdym popłynęłaby pani łódką po północy?

— Dosyć! — powiedziałam z mocą. — Nie mogę i nie chcę dłużej tego słuchać!

— Och! To bardzo łatwo — odrzekł Jerzy. Twarz mu się zmieniła, była w niej rozpacz, oczy gorzały.

— Krótko tam pani była — zaczął łamiącym się głosem po chwili ciężkiego milczenia. — Bardzo krótko. Nie marnowała pani za to czasu. Wolałbym umrzeć, niż mówić te słowa, ale muszę. Od rana cała okolica mówi o pani zachowaniu — dokończył cicho.

— Moim zachowaniu? — krzyknęłam zdumiona.

— Tak jest, właśnie. Wczesnym rankiem wiedział już o wszystkim pan Raynez.

— Pan Raynez! No to nic dziwnego — rzekłam z głęboką ulgą.

Jerzy drgnął i objął mnie surowym spojrzeniem.

— Pan Raynez ma tam przyjaciela, z którym się często widuje

— szepnęłam i umilkłam nagle. Czy mam prawo zdradzić tajemnice innych, choćby mnie to mogło oczyścić w jego oczach?!

— Niechże pani nie szuka wykrętnych tłumaczeń! — przerwał nagle rozdrażniony. — Pan Raynez posłał tam kogoś za panią, ale bez jej wiedzy, sam mi

mówił.

— Nie wierzę temu! Pan Raynez nie dopuściłby się nigdy takiej rzeczy.] Zresztą — nie miałby potrzeby, potrafię sama dbać o siebie. Pan Raynez wiej dobrze, co ma sądzić o tym!

— Naturalnie! Wie dobrze! — powtórzył Jerzy z ironią. — Jemu ; przecież wszystko jedno, czy opinia pani straci coś na nocnej przejażdżce z obcym człowiekiem po rzece. Piękność pani nie zmniejszy się przez to.

— Nie mogłam tego wszystkiego przewidzieć — szepnęłam prawie z płaczem. — Lady Mills powiedziała mi wprawdzie, że pan Carruthers jest niebezpiecznym mężczyzną, ale dopiero wtedy, gdy wróciliśmy z tej nieszczęsnej wyprawy. Tamte panie zwracały się do niego po imieniu, są w nim po prostu zakochane, zazdrosne o każdy taniec, miłe słówko. Jerzy! — dodałam z rozpaczą — nie męcz mnie, czy mi już nie wierzysz?...

Moje łzy i drżące słowa wzruszyły go. Zbladł mocno, na twarzy odbiło się wahanie, zniknął powoli wyraz zaciętości. Postąpił krok ku mnie i chciał wyciągnąć rękę, gdy wtem z kościelnej wieży wiatr przyniósł dźwięki bijącego zegara. Uderzył siedem razy.

— Ach! — wyrwało mi się z ust.

— Co takiego? — zapytał Jerzy, ściągając znowu blade czoło.

— Pan Raynez! Obiecałam mu być kwadrans przed siódmą w salonie i towarzyszyć w grze na skrzypcach — szepnęłam zmieszana.

— Nie będę pani zatrzymywał — wycedził szyderczo przez ściśnięte zęby. — Żałuję teraz, że przyszedłem tutaj. Przerwałem pani słodkie rozmyślenia na temat wczorajszych rozrywek. Zrobiłem to niechcący, ale ponieważ za dwa dni wyjeżdżam z matką na Rivierę, więc postanowiłem raz jeszcze zobaczyć się z panią, powinszować ostatnich pobjaw i cudownej przemiany w zwyczajną kokietkę. Żegnaj panią. Życzę przyjemnego spędzania czasu z panem Raynezem.

Wyciągnęłam do niego rękę, a on dotknął jej końcami palców i jakby z przyzorem. Za chwilę już go nie było. Chciałam po raz ostatni zawołać na niego, ale mój głos zdusiło łkanie. Opadłam ciężko na swoją ławeczkę, drżąca, nieprzytomna z bólu. W myślach plątały mi się niesprawiedliwe słowa Jerzego, czułam, że szczęście i słodycz kochania zostały z mego życia wykreślone. Jerzy mną pogardza, odszedł, nie wysłuchawszy nawet tego, co chciałam powiedzieć, odszedł i już nie wróci!... I za co to wszystko mnie spotyka? Boże! Za co?!...

Długo tak musiałam siedzieć jak martwa, bez czucia, zastygła w bólu. Nagle ktoś dotknął mego ramienia... Zadrżałam... Podniosłam nieprzytomne oczy —

przede mną stał pan Raynez i patrzył na mnie z głębokim współczuciem. W milczeniu łagodnie ujął mnie pod ramię. Szliśmy bardzo powoli, pan Raynez nie przerwał milczenia żadnym słowem. Podtrzymywał mnie z taką troskliwością, że mimo smutku i zamyślenia uczulam dla niego wielką wdzięczność. Na ganku szepnął jakby z obawą, żebym się położyła, gdyż jestem bardzo zmęczona, nie muszę mu akompaniować.

Podniosłam hardo głowę, jakaś dziwna zmiana zaszła we mnie, pragnęłam ukryć swój ból. Prawie spokojna powiedziałam, że jeśli ma ochotę, to z przyjemnością będę mu towarzyszyła, i zbliżyłam się do fortepianu.

Ale grałam bezbarwnie, ciężko, myliłam się często, spod palców płynęła melodia nierówna, dziwna, poszarpana, nie było wcale duszy w tej muzyce — bo duszę mi rozdarło... Po chwili tej niefortunnej gry pan Raynez złożył skrzypce i oznajmił półgłosem, że na sekundę musi iść zobaczyć, jak się miewa Haide, ale zaraz wróci. Nie przestawałam jednak grać czując, że rozplakałabym się. Wiedziałam, że pan Raynez dlatego znalazł tę wymówkę, ponieważ drażnił go nierówny mój akompaniament. Wtem łza spłynęła mi na drżącą rękę, a potem druga, trzecia. Po chwili twarz miałam zalaną łzami.

— Co tobie, drogie dziecko? — zapytał ze współczuciem mój pan.

— Czy muzyka denerwuje cię tak dzisiaj? Ja przecież nie chcę pani męczyć, a ten akompaniament proponowałam pani dlatego, iż sądziłem, że rozproszy smutne myśli. Czemu pani płacze? Czy się coś stało?

— Nie! Nie! Nic! — szepnęłam łkając. — Niech mi pan pozwoli odejść!

— Nie mogę puścić pani w takim stanie — rzekł łagodnie. — Niech pani spocznie w tym fotelu koło ognia i zaczeka tu na mnie. Przyniosę pani coś dobrego.

Przemocą posadził mnie przy kominku i zniknął w drzwiach jadalni. Prędko osuszyłam oczy, wstydziłam się swojego zachowania. Co on sobie pomyśli o mnie? Piękna nauczycielka! Wyjechała na dwa dni w sąsiedztwo, naplotła tam dużo niepotrzebnych rzeczy, a po powrocie spazmuje i robi w domu zamieszanie.

Po chwili pan Raynez wrócił z butelką wina, karafką i szklanką. Przyrządził zręcznie orzeźwiający napój, który wypiałam z przyjemnością.

— Przepraszam pana za ten trud i za wszystko — zaczęłam po chwili nieśmiało — ale...

— Och! Wiem! Wiem — przerwał mi żywo. — I nie dziwię się wcale, że pani żał przyjemnego towarzystwa i wesołego życia w Denham Court. Tutaj, w Alders, jest tak ponuro i smutno, i tyle panią u nas spotyka przykrości, że trudno

być pogodną i spokojną. Niezmiernie mi tylko przykro, że nie mogę...

— Ależ nie nudzę się w Alders! O — wcale! — zawołałam pospiesznie.

— Więc co było powodem łez pani? — spytał poważnie. — Co pani; chciała mi powiedzieć? Aha — są i raki — dodał żartobliwie. — Miałem więc J słuszność. Nie pani wina, że dom mój samotny i cichy, przytłoczony nieszczęściem... nie może być odpowiednim miejscem dla młodej i rwącej się do życia dziewczyny. Czemu pani nie chce przyznać, że w pałacu było daleko weselej? Teraz z pewnością tęskni pani do...

— Wolałabym tam wcale nie być! — powiedziałam z naciskiem.

— Tak się pani zdaje. Niech pani spróbuje posiedzieć dłużej w tym pustkowiu, a zaręczam, że jeśli nie dostanie pani melancholii, to pragnąc, będzie rozrywki choćby najmniejszej. Życie nauczy panią jeszcze wielu rzeczy. Teraz niech pani przyjmie od prawdziwego przyjaciela radę: nie należy nigdy omijać żadnej sposobności, żeby dobrze przeżyć choć chwilę. Minimum d'effort pour maximum de jouissance — powiedział pewien mądry Francuz. Z czasem zapewne lepiej i dokładniej zrozumie pani jego słowa, a teraz proszę je zapamiętać. Po co stwarzać sobie urojone przykrości, jeżeli możemy być bardzo szczęśliwi — dodał dziwnym głosem.

Zapanowało milczenie.

— Czy opowie mi pani teraz, jak bawią się w Denham Court?

— zagadnął łagodnie. — Chciałbym wiedzieć, jak się pani czuła w tym arystokratycznym otoczeniu. Wprawdzie doszły mnie stamtąd wieści

— widziałem się dzisiaj z kimś ze znajomych w miasteczku — ale chciałbym dowiedzieć się wszystkiego od pani.

— Czyżby Jerzy skłamał? — pomyślałam z bólem. Mówił, że pan Raynez wysłał za mną szpiega, ale on źródło wiadomości wyjaśnia zupełnie inaczej?!

— Słyszałem, że pani nosiła tam klejnocik, który ofiarował jej niegodny sługa? — rzekł niespodziewanie pan Raynez głosem, w którym wyczuwało się niezadowolenie.

— Tak — odparłam cicho, zdziwiona jego zachowaniem. — Ślicznie ozdobił mi suknię. Wszyscy myśleli, że to prawdziwe brylanty — dodałam, usiłując się uśmiechnąć.

— Doprawdy?!

— Ależ tak — powtórzyłam weselej. — Powiedziałam im, że pan śmiać się będzie, gdy się o tym dowie. Widzi pan teraz, że można być mieszkanką Londynu i nie poznać się na imitacji. Przecież tamte panie mają mnóstwo biżuterii, a

jednak moje serduszko wzięły za prawdziwe. Jeden z panów, pan Carruthers, mówił mi, że widział podobny klejnot za 1500 funtów. Czy pan sądzi, że to możliwe?

— Tak mi się zdaje — odrzekł mój towarzysz z pobladłą nagle twarzą.

— Prawdziwe kamienie tej wielkości są bardzo rzadkie i kosztowne. Do kogo należał tamten klejnot?

— Nie wiem. Ale miał także litery na odwrotnej stronie.

— Czy być może?! — wykrzyknął zdziwiony — taki sam monogram?!

— Nie. To byłby dziwny zbieg okoliczności — rzuciłam zamyślona.

— Zdawało mi się, że pani tak mnie wyjaśniła — szepnął zmienionym głosem.

— Gdzież tam! Pan Carruthers chciał wprawdzie koniecznie zobaczyć litery na moim serduszku, ale mu nie pozwoliłam.

— Czemu?

— Widzi pan, ja — zaczęłam zmieszana — pan Carruthers mógł mi nie uwierzyć i myśleć, że to są prawdziwe brylanty... więc... gdyby zobaczył te litery domyśliłby się od razu, od kogo je dostałam... i gotów byłby jeszcze posądzić pana o lekkie pomieszenie zmysłów... bo czy nauczycielce daje się takie klejnoty?! — dorzuciłam z uśmiecheta, pragnąc żartem pokryć swoje zmieszanie. — 1500 funtów! Niech się pan zastanowi! Tyle właśnie wyniosłaby moja pensja za czterdzieści lat pracy.

Pan Raynez roześmiał się głośno.

— No! No! Nie przypuszczałem, że taka z pani dyplomatka — odezwał się, ubawiony. — Gdyby ten dżentelmen jednask naprawdę chciał przeczytać litery monogramu, to mógł uczynić to siłą.

— Za dobrze wychowany — odparłam spokojnie. — Poza tym schowałam po tej rozmowie serduszko i postanowiłam nie nosić go więcej.

— A to znów dlaczego? — spytał zaniepokojony.

— Bo zanadto zwraca uwagę — szepnęłam nieśmiało. — Ten klejnocik naprawdę jest dla mnie za piękny.

— Koszałki opałki — przerwał żywo. — Dla ciebie, drogie dziecko, nie ma nic za pięknego na świecie. — Czy pani arystokratyczni wielbiciele nie wspominali o tym?

Zaczerwieniłam się gwałtownie.

— Muszę powiedzieć panu o jednej jeszcze rzeczy — zaczęłam z powagą. — Spotkało mnie w Denham Court coś bardzo dziwnego. Wieczorem w sobotę

schowałam mój klejnocik do szkatułki, a nazajutrz już go tam nie było...

— Głupstwo! Znajdzie się inny.

— Ależ nie! Co znowu! Niechże pan da mi skończyć — rzekłam, przerażona jego hojnością — jeszcze pan nie wie najważniejszego. Dziś rano, kiedy wyjeżdżałam, zbliżył się do mnie służący pana Carruthersa i oddał mi to cacko mówiąc, że znalazł je na schodach. Zdziwiło mnie to tłumaczenie, ponieważ blaszka z monogramem zniknęła. Co pan sądzi o tym?

— Tylko tyle, że wypadek ten uważać można jako potwierdzenie słów pani i moich — odparł pan Raynez z uśmiechem. — Gdyby to były prawdziwe brylanty, na pewno nie ujrzałyby ich pani więcej. To chyba jasne. Imitacja uratowała od płaczu czyjeś śliczne oczy... bo w przeciwnym wypadku...

— Toteż nie pragnę nigdy mieć prawdziwych! — zawołałam szczerze.

— I czemuż to?

— Tyle się nasłuchiwałam od pań arystokratek o kłopotach i strachu, jaki sprawia posiadanie drogiej biżuterii — szepnęłam.

— Niech im pani nie wierzy — odezwał się z ironią. — Te arystokratki nie mają drogiej biżuterii.

— Ależ tak. Tylko ją widocznie rzadko noszą. Jedna z tych pań, żona bardzo bogatego przedsiębiorcy, ma prześliczne brylanty!

— Jak się nazywa ta szczęśliwa wybranka fortuny? — zapytał ciekawie.

— Pani Cunningham.

— Czy i jej podobał się pani klejnocik?

— Bardzo. Nie chciała wierzyć, że to imitacja! Nawet mnie strofowała za zbyt nieostrożne obchodzenie się z moim tęczowym serduszkim.

— Z tego wnoszę, że bardzo musi troszczyć się o swoje? — rzucił pan Raynez od niechcienia.

— Naturalnie! Nie domyśliłby się pan, gdzie je chowa!

W tym momencie pan Raynez trącił stół łokciem i przewróciła się szklaneczka z wodą. Zaczęłam ją wycierać chustką.

— Mniejsza o to — rzekł niecierpliwie — szkoda chustki. Niech pani lepiej kończy swą opowieść!

— O czym mówiłam? — zapytałam cicho. Zapomniałam zupełnie, o czym rozmawialiśmy. Umysł i duszę miałam przepełnione bolesnym rozstaniem z Jerzym. Zmuszałam się do rozmowy z moim chlebodawcą, żeby nie sprawić mu przykrości. — Ach! O biżuterii tej pani. Ma jeden prześliczny garnitur z brylantów, drugi z rubinów. Codziennie chowa je troskliwie.

— Do kasy ogniotrwałej — dokończył za mnie pan Raynez, tłumiąc ziewanie.

— Ależ skąd! — powiedziałam z uśmiechem. — Trzyma je zawsze przy sobie.

— Doprawdy? — zapytał zdziwiony.

— Tak, sama mi to powiedziała. Nikt z domowników nie wie o tym. Sypia, kładąc je pod poduszkę.

Pan Raynez podniósł się gwałtownie z krzesła.

— My tu gadu-gadu, a pani zmęczona! — odezwał się serdecznie.

— Proszę, niech pani zaraz się położy i śpi do samego rana.

I znów dyskretnie ziewnął. Przyglądałam mu się zdziwiona. Oczy goreją niby dwa rubiny, szeroko otwarte, gdzieś w dał zapatrzone, znużenia w nich ani śladu, cóż więc znaczy to ziewanie? Ma zapewne dosyć mego towarzystwa. Podniosłam się z fotela.

— Przyjemnych marzeń, pięknych snów — powiedział pan Raynez, podając mi przygotowaną świecę. — Życzę, żeby się pani przyśnił brylantowy królewicz — dorzucił żartobliwie. — Jeszcze słówko. Muszę pani udzielić nagany, ma pani troszeczkę za długi języczek. Nie powtarza się nigdy tajemnic, powierzonych nam w zaufaniu — wydekłamał z patosem.

— W zasadzie przyznaję panu rację — odparłam żywo. — Powiedziałam to przecież tylko panu, nikt więcej nie dowie się o tym. Dobranoc.

— Dobrej nocy — szepnął. — Tak, całe szczęście, że tylko mnie zdradziła pani sekret starej milionerki — dodał dziwnym głosem i zamknął za mną drzwi od przedpokoju.

19

Miał słuszość pan Raynez: byłam tak zmęczona, że z trudem się rozebrałam, oczy kleiły się same. Na drugi dzień zasnęłam i kiedy zeszłam na dół, wszyscy już kończyli śniadanie. Zauważyłam, że pani Raynez siedziała przy stole bardziej jakby ożywiona. Była w podróżnej, eleganckiej sukni. W chwilę później powóz zajechał przed ganek.

— Czy wyspała się pani? — zapytał pan Raynez z żartobliwym uśmiechem.

— Za karę zostaje pani sama w Alders, my wyjeżdżamy.

I zaczął opowiadać niestworzone historie o swoim wyjeździe. Upłynęło dużo czasu, zanim się dowiedziałam, że jedzie do Londynu w ważnym interesie, a prócz tego ma zamiar być w teatrze, na wyścigach i gdzieś jeszcze, tak że zapewne nie będzie mógł powrócić przed sobotą. Żona odprowadza go tylko na kolej.

— A może i pani przejechałaby się do Beaconsburgh? — zapytał uprzejmie. — Świeże powietrze orzeźwi panią trochę, lekcji i tak nie ma, ponieważ Haide jeszcze jest chora. Wymieni pani przy sposobności książki w miejskiej czytelni i zrobi sprawunki. Znam się na tym. Żona dotrzymania pani towarzystwa.

Zdaje się, że pani Raynez nie spodobał się ten projekt. Chciałam odmówić, ale pan Raynez nie dał mi dojść do słowa, wyprawił na górę, wołał wesoło, że-bym się spieszyła. W kilka sekund później już byłam z powrotem w jadalni. Kapelusz miałam trochę krzywo założony, rękawiczkę z prawej ręki usiłowałam włożyć na lewą i dopiero głośny śmiech gospodarza zwrócił moją uwagę na tę pomyłkę. Mój chlebodawca troskliwie usadowił żonę w powozie, mnie wskazał miejsce obok, sam usiadł naprzeciwko. Stangret trzasnął z bata i pojazd ruszył.

Na stację przyjechaliśmy o wiele za wcześnie. Okazało się, że w Alders zegary spieszą przynajmniej o godzinę. Pani Raynez wsparła się o poduszki powozu i przymknęła oczy, widocznie zmęczona drogą, ja wysiadłam, nie chcąc jej krępować. Pan Raynez przywitał się z zawiadowcą, potem rozmawiał na peronie ze znajomymi tak głośno, że aż tutaj dochodziły jego słowa. Oznajmił kilku dżentelmenom, że jedzie do Londynu, pytał, jakie sztuki teraz warto zobaczyć, czy nie znają jakiegoś niezbyt drogiego hotelu, który znajdowałby się blisko teatru. Przez kilkanaście minut trwała ta ożywiona wymiana zdań, po czym panowie pożegnali się.

Mój chlebodawca zbliżył się teraz do mnie i zaproponował, żebyśmy przeszli się trochę po peronie. Zgodziłam się z radością, bo nie wiedziałam już, co ze sobą zrobić. Długą chwilę spacerowaliśmy w milczeniu.

— Gdyby się w domu przytrafiło coś złego podczas mojej nieobecności — odezwał się nagle przyciszonym głosem — Haide na przykład może się czuć gorzej, albo gdyby niepokoił panią stan zdrowia mojej żony — proszę zatelegrafować do hotelu Charing Cross. Tam postanowiłem się zatrzymać. Jeśli zmieniałbym zamiar, to zostawię wiadomość. Więc niech pani pamięta. W razie czego telegram. Sam konno niech odwiezie depeszę do Beaconsburgh. Ale koniecznie Sam, nikt inny, to najlepszy posłaniec.

Zdziwiło mnie to polecenie: dotąd zwykle podobne sprawy pan Raynez powierzał wszechwładnej w Alders Sarze. Nie powiedziałam jednak ani słowa i wysłuchałam wszystkiego uważnie do końca.

— Cóż przywieźć pani z tej podróży? — spytał żartobliwie. — Róże już przekwitły, za skarby świata nie znalazłbym w Covent-Garden ani jednej. Może znów jakieś tęczowe serduszko?

— Nie! Nie! — przerwałam żywo. — Przecież pan wie, co ślubowałam.

— Panieńskie śluby! — powiedział, uśmiechając się lekceważąco.

— Znamy się na tym. Zresztą da się to wszystko pogodzić. Przywiozę pani w gościńcu granaty — są niedrogie, będzie w nich pani do twarzy.

— Nie, dziękuję! Nie chcę! — zawołałam stanowczo. — Niech pan nie robi tego, bardzo proszę! Nie będę nosiła klejnotów.

W tym momencie na stację wpadł pociąg z hałasem, gwizdem i sykiem. Nie dosłyszałam odpowiedzi, bo pan Raynez podbiegł do żony, ucałował z pośpiechem jej ręce, uściśnął moją dłoń w przelocie i znikł w najbliższym wagonie. Rozległ się przeraźliwy gwizd, i pociąg ruszył. Pani Raynez zadumana śledziła, jak pędził szybko po dwóch srebrnych wstęgach. Potem rzuciła lokajowi krótki rozkaz zawrócenia pojazdu do Alders i opadła bezwładnie na miękkie poduszki. Powrotną drogę odbyliśmy w zupełnym milczeniu. Gdy powóz znalazł się koło parku, w pobliżu trzęsawisk, owiał mnie chłód.

— Niech pani każe rozpalić u siebie ogień zaraz po powrocie — odezwała się niespodziewanie pani Raynez. — Mąż nie darowałby mi, gdyby pani się zaziębiła podczas jego nieobecności — dodała dziwnym głosem.

Przymknęła oczy i umilkła. Zrobiło mi się bardzo przykro. Dlaczego ta kobieta czuje do mnie taką niechęć? Spojrzałam na nią i zadrżałam. Na aksamicie poduszek bielila się jej przejrzysta twarz, rzęsy rzucały sine cienie na policzki, a usta wykrzywiał grymas bólu. Współczułam jej. Biedne, nieszczęśliwe stworzenie. Nieszczęśliwy wypadek złamał jej młode życie, a Alders uczynił milczącym pustkowiem.

Cały dzień zmarnowałam, nie zrobiłam nic pożytecznego. Po południu wprawdzie pobiegłam do Haide, żeby ją trochę rozerwać i zostać przy niej, dopóki nie zaśnie, ale w pokoju była pani Raynez. Gdy weszłam, podniosła się prędko i zniknęła w drzwiach swojego pokoju. Wszystka krew uderzyła mi do twarzy. Ucałowałam małą i nie zważając na jej gorące prośby, uciekłam do siebie. Ale nie mogłam usiedzieć w pokoju i bezwiednie prawie znalazłam się znowu w ogrodzie. Serce pękało mi z bólu. Myślałam

o Jerzym. Bałam się, że nie ujrzę go już nigdy. O Boże! Boże! miłosierny Boże... — szeptałam.

Pani Raynez nie było na herbacie. Sara oznajmiła mi dosyć uprzejmie, że Haide ma się gorzej i nie chciała od siebie puścić matki. Wypiłam więc herbatę samotnie i poszłam na górę. Wesoly ogień trzaskał na kominku, w pokoju było zacisznie i ciepło, bo Jane napaliła zaraz po obiedzie na wyraźny rozkaz samej pani. Usiadłam bezmyślnie w fotelu i patrzyłam na sinożółte i czerwone płomyki liżące kraty kominka, wsłuchiwałam się w suchy trzask płonących drewnienek. Nie mogłam myśleć o niczym. Pragnęłam tylko spokoju.

Wtem gwałtowne stukanie wyrwało mnie z odrętwienia. Otworzyłam drzwi. Na progu stała Jane z pobladłą twarzą, zadyszana i z początku trudno było ją zrozumieć. Dopiero po chwili szepnęła przerywanym głosem, że Haide jest bardzo chora i ciągle mnie woła.

— Panienska pewno umiera — mówiła cicho, ocierając zapłakane oczy.

— Nie wpuścili mnie do jej pokoju. Pana nie ma, Sara gdzieś zniknęła, a biedna pani Raynez sama ledwie żyje... Mała jest nieprzytomna, rzuca się na łóżeczku, wymawia często pani imię. Koniecznie trzeba doktora. Ale Sara nie ztroszczy się o to z pewnością, a nasza pani, biedactwo — nie śmie. Co tu robić?!

I poczciwa dziewczyna załamana ręce. Zdziwiło mnie, skąd Jane wie o chorobie pani Raynez. W obecności pana służące odnoszą się do niej zawsze z należnym szacunkiem i nie zauważyłam dotąd nic takiego, co by mi pozwoliło przypuszczać, że coś wiedzą. Nieliczne jej rozkazy spełniają, jakby pochodziły od samego pana. Dziwne.

Z ciekawością i bojaźnią udałam się z Jane na lewe skrzydło domu. Pan Raynez powtarzał przecież wielokrotnie, iż nie życzy sobie, aby ktokolwiek obcy chodził tam, ponieważ jego żona potrzebuje ciszy i spokoju. Najmniejszy hałas może wywołać pogorszenie jej stanu. Aby ją uchronić od zewnętrznych gwarów kazał sypialnię, gabinet i buduar żony oddzielić od reszty mieszkania ciężkimi, dębowymi drzwiami, które obite były grubą warstwą wojłoku i filcu. Co dzień wieczorem sam zamykał je na zasuwkę, żeby nikt jej nie niepokoił. Dlatego Jane stanęła niepewna, co począć, dotknęła klamki drżącą ręką i natychmiast cofnęła się o kilka kroków.

— A jeśli tam jest pan Raynez, proszę pani? — szepnęła z obawą.

— Pan Raynez wyjechał do Londynu.

— Wiem, ale pan wraca czasem niepostrzeżenie. Wejdę z panią, ale jeśli pan się o tym dowie, chyba umrę ze strachu. Skry sypią mu się z oczu, gdy jest zły.

Uśmiechnęłam się i nacisnęłam klamkę. Ciężkie podwoje zaledwie się uchyliły. Wśliznęłyśmy się obie przez wąski otwór. Owiął mnie przenikliwy chłód, wilgoć, charakterystyczny zapach gnijącego drzewa. Zaczęłam dzwonić zębami. Szłyśmy teraz ponurym korytarzem; na prawo białe drzwi pokoju Haide, dalej było wielkie weneckie okno otwarte na ośpież. Od stóp do głowy przebiegł mnie dreszcz, kazałam Jane natychmiast zamknąć okno, a sama podeszłam na palcach do pokoju dziecka i zapukałam leciutko w drzwi.

Nikt nie odpowiedział, ale po chwili usłyszałam słaby głosik dziewczynki i nerwowy płacz jej matki. Uchyliłam drzwi jak mogłam najciszej; moja pani klęczała przy łóżeczku dziecka z twarzą w kołderce. Na szmer moich kroków zwrwała się przerażona. Haide — rozpalona, z błyszczącym gorączką spojrzeniem — leżała bez ruchu, dysząc ciężko. Rączką dawała znak, żebym się do niej zbliżyła.

Schyliłam się nad łóżeczkiem, dotknęłam rozpalonego czoła dziecka, poprawiłam poduszki, otuliłam je kołderką, bo w pokoju panował prawie taki chłód jak na korytarzu. Pani Raynez śledziła moje ruchy. Patrzyła na mnie tak lodowatym wzrokiem, że chwilami ogarniała mnie trwoga. Byłam sama z chorym dzieckiem i chorą psychicznie kobietą. Gdyby miała atak nie wiedziałabym, jak ją ratować.

Nagle pani Raynez uchwyciła się kurczowo poręczy łóżeczka, w jej oczach była nienawiść.

— Jakim prawem weszła pani tutaj? Czy nie dość ciepło pani w jej pokoju? Czemu mnie nawet tutaj prześladujesz? Spiskujecie przeciwko mnie z mężem! Odebrałaś mi miłość dziecka, a teraz przychodzisz znowu, nie dasz mi być przy niej, kiedy umiera, ty, ty!

Słyszałam, że nie należy nigdy zaprzeczać umysłowo chorym, nie unosić się i zgadzać na wszystko, więc odparłam łagodnie:

— Haide nie umiera i nie umrze. Przyszłam tutaj, żeby pani pomóc i zobaczyć, czy mała czegoś nie potrzebuje. Czemu nie weźmie jej pani do swego pokoju? — zapytałam nieśmiało. — Tutaj jest tak zimno. A może dobrze byłoby posłać po doktora? Maitland gdzieś wyjechał, ale Sam mógłby zaraz jechać do Beaconsburgh i przywieźć innego lekarza.

Objęła mnie długim, badawczym spojrzeniem, zbladła, zachwiała się i nagle usiadła. Na białe czoło wystąpił kroplisty pot, w wielkich oczach nie było już bólu i rozpacz. Pochyliła głowę na piersi i wybuchnęła płaczem.

— O panno Christie, przebacz! — szepnęła. — Ja nie mogę posłuchać twej rady.

I znów zaczęła łkać.

— Odprowadzę panią do sypialni — powiedziałam łagodnie — tam się pani prędzej uspokoi.

— Nie! Nie!

— Więc przeniesiemy tam Haide.

— Nie! Nie mogę!

— Więc zabiorę ją do siebie, jeżeli pani pozwoli. Będzie trochę dalej, ale za to w ciepłym pokoju. Tutaj gotowa się przeziębć. Okryję ją i zaniosę do siebie, nie zaszkodzi jej to z pewnością. Tam pali się ogień w kominku.

Pani Raynez uchwyciła obie moje ręce.

— Pani mówi serio? — zapytała łamiącym się głosem.

— Tak. Chcę tylko uzyskać na to zgodę pani — powiedziałam z naciskiem.

— Moją zgodę! — powtórzyła pół ironicznie, pół smutnie. — Pani wie, że moja zgoda nic nie znaczy!

Biedactwo! — pomyślałam. Zapytałam jej, czy życzy sobie spać w moim pokoju, byłaby z dzieckiem.

Pani Raynez zaprzeczyła ruchem głowy, a kąci jej ust zadrgały. Otuliłam więc Haide w kołdrę i wzięłam na ręce. Wtem matka rzuciła się na nią i z płaczem zaczęła całować. Stałam z tym drogim ciężarem czekając, aż się uspokoi, gdy nagle drzwi skrzypnęły głośno i do pokoju weszła Sara. Zadrżałam pod jej złowrogim spojrzeniem, opanowałam się jednak natychmiast.

— Proszę przenieść łóżko panienki Haide na górę, do mego pokoju

— odezwałam się jak mogłam najspokojniej. — Tutaj jest za chłodno. Jane niech pomoże, jeśli Sarze ciężko.

Popatrzyła na mnie nienawistnym wzrokiem, ale nie poruszyła się z miejsca.

— A jakie pani ma prawo rozkazywać? — zapytała syczącym głosem.

— Też pomysł!

— Nie ja, ale twoja pani rozkazuje ci — rzekłam z naciskiem, wytrzymując spokojnie jej spojrzenie, choć krew burzyła mi się w żyłach.

— Moja pani? — powtórzyła hardo. — Któż to, niby?

— Nie wiesz, Saro? — powiedziałam wolno. — Pani Raynez.

— Innego upoważnienia pani nie posiada?

— Milcz, Saro! — zawołałam oburzona, nie mogąc się hamować dłużej.

— Rozkazuję ci w imieniu pana Rayneza, czy rozumiesz!?

Pobladła, ale nie odpowiedziała ani słowa. Wzięła łóżko i wysunęła się zaraz z pokoju.

Pani Raynez patrzyła za nią przerażonym wzrokiem.

— Niech pani będzie spokojna o Haide. Nie spuszczę z niej oka dzisiejszej nocy. Chciałabym też posłać po doktora. Czy pani pozwoli?

Usta nieszczęśliwej matki drżały od wstrzymywanego płaczu, ale w jej oczach była taka bezgraniczna wdzięczność, że wzruszyłam się.

— Niech cię Bóg błogosławi, panno Christie — szepnęła po chwili milczenia i zanim zdążyłam zaprotestować, przycisnęła usta do mojej ręki, a potem pobiegła na miejsce, gdzie stało łóżko małej, oparła się o ścianę i zaczęła rozpaczliwie płakać.

Próbowałam ją uspokoić, chciałam pocieszyć serdecznym słowem, ale naderemnie. Przytuliłam chorą dziewczynkę i ostrożnie wyszłam na korytarz. Nie mogłam iść prędko, Haide ciążyła mi bardzo. Kiedy wreszcie przestąpiłam próg mojej wieżyczki, zastałam łóżeczko posłane i ogień na kominku. Sara zniknęła.

Uważałam, że trzeba posłać po doktora, gdyż stan dziecka mocno mnie niepokoił. Sary nie chciałam dziś o nic prosić. Po chwili Haide usnęła, ale jej oddech był nierówny, oddychała z trudnością. Wymknęłam się na palcach, zamknęłam starannie pokój i pobiegłam szukać Jane. Znalazłam ją od razu w kuchni i zapytałam o Sama.

— Sam dziś nocuje we wsi — odparła sennym głosem.

Załamalam rękę. Z mężczyzn jest jeszcze w Alders stary i głuchy ogrodnik, ale ten z pewnością nie zaszedłby do Beaconsburgh przed świtem. A teraz dziewiąta! Jane jest za młoda, abym ją wyprawiła po nocy, kucharka znowu ledwie powłóczy nogami. Musiałam iść sama.

Biegnij, Jane, prędko do kucharki — powiedziałam stanowczo

— i powiedz jej, że proszę o pożyczenie płaszcza nieprzemakalnego. Przynieś także swoją ciemną chustkę.

Dziewczyna spojrzała na mnie ze zdziwieniem, ale usłuchała i za chwilę przyniosła żądane przedmioty. Poinformowałam ją o potrzebie szybkiego sprowadzenia doktora. Prosiłam, żeby mnie przebrała za wieśniaczkę. Jane spojrzała na mnie z uwielbieniem i wzięła się energicznie do dzieła. Włożyłam długi płaszcz kucharki, wielki, słomiany kapelusz zawiązałam pod brodą na piękną kordę, do niego Jane przypięła gęstą zasłonę, jakiej używają tu wszystkie kobiety. Duży i wcale nie elegancki parasol dopełnił mego stroju. Jane aż klasnęła w ręce i oznajmiła z dziecinną radością, że nigdy dotąd nie widziała chłopki, której narodowy kostium tak „pasował”. Poprosiłam, żeby podczas mojej nieobecności nie odstępowała Haide i pod żadnym pozorem nie wpuściła Sary na wieżyczkę,

po czym wyszłam z sieni.

Ogarnęły mnie ciemności nocy, nieokreślony lęk i trwoga, a kiedy pomyślałam, że od Beaconsburgh dzielą mnie trzy mile, że ciemną drogą muszę iść sama, to prawie zaczęłam żałować szalonego pomysłu. Ale w oczach stanęła mi blada pani Raynez, potem rozpalona główka Haide i ruszyłam szybkim krokiem. Na niebie kłębiły się czarne, postrzępione chmury, od czasu do czasu ciężka kropla spadała mi na rękę, chwilami ukazywał się świetlisty sierp księżyca i rozjaśniał ponury, jesienny krajobraz. Dziękowałam jednak za to Najwyższemu: w taką pogodę chyba nie spotkam nikogo, a cóż bym zrobiła, gdyby mnie bezbronną i samotną napadł jakiś włóczęga? Szybko przeszłam koło sadu, odetchnęłam dopiero na szosie. Teraz szłam wolniej. Po obu stronach drogi były krzaki i zarośla, jak okiem sięgnąć nigdzie żywej duszy. Wtem niewyraźny turkot dobiegł mnie z od dali. Poprawiłam zasłonę na twarzy. Turkot słychać było coraz bliżej, kopyta końskie dźwięczały głośno o kamienie. Po chwili zrównał się ze mną niewielki powozik. Zatrzymał się.

— Hej! hej! Dobra kobieto! — zabrzmiał głos powożącego. — Siadajcie, podwiozę was trochę.

Odwróciłam się blada i drżąca ze strachu. Jerzy! Jerzy! Nie poznał mnie. Nogi chwiały się pode mną, serce zaczęło głośno tłuc się w piersiach. Jestem przy nim! Tak mi dziwnie, a dobrze. O! Jerzy!

Podał mi rękę i pomógł wsiąść do powoziku.

— Można jechać? — zapytał.

Skinęłam tylko głową, poznałby mnie przecież od razu po głosie. Konie ruszyły znowu lekkim kłusem.

Więc ja naprawdę jestem przy nim!? — powtarzałam w duchu, po raz setny może, nie wierząc własnym oczom. Przy nim! Słodko tak siedzieć tuż przy ukochanym. A jednak on mnie nie poznał, a ja nie mam prawa przytulić się teraz serdecznie do niego i mówić, jak bardzo byłam wczoraj nieszczęśliwa, że pragnę jego szczęścia, że go tak bardzo kocham. On mnie przecież nie chce, powiedział to wyraźnie wczoraj. Rumieniec upokorzenia i wstydu zalał mi twarz i czoło. Dlaczego muszę tak cierpieć za jakieś urojone winy? A gdyby dać się poznać? Czy sumienie nic mu nie wyrzuca, czy nie czuje, jak się niesprawiedliwie obszedł ze mną?! A może udaje tylko, że mnie nie zna? Może... gdyby wiedział, kto jestem, to by się nie zatrzymał?

Patrzyłam na niego bez przerwy. Nie mogłam oderwać od niego oczu, starałam się zapamiętać jego twarz... przecież widzę go po raz ostatni. Siedzi zamy-

ślony, żadnym słowem nie przerywa ciszy. Na początku zapytał tylko, czy idę do miasta, na co skinęłam głową, a teraz milczy. Cóż za rozmowę prowadzić może panicz z zamożnego domu z nieznaną i również milczącą wieśniaczką?!

Nagle poczułam, że nie zniosę tego dłużej. W duszy zrodziło się jedno ogromne pragnienie: być poznana. Niech się dzieje co chce. Objęłam go długim, serdecznym spojrzeniem modląc się, żeby zwrócił oczy w moją stronę. Ale Jerzy siedział poważny, ciągle zamyślony, z twarzy bił mu wielki smutek. Czyżby myślał o mnie? Wtem zauważyłam na jego rękach ciemne bawełniane rękawiczki, które kiedyś sama zrobiłam, a które ode mnie kupił na kiermaszu. Czy mnie wzrok nie myli?! Po co je teraz włożył? Czyżby?...

Podniosłam zasłonę...

— Czemu pan nic nie mówi? — szepnęłam drżąc.

Drgnął i ściągnął gwałtownie lejce. Konie stanęły jak wryte.

— Czy pan jeszcze mi nie wierzy? — spytałam cicho z rozjaśnionym wzrokiem, bo zauważyłam radość na jego twarzy.

W milczeniu objął mnie ramieniem i zaczął całować oczy, usta, włosy, czoło i znów usta... Byłam nieprzytomna ze szczęścia... Kocha mnie jeszcze i będzie nam dobrze. Przytuliłam się do niego mocno. Było nam tak dobrze. W duszach grała nam cudna pieśń miłości...

Potem zaczęliśmy rozmawiać. Opowiedziałam Jerzemu o wszystkich kłopotach, chorobie Haide, o nieobecności pana domu i swojej wyprawie. On jechał po ojca, który się wybrał dzisiaj na oglądanie wystawionych na sprzedaż folwarków. Przyrzekł to Jerzemu jeszcze podczas owej pamiętnej rozmowy... Wolałby jednak wziąć dzierżawę, na początek to zawsze pewniejsze. Jego pociąg przyjeżdża do Beaconsburgh o jedenastej, mieliśmy jeszcze dużo czasu.

— Najpierw pojedziemy do doktora, a potem na stację, chciałbym cię poznać z ojcem, czy zgadzasz się, Violet? — odezwał się błagalnie Jerzy.

Wahałam się chwilę nie wiedząc, czy obowiązek nie nakazuje mi zabrać się z doktorem, ale nie miałam siły oprzeć się jego prośbie.

W kilkanaście minut później stanęliśmy przed stacją. Nie chciałam jednak iść z Jerzym na peron, gdyż lękałam się spotkać kogoś ze znajomych

o tak niezwykłej porze i w przebraniu chłopki. Zostaliśmy więc w powoziku. Jerzy zaczynał się już niecierpliwić, pilno mu było usłyszeć o rezultacie poszukiwań.

— Czy panu na tym tak bardzo zależy? — spytałam udając, że nie domyślam się, o co mu chodzi.

— Czy zależy? — zapytał cicho, patrząc na mnie serdecznie. — Chcę mieć przecież jak najprędzej swój dom, do którego ciebie, najdroższa, wprowadzę. Znam się trochę na rolnictwie, i da Bóg, nie zaznasz biedy jako żona — dodał drżącym głosem.

— I nie boi się pan dostać za żonę zwyczajną kokietkę? — zapytałam z uśmiechem.

W milczeniu zaczął całować moje ręce.

— Przebacz mi, Violet — szepnął. — Ból mnie zaślepił, byłem niegodziwy. Czy ty naprawdę myślałaś, że już nie zobaczymy się nigdy?

— Tak — odparłam niedosłyszalnym prawie głosem. — Choć nie, teraz czuję, że miałam jednak jeszcze cień nadziei...

— Widzisz! — rzekł wzruszony. — Oboje nie umieliśmy zwątpić w siebie. To dobry znak, najdroższa, będziemy szczęśliwi.

Umilkliśmy, Jerzy przytulił mnie mocno do siebie.

— Czy będę mógł się jutro z tobą zobaczyć? — spytał po długiej chwili.

— Dzisiaj musiałem jechać do Lawley w interesie ojca i dlatego nie przyszedłem prosić cię o przebaczenie, Violet. Jutro przed wieczorem, zgoda, najdroższa?

Odpowiedziałam mu jasnym spojrzeniem.

— Pójdziemy do gniazdka i zostanę tam możliwie najdłużej. To będzie ostatnia chwila szczęścia przed odjazdem — powiedział z głębokim westchnieniem. — Dobrze, że pana Rayneza nie ma w domu, popsułby z pewnością nasze plany. Musisz do mnie często pisać...

Położyłam palec na ustach. O kilka kroków stał nieznajomy mężczyzna i zdawał się skwapliwie słuchać naszej rozmowy. Jerzy pobladł i prędko wyskoczył z powozu. W tym momencie rozległ się świst nadjeżdżającego pociągu.

— Zaczekaj chwileczkę i bądź spokojna, Violet — szepnął mi do ucha i pogonił za obcym człowiekiem, który zniknął już w tłumie podróżnych.

W kilka minut później Jerzy wrócił z ojcem. Pochyliłam się do jego ręki, ale mnie objął i ucałował serdecznie. Spojrzałam na Jerzego, usiłował się uśmiechnąć, był jednak blady i dziwnie zmieszany.

— Czy wiesz, kto to był? — zapytał cicho, łamiącym się głosem.

— Marynarz?

— Pan Raynez! — syknął, zaciskając zęby.

— Niepodobna! — krzyknęłam.

— Mógłbym przysiąc. Na kogo on tutaj czatował!? — mówił dalej, z rosną-

cym rozdrażnieniem. — Czyżby przyjechał wcześniejszym pociągiem!? Z pewnością wysłuchał całej naszej rozmowy. Nie zobaczę cię więc przed odjazdem — dodał drżącym głosem.

— Nie rozumiem tego, Jerzy! — odezwałam się nieśmiało. — Przecież on nie może nam zabronić... Pan przyjdzie i zapyta tylko...

— A Sara odpowie, że cię nie ma w domu — przerwał z gorzką ironią.

— Posłuchaj mnie, Violet moja. Jeżeli nie zobaczymy się jutro do szóstej, to bądź koniecznie przy swojej ławeczce w pustelni. Czy dobrze?

— Nie zapomnę, Jerzy — szepnęłam. — Będę czekała.

Potrząsnął smutnie głową.

— Pamiętaj, moja droga, że nie mam nadziei spotkać się z tobą jutro

— rzekł powoli. — Mówię tak jedynie na wszelki wypadek, ale nie chcę, żebyś się niepokoiła, jeżeli nie przyjdę. Musimy się pożegnać dzisiaj... — dodał z bólem w głosie — jutro... jutro... nie można przewidzieć, co się stanie...

20

Przez całą powrotną drogę rozmawiałam tylko z ojcem, bo Jerzy siedział zamysłony i smutny. Jego wzrok mówił o bólu rozstania, a ręce otulały mnie troskliwie przed chłodem jesiennej nocy. Po jakimś czasie zamajaczyły ciemne kraje Alders. Powozik przystanął. Jerzy wyskoczył, dopomógł mi wysiąść i poprosił ojca, żeby nie czekał na niego. Odprowadzi mnie do ganku i wróci piechotą.

Wsunęłam mu rękę pod ramię i poszliśmy zwolna przytuleni.

— Violet, najdroższa moja — szepnął drżącym głosem — odjeżdżam taki niespokojny! Nie mogę teraz odżałować, że przystałem na warunki ojca i przez to mam ręce związane. Jestem przekonany, że Alders ukrywa jakąś straszną tajemnicę; z rozpaczą myślę o tym, że muszę cię tutaj zostawić. Ja wierzę ci bez granic, Violet, tyś taka niewinna i słodka, zło nie ma do ciebie dostępu, ale... Dlatego właśnie nie chciałem ci nic mówić — dodał z tłumionym bólem — dlatego, że czuję czystość twych dziewiczych uczuć, a teraz... teraz...

Przygarnął mnie mocniej i spojrzał w oczy ze smutkiem i jakąś dziwną trwożą. Uczułam dreszcz rozkoszy, a jednocześnie obawiałam się czegoś.

— Posłuchaj, Violet moja — przemówił wreszcie z mocą. — Zostajesz tutaj samotna, z dala od czuwających oczu przyjaciela. Jeżeli ci ktoś powie, że jesteś piękna, że cię uwielbia — ktokolwiek, pan Raynez czy mój ojciec

— nie zważaj na wabiące słówka, nie pozwól ich mówić sobie, nie wierz im, błagam cię w imię naszej miłości...

Patrzyłam na Jerzego ze zdziwieniem i trochę ze smutkiem. Czemu jest taki zazdrosny o pana Rayneza, widzę to przecież jasno.

— Przysięgam ci, Jerzy — wyszeptałam zmieszana — Nie umiałabym zresztą postąpić inaczej. Będę twoją żoną i nikt nie ma prawa przemawiać do mnie słowami miłości! Ty jeden...

Twarz mu się rozpromieniła, ale natychmiast się zasepił.

— Czy powinienem się zgodzić na propozycję ojca? — zaczął niepewnym głosem. — Ujął mnie wtedy dobrocią, ale... Teraz wydaje mi się, że nie miał racji. Od początku nie podobało mi się ukrywanie naszego narzeczeństwa. Tak. Zrobiłem źle, że posłuchałam ojca, ojciec — że obawiał się matki. Gdyby chociaż na mnie tylko spadły tego skutki. Ale i ty cierpieć będziesz, słodka Violet... Nie mogę pisać do ciebie otwarcie, a jeśli przysyłać będę listy na adres ojca, to możesz nie mieć sposobności ich odbierać.

Nastąpiła cisza.

— A gdyby wtajemniczyć panią Manners? — spytałam z wahaniem.

— Z nią mogę się widywać bez zwracania uwagi. To dobra, poczciwa kobieta. Zresztą domyśla się prawdy — dodałam z uśmiechem, który wywołało wspomnienie ucieczki przez okno w ów pamiętny, cichy wieczór, kiedy Jerzy po raz pierwszy powiedział, że mnie kocha...

Przystanął i zwrócił na mnie promienne spojrzenie.

— Błogosławiona myśl, najdroższa — szepnął uszczęśliwiony. — Pobiegnę do niej zaraz jutro rano, opowiem wszystko i będę prosił, żeby czuwała nad tobą jak matka. Ona cię bardzo lubi, daleko więcej niż moje kochane siostrzyczki! To także zmartwienie dla mnie — dorzucił z goryczą.

Nie są zanadto uprzejme dla ciebie, szczególnie Maud, starsza. Niechby już raz wyszła za męża, może to wpłynie na zmianę jej nastrojów, tylko wątpię, czy znajdzie się ktoś szalony...

— Jerzy! — przerwałam z wymówką. — Pamiętaj, że mówisz o siostrze.

— Kiedy wytrzymać trudno — rzekł ze szczerym smutkiem — czasem już nie mogę! Alicja nie jest zła, ale Maud ma na nią fatalny wpływ. Młodsza siostrzyczka jest wcale milutka, dopóki nie czuje na sobie wzroku tamtej. Przekonasz się, Violet.

Ale ja się nie potrzebowałam przekonywać. Opowiedziałam Jerzemu o przygodzie w lasku. W oczach przebiegł mu błysk gniewu.

— Niedobre stworzenie! — odezwał się w końcu. — Z domu robi piekło. Ty nawet nie możesz sobie wyobrazić, moja droga, czym w rodzinie jest ona i matka. Ojciec drży przed ich scenami i gniewem, ja — unikam. Matka dotąd jeszcze myśli, że moje losy trzyma w swoich rękach, tylko się gorzko rozczaruje. Za sześć tygodni dowie się o wszystkim. Gdyby chciała zostać dłużej za granicą — to beze mnie. Ja powrócę w końcu listopada

— dodał z mocą — a przed Nowym Rokiem będziesz moją żoną; najdroższa...

— Tak prędko?... — wyszeptałam czując, że mnie ogarnia dziwna, słodka niemoc...

— Prędko?! — powtórzył z serdeczną powagą. — To przecież wiek cały! Osiwiałbym z niepokoju o ciebie, gdyby nam przyszło czekać jeszcze dłużej!

— Nie wiem, gdzie się zatrzymamy — ciągnął zamyślony — ale jutro przed wieczorem przyniosę ci dokładny adres. Gdyby ta kwestia się nie wyjaśniła, to pierwsze listy będziesz pisać na imię mego przyjaciela, który tam mieszka. Możesz tak zrobić bez żadnych skrępułów, sam go uprzedzę.

Znów szliśmy kawałek w milczeniu.

— Pamiętaj jeszcze, Violet, co ci powiem — rzekł cicho. — Gdyby się tutaj, broń Boże, coś stało, gdybyś zachorowała, czy miała wyjechać, telegrafuj, a wrócę natychmiast. Moja najdroższa Violet, pomyśl...

Nagle dobiegł nas tętent koni i po chwili ukazał się w alei powozik doktora. Puściłam ramię Jerzego i zbliżyłam się prędko do pojazdu. Konie stanęły. Z niepokojem zaczęłam pytać o Haide. Stary lekarz poznał mnie od razu, powiedział, że mała ma febrę i trzeba pielęgnować ją bardzo troskliwie, żeby się nie przyplątało coś gorszego. Odwiedzi nas jutro. Dodał jeszcze, że dziecko ma słabe płuca i skłonność do chorób piersiowych i może drogo przyplacić pobyt w miejscu tak wilgotnym. Skoro będzie tylko mogła się podnosić, należy ją stąd wywieźć, i w tej sprawie pragnie koniecznie mówić z rodzicami małej.

— Teraz nie ma obawy o szkodliwy wpływ bagien — zakończył wreszcie dr Lowe — dziecko leży w ciepłym, słonecznym pokoju, wolnym od wszelkiej wilgoci. Ale reszta domu nic nie jest warta pod względem zdrowotnym! Nie rozumiem, jak można mieszkać w takim siedlisku bakterii!

Ciekawa byłam, co by powiedział, gdyby zajrzał do lewego skrzydła.

— Przy małej była tylko jakaś młoda dziewczyna, zapewne służąca

— ciągnął stary lekarz. — Mówiła mi, że to pokój pani.

— Tak jest.

— Czy to prawda, że pani Raynez sypia na parterze?

— Tak — odparłam zmieszana.

— To niedobrze — szepnął zamyślony. — Za to pani mogę powinszować. Zajmuje pani stanowczo najzdrowszy pokój w Alders. Ja za nic w świecie nie zgodziłbym się zamieszkać na dole.

— A jednak wiem dobrze, że pani Raynez wyraźnie życzyła sobie mieć swoje apartamenty tam właśnie — rzekłam żywo.

— To już rzecz gustu! — przerwał dr Lowe z oznaką złego humoru.

— Nie będę się sprzeczał. Ale oświadczam z ręką na sercu, że ten, kto w tym domu przez czas dłuższy ma zamiar sypiać na parterze, kopie własnymi rękami grób dla siebie. Przecież to się rzuca w oczy. Tylko tutaj brak biedaczce zapewne życzliwej rady — dodał sucho.

Nie zdziwiły mnie te szorstkie słowa, bo doktor Lowe słynął w okolicy ze swego ostrego języka. Pan Raynez go nie lubi, tak że z początku miałam skrupuły, czy dobrze zrobiłam, wzywając go do małej, ale rozstrzygnął to niepokój o Haide i sława jego jako najlepszego lekarza w Beaconsburgh.

— Czy to młody Reade? Czy to pan Jerzy? — zapytał nagle doktor, pochylając się w kierunku grupy drzew, gdzie stał Jerzy,

Ten zbliżył się i w milczeniu podał rękę doktorowi.

— Jak pan widzi — rzekł poważnie.

— A pan co tutaj robi? Czy także niepokoi pana stan chorego dziecka?!

— odezwał się z ironią stary lekarz.

— Nie, panie doktorze — odparł z godnością Jerzy. — Wracam ze stacji, dokąd jeździłem po ojca i z panną Christie po pana. A teraz ją odprowadzam do domu i chcę raz jeszcze pożegnać, bo wyjeżdżam jutro za granicę i nie zobaczę jej długo. To moja przyszła żona — rzekł wzruszonym głosem i położył mi lekko rękę na ramieniu.

— Żona? — zapytał doktor z niedowierzaniem.

— Tak, żona. Ale to jest tajemnica.

— Rozumiem, rozumiem — przerwał wesoło lekarz. — A więc to jest owa panna Christie, o której tyle słyszałem. — Włożył okulary z zabawną powagą i uważnie mi się przyglądał. — Świeża i ładna twarzyczka — szepnął jakby do siebie — uczciwe spojrzenie... ale żeby tak zawracać ludziom głowy, jak słyszałem...

— Żle pan słyszał! — powiedział Jerzy porywczo. — Moja narzeczona nie wychowywała się w wielkomięjskim flircie i zepsuciu!

— Ależ nie unos się, młodzieńcze — odpowiedział doktor żartobliwie.

— Nie chciałem przecież cię dotknąć. Panna Christie może być nawet aniołem! Pilnuj tylko, żeby jej nie zawrócił kto w głowie, kiedy będziesz daleko! — dorzucił zagadkowym tonem i kazał stangretowi jechać.

Spojrzałam na Jerzego. Stał obok ze zbielałą twarzą i z dziwnym ogniem w oczach gonił wzrokiem oddalający się powóz. Położyłam łagodnie dłoń na jego ręce i szepnęłam, że muszę już iść i że zobaczymy się jutro...

Drgnął na dźwięk mego głosu, jakby zbudzony z niemiłego snu i patrzył na mnie chwilę w milczeniu. Potem porwał mnie w ramiona i przycisnął mocno do piersi.

— Widzisz, Violet, co stary doktor sądzi o twoim panu — wyszeptał stłumionym głosem. — Bo to jego miał na myśli, czuję to. Najdroższa moja! Nie wierz mu, nie wierz niczemu, co mówiłoby o mnie, on czy ktokolwiek inny, przyrzeknij mi, Violet. A gdyby pan Raynez pokazał ci intercyzę ślubną na imię moje i innej kobiety, co pomyślałabyś, Violet? — zapytał drżącym głosem.

— Jerzy — powiedziała cicho, zdjęta nagłą obawą. — Jerzy! Ty nie jedziesz się ożenić, prawda? — oczy zaszczyły mi łzami.

— Dziecko! Violet! — perswadował łagodnie. — Ja chciałem cię tylko uprzedzić, żebyś nawet temu nie wierzyła! Papier podrobić łatwo. Zaufaj mi. On może będzie podstępem walczył z tobą. Gdybyś nie miała ode mnie żadnej wiadomości, gdyby ci powiedziano, że umarłem...

— Jerzy! — przerwałam strwożona.

— Odpowiedz, że to kłamstwo! — dokończył z wybuchem. — Te sześć tygodni, da Bóg, zejda prędko, a potem wrócę tutaj i zostaniesz na wieki moją... A jeśli napiszesz choć słówko, przyjadę i bronić będę ciebie przed każdym złem... Najdroższa moja Violet, do widzenia!...

I zamknęły się nade mną kochane ramiona, potem złączyły się nasze usta... Uczułam wielką rozkosz. Nagle puścił mnie z objęć, raz jeszcze szepnął „do widzenia”, przycisnął do ust rękę i zaczął biec aleją ku bramie, jakby się lękał odwrócić i zostać. Stałam bez ruchu, zapatrzona w oddalającą się drogą postać. Wkrótce skryły ją bezlitosne ciemności nocy. Zawróciłam, jeszcze drżąc. Łzy płynęły mi po policzkach i przesłoniły mi prędko cały świat. Długo błądziłam po alejach, zanim wreszcie ujrzałam przed sobą ciemne ściany domu. Zatrzymałam się na chwilę, otarłam oczy i usiłowałam nadać twarzy wyraz zwykłego spokoju. Dopiero wtedy ruszyłam ostrożnie w kierunku drzwi frontowych. Wychodząc, prosiłam Jane, żeby zeszła je otworzyć, gdy usłyszy dźwięk dzwonka. Teraz mo-

dliłam się w duchu, aby to była rzeczywiście ona. Lękałam się złowrogich oczu Sary, bałam się, że dostrzeże ślady łez na mojej twarzy.

Nagle stanęłam jak wryta. Kilkanaście kroków przede mną posuwała się jakaś ciemna, pochylona postać! Dreszcz przestachu wstrząsnął moim ciałem i co tchu skryłam się pomiędzy drzewa. Tajemnicza sylwetka szła kocim ruchem, bez żadnego szmeru i już zniknęła w pobliżu wozowni i stajen, Wyteżyłam wzrok, chcąc dojrzeć ją lepiej, ale ciężkie chmury przesłoniły właśnie jasny róg księżyca, a kiedy się rozsunęły, tajemnicza postać zniknęła już poza węglem domu. Zauważyłam tylko, że był to mężczyzna i dźwigał pod płaszczem ciężkie zawiniątko.

Co robił tutaj ten obcy po nocy? Czyżby Tom Parkes zjawił się tak późno z wizytą u Sary, korzystając z nieobecności pana domu? A może to ów przyjaciel-służący? Mógł nie wiedzieć o wyjeździe właściciela Alders.

A może to złodziej? To przypuszczenie jednak wydało mi się nieprawdopodobne. Czy złodziej przychodzi do domu, który pragnie okraść, z ciężką skrzynką? Bo ten nieznajomy z trudnością niósł zawiniątko, czułam to po jego ruchach. Nie śmiałam wyjść teraz ze swej kryjówki... a nuż powróci zaraz? Czekałam więc drżąc i z bijącym sercem. I rzeczywiście, po kilku minutach spostrzegłam znowu tę samą sylwetkę, tym razem w towarzystwie Sary. Księżyc się przedarł tymczasem przez chmury i w obcym mężczyźnie poznałam... Toma Parkesa. Nie omyliłam się zatem, to schadzka. Tylko co on jej przyniósł w taki zagadkowy sposób?

Nagle stanęła mi w pamięci rozmowa Sary z nieznajomym. Skarżyła się > wtedy na Toma z oburzeniem, obwiniała go o wszelkie możliwe występki. Czyżby ten spokojny człowiek o poczciwej, dobrodusznej twarzy był złodziejem? Bo jak inaczej wytłumaczyć to skradanie się, ostrożne ruchy i spóźnioną porę wizyty? A zawiniątko okrywał płaszczem tak starannie, jakby się lękał czyichś niepożądanych oczu. Z drugiej strony jednak, być może wraca z Denham Court od przyjaciela po kilkudniowej nieobecności, i może dźwigał swoje własne rzeczy? Zresztą Sara, mimo wszystko, nie byłaby chyba zdolna do kradzieży! Nie umiem pogodzić tych sprzeczności.

Przeczekałam, aż się przemknęli oboje przez trawnik w dół parku, i dopiero gdy zniknęli mi zupełnie z oczu, wyszłam ostrożnie z ukrycia, przebiegłam jak mogłam najprędzej przestrzeń dzielącą mnie od domu i zadzwoniłam lekko do drzwi frontowych. Po kilku minutach brzęknął głucho łańcuch i zaspana Jane wpuściła mnie do środka.

— Sara pytała niedawno, gdzie pani — szepnęła z tajemniczą miną.

— Powiedziała jej, że pani wróciła z doktorem. Co ją to obchodzi? Wiedziała, że pani jest bezpieczna, bo doktor Lowe mi powiedział, że odprowadzi ją dżentelmen. Przynajmniej raz zwiodłam tę nieznośną wścibską! — dodała tryumfalnie.

Podziękowałam jej za troskliwe czuwanie przy Haide i kazałam zaraz się położyć. Minęłam korytarz, w którym spała z Moną, i cicho doszłam do schodów wiodących do kuchni. Żaden dźwięk nie doleciał mnie stamtąd, żaden promyk światła nie przedostawał się przez zamknięte drzwi. Po chwili nasłuchiwania zaczęłam ostrożnie schodzić na dół, osłaniając ręką zapaloną świecę. W połowie schodów zatrzymałam się jednak, zabrakło mi odwagi, aby iść dalej. Na końcu znajdowały się niskie, wąskie drzwiczki, którymi nocą wymykał się pan Raynez do pracowni. Teraz przed nimi ciemniał jakiś niewyraźny przedmiot. Zeszłam jeszcze niżej. Zauważyłam, że ten ciemny przedmiot to mała, brązowa, mocno zniszczona już skrzynka. Zdawało mi się, że widziałam ją gdzieś przedtem. Chciałam obejrzeć ją z bliska, ale zwyciężył rozsądek i zrezygnowałam. Lada chwila mogła wrócić Sara, a wtedy musiałabym się tłumaczyć. Zawróciłam więc i poszłam powoli na górę.

Haide spała spokojnie, z policzków zniknęły wypieki, oddychała lekko, stan jej zdrowia wydał mi się dużo lepszy. Jane widocznie dołożyła drzewa do kominka, gdyż ogień palił się jasnym płomieniem i mógł doskonale żarzyć się do rana. Na stoliku, przy łóżeczku małej, stał przygotowany napój, który doktor kazał jej podawać, gdy będzie chciała pić. Od okna zasłaniał ją parawan i szczelnie spuszczone roleta. Byłam tak zmęczona, że tylko zdjęłam suknię i rzuciłam się na łóżko. Zasnęłam od razu i obudziłam się dopiero rano.

Haide z otwartymi oczami leżała spokojnie w łóżeczku i widać było po niej, że czuje się lepiej.

— Jak spałaś, kochanie? — zapytałam, całując ją w czoło.

— Wybornie, panno Christie — zaszczębiotała wesoło. — Wieczorem nie mogłam tylko długo zasnąć, bo ciągle patrzyłam na ten śliczny ogień. Potem zamknęłam oczy i przyśniły mi się wszystkie kolorowe iskierki. Tutaj, u pani, tak ciepło i dobrze. Szkoda, że mama musiała zostać na dole. Chciałabym, żeby spała tutaj ze mną zawsze. Jakie śliczne rzeczy śnić się muszą tutaj! Nie tak jak w moim pokoiku.

Przymknęła oczy, twarzyczka jej mocno pobladła i przeleciał po niej ' jakby cień przestרחu.

— Będiesz spała u mnie, moja droga, póki nie wyzdrowiejesz zupełnie,, jeżeli mamusia pozwoli — powiedziałam, zamyślona, gładząc jej złote włoski. W duchu już postanowiłam, że wymogę na jej ojcu, aby spała w tym pokoju stale.

— Czy pani śni się kiedy dziwne rzeczy, choć oczy pani ma otwarte?

— zagadnęła mnie niespodziewanie. — Bo ja w nocy miałam sen taki niedobry, a zdawało mi się ciągle, że nie śpię.

— Dlatego, kochanie, że byłaś chora — odparłam łagodnie. — Chorzy ludzie miewają niedobre sny z gorączki.

— Ale — szepnęła, potrząsając główką — ale ja nie wiem, czy mnie się tylko śniło. Widziałam wszystko tak wyraźnie, jakby żywe.

— To nic nie znaczy — powtórzyłam z uśmiechem. — Czasem się nawet może przyśnić, że rozmawiasz, chociaż tak nie jest.

— Niech pani posłucha — odezwała się Haide, kładąc paluszek na ustach. — Śniło mi się dzisiaj, że sobie leżałam cichutko i wpatrywałam się w wesoły ogień na kominku. Nagle drzwi się otworzyły bez żadnego szmeru i ukazała się w nich głowa ojca. W rękę trzymał coś czerwonego, bardzo błyszczącego. Zaczął iść na palcach i kiedy był już na środku pokoju, usiadłam na łóżku. To jest nie usiadłam, tylko tak mi się śniło. Wtedy ojciec stanął i spojrzał na mnie tak okropnie, że się rozplakałam. On wyszedł i zamknął cicho drzwi za sobą. I potem już nic nie słyszałam.

— Miałaś dużą gorączkę, kochanie, i dlatego przyśniły ci się takie dziwne rzeczy — zaczęłam uspokajać małą. — Najlepiej nie myśl o tym, bo znowu cię główka rozboli.

Ale Haide potrząsnęła złotymi lokami.

— Mnie się teraz zdaje — szepnęła niedosłyszalnym prawie głosem — że to mi się wcale nie śniło. To chyba prawda.

— Nie, dziecko — odrzekłam przekonywająco. — Sen tylko. Pomyśl sama. Tatuś pojechał przecież do Londynu, drzwi zresztą są zamknięte kluczem.

Poruszyłam klamką.

Dziewczynka się zamyśliła.

— Sny są bardzo dziwną rzeczą — powiedziała wreszcie. — Przyjemnie jest śnić o różnych zabawnych zdarzeniach, które się niby naprawdę dzieją. Ale kiedy się przyśnią jakieś jęki, płacze i inne okropności, to tak strasznie — dodała drżącym głosem.

— Zobaczysz, że tu, na górze, nie przyśni ci się nigdy nic okropnego

— odparłam, całując bladą buzię. Haide już nieraz opowiadała mi podobne

historie, nie będąc nigdy pewną, czy widziała je na jawie czy we śnie. Teraz w umyśle moim zrodziła się jakaś wątpliwość: może rzeczywiście tak było!

Wiele się zmieniło od wczoraj. Panią Raynez miałam dotąd za zimną, bezduszną istotę i dopiero jej rozpacz i trwoga o córkę dały mi poznać, jak bardzo się myliłam. Chciałabym teraz zbliżyć się do niej i nawiązać jakieś serdeczniejsze więzi. Ogromną litość czuję do niej od wczoraj. Taka była zgnębiona, biedna, nieszczęśliwa, że doprawdy łzy musiało wyciskać jej spojrzenie. To dziwne, że pan Raynez odmalował ją jako istotę obdarzoną niepospolitym hartem ducha i nieugiętą wolą, bo ja w niej zobaczyłam tylko słabe, chore, znękanne stworzenie. Trudno uwierzyć, żeby się mogła zdobyć na czyn samodzielny. Przestałam lękać się jej i jej choroby, stała się dla mnie tylko cierpiącą kobietą. Przedtem nie umiałam wyczuć w niej serca, okrywała je jednolita lodowa skorupa, chłód i obojętność. Serdecznie mi żal pani Raynez. Chciałabym mieć cudowną moc i wlać trochę wesela i słońca w jej życie, poruszyć w niej drzemiące struny, sprawić, żeby znów kochała męża. Jestem kobietą, kocham i jestem kochana... kto wie, czy nie potrafiłabym tego dokonać. Jest mi wdzięczna za pielęgnowanie Haide. Może udałoby mi się ją namówić do opuszczenia na jakiś czas Alders. A gdybym jeszcze powtórzyła to, co powiedział doktor? Z jaką radością oznajmiłabym jej mężowi, że stał się cud, że ukochana żona wraca nareszcie do życia. Krew mi zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Postanowiłam dołożyć wszelkich starań, żeby spełnić ten prawdziwie dobry uczynek.

Nieprzewidziana okoliczność pokrzyżowała wszystkie moje plany. Sara oznajmiła mi rano przy śniadaniu, iż pani Raynez jest tak osłabiona, że prawdopodobnie wcale nie wyjdzie ze swego pokoju. I rzeczywiście nie zjawiała się ani na śniadaniu, ani na obiedzie. Nie wiedziałam, co mam o tym sądzić. Ponieważ herbaty nie chciałam pić samotnie, więc kazałam nakryć stół przy łóżku Haide i razem z nią zjadłam kolację. Potem zaczęłam żartować, śmieszne bajki sypały się jedna za drugą. Udało mi się rozweselić dziecko, co sprawiło mi dużą radość. Cieszyłam się też, że za chwilę ujrzę Jerzego... Wtem przy drzwiach frontowych zadźwięczał donośnie dzwonek.

Zbladłam ze szczęścia. Ale na schodach panowała niczym nie zmałowana cisza. Zaniepokojona, zbiegłam prędko na dół. W sieni spotkałam Sarę.

— Kto to dzwonił? — zapytałam głosem drżącym, nie próbując nawet ukryć silnego wzruszenia.

— Syn Gregsona, proszę pani. Chciał się widzieć z panem.

Zdziwiło mnie trochę, że prosty chłopak tak bez ceremonii dobijał się do

drzwi frontowych, ale nie odpowiedziałam ani słowa. Nie miałam jednak siły powrócić na górę. Spojrzałam na zegar, było wpół do szóstej. Za godzinę powinienam iść do mojej samotni, jeżeli do tego czasu nie zjawi się Jerzy. Nieskończonością wydała mi się ta godzina! Przy tym zauważyłam ze zdziwieniem, że jeszcze nigdy o tej porze nie było tak ciemno. Widocznie zima zbliża się wielkimi krokami. Nareszcie! Dwadzieścia minut po szóstej. Zrzuciłam ciepły szal na ramiona i drżącą ręką nacisnęłam klamkę. Nagle z korytarza wypadła Sara.

— Proszę pani — wołała. — Szukam pani od dawna. Chciałam prosić, żeby pani była łaskawa pomóc mi w zrobieniu listy zakupów na jutro. Pani Raynez jest tak chora, że nie może myśleć o tym, a Sam powinien koniecznie jechać na targ.

— Teraz nie mogę — odrzekłam stanowczo. — Przyjdę za pół godziny.

— Ale pani Raynez potrzebuje mnie przed wieczorem — powiedziała Sara. — Więc co? Pani zrobiłaby spis z pewnością w ciągu pięciu minut — dodała prosząco.

Skinęłam w milczeniu głową i machinalnie prawie poszłam za nią, starając się nie okazywać niepokoju. Bałam się, że nie uda mi się zobaczyć z Jerzym.

Sara mówiła prawdę. W kwadrans skończyłam pisanie i byłam wolna. Z bijącym radośnie sercem wybiegłam do parku i puściłam się pędem do „gniazdka”.

Ściemniało się niezwykle prędko. O kilkanaście kroków od mojej pustelni zatrzymałam się zdyszana. Jerzego jeszcze nie było. Nagle zegar zaczął bić godzinę na kościelnej wieży. Ósma. Boże! Ósma... Co się stało?! Jakim sposobem zajęć mogła taka pomyłka? Czyżby już poszedł nie doczekawszy się mnie? Czy to może być prawda, że nie zobaczę go już przed odjazdem?! Z rozpaczą rozglądałam się dokoła. W szczelinie wierzby coś się zabieliło. Schyliłam się i wyjęłam złożony w czworo kawałek papieru, zapisany niebieskim ołówkiem. Poznałam pismo Jerzego.

Violet, najdroższa moja, do widzenia! — przeczytałam zwolna, bo łązy mgłą zaczęły zasnuwać mi oczy. — *Czy pamiętasz wszystko, co mówiłem wczoraj? Pamiętasz moje nieszczęsne przecucie? Byłem przygotowany na ten bolesny zawód. Stawilem się dziś o szóstej w Alders, drzwi otworzyła mi Sara i oznajmiła uprzejmie, że się zmęczyłaś bardzo czuwaniem przy Haide i śpisz teraz. Potem przyszedłem tutaj i długo czekałem. Na próżno! Wiem doskonale, że oszukano nas jakimś niegodnym podstępem, wiem nawet za czyją sprawą to się stało! Wczoraj, kiedy wracałem do domu, widziałem wyraźnie sylwetki dwóch mężczyzn, skradających się w kierunku tylnej bramy. Gdybyś, najdroższa, za-*

uważała tylko coś podejrzanego, pisz natychmiast do mnie. I pisz często (tutaj następował adres). Mówiłem z panią Manners. Wszystko dobrze. Do widzenia, moja słodka Violet, uważaj na siebie przez te sześć tygodni: chcę, żebyś była zdrowa. Gdy przyjadę, oddasz mi się w opiekę, prawda? Do widzenia...

Twój na zawsze Jerzy

Zalałam się łzami i długo, długo całowałam list. Do widzenia, najdroższy — szeptały moje usta. Potem schowałam kartkę za dekolt, obmyłam twarz wodą i powoli wróciłam do domu. Przechodząc przez jadalnię, popatrzyłam na zegar: wskazywał cztery minuty po ósmej. To dziwne. Nie uwierzę nigdy, że między pisaniem dla Sary a moim pobytym w ogrodzie upłynęło tyle czasu.

Na korytarzu spotkałam znów Sarę. Obrzuciła mnie badawczym, niemiłym spojrzeniem.

21

Zamknęłam się w szkolnym pokoju, usiadłam na najbliższym krześle i ukryłam twarz w dłoniach. Było mi strasznie smutno na myśl, że zobaczę Jerzego dopiero za sześć tygodni. Łzy spływały mi z oczu wielkie, słone, ciężkie. Cały umysł wyteżyłam, żeby dojść, w jaki sposób i kto nas oszukał. I zrozumiałam bardzo prędko, że nikt inny, tylko Sara rozmyślnie udaremniła nasze spotkanie. Dzwonił Jerzy, ale Sara zbyła go wykrętem, a potem skłamała przede mną. Syn Gregsona! O nikczemna kobieta! Od razu wprawdzie wydało mi się dziwne, że syn szewca chce wejść frontowym wejściem, nie przypuszczałam jednak, że Sara dopuści się takiego kłamstwa.

Raz jeszcze uważnie przeczytałam list Jerzego. Pisał, że w Alders był o szóstej. Teraz wszystko się wyjaśniło. Pamiętam doskonale, że kiedy zbiegłam na dźwięk dzwonka na dół, zegar wskazywał zaledwie wpół do szóstej. Z Sarą zabawiłam niedługo, ale gdy szłam do ogrodu, dochodziło już wpół do siódmej. Zwróciła moją uwagę niezwykła o tej porze ciemność. Sara przeszkodziła mi wyjść, ale rzeczywiście to pisanie zajęło mi najwyżej kwadrans. Zaledwie jednak znalazłam się w moim gniazdku, kościelny zegar wybił ósmą.

Wniosek był jasny. Sara cofnęła zegar przeszło o godzinę.

Nie mogłam jej tego dowieść, bo kiedy wracałam z ogrodu, spotkałam ją wychodzącą z jadalni. Z pewnością postarała się o zatarcie swego postępuku. Co jej to szkodzi, że spostrzegę wszystko po czasie?! Ogarnął mnie wielki lęk przed tą ponurą kobietą. Jak ona musi mnie nienawidzieć, jeśli stacją było, żeby uniemożliwić mi ostatnie spotkanie z Jerzym!... I muszę żyć z nią pod jednym dachem! Czuwaj nade mną, miłosierny Boże!

Zachowanie Sary zaczyna mnie nie na żarty niepokoić. Wolę już jej szorstkie, dyszące zazdrością słowa i nienawistne spojrzenia, kiedy mówi

o serdecznym traktowaniu mnie przez właścicieli Alders, bo wtedy wiem przynajmniej, że jest szczerą. Dzisiejszy jej postępek daleko więcej mnie zatrwożył. Obmyśliła cały plan działania i wykazała nawet niepospolitą zręczność intrygantki. A pozornie była zupełnie spokojna. Taka maska obojętności nie może wróżyć nic dobrego, jeśli się wie, że pod nią kipi burza nienawiści. Dziś środa, a pan Raynez wraca dopiero w sobotę. Czy przez te trzy dni Sara nie wymyśli czegoś jeszcze gorszego? Czuję, że ta kobieta pragnie mścić się na mnie. Nie opuści na pewno żadnej sposobności, żeby mi dokuczyć. Z pokorą zebrała wtedy o przebaczenie, ale skoro stanęła znów silnie na nogach... pamięta z pewnością swe upokorzenie. Postanowiłam, że będę ostrożna, będę zamykała drzwi od mego pokoju, a gdybym już naprawdę nie mogła z nią wytrzymać, zatelegrafuję do pana Rayneza. Wróci i zrobi z nią porządek.

Znowu zaczęłam czytać list narzeczonego, pragnąc choć w ten sposób zatrzeć myśl o Sarze. Już od tego wszystkiego rozbolała mnie głowa. Uderzył mnie teraz jeden nowy szczegół: dlaczego w tych kilkunastu wierszach pożegnania Jerzy z takim naciskiem wspomina o dwóch mężczyznach, widzianych przy bramie? Czemu to zwróciło jego uwagę? Nie widzę w tym zupełnie nic podejrzanego. Jednym z nich był z pewnością Tom Parkes, którego spostrzegłam dzisiejszej nocy przemykającego się przez trawnik z ciężką skrzynką. Drugi — zapewne przyjaciel. Wprawdzie wizyta

o tak spóźnionej porze wydała mi się niewłaściwa, dziwna, ale... Najlepiej napiszę o tym do Jerzego, on będzie wiedział, czy należy zużytkować w jakiś sposób tę wiadomość. Zamyśliłam się głęboko. Wtem drzwi skrzypnęły cicho i do pokoju wsunęła się niespodziewanie Sara z zapaloną świecą w ręku i książką do nabożeństwa. Odczytałam poważnie wieczorną modlitwę, której słuchała ze spuszczonego wzrokiem. Pochwyciłam kilka niespokojnych, zalęknionych spojrzeń, wpatrujących się uporczywie w kartkę, którą trzymałam w ręce. W milczeniu wstałam z krzesła i nie skinąwszy jej głową na dobranoc, wyszłam pospiesz-

nie na schody. Po drodze włożyłam starannie list do medalionu, postanawiając nauczyć się adresu Jerzego na pamięć, żeby w razie kradzieży nie stracić najcenniejszej rzeczy.

Nazajutrz rano otrzymałam list od pana Rayneza. Donosił mi, że w dzień przyjazdu do Londynu był w teatrze i zachwycił się widzianą sztuką; przysłał nawet program, libretto i całą listę grających artystów. Każde nazwisko opatrywał dość długi komentarz. Przeczytałam je wszystkie cierpliwie, ale nie zajęło mnie to wcale. Raz w życiu tylko byłam w londyńskim teatrze i wiem bardzo niewiele o zdolnościach obecnych aktorów. Własnego sądu o tym mieć nie mogę, a polegać na cudzym... Jednak musiało się coś przywidzieć Jerzemu. Utrzymywał przecież, że poznał tej nocy pana Rayneza w przebraniu marynarza, spacerującego spokojnie po stacji. A tymczasem właściciel Alders pisał list w środę i dnia tego był właśnie w teatrze. Donosił także, że napisał osobno do żony i przez nią przesyła uściski dla Haide, a teraz i przeze mnie życzy jej szybkiego wyzdrowienia. W post scriptum było jakieś dziwne zlecenie dla Sary. Miałam niedobre przeczucie, nie śmiałam jednak nie spełnić tej prośby.

— Pan Raynez przesyła ci, Saro, w liście polecenie — odezwałam się sucho przy śniadaniu. — Kazał ci powiedzieć, żebyś nie zapomniała wykonać roboty, powierzonej przed samym odjazdem.

Zauważyłam, że twarz jej zbielała, patrzyła na mnie nienawistnym wzrokiem. W oczach jej płonęły ciemne, złowrogie ognie. Zadrżałam i spuściłam głowę. Cóż jestem winna, powtórzyłam tylko rozkaz pana. Powinien sam do niej napisać, a nie narażać mnie na gniew tej kobiety!

Sara szybko się uspokoiła.

— Dobrze — syknęła ze złością i zaraz wyszła z pokoju.

Ciekawa byłam, co to było za polecenie.

Cały prawie dzień spędziłam przy łóżeczku Haide. Po prostu nie miałam co robić na dole. Pani Raynez nie ukazywała się wcale, a Sara na moje zapytania odpowiadała niechętnie, że pani jest ciągle osłabiona i już od wczoraj nie wstaje. Oświadczyłam wtedy, że pragnę ją zobaczyć i trochę rozerwać rozmową. Sara jednak sprzeciwiła się temu stanowczo utrzymując, że w obecnym stanie pani Raynez nie znosi widoku obcych twarzy. Przestałam więc nalegać i musiałam wyrzec się spełnienia dobrego uczynku. Potem zrodziło się we mnie podejrzenie, że Sara umyślnie przeszkadza naszemu zbliżeniu. I wtedy wpadłam na szczęśliwy pomysł. Wzięłam nóż ogrodowy, żeby zrobić wiązanekę z ostatnich, jesien-

nych kwiatów. Koniecznie chciałam okazać pani R.aynez. że pamiętam o niej i pragnę zasłużyć na jej serdeczność.

Była czwarta po południu. Na trawie i liściach błyszcząły krople niedawnego deszczu, w powietrzu unosiła się wilgoć, sine mgły kładły się nisko i okrywały ziemię srebrzystym całunem. Wszędzie już czuło się jesień, kwiaty przekwitały i straszyły nagimi łodygami, gdzieniegdzie tylko wychylały się jeszcze barwne płatki i korony. Zerwałam wszystkie, dodałam trochę traw i gałązek. Zrobił się wcale ładny bukiet. Kiedy już wracałam do domu, przyszło mi na myśl, że te ciemne, o jesiennych barwach kwiaty ślicznie by wyglądały w kryształowo-miedzianym stylowym wazonie, który stoi na kominku w salonie. Pobiegłam więc w stronę ganku obładowana kwiatami i wielkim, ogrodniczym nożem. Nacisnęłam klamkę oszklonych drzwi salonu i nagle zatrzymałam się jak wryta. W pokoju stał mężczyzna odwrócony do mnie tyłem, i spokojnie wyglądał przez okno. Zawróciłam prędko, chcąc uciec, lecz ów dżentelmen odwrócił się niespodziewanie, postąpił kilka kroków i stanął na progu, tuż przede mną.

Poznałam pana Carruthersa.

— Panna Christie?! — odezwał się z radosnym zdziwieniem. — A mnie powiedziano, że pani w miasteczku!

Najwidoczniej był to nowy pomysł Sary.

— Nie, panie — odparłam spokojnie. — Byłam tylko w ogrodzie.

Wtem spostrzegłam swoją podwiniętą suknię. Zarumieniłam się po białka oczu i drżącymi rękami zaczęłam odpinać agrafki.

— Bardzo, bardzo się cieszę z naszego spotkania — mówił pan Carruthers udając, że nie dostrzega powodu mojego zakłopotania. — Doskonale pani wygląda. Widać bez żalu opuściła pani Denham Court? — dodał z filuternym uśmiechem.

— Czy mogło być inaczej — odrzekłam poważnie. — Przelotna dwudniowa znajomość. Przedtem nie znałam przecież tam nikogo.

— Nikogo! — powtórzył z rozpaczą. — Nie myślę o innych, chodzi mi w tym wypadku jedynie o siebie.

— Tyle czasu znam pana, co innych.

— Ale pani poznała mnie lepiej — powiedział z naciskiem.

— Tego nie wiem.

— Jak to? — odparł z oburzeniem. — Czy nie najwięcej z panią rozmawiałem?

— Przyznaję.

— Nie najczęściej ze mną chodziła pani po parku? — ciągnął dalej.

— I to prawda.

— Czy nie lubi mnie pani więcej od nich?

— Może — odpowiedziałam niepewnym trochę głosem.

— Naturalnie! — podchwycił z radością. — Pani mnie musi lubić, ponieważ ja mam dużo sympatii dla pani... Teraz się pani zgodzi z moim poprzednim twierdzeniem, nieprawdaż?

— Ależ pan mnie źle zrozumiał! — zaprzeczyłam żywo. — Lubię pana, zapewne, jednak...

— Jest! — wykrzyknął. — Pani każdą rozmowę popsuje swoim „jednak”, „ale”! — Tak się nie rozumuje. Czy się pani nie podobam? Mówią, że jestem jednym z najpiękniejszych mężczyzn w okolicy?!

— Tylko mówią? — zapytałam z powagą.

Umilkł i spojrzał na mnie mętym wzrokiem, nie wiedząc zapewne, co myśleć o mojej uwadze. Potem jednak się roześmiał głośno i zawołał:

— Pobity po raz drugi, nie daję jednak za wygraną! Idźmy dalej. Może więc pani uwierzy, że mam bardzo dobre serce?

— O! nie! — przerwałam bez namysłu.

— Boże! Ty widzisz! — rzekł patetycznie, wznosząc oczy w górę, aby okazać, jak niewinnie cierpi.

Zaczęłam mu wyklądać moją niezbitą teorię. Gdyby był „dobry” rzeczywiście, nie naraziłby z pewnością lady Mills na niepokój wtedy, gdy wróciliśmy tak późno z przejażdżki, tym bardziej, że doskonale wiedział, jakie to wywoła skutki. Pan Carruthers słuchał w pobożnym skupieniu.

— Zauważyłam nawet, że pan nie pragnie wcale uchodzić za dobrego

— kończyłam nielitościwie. — Zdaje się, że reszta pałacowych gości ma dokładne wyobrażenie o licznych cnotach pańskich — dorzuciłam z lekkim przekąsem.

— Mea maxima culpa! — odezwał się pokornie mój towarzysz, — Ale tak było. Teraz jest inaczej, przecież obiecałem się poprawić.

— Nie wierzę — odparłam z uśmiechem. — Pan mi opowiada dużo rozmaitych rzeczy w tym celu zapewne, aby żartować potem z mej łatwowierności.

— Czy pani wszystkich znajomych równie surowo sądzi?

— Tak — szepnęłam z wahaniem.

— Czy i tego, który ofiarował pani wtedy paśową różę?

Spojrzał na mnie z ironią, natychmiast jednak spuścił oczy, spotkawszy mój

poważny wzrok. Spłonęłam silnym rumieńcem, ale nie odrzekłam ani słowa.

— On zapewne popełnia w życiu same dobre uczynki? — ciągnął szyderczo dalej.

— Zabraniam panu odzywać się w ten sposób o nim! — przerwałam gwałtownie. — Tak jest, ma wady, bo wszyscy jesteśmy ułomni. Nie dalej nawet jak kilka dni temu, robiłam mu gorzkie wymówki, ponieważ posądził mnie o większą sympatię dla jednego z gości lady Mills. Oświadczyłam wyraźnie, że wszyscy są mi jednakowo obojętni.

Pan Carruthers obrzucił mnie dziwnym spojrzeniem, twarz mu zbieleła, po chwili jednak wybuchnął wesołym śmiechem.

— Niewdzięczna istoto! — zawołał ze zgrozą. — Przestaję odtąd starać się o panią.

— Starać się... o mnie? — zapytałam z zabawnym zdziwieniem.

— Więcej powiedziałbym — szepnął z nagłym smutkiem w oczach

— dużo więcej... ale nie śmiem. Pragnę tylko dowieść pani, że...

— Niech się pan nie trudzi — rzekłam chłodno. — Zbyteczna strata czasu.

Zapanowało milczenie.

— Nie narażę się po raz drugi na taką odpowiedź — odezwał się wreszcie stłumionym głosem pan Carruthers. — Przestańmy mówić o tym. Czy pani wie, co zaszło w Denham Court po jej wyjeździe? — zapytał nagle innym, zmienionym tonem.

— Nawet się nie domyślałam — odparłam swobodnie. — Cóż ważnego stać by się mogło? Wyjechałam przecież w poniedziałek, a dziś zaledwie czwartek.

— Tak, zaledwie — szepnął z dziwnym wyrazem twarzy. — A jednak wydarzyło się nieszczęście. Zeszłej nocy do pałacu włamali się złodzieje, skradli mnóstwo cennych cacek i całą, kosztowną biżuterię paniom Mills, Cunningham i Carren. — dodał półgłosem, wpatrując się we mnie badawczo.

Pobladałam, a potem oblała mnie fala gorącej krwi. Machinalnie zaczęłam obracać w rękę białą chryzantemę i drżącymi palcami obskubałam wszystkie atłasowe płatki, zupełnie nie wiedząc, co robię. Wiadomość ta uczyniła na mnie tak silne wrażenie, że z początku nie mogłam wydobyć głosu z zaciśniętej krtani.

— Zeszłej nocy?

— Tak, pani — odparł pan Carruthers spokojnie, nie spuszczać ze mnie wzroku. — Może pani usiądzie, ot w tym tu fotelu. Czy ta kradzież uczyniła na pani tak silne wrażenie? Och, jak pani blednie! Zadzwoń na służącą i...

— Nie! Nie! — przerwałam z przestraczeniem. — Już mi lepiej. Zemdlec nie

miałam zamiaru. Tylko niech pan prędko opowie mi wszystko, wszystkie szczegóły kradzieży — dodałam gorączkowo. — Kiedy się to wykryło? Czy już schwytano złodziei?! Kto to zrobił?!...

— Niechże się pani uspokoi — przemówił łagodniej pan Carruthers.

— Streszczę rzecz w kilku słowach. Nie schwytano dotąd nikogo i nawet nie ma żadnych, określonych podejrzeń. Szkodę spostrzeżono dzisiaj rano.

— Dziś rano... — szepnęłam zamyślona. — A kto pierwszy zauważył kradzież? Jak...

— Spokojnie, powoli, a dowie się pani wszystkiego — rzekł z naciskiem.

— Otóż spostrzeżono wczesnym rankiem leżącą pod oknem buduaru lady Mills zwiniętą, sznurową drabinę i wyjęte szyby z okien. Panna służąca biegła wtedy do pani i pierwsza podniosła alarm. Kto *żyj*/ w pałacu wybiegł na jej lament i oglądał nieszczęsne „corpus delicti”. A potem wszyscy poszliśmy na górę. Dwoje drzwi prowadzi do buduaru lady, jedno z jej sypialni, drugie z korytarza, te znaleźliśmy otwarte. W pokoju na pozór nie było żadnego bałaganu, szafy i biureczko były zamknięte na klucz, drobne kryształowe cacka na stałym miejscu. Lady Mills pobiegła do drzwi garderoby, informując z pobladłą twarzą, że tam stoi szkatułka, w której przechowuje klejnoty. Obejrzeliśmy z uwagą zamek... widniały na nim wyraźne znaki wytrychu. Piękna lady obróciła klucz drżącą ręką i pokazała nam puste miejsce. Szkatułka, biżuteria i cenniejsze rzeczy zniknęły bez śladu. Lady Mills załamała rękę. Wtem do pokoju wpadł zdyszany ogrodnik i zaczął opowiadać łamiącym głosem, że tknięty przecuciem poszedł do składu z narzędziami w towarzystwie pomocnika Toma Parkesa.

— Toma Parkesa! — wyrwało mi się.

— Tak jest, pani — potwierdził dziwnym tonem mój towarzysz. — Podobno ten człowiek miał klucze do składu. Po szczegółowym przejrzaniu narzędzi okazał się brak sznurowej drabiny i kilku najtwardszych pilników. Wtedy inne panie rozbiegły się po swoich pokojach i w ten sposób wykryto od razu wszystkie kradzieże. Uderzyło nas, że plan obmyślono z prawdziwym talentem. Wszystkie drzwi zamykane przed nocą na klucz, były otwierane, ale potem znów zamknięte wytrychem, a wszystkie mniej cenne rzeczy pozostawiono. Wszędzie stwierdzono kradzież biżuterii i szkatulek, w których spoczywały. Potem sir Jonas i stary marszałek własnoręcznie zrobili przegląd złożonych w kufrach sreber i stwierdzili zniknięcie kilku pozłacanych pater oraz kosztownej złotej zastawy wyprawowej. Jednakże największe wrażenie sprawiła kradzież klejnotów pani Cunningham. Poszkodowana dama wpadła do jadalni, gdzie zgromadziliśmy się na

śniadanie, z białą jak kreda twarzą, cała drżąca. W rękach trzymała poszarpane kawałki kolorowej waty. Upłynęła długa chwila, zanim oznajmiła, że w podróży w pudle, które zawsze stoi przy jej łóżku, pod warstwą drobnych kamyków i waty chowała dwa najcenniejsze garnitury. Teraz otworzyła właśnie swój neseser i spostrzegła z przerażeniem brak tej biżuterii. Biedna kobieta tak była zrozpaczona swoją stratą, że zaledwie mogliśmy zrozumieć bezładne jej opowiadanie. Przyznała się jeszcze, że owo pudełko z klejnotami ukrywała na noc pod poduszką i nie rozumie zupełnie skąd złodziej mógł wiedzieć o tej kryjówce, bo ona nikomu o tym dotąd nie mówiła.

— Ma pan niezupełnie dokładną wiadomość — przerwałam. — Pani Cunningham zwierzyła się z tego mnie.

— Owszem. Przypominam sobie teraz, że coś wspominała o pani

— odparł pan Carruthers. — Ale to nic nie zmienia. Pani nie powtórzyłaby nikomu tego rodzaju wiadomości — dodał, patrząc mi z uwagą w oczy.

— Naturalnie! — wyrzekłam z prostotą. — Powiedziałam tylko mojemu panu.

— Panu Raynezowi?! Uważam, że nie mogła pani gorzej trafić!

— Co to znaczy?! — wyszeptałam blednąc.

— Znaczy, że owa osobistość jest nieznośnym gadułą — powiedział rozdrażniony. — To wesoły, wykształcony człowiek, znam go dobrze z wyścigów, ale takim ludziom nie powierza się żadnych sekretów. Powtórzyłby je zaraz wszystkim swym znajomym.

— Złośliwość czy zazdrość przemawia przez pana? — zapytałam chłodno. — Jestem zupełnie pewna, że pan Raynez nikomu nie przekazał tej wiadomości! Rozmawialiśmy potem zresztą coś na temat wstrzemięźliwości języka i sam utrzymywał, że są informacje, których nie powtarza się nawet zaufanej osobie.

— Więc zaczynam wierzyć, że się powstrzymał tym razem — odparł spokojniejszym tonem pan Carruthers. — Powiem pani Cunningham, że i pani nie ma najmniejszych podejrzeń. Biedna kobieta jest jakby w gorączce

i prosiła mnie, żebym natychmiast tu jechał zapytać, czy pani — w najlepszej wierze — nie powtórzyła tego sekretu komuś, kto mógłby nadużyć zaufania. Mnie się zdawało od razu, że pani nie wie o niczym, ale pragnąłem mieć pretekst do tej wizyty. A w ten sposób osiągnąłem cel trzydniowych marzeń i jednocześnie zyskałem jej wdzięczność.

Ale miodowe słówka obity się o moje uszy pustym dźwiękiem. Umysł miałam zanadto zajęty kradzieżą.

— Czy na kogokolwiek padło podejrzenie? — szepnęłam.

— W każdym razie nic określonego — rzekł powoli. — Tymczasem śledzimy z uwagą zachowanie się domowej służby, co pół godziny podejrzewa się kogoś innego. Kradzież jest dokonana tak systematycznie, z niepospolitą znajomością rzeczy, z takim po prostu artyzmem, że niepodobieństwem wydało nam się początkowo, aby nie brał w tym udziału ktoś ze służby, osobnik obeznany doskonale z rozkładem pokoi i zwyczajami mieszkańców pałacu. Ale mój służący Gordon, człowiek, któremu ufam, oburzył się na bezpodstawne właściwie podejrzenia i zaproponował, żeby ich kuferki i rzeczy zrewidować też, bo dlaczego niewinni mają cierpieć bez powodu. Posłuchano tej rady. Poszukiwania nie wykazały żadnego śladu współnictwa. Naturalnie, że to nie jest miarodajne, mogły być przecież ustnie przekazane wszelkie potrzebne wskazówki. Na rozkaz lady Mills służba przetrząsnęła park i ogród. W jednej alei znaleziono podartą czapkę marynarską. Przez chwilę myśleliśmy, że natrafiono wreszcie na ślad złodziei, bo poprzedniego dnia oddział marynarzy wykonywał jakieś roboty, na pobliskiej stacji. Posłano po nich. Stwierdzili, że czapka rzeczywiście należała do jednego z nich. Ujęli się jednak za kolegą. Wszyscy zgodnie oświadczyli, iż pił całą noc razem z nimi w szynku. Teraz już nie wiemy, co sądzić o tej całej sprawie. Gordon powiedział mi przed wyjazdem, że nie wierzy zapewnieniom marynarzy i że zauważył duże podobieństwo między tą kradzieżą, a niedawną kradzieżą u lorda Dalstona. I rzeczywiście ma słuszość. Utrzymuje on, że to robota jakiegoś wykwalifikowanego w swym fachu złodzieja brylantów i kto wie, czy odprawiony niedawno przez lady Mills ogrodnik nie zemścił się, udzielając takiemu specjalistom potrzebnych objaśnień. Początkowo przyznałem mu rację. Dopiero po namyśle przyszło mi do głowy, że żaden, najdłużej choćby służący tu lokaj nie mógł wiedzieć, gdzie goście przechowują swoją biżuterię. Gordon obstawał z uporem przy swoim, nie mogłem go przekonać, że nie ma racji. Bo jak na przykład wytłumaczyć mistrzowską wprost kradzież klejnotów spod poduszki pani Cunningham? Chyba że jej panna służąca zdradziła się jakimś nieostrożnym słowem?

— Myślę właśnie o tym — odezwałam się zmęczonym głosem.

W głowie miałam taki chaos, zdarzenia ostatnich dni tak mi się pomieszały, że nie wiedziałam w końcu, co mam sądzić o tym wszystkim. Pan Carruthers zauważył widać znużenie na mojej twarzy, bo podniósł się z fotela.

— Nie będę już trudził pani Raynez, skoro widziałem się z panią.

— Pani Raynez? — zapytałam zdumiona.

— Tak, właśnie — odparł dziwnym tonem. — Służąca powiedziała mi, że nie zastałem pani w domu, ale mogę się widzieć z panią Raynez. Nie chciałem tego, gdyż wiem doskonale, że ciągle jest chora. Zgodziłem się jednak w końcu i pani Raynez miała się tu zjawić.

— Niech pan zatrzyma się chwilę — szepnęłam widząc, że chce się pożegnać. — Czy to zupełnie pewne, że kradzież popełniono dzisiaj w nocy?

Zaledwie zdążyłam wymówić te słowa, spostrzegłam, że mój towarzysz patrzy na drzwi.

Odwróciłam się. Na progu stała pani Raynez z bladą twarzą i płomieniem w oczach. Usta jej drżały. Za nią stała Sara...

Wszystkie drzwi w Alders otwierają się bez szmeru i zapewne obie usłyszały moje ostatnie słowa. Zatrzymałam długo wzrok na Sarze. Nagle zamarłam z przerażenia. Moje podejrzenie zmieniło się w pewność, zrozumiałam, że jestem na prawdziwym śladzie.

22

Pan Carruthers tak się widocznie zapatrzył w cierpiącą panią Raynez, że nie usłyszał wcale mego pytania. Postanowiłam zapytać go o to znów przy okazji. Mój towarzysz w gładkich słowach przeproszał panią Raynez, że ośmielił się zakłócić jej spokój i trudzić ją osobiście, chociaż wiedział, że jest niezupełnie zdrowa. Przyjechał tylko, aby mi opowiedzieć

o wielkiej kradzieży, którą popełniono w Denham Court dzisiejszej nocy. Słuchała go uważnie i ze spokojem, żaden mięsień nie drgnął na jej twarzy, przymknęła oczy i stała nieruchomo, jakby obojętna. Cała jej postać wydała mi się w tej chwili uosobieniem cierpienia i bólu. Kiedy gość skończył, popatrzyła na niego smutnym wzrokiem i szepnęła z głębokim westchnieniem:

— Zatem nie schwytano nikogo?

— Nie, pani — odparł pan Carruthers spokojnie. — Złoczyńcy zniknęli, jak duchy, nie pozostawiając najmniejszego śladu.

— Żałuję niezmiernie. Mój mąż od wtorku bawi w Londynie, a wtedy zawsze jestem niespokojna. Będę się teraz obawiała napadu na Alders — wyszeptała bezbarwnym głosem, jakby powtarzała wyuczoną lekcję.

Sara stała tuż przy niej, trzymając w ręku flakonik z solami trzeźwiącymi. Lękała się widać jakiegoś ataku, lecz mnie pani Raynez wydała się spokojna.

Pan Carruthers z szacunkiem ucałował przejrzystą rękę pani Raynez, mnie podał dłoń po przyjacielsku i wyszedł z pokoju. Podążyłam za nim, chcąc mu koniecznie wyjaśnić moje wątpliwości co do Sary, gdy ta zamiast zostać z panią, wybiegła do ogrodu i całą drogę szła tuż za nami, żeby otworzyć nie zamkniętą przecież bramę. Musiałam więc odłożyć rozmowę. Po głębszym namyśle uznałam nawet, że może to i lepiej. Bo i dlaczego mam oskarżać tę kobietę przed obcym, poznanym przygodnie człowiekiem, jeżeli mogę porozmawiać o tym z moim panem. Zresztą, kto wie, czy ona jest naprawdę winna?

Byłam tak rozdrażniona, podniecona i zdenerwowana tą historią, że nie mogłam po prostu znaleźć sobie miejsca, dopóki nie zaczęłam pisać listu do Jerzego. Z początku szło mi bardzo trudno, gdyż musiałam starannie dobierać wyrazy, będąc przekonana, że Sara otworzy mój list. Więc pisałam, że nie mogę wytrzymać, aby mu nie donieść ciekawych szczegółów kradzieży, której ofiarą tym razem padł pałac pięknej lady Mills, że prawdopodobnie współnikiem złodziei był ktoś mieszkający stale w okolicy. Dodałam, iż za najprawdziwszą uważam tę wersję. Donosiłam dalej, że napiszę niebawem obszernie, kiedy zdarzy się sposobność, abym osobiście pojechała na stację. Zdawało mi się, że wywiązałam się z zadania mego dość dyplomatycznie. Potem jeszcze długo biegało mi pióro po papierze, z serca płynęły słowa miłości i przywiązania.

Pocztylion wstępował codziennie po listy o szóstej po południu. Dnia tego cierpliwie czekałam na jego przybycie w pokoju szkolnym, i skoro go tylko ujrzałam przez okno i usłyszałam głos Sary, oddającej mu woreczek listów, wybiegłam do sieni i zanim ona się zorientowała, wrzuciłam tam swój. Pocztylion wziął z rąk służącej worek i zaraz zawrócił do bramy. Wyszłam na ganek, uradowana, że Sara nie zdążyła przeczytać adresu. Goniałam wzrokiem za listonoszem, dopóki nie znikł w alei, a potem udałam się na dawne, lepsze miejsce do obserwacji: do okna w szkolnym pokoju. Wtedy spostrzegłam z przerażeniem Sarę, przemykającą się chyłkiem przez trawniki i biegnącą prędko w stronę bramy. Zrozumiałam od razu, co grozi mojemu listowi i natychmiast ruszyłam za nią. Ujęłam za klamkę furtki i zobaczyłam wtedy, jak chowała spiesznie kopertę do kieszeni. Doleciały mnie słowa o złym adresie i pilnej sprawie, którymi tłumaczyła swój postępek zdziwionemu pocztylionowi. Zadrzałam z oburzenia i z podniesionym czołem zbliżyłam się do niej.

— Jakim prawem śmiałaś zabrać mój list, Saro? — zapytałam ostro.

— List pani? Ani mi się śniło! — odrzekła hardo. — Nie zdałby mi się na nic. Wzięłam list do siostry, bo napisałam zły adres.

Czułam doskonale, że kłamie, pragnąc tym nowym zuchwalstwem odwrócić od siebie wszelkie podejrzenia. Milczałam jednak, upokorzona i bezradna, nie mogąc jej rozkazać, aby pokazała kopertę. A prośby! Tego bym nie uczyniła! Przewrotna kobieta wiedziała, że nic jej teraz nie grozi i cofała się zwolna w stronę domu z ręką w kieszeni. Póki nie zniknęła, stałam z dumną twarzą, ale potem wybuchnęłam głośnym płaczem. Za co ona mnie prześladowuje, Boże?! Czy ta nikiemna kobieta powinna tryumfować nade mną?!

Pocieszałam się, że wkrótce skończy się panowanie Sary. Pojutrze wraca pan Raynez. Powiem mu, co widziałam w noc wtorkową, i o tym, iż tego wieczora Jerzy zauważył dwóch tajemniczych mężczyzn w jednokonnym wózku, jadących ostrożnie w kierunku tylnej bramy. Nie wymienię jednak imienia Jerzego. Powiem mu także o dziwnym zmieszaniu Toma, kiedy mnie niespodziewanie zobaczył w pałacu. Nic mu jednak nie powiem o Gordonie, bo nie wiem, jaki właściwie stosunek łączy mego chlebodawcę z tajemniczym służącym. Teraz nie mogłam już spokojnie myśleć o zagadkowym zniknięciu mego serduszka w Denham Court. Oddał mi je przecież Gordon, który mówił przy ludziach, że zna tylko Toma w Alders, a ja widziałam ich obu późnym wieczorem, skradających się razem do pracowni pana Rayneza. Cieszę się teraz, że napisałam tak zagmatwany list do Jerzego. Sara niewiele się z niego dowie. Lecz z drugiej strony przeczyta tyle rzeczy przeznaczonych jedynie dla oczu mego najdroższego. Zastanawiałam się, jaki znaleźć powód jutrzejszej wyprawy na stację? Ostatecznie w sobotę powraca pan Raynez i wtedy przy nim wrzucę list do skrzynki pocztowej, jeżeli nie uda go się wysłać wcześniej. Sara nie śmiałaby zrobić przy panu tego, co zrobiła dzisiaj.

Ranek przyniósł nowe rozczarowanie. Otrzymałam list od pana Rayneza, zapowiadający jego przyjazd dopiero w poniedziałek i to po południu. Pisał także, że dostał moją kartkę, donoszącą o wszystkim, co do środy zaszło. Zaniepokoiło go widocznie pogorszenie stanu zdrowia żony, gdyż prosił gorąco, żebym ją namówiła do przeniesienia się na wyższe piętro. Pogoda się rzeczywiście popsowała i wilgoć może jej zaszkodzić.

Niech pani powie żonie, że jest to moim serdecznym życzeniem — czytałam wzruszona. — *Prawdopodobnie będzie z tym trochę trudności, bo przywiązała się do swego kąta, ale tak jestem o nią niespokojny! Zauważyłem, że zmizernia-*

ła bardzo w ostatnich tygodniach. Przekonany jestem, że pobyt na górze, gdzie powietrze jest bardziej suche, z pewnością dobrze jej zrobi. Niech pani użyje całego swego wpływu, kochana panno Christie. Gdyby się nie chciała zgodzić, niech jej pani powie, że wróci do ulubionej sypialni z pierwszym podmuchem wiosennego wiatru. Niech pani mówi, że chce, byle usłuchała prawdziwie życzliwej rady. Wierzę głęboko w panią. Sarze posyłam osobną kartkę z poleceniami a przede wszystkim rozkaz uporządkowania narożnego pokoju na piętrze.

Do wesołego zobaczenia G.R.

Ze łzami w oczach skończyłam czytanie. Biedny pan Raynez! Czy jego żona zawsze pozostanie wyniosła i chłodna? Nagle stanęła mi przed oczyma jej zrozpaczona i blada twarz, zobaczyłam zgnębioną postać na kolanach przy łóżeczku cierpiącego dziecka. Więc ona czuje, a jednak?... Szczęśliwa byłam, że nareszcie mogę coś naprawdę pożytecznego zrobić dla niej. Wprawdzie pan Raynez pisze, że dla żony te przenosiny będą utrapieniem, ale postaram się spełnić jego prośbę. Pomocą będzie mi list zaniepokojonego męża i złota główka Haide.

Usiadłam samotnie do obiadu. Cały czas myślałam, w jaki sposób można zobaczyć się z panią Raynez. Z pomocą przyszła mi sama Opatrzność.

— Pani Raynez przyjdzie dzisiaj na herbatę i pragnie wypić ją z panią — odezwała się Sara ostrym, suchym głosem.

Z radości mało nie zaczęłam śpiewać. Prędko jednak straciłam ochotę. Jak można poufnie porozmawiać w obecności Sary, domowego wroga?... Po obiedzie wyszłam do ogrodu, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób dać poznać pani Raynez, że chcę z nią mówić bez świadków? Po chwili znalazłam się w moim gniazdku, usiadłam, aby odpocząć. Kilkanaście minut później usłyszałam ciężkie kroki za parkanem, na ścieżce wiodącej do szosy. Rozchyliłam gęsto rosnące krzaki i zauważyłam Sarę, dźwigającą jakąś niewielką, ciemną skrzynkę. Była już dosyć daleko i szła najwidoczniej w stronę Beaconsburghu. Szybko pobiegłam do kuchni i spytałam Jane, czy nie wie, gdzie jest Sara. Dziewczyna odparła bez namysłu, że poszła do miasteczka zamówić prowiant na jutro.

Odetchnęłam z ulgą. Wymarzona chwila do zobaczenia się z panią Raynez! Ale jak to zrobić? Zdawało mi się, że nie powinnam zapuszczać się do tamtych pokoi bez zachęty z jej strony. Może spać albo nie życzyć sobie, aby zakłócano jej spokój. Postanowiłam zatem najpierw zbadać sytuację. Zabrałam koszyczek na kwiaty i nóż do ścięcia tu i ówdzie kwitnących jeszcze chryzantem. Krążąc dosyć długo po ogrodzie, znalazłam się wreszcie po lewej stronie domu, wśród bujnych traw i zdradziecko świeżej zieloności. Dalej były moczary. Okropność!

Ostrożnie kierowałam się w stronę okna sypialni pani Raynez. Droga stawała się coraz trudniejsza, stopy do kostek grzęzły w grubej warstwie gnijących liści i korzeni. Wydostałam się wreszcie na cisową aleję, która miała mnie zaprowadzić do celu wędrówki, ale i tutaj zgniłe liście i stopy obciętych gałęzi tamowały mi drogę. Nie byłam tutaj od dnia przyjazdu do Alders. Wtedy ten zakątek parku wydał mi się tajemniczy i zaniedbany. Nie mogłam jednak uwierzyć, że pan Raynez pozwoM żonie wdychać niezdrowe, przesiąknięte wilgocią powietrze. Po kilkunastu minutach takiej drogi stanęłam nareszcie przed wielkim krzakiem berberysu. Rozchyliłam trochę kłujące gałązki i oczom moim ukazało się okno, oplecione prawie całkowicie bluszczem. Gdzieniegdzie tylko połyskiwała szyba. W pokoju panowała martwa cisza. Nad oknem wisiała zepsuta i podziurawiona rynna, a deszczowa woda tworzyła wielką, cuchnącą zgnilizną kałużę, tuż przy murze, tak że niepodobieństwem było podejść bliżej. Zdobyłam się więc na podstęp. Zaczęłam półgłosem nucić ulubioną piosenkę i na wpół odwrócona udawałam, że zrywam do bukietu drobne gałązki; suchy chrust trzaskał od czasu do czasu pod moimi nogami. Nagięłam wreszcie duży konar cisu, pragnąc niby zerwać jakiś ładny listek, i potem puściłam go. Stało się, jak przewidywałam. Za szybą ukazała się blada, wystraszona twarz mojej pani. Uśmiechnęłam się i skinęłam jej grzecznie głową, na migi pokazując, że pragnę jej ofiarować kwiaty. Chciałam, żeby otworzyła okno, ale uczyniła ruch przeczący. Prosiłam długo, zanim zdecydowała się uchylić je troszeczkę. Wtedy zbliżyłam się szybko i szepnęłam:

— Sara poszła do Beaconsburgh, z daleka ją obserwowałam. Przed wieczorem nie wróci na pewno.

Ręka przytrzymująca okno zadrżała i po chwili obie futryny rozchyliły się szeroko. Spostrzegłam wtedy z przerażeniem, że przedziela nas gruba, mocna krata.

— Haide ma się dużo lepiej, myślę, że mogłaby zejść na dół nawet na parę godzin. Każę rozpalić ogień w jadalni i jeżeli pani pozwoli, jutro będziemy jeść obiad razem. Dziecko pyta stale, dlaczego mamusia jej nie odwiedza. Tłumaczyłam jej, że pani też była niezdrowa, ale mała niepokoi się i nie wiem, czy to dobrze na nią wpływa.

— Przesyłam przez panią pocałunek matki — powiedziała pani Raynez drżącym głosem. — Ja nie mogę zrobić dla niej tyle dobrego, co pani, niestety. Dziękuję.

— Szczęśliwa jestem, że Haide powraca do zdrowia—powiedziałam po chwi-

li, usiłując przekroczyć kałużę i chwycić się framugi okna. — Zdaje mi się, że pomogła jej głównie zmiana powietrza. Na parterze jest dużo wilgoci. Doktor Lowe utrzymuje to samo. Myślę, że na górze byłoby jej lepiej.

Pani Raynez nerwowo ściągnęła usta i pobladła.

— Dobra jesteś dla dziecka, droga panno Christie — szepnęła w końcu ze smutkiem. — Haide u pani jest rzeczywiście lepiej. Jest bezpieczna pod pani opieką.

— Dziękuję — odparłam wzruszona.

Po chwili milczenia zapytałam:

— Czy pani wie, jaka zabójcza wilgoć wpada do tego pokoju od bagien?

Objęła mnie pełnym trwogi wzrokiem, zrobiła się blada jak płótno.

— Tak... zwykle... późną jesienią — zaczęła z wysiłkiem.

— Mgły jesienne, wyziewy trzęsawisk szkodzą najwidoczniej pani — powiedziałam nieśmiało. — Czy nie lepiej byłoby przenieść się do któregoś z pokoi na piętrze?

Pani Raynez zadrżała i konwulsyjnym ruchem chwyciła kratę. Ciemny rumieniec oblał jej blade policzki.

— Kto kazał pani powiedzieć mi o tym? — wyszeptała na koniec z dzikim ogniem w oczach. — Na miłość Boską, tylko powiedz mi prawdę!

— Napisałam do pana Rayneza, że od wtorku w ogrodzie pełno oparów i mgieł. Dziś rano przyszedł list od niego, w którym prosi, żeby pani przeniosła się koniecznie do słonecznego pokoju na piętrze. Utrzymuje, że teraz może pani zaszkodzić przebywanie od strony moczarów. Nakazał Sarze, aby przygotowała tam pokój — wyrzuciłam jednym tchem, wytrzymując jej badawcze spojrzenie.

Zdawało mi się, że wzruszy ją tak jasny dowód przywiązania i troskliwości męża, tymczasem pani Raynez zrobiła się jak kreda, potem płomień uderzył jej do twarzy, zaczęła drżeć, chwytala się kraty, prawie nieprzytomne oczy patrzyły dziko z rozpaczą i trwogą, czoło zwilżyły gęste krople potu. Wpatrywałam się z nią ze zdumieniem, nie pojmując zupełnie przyczyn tej zatrważającej zmiany.

— Nareszcie... nareszcie... za długo byłam tutaj — wypłynął z jej zsiniałych warg szept.

Przyszło mi na myśl w tej chwili, że takie wyrwanie jej z miejsca, z którym się zżyła od lat tyłu, odbije się ujemnie na jej wątłym zdrowiu i przenosiny mogą wyrzucić wprost przeciwny skutek. Ponury ogień płonął teraz w jej spojrzeniu, oczy błyszczały nieprzytomnie, twarz konwulsyjnie drżała i zaczęłam się oba-

wiać nie na żarty, że biedna kobieta dostanie ataku. Sara daleko, a ja nie potrafię jej ratować, i zresztą zanim zdążyłabym dom okrążyć i wbiec do pokoju...

— Pan Raynez prosił, bym nie nalegała — odezwałam się łagodnie. — Chce uszanować wolę pani — dodałam, rumieniąc się mimo woli za to miłosierne kłamstwo.

Potrząsnęła głową ze smutkiem. Potem nagłym ruchem przyłożyła wychudłe policzki do kraty i szepnęła cichym, łamiącym się głosem:

— Czy pani wie, jakie jest jego życzenie, jeśli je wykonuje Sara?

Podniosłam na nią przerażone oczy. Wzrojc pani Raynez wyrażał taką trwogę i bezdenną rozpacz, że w pierwszej chwili uczułam także lęk i nieznaną obawą przejęły mnie jej słowa.

— Pani przeciwko mnie także? — spytała ze smutkiem. — Zdawało mi się od początku, ale byłaś dobra dla mojego dziecka. Teraz już nie wiem komu wierzyć...

— Niech pani uwierzy mym słowom. Nie wspomniiałabym z pewnością o życzeniu pana Rayneza, gdybym mogła przeczuć, że dla pani będzie to takie kłopotliwe, że sprawi jej tyle cierpienia. Nie wiedziałam, że pani jest tak do tego pokoju przywiązana.

Wstrząsnął nią dreszcz. Zapanowało milczenie. Oczyma wpiła się w moje oczy, jakby pragnęła wydobyć prawdę aż z dna duszy. Patrzyłam spokojnie, jasno, żadnej złej myśli nie miałam przecież na sumieniu. Wzrok pani Raynez tracił powoli dziki wyraz, na czoło wystąpiły znowu krople potu, a twarz miała bielszą niż opłatek.

— Panno Christie — wyszeptała wreszcie ze słodyczą — pani ma wpływy w tym domu. Nie zapomnę nigdy, że nawet Sara usłuchała pani, kiedy Haide była taka chora. Chciałabym mieć pewność, że mogę wierzyć twoim słowom. Pragnę jednego dnia zwłoki, pragnę pozostać tu do jutra... Jeżeli dasz mi ten dowód przyjaźni — uwierzę...

Głos jej załamał się, oczy dziwnie błysnęły.

— Z największą chęcią — odparłam wzruszona. — Nie mam zamiaru sprzeciwiać się woli pani. Czy mogę powiedzieć Samowi, żeby uprzątnął te zgniłe liście, co tu leżą? — zapytałam nieśmiało. — Niezdrowe wyziewy i wilgoć idą od nich prosto do pani sypialni.

— Nie! nie! nie trzeba — zaprotestowała z przestraczem. — Nic nie szkodzi. Ale pani stoi ciągle w wodzie i gotowa się jeszcze przeziębnić. Idź, dziecko... i niech cię Bóg błogosławi...

Zamknęła okno i zniknęła w głębi. Nie miałam tu dłużej co robić. Zawróciłam więc prędko i dzwoniąc zębami z zimna, pobiegłam na górę.

Tam zmieniałam natychmiast pończochy i buciki. Przez cały czas myślałam ze smutkiem o niedoli chorej kobiety.

Na herbatę pani Raynez przyszła do jadalni, ale w towarzystwie Sary, więc udałam, że ją pierwszy raz dziś widzę. Zdawało mi się, iż będzie lepiej, jeśli Sara nie dowie się, że znalazłam sposób porozumiewania się z moją panią bez jej wiedzy. Oznajmiłam głosem urzędowym, że otrzymałam list od pana Rayneza, w którym prosi żonę, żeby się zgodziła przenieść jutro do narożnego pokoju na piętrze.

— Jutro? — przerwała ostro Sara.

— Tak — odpowiedziałam, dziwiąc się w duchu, jak gładko przeszło mi to kłamstwo. — Czy pani woli dziś na noc, czy też dopiero w sobotę?

— zapytałam grzecznie.

— W sobotę — szepnęła pani Raynez cicho, dziwnie zmienionym głosem.

— Słyszysz, Saro? Pan Raynez pisze, żeby się zastosować do życzenia pani, i ja odpowiadam za to. — Źle się czułam, wydając służbie rozkazy w obecności pani domu. Jej także było przykro.

— Słyszę, proszę pani — odrzekła Sara z pokorą.

Już po raz drugi zauważyłam, że ta harda kobieta nigdy nie protestuje, jeśli zlecenie pochodzi od pana Rayneza.

W milczeniu zaczęła uprzątać ze stołu. Pani Raynez przechadzała, się kilka minut po pokoju, w końcu przystanąła przed jasno płonącym ogniem w kominku. Bezwiednie prawie zbliżyłam się do niej, Sara wyszła na chwilę. Nagle do ucha wpadły mi słowa ledwo słyszalne:

— Uważaj, ona pani nienawidzi, trzeba jej unikać...

Nerwowy dreszcz wstrząsnął moim ciałem. Chciałam coś odpowiedzieć, lecz Sara już wróciła. Twarz pani Raynez stała się biała, jej oczy były senne.

Skąd ona może wiedzieć o uczuciach do mnie tej intrygantki? Czułam, że ostrzega mnie przed rzeczywistym niebezpieczeństwem.

Od dawna mam się na baczności. Wierzę jednak, że do poniedziałku nic się nie stanie, a potem wraca pan Raynez, w jego obecności Sara nie będzie śmiała nic złego zrobić.

Położyłam się tego dnia wcześnie. Późno w nocy obudziłam się nagle z uczuciem niewytłumaczonej trwogi. Usiadłam na łóżku. Haide spała spokojnie, w pokoju panowała niezmacona cisza, nawet ogień przygasł na kominku, chwilami

tylko błyskały- z ciemnego popiołu rubinowe iskry. Zaczynało być chłodno.

Odrzuciłam kołdrę, chcąc wsunąć na nogi ciepłe pantofelki i poprawić ogień, gdy wtem usłyszałam cichy szmer na schodach. W mgnieniu oka ubrałam się i czekałam, wstrzymując oddech. Po chwili zapanowała cisza i już zaczęłam przypuszczać, że chyba mi się przywidziało, kiedy usłyszałam niewyraźny, przytłumiony odgłos, jakby coś ciężkiego wleczono po schodach. Znow cisza, a potem dziwny szelest się powtórzył. Co można ciągnąć po schodach i to w nocy? Na palcach przeszłam pokój i przytknąwszy zapałkę do żarzących się drewek zapaliłam świecę. Przyłożyłam ucho do dziurki od klucza. Teraz chwyciłam daleko wyraźniej tajemnicze zgrzyty, stłumione odgłosy, cały ten dziwny hałas. Co to wszystko znaczy? Może Nap, dog, ulubieniec pana Rayneza, łązi po schodach, szukając wygodniejszego kącika na spanie? Ale w takim razie nieznośny pies będzie zakłócał spokój do białego rana?

Teraz szelest był wyraźniejszy i bliższy. Byłam teraz prawie pewna, że owo coś zmierza ku drzwiom mego pokoju. Zebrałam całą odwagę i postanowiłam nastraszyć intruza. Wszystkie zawiasy w Alders były w doskonałym stanie, to też przekręciłam klucz prawie bez szmeru, nacisnęłam klamkę i szybko wybiegłam ze świecą w rękę na korytarz. Z pokoju odpowiedział mi krzyk Haide. Zapomniałam o niej.

Przy schodach zamajaczyła ciemna, skulona postać. Podniosłam wysoko świecę i z kolei z moich ust wydarł się okrzyk zgrozy. Była to Sara.

Wyprostowała się, w jej oczach błyskały złowrogie ognie, po czym ruszyła z wyciągniętą ręką w moim kierunku. Wyglądała jakby chciała rzucić się na mnie. Wtem zachwiała się, krzyknęła strasznie i runęła na dół. Widocznie zdrętwiałe długim kucaniem nogi odmówiły teraz posłuszeństwa. Stałam przerażona widząc, że czepia się szczebli balustrady. Po chwili głuchy łoskot rozległ się na dole, potem jęk przeciągły, okropny. Popatrzyłam na dół: Sara leżała bez zmysłów u stóp schodów.

Kolana tak drżały pode mną, że musiałam oprzeć się o ścianę i dopiero po kilku minutach mogłam pomyśleć o ratowaniu nieszczęśliwej. Zaczęłam schodzić, trzymając się mocno poręczy, ale już na drugim stopniu poślizgnęłam się mocno i byłabym spadła z pewnością, gdyby nie to, że szłam bardzo powoli. Na następnych schodach to samo.

Zaniepokojona, schyliłam się prędko i powiodłam ręką po płaszczyźnie najbliższych stopni. Na wszystkich wyczułam przeciągnięte w poprzek oślizgłe wilgocią sznury. Schody są nieoświetlone i gdybym rano zwykłym krokiem wyszła

ze swego pokoju, bez wątpienia spadłabym na dół jak Sara... Własnymi rękami przygotowała tę zasadzkę i mogła być pewna wygranej! Rozumiem teraz, dlaczego słyszałam te dziwne, suche odgłosy w dość znacznych odstępach. Dużo trudu kosztować ją musiało przymocowanie na każdym schodku sznura, i to po ciemku. Przeraziła się widać, ujrzawszy mnie niespodziewanie, straciła równowagę, poślizgnęła się i padła ofiarą własnej nikczemności. Mogłam się przecież zabić. Stałam ciągle na tym samym stopniu, konwulsyjnie ściskając poręcz, oszłamiona, przybita tym strasznym odkryciem... Wtem głośny jęk dobiegł moich uszu, potem splątane, niewyraźne słowa i znów jęk...

Nie miałam już litości dla niej, ale jakaś moc, silniejsza ode mnie, kazała mi zejść na dół... Sara źle zrobiła, ale teraz cierpi...

23

Na ostatnim stopniu były porwane kawałki sznurka, a parę kroków dalej, w kałuży krwi, leżała bezwładnie Sara. Błada, cierpieniem ściągnięta twarz rysowała się wyraźnie na ciemnym tle schodów, oczy miała szeroko otwarte, wzrok błędny, jęczała. Pochyliłam się i lekko dotknęłam jej czoła. Syknęła z bólu. Nie poznała mnie jednak.

Łoskot spadającego ciała rozległ się widać donośnie, bo pobudził wszystkich. Na korytarz wybiegła przerażona Jane, a chwilę później kucharka, stara, doświadczona kobieta, która mogła być użyteczna. Uważałam, że trzeba jednak posłać po doktora. Bez względu na późną porę wyprawiałam Jane na wieś po Sama. Miała mu powiedzieć, żeby jak najprędzej dał znać do Beaconsburghu. W tym czasie kucharka opatrzyła jako tako Sarę, zatamowała krew płynącą z rany z tyłu głowy i położyła zimne okłady na ręce utrzymując, że są zapewne połamane, gdyż chora jęczy za najlżejszym ich dotknięciem. Zeszłam na dół i po chwili wróciłam z flaszką brandy. Łyżką próbowałyśmy wlać w usta Sary kilka kropel, lecz nadaremnie: żadna z nas nie śmiała przemocą rozewrzeć zaciśniętych zębów. Narzuciłam cieplejszy kaftanik i usiadłam przy rannej. Słabe, migotliwe światło świecy rzucało żółte plamy na jej twarz, włosy miała w nieładzie, z daleka wyglądała jak martwa. Kucharka co chwilę zwilżała okłady.

Po jakimś czasie Sara z westchnieniem otworzyła oczy... Żyje!...

Czułam się okropnie wśród krwi i jęków wydobywających się bez przerwy z zsiniałych ust rannej. Nie miałam nadziei, że doczeka przybycia doktora. Obie z kucharką wstrzymywałyśmy oddech, kiedy ranna przestawała jęczeć. Myślałyśmy, że to już koniec. Ciężko ukarał ją Pan Bóg; krew mi krzepła w żyłach na myśl, że to dla mnie przeznaczone były te cierpienia. Nagle jęki ustały, Sara zaczęła dyszeć ciężko, potem umilkła. Krew wystąpiła jej na usta. Zbliżyłam się pewna, że nadeszła ostatnia chwila. Wtem przy frontowej bramie zadźwięczał donośnie dzwonek. Usłyszałam lekkie kroki Jane, później głosy na dole, w przedpokoju, i poznałam ciężki chód doktora.

Doktor Lowe wszedł na korytarz, Jane za nim ze świecą. Zażądał mocniejszego światła. Dziewczyna przyniosła dużą lampę, ale tak się trzęsła, że stary lekarz kazał jej się natychmiast wynosić. Przez chwilę z uwagą wpatrywał się we mnie, zapytał, czy nie lękam się być przy opatunku, ale odpowiedziałam spokojnie, że potrafię w potrzebie opanować się. Poprosił mnie o przytrzymanie lampy. Zgodziłam się. Odwróciłam jednak głowę, starałam się myśleć o czym innym, aby nie słyszeć krzyku i strasznych jęków Sary. Chwilami czułam, że robi mi się słabo. Po szczegółowych oględzinach doktor oznajmił sucho, że Sara jest silnie potłuczona, prawą rękę ma złamaną i kto wie, czy kość pacierzowa nie została nadwyrężona. Potem zabrał się do opatrzenia rannej. Obciął jej czarne, przepyszne włosy i ostrożnie zabandażował okrwawioną głowę, mówiąc przy tym, że obawia się zapalenia mózgu, i nastawił złamaną rękę, którą włożył w twarde łupki. Wtedy zawołałam Jane i kazałam jej przynieść materajC. Doktor ułożył na nim chorą. Zanieśliśmy ją powoli do pokoju przy kuchni i położyliśmy na czysto posłane łóżko. Sara jęczała ciągle, ale ciszej, mniej może boleśnie niż przed opatrunkiem, na twarz wystąpiły jej czerwone plamy.

— Kto będzie pilnował chorej? — zapytał doktor Lowe szorstkim tonem.

— Ja mogę — odezwałam się nieśmiało — jeżeli...

— Jeżeli co? — przerwał stary lekarz.

Dałam mu znak oczyma i usunęliśmy się na bok.

— Czy pan nie sądzi, że widok osoby przez nią nie cierpianej wpłynie ujemnie na jej stan? — szepnęłam zmieszana.

Popatrzył na mnie przyjaźnie i odparł po chwili namysłu.

— Nie. Wątpię zresztą, żeby odzyskała przytomność, uprzedzam jednak panią, że nie będzie spała i może majaczyć. W jakich okolicznościach nastąpił wypadek?

— Spadła ze schodów — rzekłam krótko.

— Ze schodów prowadzących do pokoju pani, nieprawdaż? — powiedział dziwnym głosem. — Jakim sposobem znalazła się tam o tej godzinie? Co robiła? Niechże pani powie mi całą prawdę. Będę milczał, jeżeli potrzeba, ale wolalabym wiedzieć, co mam myśleć o tym — dodał, przesuwając dłonią po czole.

Po krótkim wahaniu wyznałam mu wszystko.

— Czy pani nie ma zamiaru wyjechać stąd po tym wypadku?

— I tak już będę tu bardzo niedługo — odparłam cicho, uśmiechając się na myśli o Jerzym.

— Myśli pani o ślubie z tym szaleńcem? — spytał szostko.

— Tak.

— Otwarcie powiadam pani, że nie wziąłbym żony z tego domu.

— Dlatego pan został starym kawalerem — odrzekłam śmiało. — Gdyby pan myślał więcej o swej przyszłej żonie niż o miejscu, w którym przebywa w danej chwili, postąpiłby pan z pewnością tak jak Jerzy.

— Ależ ma pani jęczyczek! — odezwał się wesoło doktor. — Żal mi serdecznie Jerzego i powiem mu to, gdy wróci — dodał żartobliwie.

Potem spoważniał i spytał o Haide, ale nie mogłam żadną miarą poprosić go na górę, dopóki nie uprzątnie się śladów pracy zbrodniczej ręki Sary. Zobaczy ją przecież jutro, a jest stanowczo lepiej. Stary lekarz dał mi jeszcze wskazówki co do postępowania i pielęgnowania chorej i odjechał, pożegnawszy mnie serdecznym uściskiem ręki.

W pokoiku Sary w kominku palił się jasny ogień, służąca bardzo dbała o swoje wygody. Przysunęłam krzesło do rozgrzanych krutek i usiadłam, gotowa czuwać przy niej aż do rana. Potem miała mnie zastąpić kucharka. Sara czas jakiś leżała spokojnie, potem jęknęła głośniejsze, zaczęła się rzucać, poruszać rękami, głową, a za każdym ruchem z ust jej wydobywały się coraz okropniejsze jęki, słowa bez związku, syk bólu. Po jakimś czasie ucichła. Myślałam, że zasypia. Nagle chora poruszyła się gwałtownie, z ust wydobywał się raz po raz krótki, chrapliwy okrzyk: „Jim! Jimie!” Zerwałam się z krzesła.

Wielkie, czarne, błyszczące gorączką oczy spotkały mój przerażony wzrok. Serce zaczęło mi bić prędko, trwożnie, wydawało mi się, że spojrzenie Sary jest przytomne. Ale rozszerzone źrenice patrzyły nieruchomo w przestrzeń.

— Jim! — powtórzyła głośniejsze. — Są na twoim śladzie. Musisz się ukryć. Idź na stare miejsce. Załatwię się z nimi sama, a potem ciebie ostrzeżę

— mówiła nieprzytomnie.

Dalej znów wydobywały się słowa bez związku i jęki.

— Nie narażaj się — szepnęła wyraźniej chora po chwili — nie rób tego, zgubisz mnie i siebie! Jim! Słyszysz? Ach, dobrze już, tylko nie bij!

Umilkła.

— Głupstwo chcesz zrobić, szaleńcze! — wybuchnęła namiętnie. — James Woodfall! Opamiętaj się, wariacie! Co tobie po takiej żonie!? Pieniędzy nie ma, twarz ładna, ale spojrzenie szalonej! Za stara ci jestem? Dwadzieścia pięć lat, to niewiele. Chuda ci jestem, chuda? nie bój się robaczku, to ci nie zaszkodzi! Ożeń się ze mną! — dodała z rozpaczą.

Zaczęła mi wygrażać pięścią, widocznie biorąc mnie za niewiernego kochanka, potem obrzuciła gradem słów najobelżywszych, zagadkowych próśb i jęków. Ten Jim, czy James Woodfall rysował się w majakach Sary ciemną plamą, ciążyły na nim jakieś wykroczenia przeciw prawu, brudne sprawy, zaoczne wyroki — i zawsze wszystko kończyło się dla niego dobrze dzięki troskliwości Sary. Zdaje się, że odgadłam źródło jej dochodów.

— Nie porywaj się na to, Jim! Myśl o dziecku! — błagała dalej nieprzytomnie Sara. — Oni nie darują teraz! Zabiją cię! Śledzą dawno. Jim! Usłuchaj! Tyle jest sposobów łatwiejszego zysku.

Zrobiło mi się straszno. Co ta kobieta opowiada? Komu?!

— Umarli nie mówią, Jim — zasyczała głucho. — Zrobić bezpiecznie i łatwo. On jest niedołączny, stary, dotłuczysz go ręką... i po wszystkim — szepnęła złowrogo. — Potrafisz gorsze rzeczy. Po co ma cię prześladować!? Czy chcesz żyć spokojnie?

Zdrętwiałam, zimne krople potu wystąpiły mi na czoło. Z trudnością zmusiłam się do dalszego czuwania. Szatan zbrodni w tej kobiecie! Zdawało mi się, że widzę trupią, siną głowę zamordowanego, zdawało mi się, że krwawe, mordercze błyski sypią się z oczu Sary. Drżałam, zwilżając jej usta i dotykając splamionego czoła. Po jakimś czasie uspokoiła się, mruzczała tylko od czasu do czasu niezrozumiałe, dziwaczne słowa, wymieniała nazwiska, których nigdy nie słyszałam z jej ust. Ani słowa o Alders, o Tomie,

o tutejszych mieszkańcach...

— Jim szaleje za tą smarkatą Christie — wyszeptała rozpaczliwie — powiada, że się z nią ożeni, choćby miał nas wszystkich pozabijać — dorzuciła z nienawiścią.

Najwidoczniej miesza się jej wszystko w głowie! Skąd połączenie mojego imienia z imieniem jej kochanka-złodzieja! I nagle stanęła mi w myśli rozmowa Sary z tajemniczym gościem pana Rayneza, a potem służącym pana Carruthersa,

podśluchana w moim gniazdku. Skarżyła się temu panu na kogoś, kogo nazywała Jimem! Czyżby to ten właśnie? Dlaczego nie widziałam go tu nigdy? Wywnioskowałam wtedy, że zapewne zazdrosna jest

o Toma Parkesa i że mścić się będzie na Jane. Tymczasem młoda dziewczyna do dnia dzisiejszego żyje z nią w pozornej zgodzie, a cała nienawiść Sary zwróciła się ku mnie! Teraz w gorączce przywidziało jej się, że ów Jim chce się ze mną ożenić! Nie wiem nawet kim jest. Jim? Też pomyśl!!

— Wyborna myśl, Tomie! — odezwała się chrapliwie chora — Jim mógłby tego pozazdrościć. Woda już jest w piwnicy, ale nie uszkodzi z pewnością ani klejnotów, ani sreber. Chodź, zobacz.

Czyżby mów'iała teraz o przedwczorajszej kradzieży w pałacu? O Denham Court? Wstrzymałam oddech, bojąc się uronić choćby jednego słowa.

— Tomie! — krzyknęła z przerażeniem Sara. — Ta smarkata domyśla się czegoś! Jim się nią bawi i nie chce mnie słuchać! Jeżeli nie zrobię tego, to go doprowadzi do szaleństwa i ruiny!

Znowu mnie łączy z tym przeklętym Jimem! Co to znaczy? Siedziałam na krześle bez ruchu, chłonąc po prostu te dziwne zwierzenia, półmartwa z obawy. Chwilami miałam wrażenie, że jestem świadkiem spowiedzi zbrodniarki... Oczy Sary gorzały ponurym płomieniem, działały na mnie jak magnes. Wstałam i prawie bezwiednie zbliżyłam się do łóżka.

— Strzeż się, Jim — szepnęła nagle z przestraszeniem. — Szalony jesteś! Po co się narażasz? Mogą cię poznać! I oni mają teraz lepszych ludzi. Co będzie, jeżeli się okaże, że fałszerz James Woodfall i słynny złodziej brylantów...

Wstrzymując oddech, czekałam na drugie nazwisko, gdy wtem drzwi skrzypnęły głośno. Chora krzyknęła przerażona: — Idą już!

Odwróciłam głowę. Na progu stała zaspana kucharka, przyszła mnie zwolnić. Ale nie miałam siły się poruszyć. Ostatnie wrażenia wstrząsnęły zbyt silnie moimi nerwami... zemdlałam.

Przytomność odzyskałam dopiero na górze. Leżałam na łóżku, Jane stała nade mną z wyrazem trwogi. Uśmiechnęłam się do niej i skinieniem ręki poprosiłam, by odeszła. Pokój zaległa cisza i wkrótce zasnąłam.

Obudziłam się przed południem z silnym bólem głowy. Haide już nie spała, wpatrywała się we mnie rozszerzonymi z przestraszenia oczyma. Biedactwo zlekło się hałasu, którego narobiłam, chcąc przestraszyć Sarę, potem jej krzykiem. Podobno całą noc nie mogła zasnąć. Zaczęłam ją uspokajać, opowiedziałam wszystko w trochę innym świetle i udało mi się w końcu odwrócić jej myśli od

tego wypadku. Ucałowałam ją i zesłam na dół, drżąc na wspomnienie nocnych wydarzeń. Jane uprzątnęła już schody, nie dostrzegłam nigdzie śladu zbrodniczej pracy Sary.

Wkrótce nadjechał doktor. Raz jeszcze zbadał ranę, zmienił opatrunek na głowie, poprawił bandażę na rękach. Gdy skończył, oznajmił, że Sara ma zapalenie mózgu i stan jej wymaga ciągłej opieki kogoś doświadczonego. Uważa za konieczne sprowadzenie opiekunki ze szpitala. Gdy odjechał, zatelegrafowałam natychmiast do pana Rayneza, poinformowałam go o wypadku (bez wymieniania naturalnie przyczyn, które go wywołały) i o zaleceniach doktora. Po południu nadeszła odpowiedź:

Zmartwiony wypadkiem. Dać Sarze wygody. Osobę odpowiednią wyprawilem. Na stację konie.

I rzeczywiście, wieczorem pociągiem przyjechała milcząca kobieta w średnim wieku o nieprzyjemnym spojrzeniu i niezręcznych ruchach. Nie podobała mi się.

Haide znów zaczęła gorączkować, zapewne z powodu mocnego przestrawienia, i nie pozwoliłam jej zejść na dół. Ubrałam ją, otuliłam ciepło i usadowiłam wygodnie w wielkim fotelu przy wesoło płonącym ogniu. Zabawiałam opowiadaniem śmiesznych historyjek prawie do obiadu. Była taka blada i mizerna, że nie miałam serca zostawić jej samej. Gdy chciałam zejść na obiad, usłyszałam na schodach lekkie kroki. Zbladłam. Po chwili zapukano do drzwi i do pokoju weszła pani Raynez. Haide wydała radosny okrzyk i wyciągnęła chude rączyny do matki. Usunęłam się w milczeniu na bok. Przerazona byłam wyglądem mojej pani. Na blade, wychudłe policzki rzęsy kładły sine cienie, wielkie oczy były wpadnięte głęboko, okolone niebieską obwódka wargi były prawie białe, twarz wyzółkła. Trudno uwierzyć, że to żywa kobieta. Gaśnie w oczach — pomyślałam.

Potem pani Raynez serdecznie zwróciła się do mnie, zadała mi kilka pytań, dotyczących dziecka.

— Dowiedziałam się, że Sara jest chora — powiedziała nagle ciszej, przytłumionym głosem — Sama zrobiłam sobie śniadanie. Spodziewam się, że jej lepiej? — dodała drżąc.

Spojrzałam na bladą twarz i zamglone bezgranicznym smutkiem oczy pani Raynez i uczułam litość dla tej nieszczęśliwej. Teraz rozumiem, czemu nie odwiedzała przedtem Haide. Bała się nienawistnego wzroku tej czarownicy. Biedactwo! Przykro mi, że stałam się pośrednio przyczyną cierpienia Sary, nie mogę jednak przełamać wstrętu, jaki mi sprawia jej widok. Jestem stale pod wrażeniem

jej zagadkowych majaczeń, zbyt jasno teraz rysuje się w mej myśli czarna dusza Sary — okrutna, mściwa, bez sumienia, zbrodnicza — nie mam dla niej litości.

Zadźwięczał dzwonek na obiad. Zeszłam od razu do jadalni, chcąc choć na kilka minut zostawić matkę samą z dzieckiem. U stóp schodów, wiodących do mojej wieżyczki, spostrzegłam na macie, która miała zakrywać krwawą plamę, umorusaną Mone, bawiącą się pękiem kluczy. Zbliżyłam się zaciekawiona, poznałam gospodarskie klucze, które Sara zawsze nosiła przy sobie. Odebrałam je małej. Nie obeszło się bez tupania i krzyku, uważałam jednak, że u mnie będą o wiele bezpieczniejsze, niż w jej rękach. Nie widziałam Mony już dość długo. Dziewczynka jadała z niańką w dzieciennym pokoju, odkąd wyjechał pan Raynez, a pani zachorowała.

Kiedy zamyślona obracałam w ręku wielkie, dziwnych kształtów klucze, wyobraziłam sobie, jakimi oczami spojrzałaby na mnie Sara, gdyby zobaczyła, że je trzymam w ręku.

Przydały mi się bardzo. Po południu przybiegła do mnie zakłopotana Jane i powiedziała, że pani Sannders, opiekunka ze szpitala, nie chce pić zwyczajnego piwa i prosi o lepsze.

— Kucharka pyta — trzepała dalej dziewczyna — co ma robić? Jest okropnie zła.

— Czy wiesz, gdzie przechowują lepsze piwo? — zapytałam.

— W piwnicy — odparła spokojnie — ale klucze od niej są u pana Rayneza. Wiem jednak, że jest zapas w zamkniętej spiżarni, od której klucze miała Sara.

— W lewym skrzydle?

— Tak, proszę pani.

— To dobrze. Znalazłam klucze Sary — odezwałam się z uśmiechem

— zobaczę, czy jest piwo w spiżarni.

Wprawdzie byłam bardzo znużona, ale nie chciałam zniechęcić pani Sann- ders. Samej Jane posyłać też nie chciałam. Poszłam więc sama, choć niechętnie.

— Ach, jak to dobrze, proszę pani — mówiła dziewczyna z radością.

— Może pani wyda nam także trochę świec i cukru. Są z pewnością, bo Sara przyniosła to wszystko z Beaconsburgh przedwczoraj.

Skinęłam głową, zabrałam lichtarz i zapalki i skierowałam się do tej części domu, którą zamieszkiwała pani Raynez. Z trudnością uchyliłam ciężkie dębowe drzwi i stanęłam na progu tajemniczego przybytku. Dreszcz chłodu wstrząsnął mną, gdy zatrzasnęły się okute podwoje. Najlepszy dowód, że jestem zdenerwo- wana, drobnostka przejmuje mnie strachem. Pierwsze drzwi na prawo, powie-

działa Jane odchodząc. Drżącą ręką przekreśliłam klucz i z zapaloną świecą weszłam do spiżarni. Zimno i wilgoć wionęły na mnie z ciemnej głębi. Zatrzymałam się na progu i powiodłam dokoła niepewnym wzrokiem. Przy ścianach szeregiem ciągnęły się półki, szafy i kredensy, leżały sery, masło, jaja i inne prowianty, na środku piętrzył się stos desek, haków, pudełek i koszy. Nikt z domowników nie miał prawa wstępu do tego przybytku, tylko Sara. Ja pierwsza odważyłam się wejść w jej prawa. Czy daruje mi to ta mściwa kobieta? Febryczny dreszcz wstrząsnął mną — trzeba uciekać z wilgotnego „sklepu”. Otworzyłam jedną z szaf, żeby poszukać świec i cukru. Na półkach stały rzędy słoje z powidłami, konfiturami, marynowanymi grzybami, kompotami, korniszonami i inne specjały — świec i cukru ani śladu. Przeszłam do dalszej szafy, a potem już z rezygnacją kolejno otwierałam wszystkie... nadaremnie. Jedzenia wszędzie pełno, nigdzie nie ma cukru i świec.

Nagle spostrzegłam czarną skrzynkę na podłodze. Tę właśnie niosła do Beaconsburgh Sara, widocznie nie zdążyła wyjąć z niej zakupów. Schyliłam się prędko, aby ją otworzyć i zabrać potrzebne przedmioty, kiedy

— trochę z boku, prawie tuż przy ścianie zobaczyłam niewielki, ciemny pierścień, skryty do połowy w pyle i kurzu. W innych okolicznościach z pewnością nie zwróciłabym na to najmniejszej uwagi, teraz ciekawość moja była pobudzona, więc nie namyślając się wcale, chwyciłam za kółko. Poślizgnęłam się i upadłam na kolana. Pierścień był przytwierdzony do paru desek podłogi i pociągnięty odchylił je, ukazując ciemny otwór. O mało nie wpadłam do piwnicy przez swoją nieostrożność, gdyż deski przystawały szczelnie i w położeniu normalnym nie zdradzały śladów sztucznego spojenia.

Stałam z przeciwnej strony i zaczęłam ciągnąć za kółko z całej siły. Ręce mi drżały ze strachu, a przecież za nic w świecie nie chciałam zrezygnować ze zbadania nowej tajemnicy. Bo tajemnicą jest owa niedostrzegalna na razie piwnica, podobnie jak tyle innych rzeczy w Alders. Powoli uniosłam klapę i oparłam ją mocno o stos desek. Przez kilka minut nie mogłam się odważyć zajrzeć w ciemną głębię.

Przesiąkłe wilgocią, zgnilizną powietrze buchnęło z otworu i wstrząsnęło mną. Uklękałam ostrożnie w pobliżu czarnej jamy i pochyliłam w jej kierunku świecę. W dół biegły wąskie jak drabina schodki. Zajrzałam głębiej. Dalsze stopnie były porośnięte zieloną pleśnią, a jeszcze niższe były w wodzie. Nagle zdrżałam: przypomniałam sobie nieprzytomne słowa Sary: „w piwnicy jest woda”. Obejrzałam się za kawałkiem drąga albo kija, żeby zmierzyć głębokość wody.

Postanowiłam zejść i zbadać tę piwnicę. Znalazłam jakiś drążek od starej rolety, podniosłam wysoko suknię i zaczęłam schodzić ze świecą w rękę. Namacałam kijem dno piwnicy— twarde, ceglane zapewne, woda dosyć płytka.

Na czwartym stopniu przystanęłam. Zobaczyłam obszerne lochy, do połowy zajęte przez ogromne, puste kadzie, zapewne po winie, czarne, oślizgłe od wody i pleśni, spróchniałe. Ze ścian ściekała woda z monotonnym pluskiem. Okrywały je zielone mchy i ciemne plamy. Z sufitu aż do ziemi był pas pleśni i porostów, zwilżany ciągle wypływającą ze szczeliny przy pułapie wodą. W ciszy wyraźnie słychać było szelest spadających kropel. Nagle ze zgrozą pomyślałam, że tam znajduje się pokój pani Raynez.

Czy ona wie o istnieniu tego lochu? Czy wie, czego dotyka stopami? Woda zalewa dno przynajmniej na dwa łokcie. Zawróciłam, chcąc wracać, gdy nagle zauważyłam jakiś tajemniczy przedmiot. Wsunęłam drążek przez jeden z otworów i namacałam wkrótce coś miękkiego, co ugięło się pod dotknięciem kija. Chwyciłam się schodków lewą ręką i ostrożnie wychyliłam głowę. Pod schodami stał duży stół, całkowicie prawie zalany wodą, ciemny blat wystawał zaledwie na parę cali. Na nim stała owa brązowa walizka, z którą Tom Parkes skradał się przez trawnik, ta sama, którą spostrzegłam później w korytarzu. W tej chwili przypomniałam sobie, gdzie widziałam ją przedtem. Tak. Nie mylę się z pewnością. Stała na korytarzu pierwszego piętra w Denham Court, w pałacu. Wątpliwość rozstrzygnął stary, na wpół zatarty stempel włoski. „Torino”, tak — pamiętam go dobrze.

Nerwowe drżenie wstrząsało mną raz po raz. Opanowała mnie przemożna chęć, aby unieść wieko walizki i zajrzeć do wnętrza. Wyciągnęłam rękę i po chwili dosięgłam zwisającego, zerwanego ucha. Otworzyłam walizkę i oczom moim ukazał się stos złotych drobnostek i cacek. Zaczęłam je przerzucać gorączkowo, szukając śladu kradzieży w pałacu. Wtem jakiś klejnot błysnął w świetle świecy i po chwili w mojej drżącej dłoni znalazła się kosztowna bransoleta. Poznałam od razu własność lady Mills. Rzuciłam ją natychmiast z powrotem, zatrzasnęłam wieko i zapragnęłam uciec jak , najdalej z tego przybytku kradzieży i zbrodni...

Czułam mętlik w głowie, w oczach mi pociemniało. Zachwiałam się i cudem nie wpadłam do wody. Ale z rąk wypadła mi świeca. Po chwili usłyszałam plusk, krótkie syknięcie i — otoczyła mnie ciemność...

Krzyknęłam. A potem, czepiając się schodów, zrobiłam kilka rozpaczliwych kroków. W końcu znalazłam się w spiżarni, oblana ze strachu zimnym potem. Tutaj panował półmrok, gdyż małe, zakratowane okienko skąpo przepuszczało światło. Odetchnęłam, okrążyłam ostrożnie czerniący otwór i pchnęłam mocno wąskie wieko. Zapadło się z trzaskiem, obłok pyłu uniósł się z podłogi i szarą warstwą obsypał żelazny pierścień i szczelinę. Złodziejska kryjówka stała się znów niewidzialna. Wtedy zwróciłam się w kierunku wyjścia, skakałam przez deski, żelastwa i kosze, rozdarłam suknię o wystający gwóźdź i w końcu dopadłam drzwi. Nacisnęłam klamkę i znalazłam się w korytarzu. Głębokie westchnienie ulgi wyrwało mi się z piersi i krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach. Sięgnęłam do kieszeni po klucze. Długo majstrowałam przy zamku, zanim trafiłam na właściwy i zamknęłam nim drzwi drżącą ręką. Potem co siłą zaczęłam uciekać przez ciemny, ponury korytarz, z wysiłkiem pchnęłam ciężkie, okute drzwi i znalazłam się w widnym, czystym pasażu.

Rzuciłam się, jeszcze drżąc, na pierwsze napotkane krzesło i ukryłam twarz w dłoniach. Nie miałam siły myśleć o strasznym odkryciu, ani iść teraz najgorę i uśmiechać się spokojnie do Haide. Gdy po długiej chwili odjęłam ręce od czoła, na stoliku pod lustrem spostrzegłam kopertę. *Panna Christie w Alders* — widniało wielkimi literami na kopercie. Poznałam pismo pani Manners. Otworzyłam kopertę drżącymi rękami, ze środka wypadła druga z zagranicznym znaczkiem i kartka od pocziwej żony pastora, w której mi donosiła, że odebrała list dzisiaj rano w Beaconsburgh. Przycisnęłam list Jerzego do ust. Potem rozerwałam kopertę i zaczęłam czytać.

Nizza, piątek.

Jedyna moja, słodka Violet — czytałam z zapartym oddechem. — *Miałem nadzieję, że już zastanę list od ciebie. Ja wiem, że to nie Twoja wina. Uzbrajam się teraz w cierpliwość, czekać będę spokojnie choćby cały tydzień, bo wierzę Ci bez granic. Nic już nie zachwieje mego zaufania. Czy wiesz, że już stoczyłem wojnę z Matką i odniosłem zwycięstwo! Tak, najdroższa. Tylko odbyło się to trochę inaczej, niż planowałem. Postanowiłem jeszcze przed wyjazdem, że oznajmię Jej spokojnie i ogłędnie o naszym małżeństwie, ale sama przyspieszy-*

ła, a raczej wywołała to wyznanie. Zatrzymaliśmy się wczoraj na noc w Paryżu. Zasiadłem naturalnie do napisania kilku słów do Ciebie. Napisałem Ci o naszej podróży okrętem, monotonnych widokach i drobnych przygodach w pociągu, że przez cały czas mam Twój obraz w oczach. Strasznie dużo czasu minęło od wtorku, nieprawdaż? Zostawiłem list do Ciebie już zaadresowany na biurku i drugą kopertę, w którą go następnie miałem włożyć i wyszedłem zamówić kolację. Gdy wróciłem do mojego pokoju, zastałem tam Matkę czytającą mój list. Na ziemi leżała rozdarta koperta. Drżącym głosem poprosiłem o oddanie mi go, ale Matka rzuciła list z zimną krwią w ogień, dodając kilka zagadkowych słów o twojej przeszłości. Uniosłem się strasznym gniewem, powiedziałem, że zabraniam mówić w ten sposób o mojej przyszłej żonie. Wtedy Matka wstała i oświadczyła mi, że moją żoną będzie panna Langham.

Chciałem wybuchnąć, ale w porę przyszło mi na myśl, że więcej zyskam spokojem. Powiedziałem Matce, że ma złe informacje, że Jej synową będziesz Ty, najpiękniejsza i najlepsza panna w hrabstwie Norfolk. Jeżeli zaś życzy sobie koniecznie panny Langham, za synową może ją mieć. Ma przecież jeszcze drugiego syna, Jacka, niech się z nią żeni, może na niego poczeka.

Podobno mnóstwo głupstw naplotłem wtedy, ale Matka była jak ogłuszona i nawet się nie sprzeciwiała. Jestem teraz dla niej bardzo dobry, daję się ugniatać jak wosk, spełniam wszystkie jej zachcianki. Ciągle jednak pamięta, że sprawiłem jej zawód, prawi mi kazania o zaślepionych, nieposłusznych synach. Wiem doskonale, że owa, podróż dla poratowania zdrowia” jest tylko zręcznym wybiegiem z jej strony, właściwie nawet spiskiem, ponieważ stała się za sprawą dwóch osób, żeby mnie od Ciebie oddalić. Matka wymogła na mnie przyrzeczenie, że będę towarzyszył jej przez dwa miesiące... Przez dwa miesiące, czy Ty rozumiesz to, Violet!?!...

Żyję tu jak w gorączce, umieram z niepokoju o Ciebie!... Nie chcę Cię trwożyć, najdroższa, nieokreślonymi podejrzeniami, które mnie dręczą. Błagam Cię jednak na klęczkach o informowanie mnie o wszystkim, cokolwiek zdarzy się w Alders. I modlę się, żeby Bóg zlitował się nad Tobą! Jedną jeszcze mam do Ciebie prośbę. Listów swoich nie odsyłaj na pocztę przez nikogo, nie wrzucaj ich nawet sama, oddawaj je Alicji, ona będzie mi je przysyłać. Posłuchaj mnie, moja kochana. Poproś panią Manners, ażeby pod jakimś pretekstem wysłała Cię do Geldham Hall w niedzielę, tam w szkole zastaniesz Alicję. Powiedz mojej młodszej siostrze, niech pamięta o przyrzeczeniu, które mi dała na odjeźdźnym w bibliotece, a ja nie zapomnę o swoim.

List mój trzymaj przy sobie, albo spal. Niczyje oczy prócz Twoich nie powinny go czytać. Tak mi okrutnie tęskno, tak pragnąłbym mieć Cię koło siebie, czuć, jak Twoje ramiona oplatają mi szyję... Chwilami zdaje mi się, że tu nie wytrzymam. Pisz, moja najdroższa, pisz często! Do zobaczenia, kochanie Ty moje. Bądź zdrowa! Da Bóg, że wrócę niedługo, a wtedy już będziesz moja na zawsze.

Twój na zawsze Jerzy

Czytałam ten list wiele razy, był to pierwszy list, który dostałam od narzeczonego. Byłam szczęśliwa, serce biło mi radośnie. Całowałam drobne pismo z uniesieniem, wreszcie wsunęłam kopertę za stanik i zdawało mi się, że tam ten bezcenny skarb jest bezpieczny. Potem z jasną twarzą weszłam do jadalni. Wyjęłam list znowu i po raz setny może przycisnęłam do ust... Nagle z łoskotem opadła żelazna sztaba przytrzymująca okiennice. Przestraszona szybko ukryłam swój skarb w kieszeni i przerażona patrzyłam na odchylającą się zwolna okiennicę. Otworzyła się w końcu prawie bez hałasu i w oknie ukazała się postać mężczyzny. Podbiegłam ku niemu, drżąc z lęku i obawy.

— Jakże mnie pan przestraszył, panie Raynez! — zawołałam łamiącym się głosem. — Myślałam, że to złodziej!

— Biedna, kochana panna Christie — odparł ze szczerym współczuciem. — Mam ten zwyczaj „spadania” niby z nieba pamiętając, że pańskie oko konia tuczy. Ale nigdy nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział, że przestraszę panią. Myślałem, że czas swój dzieli pani miłosiernie między obie chore. Jakże się pani miewa, drogie dziecko?!

Byłam tak uradowana powrotem pana Rayneza i przekonana, że obecnością swą ukróci wszystkie nadużycia, że bezwiednie ścisnęłam jego dłonie. Był w wybornym humorze. Oznajmił, że nigdy mnie już nie zostawi w Alders samej, że towarzyszyć będę mu zawsze i wszędzie. Roześmiałam się wesoło.

— Co też pan mówi? — rzekłam. — Nie wiem, jakby tu teraz dali sobie beze mnie radę. Haide chora, potem ten wypadek z Sarą. Pani Raynez też nie jest zdrowa. Byłam zmuszona nawet trochę tu porządzić. Obawiam się tylko, czy nie będzie się pan o co gniewał...

— Niech pani będzie spokojna — powiedział z naciskiem, wyjmując wędlinę z kredensu. (W Alders nie było zwyczaju podawania gorącej kolacji, ale na bufecie stała zawsze świeża wędlina, ciastka i inne przekąski). — Wszystko, co pani robi, jest bezwzględnie dobre. Jakże zdrowie żony?

Odrzekłam mu nieśmiało, że przez kilka dni czuła się bardzo osłabiona - i

nawet nie przychodziła do jadalni, ale teraz jest znacznie lepiej i dziś przenosi się na piętro.

— Dziś? — zapytał zmienionym głosem.

— Tak — wyszeptałam zmieszana. — Tyle ją kosztowały owe przenosiny, tak nad tym cierpiała, że odważyłam się wziąć na swoją odpowiedzialność jednodniowe opóźnienie przeprowadzki. Czy może źle zrobiłam? — zapytałam nieśmiało.

— Ależ nie, cóż znowu! — odparł z uśmiechem. — Dałem przecież pani zupełną swobodę.

— Dziękuję serdecznie za wyrozumiałość — szepnęłam jeszcze ciszej.

— Kazałam także przenieść łóżeczko Haide do siebie, na górę. Pokoik, w którym ona sypia, jest trochę wilgotny, bałam się, że jej to zaszkodzi. Posyłałam dwa razy po doktora Lowe. Czy dobrze? Słyszałam, że to najlepszy lekarz w Beaconsburgh.

Ostatnie słowa wymówiłam niepewnym tonem, gdyż wiem, że pan Raynez bardzo nie lubi doktora. Ale był w świetnym humorze i zgadzał się na wszystko.

— Wszystko, co pani zrobiła, jest dobre — powtórzył. — W moich oczach przynajmniej. I zawsze tak będzie. Nie lękaj się mego gniewu, drogie dziecko, nie zwróci się on nigdy przeciw tobie. Czy są jeszcze jakieś nowiny?

— dodał obojętnie. — Chciałbym także dowiedzieć się trochę szczegółów o wypadku Sary. Czy bardzo przeraziła panią kradzież w pałacu?

— Mam tyle panu do powiedzenia — powiedziałam nieśmiało. — Pragnęłabym zrobić to jutro. Moje wiadomości są złe, smutne, straszne. Nie chcę zatruwać panu pierwszego wieczoru. Niemiło jest wracać do domu, zmienionego w szpital — powiedziałam, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Mam nadzieję, że wszystko pod okiem pana pójdzie lepiej.

Pan Raynez roześmiał się głośno, położył lekko swoją rękę na mej dłoni i objął mnie życzliwym, serdecznym spojrzeniem.

— Czy szczerze mówisz, drogie dziecko? — szepnął dziwnie drżącym głosem. — Doprawdy rada pani z mojego powrotu?

— Och tak, bardzo! — przerwałam żywo. — Czułam się bardzo samotna. Pan tylko ożywia to ponure Alders. Kiedy pana nie ma, nikt tu się nie śmieje, nie mówi nawet głośno, domownicy przesuwiają się bez szmeru niby duchy lub zakonnicy! Nikt nie śmie zakłócić ciszy!

— Dziękuję pani, panno Christie — wyszeptał ze wzruszeniem.

— Dawno już nie powitano mnie tak serdecznymi słowami na progu tego

domu.

Długo jeszcze rozmawialiśmy tego wieczora. Musiałam mu opowiedzieć o wypadku Sary, potem on z kolei mówił o swoich przygodach w Londynie, o teatrze, koncertach i najnowszych sztukach, aż powoli zaczęły mi się kleić oczy. Wstałam i uścisnęłam mu dłoń na dobranoc tłumacząc, że nie byłabym w stanie obudzić się jutro o zwykłej godzinie, jeżeli zaraz się nie położę. Skinął mi uprzejmie głową. Poszłam do siebie. Była jedenasta.

Nazajutrz przy śniadaniu rozmawialiśmy o kradzieży w Denham Court. Pan Raynez czytał głośno ciekawe sprawozdania z gazet, potem wyjątek z mego listu, pytał, czy słyszałyśmy jeszcze coś więcej i czy nie obawiałyśmy się napadu na Alders. Opowiedziałam o wszystkim, czego dowiedziałam się od pana Carruthersa. Pomięłam jedynie własne podejrzenia, chciałam się nimi podzielić z panem Raynezem, gdy będziemy sami. Sposobność nadarzyła się wkrótce.

Po śniadaniu przeszłam zaraz do szkolnego pokoju, pragnąc przed porannym nabożeństwem napisać jeszcze list do Jerzego. Za ledwie jednak napisałam *Najdroższy mój Jerzy*, kiedy wszedł pan Raynez i zbliżył się do mojego stolika z poślizgiwym uśmiechem. Spłonęłam rumieńcem i wstałam, wsuwając papier do teczki. Co za nieznośny, niedyskretny człowiek!

— Przeszkadzam pani? — spytał grzecznie.

— Nie, wcale — odparłam, tłumiąc lekkie drżenie głosu. — Robiłam notatkę do jutrzejszej lekcji, ale to nic pilnego.

— Doskonale! — rzekł, uśmiechając się zagadkowo. — Prosiłbym zatem panią o powtórzenie mi wszystkich owych „strasznych” nowin, których mi pani wczoraj powiedzieć nie chciała.

— Te słowa wymknęły mi się nieostrożnie — zaczęłam z wahaniem.

— Wolalabym je teraz cofnąć i sama nie wiem nawet, co mam mówić. Osoba, której dotyczą, jest chora, więc właściwie nie powinnam tego robić, nie jest to czas na wyjaśnienia.

— Zaufaj mi, drogie dziecko — odezwał się pan Raynez z powagą.

— Domyślam się, że chodzi o Sarę. Czy znowu ośmieliła się dokuczyć pani?

— Tak — szepnęłam zmieszana. — ale nie o to mi właściwie chodzi. Gdyby jej wina była tylko taka, to z pewnością nie dowiedziałaby się pan nic ode mnie, dopóki nie wyzdrowieje, ale... Nie czuję teraz do niej żadnej nienawiści... może przypłacić życiem swój postępek... Jednak powinnam panu coś powiedzieć, udzielić informacji o niej. Uważam to za konieczny, przykry obowiązek.

— Przed wszystkim chciałbym usłyszeć, czym Sara obraziła panią

— przerwał pan Raynez stanowczo — i w jakich okolicznościach zaszedł ten wypadek.

— Dręczyła mnie przez cały czas nieobecności pana — odrzekłam z wahaniem. — Skradła mój list ze skrzynki pocztowej, listonosza zbyła zapewne jakimś zręcznym kłamstwem. Dużo mnie kosztowało to zajęcie

— dodałam, blednąc na samo wspomnienie tamtych wydarzeń.

— Kiedy to było? — spytał prędko.

— W środę.

— Niewymownie mi przykro, po prostu wstyd mi za nią. Zauważyłem już dawno, że Sara pani nie lubi, ale tyle lat była u nas, służyła tak wiernie, iż wybaczałem jej wiele. Nie przypuściłbym nigdy, że dopuści się kiedyś takiego czynu. Martwi mnie to.

— Zapomniałam już o tym — odparłam swobodnie, bo żal mi się go zrobiło. — Nie śmiem tylko oskarżać jej dalej, skoro najmniejsze jej przewinienie podyktowało panu tak surowe słowa.

Ale pan Raynez zaczął mi zadawać tak kłopotliwe pytania i rzucać takie domysły, że wolałam w końcu opowiedzieć mu cały wypadek. Słuchał w milczeniu, blady, z brwią ściągniętą. Staralam się mówić oględnie pamiętając, że Sara w tym domu ma liczne zasługi, gdy jednak opowiedziałam, jak odkryłam straszną zasadzkę i cudem prawie nie spadłam ze zdradzieckich schodów, pan Raynez zbladł jak ściana. Wyraz okrucieństwa i nienawiści zmienił mu twarz. Ogarnął mnie lęk, bezwiednie odsunęłam krzesło od niego. Z trudnością mówiłam dalej, wyrazy więzły mi w zaciśniętym gardle. W końcu wyjawiałam wszystkie moje podejrzenia dotyczące Sary i Toma, usiłowałam wykazać, że coś ich łączy z kradzieżą w pałacu. Powiedziałam, że widziałam Toma przemykającego się przez główny trawnik z dużym zawiniątkiem w ręku, potem widziałam go z Sarą. Dodałam jeszcze, że tego samego wieczora widziano dwóch mężczyzn w jednokonnym wózku, jadących cicho w kierunku tylnej bramy, że zauważyłam dużą, brązową walizkę w korytarzu, że widziałam później tę walizkę w piwnicy pod spiżarnią. Było w niej mnóstwo kosztowności, pochodzących niewątpliwie z kradzieży, ponieważ poznałam bransoletę lady Mills, a walizkę także widziałam w Denham Court.

Pan Raynez słuchał z niedowierzaniem.

— To nieprawdopodobne, drogie dziecko! — powiedział stanowczo

— mam nadzieję, że przyszłość wyjaśni tę dziwną zagadkę i zdejmie z niewinnych podejrzenie. Sara może być mściwą, nieokiełznaną, namiętą naturą, ale

wspólniczką złodziei!? Nigdy! Nigdy! Nie uwierzę temu!

Zaczął się przechadzać gorączkowym krokiem po pokoju, wzburzony, z płonieniem w oczach. Zadał mi kilka krótkich pytań co do Sary i pograżył się nagle w zadumie. Głęboka zmarszczka przecięła mu czoło.

— Nie! Nie! Nie śmiałyby uczynić tego! Sara boi się mnie i nie odważyłaby się zrobić z mego domu składu kradzionych rzeczy! Nie wierzę!

— A podczas nieobecności pana?! Może chciała usunąć to wszystko przed pańskim powrotem i gdyby...

— Tom Parkes! — przerwał pan Raynez zamyślony, jakby nie zważając na moje ostatnie słowa. — Miałem do niego wielkie zaufanie! Dziwne! Dziwne!

Zachowanie pana Rayneza zaczynało mnie niepokoić. Przecież nic łatwiejszego, jak wziąć ode mnie klucze, zejść do piwnicy i na własne oczy przekonać się, że mówię prawdę. Nie śmiałam mu jednak podsunąć tej myśli, gdyż byłam prawie pewna, że zażąda mego towarzystwa, a nie chciałam znaleźć się powtórnie w złodziejskiej kryjówce.

Zaległa przykra cisza.

— Niech pani ani słówkiem nikomu nie wspomina o tym — szepnął pan Raynez. — Najpierw sam zbadam tę całą sprawę. Być może, że się okaże, iż tych dwoje to jedynie niewinne narzędzia w ręku jakiegoś wytrawnego łotra. Przekonam się wkrótce, dojdę prawdy. Pani wspomniała, zdaje się, że Tom skradał się z zawiniątkiem, które pani wzięła za walizkę, we wtorek wieczorem? — spytał nagle.

— Tak, panie.

— A kradzież popełniono w środę! — wykrzyknął z rozjaśnioną twarzą.

— Widzi pani — owe stwierdzone podejrzenia już się płaczą! Nie! Stanowczo musimy wstrzymać się z tą sprawą do czasu wyzdrowienia Sary, ona jedna może wyjaśnić niektóre fakty. Odłóżmy więc badania i śledztwo na później, mam nadzieję, że wszystko pójdzie po mej myśli.

Potrząsnął w zamyśleniu głową i zmarszczył brwi. Po chwili jednak twarz mu się wypogodziła, oczy nabrały blasku i miejsce troski zajęła wesołość i spokój.

— Mam dla pani pewną propozycję — zaczął z filuternym uśmiechem.

— Czy zgodziłaby się pani opuścić Alders, kilka tygodni spędzić nad brzegiem Morza Śródziemnego?

Spojrzałam na niego blada ze wzruszenia.

— Patrzy pani na mnie, jakbym był czarnoksiężnikiem, zdolnym skinieniem czarodziejskiej różdżki przenieść panią w mgnieniu oka na odległy kraniec globu

— zadeklamował, śmiejąc się wesoło. — Niestety, tak nie jest. Wypadło tak, że muszę widzieć się koniecznie z administratorem dóbr mojej żony, który przebywa obecnie w Monaco. Jest to, jak pani, wiadomo, w pobliżu Nizzy, gdzie bawi teraz pani Reade z synem. W Londynie otrzymałem od niej kartę z tą wiadomością. Cóż pani na to? — zapytał złośliwie. — Widzę, że mój projekt wcale się pani nie podoba.

Szkoda, myślałem, że zrobię przyjemność pewnym ślicznym oczom.

Gorący rumieniec oblał mi czoło, szyję i policzki. Chaotycznie zaczęłam dziękować mu za dobroć.

— Ponieważ muszę jechać osobiście, więc naturalnie pragnąłem zabrać żonę. Prosiłem ją dziś cały ranek — na próżno. Pobyt nad morzem zrobi doskonale Haide, ona potrzebuje zmiany klimatu, doktor Lowe wspominał pani o tym. Sam z dzieckiem nie dam sobie w żaden sposób rady, więc pani pojedzie z nami — to nie jest wcale dobrodziejstwo.

— Ależ — szepnęłam nieśmiało i urwałam nagle. — To niepodobna.

Nie mogę przecież podróżować z panem po całej Europie, choćby nawet z Haide!

— Niech pani posłucha — przerwał mi z uśmiechem — domyślałem się tych skrupułów. Haide pojedzie z ojcem, z nią panna Christie, pod troskliwym okiem pani Christie.

— Z matką!? — wykrzyknęłam z uniesieniem.

— Tak — odparł poważnie. — Byłem u niej wczoraj, przedstawiłem plan podróży, napomknąłem nawet o znajomych w Nizzy. (Niech się pani nie czerwieni, panno Christie). Matce pani podobał się bardzo ten projekt, jej brat poparł mnie, zgodziła się bez oporu. Spotkać się mamy w piątek rano na stacji przy Liverpool Street.

— W piątek?... — zapytałam cicho. — Jak to? Więc pani Raynez zostanie tu sama?

— Tak, chyba że pani uda się swoim urokiem przełamać jej opór

— odrzekł smutno. — zaczynam wierzyć, że pani ma większy wpływ na nią niż ja. Nic w tym dziwnego — dorzucił zamyślony, jakby od niechcienia

— pani nie boją się nawet ptaki.

Uwaga pana Rayneza wydała mi się trafna. Kilkakrotnie zauważyłam, że pani Raynez odmawia mu czasem od razu i kategorycznie, a moich próśb i perswazji słucha bardzo chętnie.

— Mam jeszcze coś dla pani — powiedział po chwili milczenia, wyciągając

kopertę z kieszeni.

Z uśmiechem podał mi list.

Poznałam drogie pismo matki. Drżącymi rękami wyjęłam arkusik papieru i zaczęłam czytać, wzruszona.

Moja ukochana Violet — pisała matka. — Pan Raynez jest tak uprzejmy, że ofiarował się zaczekać, ale nie chcę nadużywać jego dobroci, więc piszę tylko kilka wierszy. Nie wiem, jak mam dziękować mu za wszystko. Prosił mnie, żebym koniecznie namówiła Cię na podróż. Myślę jednak, że chyba nie trzeba Cię namawiać. Zostawił mi także część Twojej pensji, drogie dziecko. Chce koniecznie, żebym kupiła Ci parę sukienek, utrzymuje, że tam się wszyscy stroją. Mamy się spotkać na stacji przy Liverpool Street w piątek i pewno zatrzymam was u siebie na noc, bo nie lubię podróżować w dni feralne. Niech Bóg błogosławi naszego dobroczyńcę! Nie będę pisać więcej, bo pan Raynez już długo czeka. Wuj przesyła Ci uściski i całusy, ja także — z nadzieją prędkiego zobaczenia.

*Kochająca Cię matka
Anna Christie*

Droga, kochana matka! Przyjęła propozycję pana Rayneza spokojnie, choć z radością, dziękuje niebu za łaskę przebywania ze mną przez kilka tygodni — i przeszła nad tą wiadomością do porządku dziennego. Dlaczego jednak mnie ten projekt tak dziwnie niepokoi?

Przeczytałam list mamy powtórnie, podziękowałam serdecznie panu Raynezowi za wypłacenie z góry kilkunastu funtów, wsunęłam kopertę do kieszeni i zamyśliłam się.

— Matka wspomniała pani o zaliczce? — rzekł z wesołym śmiechem. — Prosiłem, żeby nie robiła tego.

— Pan nie zna mamy — odpowiedziałam zakłopotana. — Nie umiałaby ukryć przede mną takiej rzeczy. Ten list jest jej wiernym obrazem. Jednak

— dodałam z nagłym zdziwieniem — zapomniała o dwóch szczegółach: brak daty i postscriptum — nie zdarzyło się to mamie dotąd nigdy.

25

Kiedy po nabożeństwie wyszliśmy z kościoła i pan Raynez wmieszał się między sąsiadów, zbliżyłam się nieznacznie do pani Manners i zapytałam zmieszana, czy nie ma jakiegoś polecenia dla mnie do Alicji Reade, gdyż mogłabym załatwić je dziś po południu.

— Jerzy radził mi postąpić w ten sposób — szeptałam nieśmiało — moje listy przesyłać odtąd będzie jego młodsza siostra. Nie pisze mi dlaczego sobie tego życzy, ale chciałabym zastosować się do jego prośby.

— Drogie dziecko — odparła pani Manners niespokojnie — droga panno Christie, smutne to, że musicie uciekać się do takich wybiegów. Nie wiem, czy mąż pochwaliłby wasze postępowanie. Przyrzekłam jednak panu Jerzemu, że zaopiekuję się panią — dotąd nie widzę w zachowaniu waszym nic złego, dobrze zatem, dziecko. Niech pani przyjdzie dzisiaj do nas po nieszporach, przygotuję paczkę poprawionych ćwiczeń dzieci ze Szkoły Niedzielnej.

Podziękowałam serdecznie poczciwej żonie pastora. Ona tymczasem odwróciła się już do starej, głuchej kobieciny, ciężko chorej na reumatyzm i zapowiedziała stanowczo, żeby nie przychodziła tak często do kościoła, bo ruch bardzo jej szkodzi. Obiecała także przysyłać jej codziennie dobry rosół i resztki z obiadu. Gdy wróciłam do swoich, zauważyłam, że ręka pani Raynez drżała na ramieniu męża. Właściciel Alders rozprawiał szeroko

o kradzieży w pałacu i radził panu Reade, żeby kosztowną zastawę umieścić

w banku, w Beaconsburghu — tam będzie bezpieczna.

— Kradzieże są jak epidemia — dowodził z zapalem. — Wierście mi, panowie, trzeba zachować pewną ostrożność. Mieliliśmy już sensacyjny napad w posiadłościach lorda Dalstona, teraz znów u Millsów. Pamiętajcie, łaskawi państwo, że kilka lat temu popełniono pięć wielkich kradzieży w przeciągu zaledwie sześciu tygodni? Nie chcę być złym prorokiem, ale nie daj Boże, żeby teraz się miało powtórzyć to samo.

— Nic nie szkodzi — odparł pan Reade ze śmiechem. — Wątpię, czy po obrabowaniu pałacu opłaciłoby się złodziejom okradać mój dwór. Gdyby Jerzy był w domu, to prędzej zdecydowałbym się na pański projekt, ale sam nie mam czasu myśleć o tym. Nie wyślę przecież sreber do Beaconsburgh bez opieki. Niech już lepiej leżą u mnie. Mam się zresztą na baczności. Williamson nie rusza się bez dubeltówki, choć podobno więcej jej się boi niż złodzieja, ja sypiam z nabitym rewolwerem obok łóżka. Cóż mogę zrobić więcej?

Otoczyła nas gromadka ciekawych.

— Nie przypuszcza pan, że policja złapie nareszcie złodziei? — zagadnął nieśmiało Gregson, wiejski cieśla, tchórz pierwszej wody, mający w domu aż piętnaście funtów gotówki i dwie srebrne łyżki. Nic dziwnego, że drży o swoje skarby. Teraz wpatrywał się w pana Rayneza z niepokojem.

— Nie zdaje mi się — odparł dziedzic Alders po chwili namysłu. — Bo czy mamy ślad, choćby podejrzenie, gdzie się ukrywają? Sądząc po śmiałych kradzieżach, są to ludzie bardzo zręczni, a nie można powiedzieć tego o naszej policji. Detektywi gonią tylko za łatwym zarobkiem, to pospolite, przeciętne jednostki. Mądry złodziej bez wielkiego trudu unika ciężkiej ręki sprawiedliwości. Im śmielszy, zręczniejszy, tym może być pewniejszy powodzenia. Detektyw znów z urzędu wierzy w swoją nieomylność. Gdybym ja, na przykład, zechciał być złodziejem, to z pewnością potrafiłbym podejść ich wszystkich. To kapuściane głowy. Nie umieliby poznać winowajcy w kimś, kto utrzymywałby z nimi przyjazne stosunki.

— Tak się tylko mówi — odezwał się jakiś staruszek, kiwając pobłaźliwie głową. — A gdyby tak tu zjechał detektyw na śledztwo, to pewno pan nie byłby śmielszy od nas wszystkich.

Właściciel Alders roześmiał się głośno i odparł, że staruszek ma zapewne słuszość. W parę minut później usłyszałam, jak starszy pan chełpił się przed znajomymi, że dorównał dowcipem panu z „domu na moczarach”, co to na stawie zaczarował trzciny i uwięził ich śpiew w swoich skrzypcach. W mowie jego

dźwięczała przytłumiona niechęć, nie mogłam tylko zrozumieć dlaczego. Cóż ten człowiek może mieć do mojego pana?

Przy obiedzie pan Raynez raz jeszcze usiłował przekonać żonę, że podróż i morze wpłynęłyby zbawiennie na jej zdrowie, ja także próbowałam wtrącać swoje uwagi, prośby nawet — lecz wszystko na próżno. Wszelkie obietnice zbywała milczeniem, a w końcu oznajmiła chłodno, że podróżować nie lubi i czuje się zbyt osłabiona, aby się narażać na nowe zmęczenie. Stanowczo woli zostać w Alders. Potem dodała jeszcze bezbarwnym głosem, że pobyt nad morzem z pewnością zrobi doskonale mnie i Haide, i że bardzo to uprzejmie ze strony mojej matki, iż zgodziła się na tę podróż.

Po kawie skłoniłam się obojgu i prędko pobiegłam na górę. Haide powitała mnie radosnym okrzykiem. Ułożyłam ją wygodnie w fotelu, poprawiłam ogień w kominku i ucałowawszy jasne czoło małej prosiłam, żeby chwilę siedziała cichutko, bo muszę napisać coś bardzo pilnego.

Wyjęłam papier z teczki i zaczęłam pisać list do Jerzego, z sercem bijącym ze wzruszenia. Pisałam, że list sprawił mi radość, że bardzo tęsknię i żyję nadzieją przyszłości, że zgodnie z jego wolą donoszę mu o wszystkim, co się wydarzyło. Wyjaśniłam mu, w jaki sposób Sara przeszkodziła ostatniemu naszemu spotkaniu, napisałam o kradzieży listu, który miał być wysłany we środę, potem o wizycie pana Carruthersa; streściłam wszystko, co mówił o kradzieży w pałacu. Napisałam o zasadzce i wypadku Sary, zwracając jego uwagę na niejasne jej majaczenia o kimś mocno podejrzanym, którego nazywała stale Jim, albo James Woodfall. Na koniec oznajmiłam mu słodką nowinę, że zobaczymy się wkrótce, ponieważ pan Raynez zabiera mnie i Haide do Monaco, dokąd jedzie w ważnym interesie, i że matka moja będzie z nami.

Radosna niespodzianka zmała mi po prostu myśli i o niczym nie umiałam pisać, tylko o bliskiej podróży. Przyznałam się nieśmiało, że czas do piątku wydaje mi się wiekiem, że pragnęłabym lecieć do niego na skrzydłach.

Wspomniałam także, że mam poważne bardzo podejrzenia co do sprawców kradzieży w Denham Court, i że mówiłam o tym panu Raynezowi, ale on przyjął tę wiadomość z niedowierzaniem i wymógł na mnie, że nie powtórzę swoich domysłów nikomu, dopóki sam nie zbada całej sprawy. Przynależało mi i nie mogę teraz nawet jemu wyjawiać tajemnicy.

Nie lękaj się już o mnie, najdroższy — pisałam dalej drżącą ręką — nic mi obecnie nie grozi. Jedna Sara źle mi życzyła w tym domu, teraz leży nieprzytomna. Doktor obawia się o jej życie, podobno może stracić rozum. Pan Raynez

obiecwał mi, że nie wyjedzie już nigdy na tak długo z Alders, na jeden dzień najwyżej. Dziwne, ale z jego wyjazdem związane są kradzieże. Podczas pierwszego była sensacyjna kradzież u lorda Dalstona, teraz znów napad na pałac. Nikogo nie mieliśmy do obrony w razie najścia złoczyńców na dom nasz na ustroniu, znikąd nawet nie byłoby pomocy, bo wszędzie daleko. Mam nadzieję, że zmienisz swój sąd o panu Raynezie. Gdyby nie jego dobroć, nie zobaczylibyśmy się w przyszłym tygodniu. Bo ty przyjedziesz przecież do Monaco, nieprawdaż, najdroższy? Z radością myślę o spotkaniu mojej Matki z Tobą, jestem pewna, że jej się spodobaś. Ona nie wie nic jeszcze o naszych zaręczynach, nie śmiałam jej zawiadomić bez Ciebie. Zdaje mi się, że pan Raynez odgadł naszą tajemnicę, bo nieraz powie coś takiego, że się rumienię. Przekonałam się, że nam życzy jak najlepiej i wcale nie pragnął mej rozłąki z Tobą. Nic i nikt w świecie nie jest w stanie zabronić mi nazywać się Twoją narzeczoną, ani przeszkodzić Ci kochać... Kocham na wieki, mocno, bezgranicznie, obraz Twój żyje w mojej duszy nieśkalany i pragnę z Tobą tylko przejść przez życie...

Twoja Violet

Przy obiedzie oznajmiłam panu Raynezowi, że nie wybieram się dziś na nie-szpory, ale ani słówkiem nie napomknęłam o tym, że idę na plebanię. Wiedzia-łam doskonale, że zaczerwieniłabym się aż po białka oczu i odgadłby od razu, że wizyta moja musi mieć jakiś związek z Jerzym, a tego nie chciałam. Nie obe-szłoby się bez nielitościwych przycinków i dowcipów, których wołałam nie sły-szeć. Zegarek mój wskazywał piątą, zatem nabożeństwo skończone. Włożyłam paltocik i kapelusz, ucałowałam Haide, zesłam na palcach ze schodów, gdyż pragnęłam nie spotkać nikogo. Przez boczne drzwi wyszłam do ogrodu. Nie lęka-łam się, że zostawiam je otwarte. Teraz, gdy pan Raynez już przyjechał, złodzieje z pewnością będą omijali Alders.

Szłam prędko i po kilkunastu minutach byłam na plebanii. Pani Manners wprowadziła mnie do salonu i podała przygotowany stos kajetów. Na niektórych widniały wyraźnie wypisane nazwiska i tytuły ćwiczeń. Alicja miała oddać je na-zajutrz uczniom Szkoły Niedzielnej jako przejrzone i poprawione.

— Niech pani jej powie, że wyróżniłam kilka najlepszych — powiedziała pa-ni Manners z łagodnym uśmiechem. — Wyobrażam sobie, jak będę uszczęśli-wieni odznaczeni.

Zauważyłam, że poczciwa pani Manners darzy mnie szczególną życzliwością. Chwileczkę tylko byłam u niej, bo list palił mnie. Przy pożegnaniu pani Manners zapytała o zdrowie Sary i zwierzyła mi się z pewnego projektu. Jak tylko chora

poczuje się lepiej, chciałaby na moje ręce przysyłać jej książki umoralniające. Prosiła, żebym wyjątki z nich czytała Sarze. Może tą drogą obudzi w niej sumienie. Zgodziłam się, ale nie uwierzyłam w żadną poprawę tej kobiety. To mściwa, do gruntu zepsuta natura, na nią nie wywrze wpływu najlepsza nawet książka.

Jesienne, ciężkie mgły zasnuwały z wolna pola, ogrody, moczary, chociaż dopiero minęła piąta. Musiałam się spieszyć, gdyż później mogłam z łatwością zabłądzić, chociaż Alders znajduje się od Geldham Hall zaledwie

o pół godziny. Nic łatwiejszego, jak zejść na trzęsawiska i nie powrócić więcej.

Stałam wreszcie przed kratą białej willi i delikatnie pociągnęłam dzwonek. Po chwili w alei zjawił się służący. Qznajmiłam mu, że pragnę widzieć się z panną Alicją. Rozejrzał się wokoło' a potem prędko przekreślił klucz w furtce, wpuścił mnie do ogrodu i poprosił do salonu. Domyśliłam się, że to ów sławny lokaj Williamson, który bardzo obawia się złodziei, ale jeszcze bardziej nabitej dubel-tówki. W salonie nie było nikogo, podobno siedzieli wszyscy przy herbacie.

Usiadłam na krześle i ukryłam twarz w dłoniach. Serce mi biło głośno, niespokojnie, czułam dziwną słodycz z powodu przebywania w domu, w którym urodził się Jerzy, ale z drugiej strony wstyd palił mi policzki. Jeżeli oni wiedzą, że łączy mnie z nim przysięga, to może powitają mnie zimne, wyniosłe spojrzenia, jakimi obdarza się tylko natrętów? Jeżeli wiedzą... Wtem oczy moje padły na wyplatany, bujany fotel; wiedziałam, że to ulubiony fotel Jerzego. Wydało mi się nagle, że jego żółte, szerokie poręczce przyjaźnie mnie zapraszają. Usiadłam w nim cała drżąca, niepewna ciągle, jakiego doznam tu przyjęcia. Nagle drzwi skrzypnęły i Alicja weszła do pokoju.

Jerzy mówił mi kiedyś, że zaczęła szesnasty rok, ale wyglądała o wiele dziecinniej z twarzą okrągłą, różową i świeżą. Ma dużo wdzięku, ale nie jest ładna. Podąła mi rękę nieśmiało, z zakłopotaniem, lecz bez przymusu.

— Pani Manners przysyła pani przeze mnie poprawione ćwiczenia uczniów i uczennic — odezwałam się półgłosem. — Prosiła, żeby zwrócić uwagę na tych, których wypracowania odznaczyła.

— Dziękuję serdecznie. Pani trudziła się dla mnie — odparła grzecznie, odbierając pakiet.

— Drobnostka, nie ma o czym mówić — nie wiedziałam, jak jej powiedzieć o Jerzym.

Zapanowało kłopotliwe milczenie.

— Brat pani, Jerzy — szepnęłam w końcu zmieszana — prosił, żeby moje li-

sty szły na pocztę adresowane ręką pani. Polecił mi także przypomnieć o obietnicy, którą mu pani dała na wyjeździe, on pamięta o swym przyrzeczeniu.

Alicja zarumieniła się jak wiśnia, w ciemnych oczach błysnął płomień. Podeszła do mnie z tajemniczą miną.

— Doprawdy? — zapytała wzruszona. — Więc nie zapomniał? O, dzięki Ci, Boże! Pani wie, zapewne, o co chodzi? Pragnę, żeby tu w zimie przyjechał pan Reynolds. Niech pani Jerzemu często przypomina o tym! Niech pani nie wspomina o tym ani mamie, ani Maud, mojej starszej siostrze! Pomoże mi pani?

Złożyła błagalnie ręce.

— Pomogę — odrzekłam z uśmiechem. — W następnym liście napiszę Jerzemu, może nawet powiem, bo zobaczymy się pewno niedługo, żeby zaprosił pana Raynolda do Geldham Hall w zimie. Czy dobrze zrozumiałam życzenie twoje, siostrzyczko?...

— Tak, tak, dziękuję, jesteś taka dobra, Violet — wyszeptało zawstydzona dziewczę. — Tylko zima jeszcze okropnie daleko!

Uściskałam serdecznie Alicję, ujęła mnie jej szczerłość i prostota, przeczuwałam, że będę ją kochać. Wydało mi się jednak, że zbyt jest jeszcze młoda na miłość, twarz ma taką niewinną, oczy prawie dziecka, nosi nawet krótkie suknie i włosy zaplecione w warkocz. Czy takie młodzianki stworzenie może już myśleć o swojej przyszłości?

— Przyniosłam list. Czy pani swój prędko będzie pisać?

— Mam gotowy — przerwała żywo. — Jeżeli pani zechce, list pani włożę do swego. Po herbacie jeden z gości jedzie do Londynu, poproszę go, żeby wrzucił list do skrzynki dopiero w stolicy.

— Dziękuję raz jeszcze — szepnęłam drżąc. Ogarnął mnie lęk, że starsza siostra Jerzego może pokrzyżować te plany. Oddałam jednak kopertę Alicji i pożegnałam się.

Mgły zawisły nad ziemią, ochłodziło się znacznie i zaczynałam się obawiać, czy trafię po ciemku do Alders. W duchu myślałam nieustannie

o liście i martwiłam się gwałtowną zmianą pogody. Może ów dżentelmen nie pojedzie dzisiaj, może ułęknie się niepewnej drogi? Odetchnęłam trochę, gdy z siwego tumanu wynurzyły się grube kraty parku okalającego Geldham Hall. Zaczęłam posuwać się wzdłuż ogrodzenia, pragnąc w ten sposób dostać się do drogi. Omijać musiałam trzęsawiska i krzaki, a jednocześnie uważać, żeby nie stracić z oczu zbawczej kraty. Nagle z lewej strony, z krzewów, doszły mnie przyciszone głosy. Przystanęłam, usiłując rozróżnić słowa. Rozmawiających skrywała

zupełnie mgła, ciemność i gałęzie, ale mówili dość głośno i rozpoznałam po chwili głosy mężczyzny i kobiety. Sądząc po twardej wymowie, oboje musieli należeć do gminu. Chciałam ich zapytać, czy dobrze idę, lecz zatrzymały mnie słowa mężczyzny. Głos wydał mi się znajomy.

— Sprzykrzyły mi się norfolkskie dziewczęta. Wszystkie jesteście jednakowe, nudne.

Tom Parkes z pewnością.

— A ty jesteś jak chorągiewka — odcięła się dziewczyna obrażonymi tonem. — Wzdychałeś do Sary, ale trzymała cię krótko. Teraz, kiedy jest chora, chciałbyś się ze mną pocieszyć. Bardzo jesteś mądry, ale niedoczekaj 'nie twoje. Wcale nie chcę takiego zmiennika.

Wkrótce jednak dobiegły mnie wesołe szepty, głośne pocałunki, obietni ca, że przyjdzie we środę. Po chwili zza krzaków wyskoczyła smukła dziewczyna i pobiegła w kierunku białej willi. W umyśle moim odżyły nagi wszystkie podejrzenia dotyczące Toma. Nie miałam żadnych powodów* a przysięgłabym, że ta na pozór miłosna rozmowa ukrywa z jego strony ce zupełnie inny. Od zbałamuconej dziewczyny dowiedzieć się może z łatwo*, ścią o zwyczajach mieszkańców białej willi, o rozmaitych skrytkach a potem?... Przypuszczenie wydało mi się bardzo prawdopodobne i be chwili namysłu zawróciłam do Geldham Hall, zamiast szukać bramy parku.

Kazałam powtórnie prosić pannę Alicję.

— Wszyscy są teraz w salonie — szepnęła. — Chodźmy do biblioteki-

— Chciałabym dopisać kilka słów do mego listu, czy to możliwe,

— zapytałam gorączkowo.

— Ależ naturalnie — odparła z uśmiechem, wyjmując kopertę z kiej szeni. — Niech pani siada i pisze, zaraz przyniosę pióro. Och! Co to?! Czemu pani taka blada? Czy stało się coś złego?

— Nie, nic, dziękuję — mówiłam urywanym głosem.

Odciełam skrawek papieru z arkusika, który dała mi Alicja i napisałam:

Człowiek, którego widziałam w Denham Court, ten sam, w którego uczciwość już nie wierzę, krąży koło białej willi. Ma być tutaj znowu w środę wieczorem. Podejrzewam go.

Wsunęłam karteczkę razem z listem do nowej koperty i poprosiłam Alicję, żeby go wysłała jak można najprędzej, bo dołączyłam bardzo ważną i pilną wiadomość.

— Dobrze! Ale pani pamiętać będzie o panu Reynoldsie i swej obietnicy?

Tym razem Williamson wyprowadził mnie aż na drogę, skąd już łatwo było trafić mi do Alders.

Minęłam park szybkim krokiem i znalazłam się wreszcie pod bocznymi drzwiami. Pchnęłam je lekko. Były otwarte. Niezauważona wsunęłam się na korytarz, a potem na schody. Stamtąd usłyszałam ciche skrzypnięcie drzwi pracowni i zaraz dobiegł mnie głos pana Rayneza i Toma. Właściciel Alders mówił jak zwykle łagodnie i pomyślałam sobie, że właściwie nie ma sensu mówić mu o moich nowych podejrzeniach. Nie uwierzy mi. Mężczyźni rozmawiali tak cicho, że nie mogłam rozróżnić pojedynczych wyrazów, doszły mnie tylko ostatnie słowa Toma: „Dobrze. Dobrej nocy panu, sir”. Potem usłyszałam ciche kroki, oddalające się w kierunku kuchni. Gdy pan Raynez udał się do pracowni, pobiegłam do jadalni przygotować zakąski do kolacji. Nie szło mi dzisiaj, byłam milcząca, zamyślona. Nie wspomniałam nikomu o swojej wyprawie, ani też o jej skutkach.

Po kolacji pan Raynez prosił, żebym mu akompaniowała. Pani chwilę tylko słuchała naszej muzyki, potem szepnęła, iż czuje się znużona i odeszła do sypialni, która znajdowała się teraz na piętrze. Kiedy przebrzmiały ostatnie tony cudnego *Aufenthalt* Schuberta, pan Raynez złożył skrzypce i przysiadł się do mnie. Milczał z początku, wzruszony zapewne muzyką, a potem zaczął mówić cichym, melodyjnym głosem o przepięknych brzegach Adriatyku i zatoce Genueńskiej. Byłam oczarowana, zdawało mi się, że widzę złoty piasek i drzewa pomarańczowe, czuję woń mirtów i balsamiczne, cudowne powietrze. Przymknęłam oczy i słuchałam zachwycona pana Rayneza, który nazywał brzegi Adriatyku ziemskim rajem, mówił, że tam będę szczęśliwa, jak nigdy dotąd. Wierzyłam jego słowom: tam przecież spotkam mego najdroższego. Zapytał w końcu, czy pragnę obejrzeć suknie, które wybrała dla mnie mama, powiedział, że są piękne, że wyglądać w nich będę jak księżniczka. Gdybym tylko zechciała być dobra...

— Zawsze będę panu wdzięczna — przerwałam z uśmiechem. — Jeżeli jednak te suknie są tak ładne, to nie mogę nosić ich po domu. Szkoda.

— Przyzwyczajai się pani prędko — odparł z zagadkowym uśmiechem, który dotknął mnie niemiło. — Każda kobieta lubi zbytek, klejnoty, piękne suknie, pocałunki...

Uczułam dziwny, słodki ból, ogarnęło mnie wzruszenie na myśl o pocałunkach Jerzego. W tym momencie zauważyłam, że pan Raynez patrzy na mnie uporczywie. Obląłam się rumieńcem, wstałam bez słowa odpowiedzi i

sięgnęłam po lichtarz i zapalki. Zorientował się widocznie, że popełnił nietakt, bo zerwał się z krzesła i zbliżył do mnie zakłopotany.

— Zdaje się, że dotknęły panią moje słowa? — odezwał się pokornym głosem. — Czemu? Czy pani nie sądzi, iż te wszystkie rzeczy są przywilejem, prawem pięknych kobiet?

— Dziwne prawo! Większość tak zwanych „pięknych” wcale z niego nie korzysta! — odrzekłam z ironią.

— Tylko głupie — szepnął zagadkowo. — Wy tłumaczę to pani w drodze do Monaco.

Nie rozumiałam, co miały znaczyć te słowa.

Pan Raynez przechadzał się po salonie, jego szafirowe oczy płonęły nienaturalnym blaskiem.

— Niech panią nie dziwi to, co powiedziałem. — powiedział drżącym głosem, trzymając w swoich dłoniach moją rękę. — Pani wniosła tyle szczęścia w moje progi. Podróż uczyni panią szczęśliwą, rzuci w objęcia człowieka, który spełni wszystko czego pani pragnie, a nawet więcej.

Skinęłam mu głową i prędko wybiegłam z pokoju. Tak. Prawdę mówi. Niezupełnie jednak się zgadzamy. On uważa, że klejnoty, bogactwo i zbytek potęgują miłość, a ja wolałabym mieszkać w skromnej chatce, gdzieś na odludziu, byleby z najdroższym moim Jerzym.

Nazajutrz Haide po raz pierwszy zeszła na dół i spędziła całe popołudnie w jadalni przy kominku. Siedziałam przy niej i zabawiałam ją opowiadaniem bajek. Po obiedzie pan Raynez spytał z uśmiechem, czy nie mam listów do wysłania. Jedzie do Beaconsburgh.

— Dziękuję panu — odparłam spłoniona. — Nie mam listów.

— Jak to? — zapytał zdumiony. — Ani jednego wiersza do... Nizy? Nie oznajmia pani nikomu swego przyjazdu?

— Nie — powiedziałam stanowczo, potrząsając głową.

— Pani wysłała list sama, wczoraj, prawda, panno Christie? — zaczębiała Haide, obejmując rączkami moją szyję.

Pan Raynez dosłyszał szept dziecka.

— Wczoraj? — zapytał przytłumionym głosem.

— Widziałam się z panną Reade — zaczęłam nieśmiało — wysłała właśnie swoje listy i — dołączyłam do nich małą kartkę.

Twarz pana Rayneza zmieniła się. Uśmiech zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pobladł mocno, wargi mu drżały. Szybko jednak się opano-

wał. — Tym lepiej — szepnął gniewnie.

Co to znaczy?

— Czyja coś źle zrobiłam, panno Christie? — odezwała się Haide i dwie łezki stoczyły się jej po policzkach.

— Nie, kochanie — odrzekłam łagodnie.

Czułam, że obraziłam pana Rayneza oddając swój list Alicji, nie wspominając mu o tym ani słówkiem. Widziałam, że było mu bardzo przykro.

Wieczorem pan Raynez oznajmił przy kolacji, że otrzymał ważne wiadomości, które zmuszają go do przyspieszenia o jeden dzień naszej podróży. Ja i Haide mamy być gotowe na czwartek.

26

W pogodne wtorkowe popołudnie siedziałam z Haide w jadalni i pomagałam jej ubierać lalkę. Nagle rozległ się silny, donośny dźwięk dzwonka. W chwilę później wpadła przestraszona Jane i oznajmiła rwącym głosem, że jakiś pan przyjechał i pyta o Sarę. Czeka w przedpokoju.

— Powiedziałam mu, proszę pani, że Sara jest ciężko chora, nieprzytomna, ale nie wierzy i mówi, że nie ruszy się stąd, dopóki jej nie zobaczy. Pana nie ma w domu. Może pani zechce się z nim rozmówić?

Wstałam natychmiast i wyszłam do natrętnego gościa. W przedpokoju stał bardzo porządnie ubrany mężczyzna. Gdy mnie zobaczył zaczął przeproszać za kłopot.

— Czy mam przyjemność mówić z panią Raynez? — zapytał z niezwykle grzecznością.

— Nie — odparłam.

— Tylko pani jest w domu?

— I to nie — przerwałam żywo. — Pani Raynez jest słaba i nie będzie mogła zobaczyć się z panem. Jestem nauczycielką jej córki. Jeżeli pan ma coś do przekazania mojemu panu, powtórzę. A może pan woli napisać karteczkę? Oddam, gdy wróci.

— Dziękuję pani.

— Więc może pan zaczeka? — ciągnęłam, trochę już zniecierpliwiona.

— Pan Raynez będzie za godzinę.

— Dziękuję — powtórzył zamyślony. — Czy mogę pomówić na osobności z panią? — spytał nagle.

— Owszem — odrzekłam spokojnie. — Proszę tutaj — otworzyłam drzwi do szkolnego pokoju.

— Jestem bratem Sary Gooch, która służy w Alders — odezwał się półgłosem.

Spojrzałam na niego uważnie.

— Pracowałam ciężko za granicą — mówił dalej, cedząc zabawnie wyrazy — zarobiłam trochę i chciałbym siostrę wziąć do siebie. Wolałbym, żeby służba nie wiedziała, że jestem jej bratem. Bardzo zależy mi na tym. Czy mogłaby pani ją tu wezwać, nie informując, kto czeka?

— Niech pan przygotuje się na złe nowiny — zaczęłam niepewnym głosem. — Przykro mi o tym mówić, ale Sara jest ciężko chora.

Obrzucił mnie przenikliwym, pełnym niedowierzania spojrzeniem.

Nastąpiła kłopotliwa cisza.

— Przecież w piątek była zupełnie zdrowa — wyrwało mu się.

— Tak — potwierdziłam. — Ale w nocy z piątku na sobotę miała wypadek. Spadła ze schodów. Niech pan zostanie do powrotu właściciela Alders, on sam objaśni pana. Sara od dawna służy już u państwa Raynez, obchodzą się z nią dobrze, a teraz, w chorobie, ma wszelkie wygody.

Nie zauważyłam, żeby się zmartwił.

— Dawno jest tutaj? — zapytał. — Niech pani wybaczy, że zabieram jej czas, ale kilka lat nie widziałem siostry, pisała rzadko i teraz ledwo ją znalazłem. Cieszy mnie bardzo, że państwo ją lubią.

— Pan Raynez ma do Sary wielkie zaufanie — rzekłam krótko. Wolałam się nie rozwodzić zanadto nad jej licznymi cnotami, nie godziło się przecież oczerniać ją przed bratem, a zresztą teraz, kiedy chora!...

— Jestem dumny z siostry — powiedział uradowany. — Chociaż ubodzy, mieliśmy zawsze czyste ręce i sumienie. Nic mnie tak nie cieszy, jak to zapewnienie pani. Z radością zabiorę ją do siebie. Dziwi mnie tylko, że nie wyszła za mąż. Była ładną dziewczyną, a oczy miała jak dwa węgle. Dużo porządnych chłopców kręciło się koło niej. A może?... Proszę mi wybaczyć... ale siostra... niewinna była wtedy. Chciałbym ją taką zastać. Czy nie ma kochanka?

Zawahałam się z odpowiedzią. Ta chłodna, prawie obojętna ciekawość tak nie

przypominała w niczym uczuć stęsknionego brata, że zaczynałam wątpić, czy mam prawo udzielać mu wyjaśnień. Nie wiedziałam, co mam o tym sądzić.

— Przepraszam panią pokornie — odezwał się nieznajomy. — Zapomniałem, że wielkie panie nie zajmują się losem i cnotą swych służących, więc...

— Proszę tak nie mówić! — przerwałam zawstydzona. — Wahałam się nie dlatego. Wiem, że Sara ma narzeczonego i...

Urwałam. Zastanawiałam się, czy mogę coś dobrego powiedzieć o Tomie?

— Zapewne jakiś porządny, pracowity człowiek, który będzie dla niej dobrym mężem? — zapytał z wahaniem i spojrzał mi błagalnie w oczy.

— Nie znam go prawie — odparłam wymijająco—i nie lubię obmawiać za plecami, ale...

Brat Sary zbliżył się do mnie z troską w twarzy i słuchał moich słów z natężoną uwagą. Wtem drzwi się otworzyły i wszedł spokojnie pan Raynez. Nie wiem, kiedy przyjechał, bo nie słyszałam wcale ruchu przed domem ani dzwonka. Spojrzał pytającym wzrokiem na nieznajomego. Otworzyłam już usta, chcąc go przedstawić jako brata Sary, kiedy on powiedział dziwnym tonem:

— Jestem ze Scotland Yardu.

— Scotland Yardu? — powtórzył jak echo pan Raynez. Zdawało mi się, że głos mu drgnął lekko.

— Tak, panie. Przyjechałem tu w sprawie Sary Gooch, dowiedziałem się, że służy u państwa — wyrecytował jednym tchem obcy. — Czy pan Gerwazy Raynez?

Czemu nie powie od razu, że jest jej bratem? — pomyślałam zdziwiona.

— Tak jest. Czego pan życzy sobie od mojej służącej? — zapytał pan Raynez.

Tajemniczy przybysz wskazał mnie wzrokiem właścicielowi Alders.

— Proszę mówić — powiedział mój pan z naciskiem. — Proszę. Nie mam nic do ukrycia przed panią. Zatem Sara?

— Podejrzana jest o udział w kradzieży w Denham Court — rzekł nieznajomy stanowczym głosem. — Są na to dowody.

Zadrżałam. Więc ten człowiek wcale nie jest bratem Sary? To detektyw! Podstępem wyciągnął ode mnie wiadomości o niej! Rzuciłam na pana Rayneza trwożliwe spojrzenie. Stał wyprostowany, z podniesionym czołem.

— To nieprawdopodobne! — szepnął w końcu z przekonaniem.

— Przykro mi, że pozbawić pana muszę zaufania do starej i niby uczciwej służącej — powiedział detektyw ze współczuciem. — Nic na to nie poradzę. Na Sarze Gooch ciążyą podejrzenia.

— Jakie? — spytał pan Raynez gorączkowo.

— W ubiegły piątek między piętnastą trzydzieści a za dwadzieścia piąta widziano ją w Beaconsburgh. Dawała jakiemuś mężczyźnie ciężkie zawiniątko, które wyjęła z czarnej skrzynki. To jednak nie wzbudziło od razu podejrzeń. Człowiek ów — ciągnął przybysz — wyjechał najbliższym pociągiem do Londynu, drugą klasą. Ale w Colchester dostał ataku konwulsji czy epilepsji. Umieszczono go w osobnym pokoju na stacji i otworzono walizkę, pragnąc się dowiedzieć jego nazwiska i miejsca zamieszkania. Nie znaleziono jednak w niej żadnych dokumentów, tylko klejnoty. Zawiadomiono natychmiast Główny Zarząd Śledczy w Scotland Yardzie. W zamieszaniu człowiek ten, niestety, uciekł, ale wdrożono energiczne śledztwo i znaleźli się świadkowie, którzy na własne oczy widzieli, jak owo zawiniątko z klejnotami wręczyła mu w piątek w Beaconsburgh kobieta, której tożsamość została od razu ustalona. Nie ma wątpliwości, że to była pańska służąca Sara Gooch.

Przypomniałam sobie w tej chwili, że i ja widziałam w piątek po południu Sarę z czarną skrzynką w ręku. W kuchni mi powiedziano, że udała się do Beaconsburgh. Tak byłam teraz przerażona, tak żał mi było patrzeć w strapioną twarz dziedzica Alders, że zapragnęłam teraz, aby te podejrzenia wyjaśniły się na jej korzyść.

— Nie mogę. nie mogę uwierzyć — powtarzał pan Raynez. — Sara jest szorstka, zawzięta i mściwa, jednak zawsze była uczciwa.

— Może uległa namowie? — podsunął detektyw ze współczuciem.

— Nie ma rzeczy, której kobieta nie zrobiłaby dla kochanka. Tutaj zachodzi właśnie taka okoliczność. Podobno jej adorator... nie cieszy się dobrą opinią.

Pan Raynez obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem. Sprawilo mi to przykrość. Domyślił się, kto udzielił przybyszowi informacji, nie wie jednak, że uważałam go za brata Sary.

— Któż to taki? — zapytał na pozór spokojnie.

— Dokładnie nie wiemy — odrzekł niepewnym tonem detektyw

— mamy jednak pewne dane.

Twarz mego chlebodawcy zaróżowiła się lekko, poznałam, że zaczyna wracać mu pewność siebie. Nie wierzy zatem w winę Sary.

— Muszę porozmawiać teraz z Sarą Gooch, dowiedzieć się, w jaki sposób

doszła do posiadania klejnotów. Będę więc prosił pana o skontaktowanie z nią. Muszę jej zadać kilka pytań. Być może, że przyzna się do winy od razu.

— Spełnię pańskie życzenie — odpowiedział z powagą pan Raynez.

— Sam pan osądzi, czy chora może teraz być przepytwana. Pielęgniarka nam powie, czy można zobaczyć ją zaraz. — Panno Christie — dodał, zwracając się do mnie — niech pani będzie łaskawa zejść na dół i zostać chwileczkę przy Sarze, a przysłać tutaj panią Sannders.

Pobiegłam na dół bez słowa protestu i spełniłam polecenie pana Rayneza. Sara jęczała głośno, mruzczała coś niezrozumiale, krótkie kosmyki czarnych, obciętych włosów wychylały się spod białych bandaży, na twarzy miała sinoczerwone wypieki, dyszała ciężko, oczy miała błędne, usta wykrzywione bólem. Widać było, że bardzo cierpiała. Wtem drzwi skrzypnęły lekko i weszła najpierw pani Sannders, potem detektyw, w końcu pan Raynez. Detektyw zbliżył się do łóżka chorej, ale jedno spojrzenie na spieczone usta i obłąkane, nieprzytomne oczy wystarczyło, żeby się przekonał, że nie będzie mógł Sary przesłuchać. Pochylił się nad nią i przez kilka minut słuchał jęków i niezrozumiałego szeptu. Opuściliśmy pokój w milczeniu. Za progiem odetchnęłam głęboko. Cierpienia tej kobiety nie budzą we mnie litości, nie mogę jednak słuchać spokojnie jej jęków.

— Przekonał się pan naocznie — zaczął pan Raynez — że Sara nie jest w stanie udzielić panu jakichkolwiek wyjaśnień. Mam nadzieję, wierzę nawet, że gdy wyzdrowieje, udowodni, że jest niewinna. Być może była mimowolną współniczką złodziei. Mogła, na przykład, oddać rzeczywiście obcemu zawiniątko, pochodzące może od kochanka i na jego prośbę, nie domyślając się wcale, że przykłada ręce do kradzieży. Postaram się swoje interesy ułożyć tak, żeby móc śledzić przebieg całej sprawy. Doktor będzie u Sary jutro rano, od niego pan dowie się najlepiej, kiedy chora odzyska przytomność. Zatrzymuję pana na noc. Panno Christie — zwrócił się do mnie półgłosem — proszę powiedzieć starej pani Jennings, aby przygotowała panu pokój sąsiadujący z sypialnią moją i żony.

Pani Jennings? Kto to? Upłynęła dobra chwila, zanim przypomniałam sobie, że jest to nazwisko kucharki. Dlaczego to ona ma uprzątnąć pokój, kiedy ten obowiązek należy do Jane? Sypialnia jego i żony? Więc pan Raynez nie sypia w pracowni, odkąd żona przeniosła się na piętro?

Kucharka podniosła lament, gdy się dowiedziała o dodatkowej pracy. Po co dom przewracać do góry nogami?! Dlaczego pan wysłał Jane przed chwilą do Wright Farmy? Za jarzyny zapłacić można było jutro, nie teraz, kiedy gość w domu i więcej roboty. I powiedział jej jeszcze, że może tam nocować, jeśli bę-

dzie mgła. Pan wie przecież, że jej tego nie trzeba dwa razy powtarzać. Zostanie! Zostanie z pewnością. Młody Peter Wright nie darmo się do niej przystawia, choć mleko mu pod nosem nie obeschło! W złą godzinę zgodziła się tutaj na służbę! Jane nie powróci wcześniej niż jutro po południu i to nawet...

Nagle urwała. W drzwiach stał pan Raynez z brwią ściągniętą i surowym wzrokiem.

— Istotnie, widzę teraz, że za dużo obowiązków spadło na ciebie

— odezwał się sucho — i za dużo stąd zamieszania. Prosiłem więc panią Sannders, aby zechciała pełnić obowiązki Jane, ale ty będziesz pielęgnować w tym czasie Sarę.

Zaległo milczenie. W duchu przyznawałam rację mojemu panu. Kucharkę spotkała zasłużona kara. Mówiła, że woli najgorszą, najcięższą robotę, byleby nie czuwać przy Sarze, wtedy nawet, gdy chora była spokojniejsza.

Zostawiłam pana Rayneza w kuchni i pobiegłam do Haide. Mój chlebodawca zjawiał się dopiero na herbatę, cały czas zajęty był rozmową z detektywem, którego tytułował teraz panem Maynard i zwracał się do niego z wyszukaną grzecznością. Gość był w dobrym humorze, mówił zajmująco i dużo, szczególnymi względami obdarzał mnie i panią Raynez, która tego dnia wyglądała dziwnie poważnie. Po kolacji pan Maynard odszedł natychmiast do siebie, w chwilę później poszła też pani Raynez. Ja zostałam w salonie, mój chlebodawca prosił, bym złożyła nuty.

— Nie masz pojęcia, drogie dziecko, jak mnie przygnębiło to dzisiejsze przejście — rzekł, przesuwając dłoń po bladym czole. — Sara była zawsze uczciwa, teraz nie mogę uwierzyć...

— A jednak... znalazłam walizkę w piwnicy — szepnęłam nieśmiało.

— Wielkie nieba! Zapomniałem o tym — zawołał stłumionym głosem. — A raczej wyrzuciłem to celowo z pamięci — dodał ciszej.

— Pewny byłem, że się to pani przywidziało. Trudno mi sobie wyobrazić Toma skradającego się po nocy, i do tego z zawiniątkiem w ręku! Trzeba teraz położyć kres tym niepewnościom! Czy klucze od spizarni są u pani? — spytał gorączkowo. — Musimy tam koniecznie pójść razem... i sprawdzić.

Wyjęłam klucze z kieszeni, podałam je w milczeniu gospodarzowi i prawie wbrew woli podążyłam za nim. Zatrzymaliśmy się dopiero przed drzwiami w spizarni. Pan Raynez drżącą ręką zaczął dobierać klucz, nie mógł dać sobie rady z ich ilością, nie umiał otworzyć i musiałam mu pomóc. Czarna skrzynka, „corpus delicti” z Beaconsburgh, stała tu jeszcze. Trąciłam ją lekko, pragnąc zwrócić

uwagę pana Raneza i wskazałam na czarne, pyłem przysypane kółko na podłodze. Obejrzał je z niedowierzaniem, pociągnął, wieko odskoczyło. Z ciemnego otworu wionęło stęchlizną. Pochyliłam świecę, chcąc oświetlić trochę to ponure wnętrze. Pan Raynez zszedł ostrożnie po schodkach.

— Nic nie widzę tutaj — powiedział po chwili.

— Niech pan spojrzy przez otwór pomiędzy stopniami — odparłam pewnym głosem.

Schylił się powtórnie, przyglądał się długo z uwagą, próbował włożyć rękę pomiędzy otwory, znów patrzył i w końcu zwrócił na mnie wzrok, wyrażający wielką ulgę.

— Dzięki Bogu! — wyszeptał wzruszony. — Musiało przywidzieć się pani. Nic tu nie ma.

— Jak to? A stół?! — rzekłam z przestrawieniem.

— Nic absolutnie. Tylko woda.

— Zatem woda podniosła się wyżej i wszystko zakryła.

— Niech pani zejdzie i przekona się sama — powiedział zniecierpliwiony. — Nie boi się pani?!

— Wcale — odparłam drżącym głosem.

Wyskoczył z piwnicy, wziął z moich rąk świecę i pomógł mi zejść. Rozejrzałam się uważnie. Ta sama liczba stopni wystaje nad wodą, klejnoty, stół, walizka zniknęły jednak bez śladu. Przerażona popatrzyłam na mego towarzysza. Usta wykrzywił mu szyderczy uśmiech, w jego wzroku było coś drapieżnego. Przeniknął mnie zimny dreszcz.

— Niech pan pomoże mi wyjść — powiedziałam nieswoim głosem.

Nogi uginały się pode mną, kolana drżały, ćmiło mi się w oczach, zachwiałam się i byłabym spadła, ale podtrzymała mnie silna ręka pana Raneza. Uniósł mnie jak piórko i po chwili dotknęłam stopami podłogi spiżarni. Wyrwałam mu się z rąk, przed oczyma miałam jego szatański uśmiech, który wykrzywił mu twarz przed chwilą. Bałam się go, czułam jakiś dziwny, nieokreślony lęk, nie umiałam sobie wytłumaczyć tajemniczego zniknięcia stołu i klejnotów. Jak szalona wybiegłam ze spiżarni, w kilka sekund przebiegłam korytarz. W przedpokoju upadłam na pierwsze napotkane krzesło. W parę minut później usłyszałam suchy trzask zasuwki, a po chwili pan Raynez był przy mnie. Łagodnie ujął moje ramię i zaprowadził do salonu. Tam pozwoliłam wygodnie ułożyć się w fotelu. Mój pan opuścił mnie na chwilę. Zjawił się wkrótce z kieliszkiem wina i kolońską wodą. Wypiłam wzmacniający napój prawie machinalnie, pan

Raynez zwilżył mi skronie i czoło, potem usiadł przy mnie i w milczeniu gładził moją rękę. Zaczął mówić cichym i wzruszonym głosem, żebym się uspokoiła, że nie trzeba być taką nerwową i jeszcze coś i jeszcze, ale wszystkie jego słowa niezrozumiałym dźwiękiem obijały się o moje uszy. Dodał w końcu, że już niedługo opuszczę tę okropną miejscowość i otoczy mnie przepiękna przyroda. Tam za- pomnę prędko o tym prawie grobie, o tej przygnębiającej, strasznej atmosferze, w której się można udusić, a nawet umrzeć.

— Przysięgam, że na własne oczy widziałam wtedy tę walizkę! — ode- zwałam się rozpaczliwym tonem.

— Ja wiem, drogie dziecko, nie myśl o tym — powiedział z pobłażliwym uśmiechem pan Raynez.

Nie wierzy mi — pomyślałam. Posądza o kłamstwo albo o histerię. Łzy za- częły mi płynąć po policzkach...

— Niech pani nie płacze — mówił łagodnie, ze szczerym współczuciem.

— Łzy zniszczą twoją słodką twarz, drogie dziecko.

Pamiętałam, że mówił mi kiedyś, że nie znosi widoku łez i smutnych twarzy. Nie chciałam sprawiać mu przykrości, więc siłą zdławiłam łzy i usiłowałam na- wet się uśmiechnąć.

— Tak jest lepiej! — powiedział radośnie. — Słońce wyjrzało zza chmury. Na jasną pani twarz można patrzeć bez przerwy... Kiedy wyjedzie- my już z tego pustkowia, imię Sary nie padnie nigdy, czy dobrze? — dodał, schylając się nade mną. — Obawiam się tylko, że nie wyruszymy stąd, dopóki pan Maynard tu jest. Przekonany jestem, że jutro stan Sary nie pozwoli na żadne badania, jak tego ży- czy sobie szanowny detektyw. Wątpię nawet, czy kiedykolwiek odzyska przy- tomność — szepnął ze smutkiem.

— Pan Maynard posiada bujną wyobraźnię i z kilku słów, rzuconych w go- rączce, gotów ułożyć z niezwykłym talentem oskarżenie. Kto wie nawet, czy nie odkryje tu jeszcze domniemanych współników jej winy. A wszystko dla zaspoko- jenia własnej próżności, żeby udowodnić swoim zwierzchnikom, że nie tracił tutaj czasu. Przeczuję, że na Sarze nie zostawi suchej nitki.

— Czy pan doprawdy sądzi, że ona jest kobietą uczciwą, że nie ciąży na niej żadne winy? — spytałam nieśmiało. — Bo kiedy czuwałam przy niej podczas pierwszej nocy, majaczyła, mówiła dziwne, straszne rzeczy. Zdaje się, że w mło- dości miała złych przyjaciół, którzy ją wciągnęli na drogę występku. Przypusz- czam, że Sara naprawdę brała udział w tej kradzieży. Jest takie przysłowie: **Czym skorupka za młodu nasiąknie, tym na starość trąci.**

— Czy to jest zdanie pana Maynarda? — odezwał się pan Raynez z ironią.

— Odpowiadałam tylko na jego pytania — odrzekłam urażona.

— Powiedział, że jest bratem Sary. Staralam się nawet przedstawić ją w lepszym świetle, żeby się nie zniechęcił do siostry. To, co mówię, słyszałam z ust Sary. Chciałabym się o jedno jeszcze pana spytać — dodałam z wahaniem. — Czy wie pan coś o człowieku nazwiskiem James Woodfall?

Pan Raynez siedział zamyślony, z głową opartą na rękę i zdawało mi się z początku, że nie dosłyszał pytania.

— Czy detektyw pytał panią o niego? — powiedział w końcu dziwnym tonem.

Spojrzał przy tym na mnie badawczym, przenikliwym wzrokiem.

— Ależ nie! Co znowu? — przerwałam z uśmiechem. — Sara w gorączce wymawiała kilkakrotnie to nazwisko — dokończyłam drżąc mimo woli.

— Tak?! Czy mówiła o nim coś więcej?

— Zdaje się, że musiał być kiedyś jej kochankiem. Zły, zepsuty i przewrotny człowiek, który ją namówił do złego i przez całe lata pomagała- mu w zbrodniczym procederze. Co jednak mnie przerażało wtedy, to plątanie nazwisk osób, które znała dawniej, z tymi, wśród których obecnie przebywa — szepnęłam prawie niedosłyszalnie.

— Doprawdy? Jakie nazwiska łączyła?

— Z tamtymi — moje — rzekłam drżącym głosem. — Powtórzyć nawet mi trudno — dodałam, oblewając się rumieńcem. — Nieprawdopodobne brednie. Mówiła, że ów fałszerz, bo nazywała go fałszerzem, że ten fałszerz chce się ze mną zenić! Podobno żądał od niej, aby mu w tym dopomogła! Łączyła moje nazwisko z pierwszym lepszym złodziejem! — wyszeptałam prawie z płaczem.

— Nazywała go pierwszym lepszym złodziejem? — rzucił pan Raynez szyderczo.

— Nie. Nie zdaje mi się — zaprzeczyłam. — Czy słyszał pan coś o nim?

— Tak jest — odpowiedział sztywno. — James Woodfall żyje, jeśli się nie mylę.

— Tak? — wymówiłam zmienionym głosem. — Zatem wyjaśnia się wszystko. Sara się na pewno z nim kontaktuje i on to z pewnością okradł Denham Court! — Och! Panie Raynez! — zaczęłam, błagalnie składając ręce. — Czy pan mógłby wyciągnąć od Sary, gdzie ten człowiek się ukrywa? Detektyw panu pomoże... trzeba go ująć koniecznie... koniecznie! Ja się boję! — szepnęłam z trwogą.

Pan Raynez potrząsnął głową.

— To nie przyda się na nic, drogie dziecko — odezwał się po chwili niezwykle łagodnie. — Jeżeli James Woodfall jest tym, o kim myślę, to nikt go nie dostanie żywym w swoje ręce.

27

Pan Raynez przespał tę noc w gabinecie przylegającym do sypialni żony. Widziałam go wychodzącego z tego pokoju, gdy szłam na śniadanie.

Całe popołudnie zajęta byłam pakowaniem do wielkiego kufra rzeczy Haide i swoich. Jutro przecież mamy wyjechać.

Dziwiło mnie trochę milczenie mojej matki. Spodziewałam się od niej dłuższego listu jeszcze wczoraj. To było niepodobne do niej, żeby się ze mną nie skontaktowała. W poniedziałek napisałam do niej obszerny list, który wrzuciłam do domowej skrzynki. Teraz, kiedy Sara leży, nie potrzebowałam lękać się przecież o listy. Pocięczałam się, że pojutrze zobaczę się z nią, a za kilka dni ujrzę drogą twarz Jerzego!... Chwilami miałam jednak złe przeczucia, nie wiedziałam, co mam o tym myśleć, co robić...

Zdawało mi się, że biedna, chora pani Raynez nie powinna zostawać sama w tym pustkowiu, wśród niezdrowych trzęsawisk i posepnych wichrów. Gdy wyjadę, nie będzie miała z kim porozmawiać, za całe towarzystwo zostaną jej dwie służące, pielęgniarzka, nieprzytomna Sara i Mona, do matki niezbyt przywiązana. Wprawdzie pani Raynez stanowczo odmówiła udziału w podróży, ale... Czy należy liczyć się z kapryсами chorych, zwłaszcza, jeżeli mogą dla nich być szkodliwe? Zauważyłam od paru dni w jej ruchach nerwowe podniecenie, głębokie, smutne oczy zwracają się na mnie coraz częściej z dziwnym, nieokreślonym wyrazem, który dziwnym uczuciem napęnia mi duszę. Czasem jestem przekonana, że stara mi się coś powiedzieć, że ostrzega mnie, prosi... Nie widzę w jej zachowaniu nic chorobliwego i gdyby nie ten kamienny, chłodny spokój, zawsze jednakowa obojętność... Nie! Zupełnie nie wiem, co mam o tym myśleć!...

Doktor Lowe przyjechał przed samym obiadem. Pan Maynard wyszedł na jego spotkanie, chwilę rozmawiali szeptem, później doktor udał się do chorej, a detektyw czekał na niego w salonie. Upłynęło dobre pół godziny zanim stary lekarz zjawił się z powrotem. Twarz miał zamyśloną i poważną. Oznajmił detektywowi,

że Sara prawdopodobnie nigdy nie odzyska przytomności i resztę życia spędzi w szpitalu wariatów. Potem skłonił się głęboko i odjechał. Pan Maynard zaczął więc przesłuchiwać pozostałą służbę. Zrobił drobiazgową rewizję kufrów Sary, kuchni, pokoju, w którym leżała, kredensu. Pomagał mu w tym gorliwie pan Raynez, bez najmniejszych jednak rezultatów. Zdaje mi się jednak, że do spiżarni i lewego skrzydła domu nie zaglądali. Pan Maynard oświadczył w końcu, że pragnie odjechać przed wieczorem. Mój pan gorąco namawiał go do pozostania. Zaproponował, że pojedzie z nim jeszcze dzisiaj do pałacu, przedstawi jako przyjaciela, który na kilka dni przyjechał ze stolicy, a on dokładnie obejrzy miejsce kradzieży, pozna rozkład domu, porozmawia z gośćmi, gospodarzami i służbą i kto wie, czy nie natrafi na prawdziwe ślady. Nikt mu nie zarzuci, że stracił tyle czasu nadaremnie.

— Zna się pan tyle na mechanice, że może przez krótki czas uchodzić za inżyniera, inspektora, czy coś w tym rodzaju — zachęcał pan Raynez.

— Czy pan wie, że podejrzenie o kradzież padło początkowo na grupę marynarzy, którzy tu pracowali? Zarządzono poszukiwania, śledztwo, przez kilka dni okolica roiła się od detektywów, ale bez rezultatu

— dokończył złośliwie.

Pan Maynard zachmurzył się na wzmiankę o detektywach. Widocznie sam pragnął zebrać laury. Ucieszył się, gdy usłyszał o ich niepowodzeniu. Przystał na propozycję. Właściciel Alders natychmiast kazał zaprzęgać. Gdy wyszliśmy na ganek, zdążył mi szepnąć, że z jego pomocą detektyw rzeczywiście może coś odkryje. Pytanie tylko, czy skorzysta z niej. Zapowiedział, że wrócą wcześniej i żeby przygotować obiad na siódmą. Przypomniał jeszcze, żebym zapakowała dziś wszystko, co mamy wziąć ze sobą, szepnął, że przygotował dla mnie prezent, ale dopiero jutro mi pokaże, i wskoczył za towarzyszem do powozu. Odjechali.

Wróciłam zamyślona do jadalni, gdzie nadąsana kucharka sprzątała ze stołu. Jane nie przyszła jeszcze z folwarku i zaczynałam się już niepokoić. Przy kominu siedziała pani Raynez, pieszcząc w milczeniu Haide.

Stałam we framudze okna i czekałam spokojnie, aż stara Jennings skończy sprzątać. Kiedy zniknęła wreszcie w drzwiach, przysunęłam niski stołeczek do ognia i usiadłam tuż przy pani Raynez.

— Czy bardzo ciężko będzie pani się z nią rozstać? — zapytałam cicho, wskazując oczyma na małą.

Objęła mnie głębokim spojrzeniem.

— Ciężko... — odparła zgnębiona — ale... jeszcze więcej lękam się o panią.

— O mnie?! — zawołałam zdziwiona.

— Tss! — szepnęła strwożona. Rozplotła przezroczyście dłonie, otaczające szyję córki, i powiedziała jej łagodnie, żeby poszła się bawić. Haide posłusznie pobiegła do okna i zaczęła bawić się lalką.

— Cierpieniem całego życia okupiłam zapewne tę chwilę — wymówiła pani Raynez niedosłyszalnym głosem, zatrzymując moje ręce w gorącym uścisku. — I za to dzięki Ci, Boże. Pani jest dobra i niewinna jak dziecko. Teraz zrozumiałam wszystko — ciągnęła cicho. — Mogę uratować jedną duszę...

Zaczęłam się obawiać, że biedna kobieta traci przytomność i może dostać ataku, wobec którego byłabym bezsilna. Prosiłam, by nic nie mówiła, jeśli ją to męczy, spytałam nawet, czy mam jej przynieść wodę kolońską.

Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się boleśnie.

— Nie jestem umyślowo chora, nie lękaj się, dziecko — rzekła, zwracając na mnie swoje smutne oczy. — Chcę cię tylko ostrzec — dodała szeptem, zbliżywszy usta do mojego ucha. — Niech pani pamięta dobrze moje słowa. Jeżeli w Londynie nie będzie pani matki na stacji, żądaj, abyście się udali do jej mieszkania. Pod żadnym pozorem nie zgadzaj się na dalszą podróż! Gdyby nalegał, zawołaj stróża, czy policjanta, niech się zrobi zamieszanie, ale nie jedź, pamiętaj! — dorzuciła zmienionym głosem.

— Mam się sprzeciwiać woli pana Rayneza? Nie zechce mnie posłuchać! Pani go zna przecież, w postanowieniach swych jest nieugięty.

— Niech pani spróbuje przełamać tę wolę — odparła stanowczo, chociaż bardzo cicho. — Trzeba tylko odwagi. Pani ma wielki wpływ na niego. Pani pierwsza ośmieliła się samodzielnie przeprowadzić coś pod tym dachem: nikt z nas nie odważyłby się posłać po doktora, albo przenieść chorą Haide na górę. Sarze, choć podejrzana jest o kradzież, i Haide nie grozi niebezpieczeństwo, ale tobie!... Na miłość Boską, miej odwagę!

Głowa pani Raynez opadła na oparcie fotela, przymknęła powieki, twarz, szyję i ręce okryły gęste krople potu. Leżała nieruchoma, blada, prawie martwa. Wpatrywałam się w te męczeńskie rysy z przerażeniem, bałam się odetchnąć, poruszyć, zdawało mi się, że ona umiera. Długa chwila upłynęła nim pani Raynez otworzyła oczy. Pierwsze jej spojrzenie padło na mnie, musiała zauważyć przestrach w mych oczach.

— Nie jestem umyślowo chora — powtórzyła smutno, lecz stanowczo.

— Zresztą... myśl, co chcesz o mnie, jeżeli zastaniesz matkę na stacji Liver-

pool Street. Jeśli jednak jej nie będzie, pamiętaj moje słowa... Mogę za nie zapłacić życiem... tylko... wszystko mi już jedno...

Uścisnęła moją dłoń i znów siedziała nieruchoma, martwa. Wstałam ze swego stołeczka, nie wiedziałam, co mam o tym myśleć: czy mam uważać panią Raynez za zdrową, czy chorą? Czy posłuchać jej rady, czy też... Ale nie. Nie mogę jej posądzać o nieszczerłość! A jednak... Każe mi być nieufną w stosunku do jej męża. Nie jest zazdrosna. Cóż sobie uroiła o naszej podróży? Matka moja może się spóźnić na stację, nigdy nie była punktualna. Przy mnie jednak będzie Haide. Prawdopodobnie zaproponowałabym czekanie na mamę, a może uprzejmy pan Raynez sam zawiózłby nas do jej mieszkania? Czego obawiać się mogę, mając przy sobie tak szczerego człowieka, który mnie wiezie do Jerzego?... Ta biedaczka musi być chora naprawdę.

A jednak jej słowa pozostawiły w moim umyśle silne, niezatarte wrażenie. Nie umiałam ich zapomnieć. Postanowiłam, że jeżeli mamy nie będzie na stacji, poproszę pana Rayneza, aby mi pozwolił pojechać po nią do mieszkania.

Pani Raynez nie odzywała się potem prawie wcale, widocznie zmęczyła ją rozmowa ze mną.

Siedziałyśmy w milczeniu, tylko trzask płonących drewek przerywał ciszę. Wybiła trzecia, wpół do czwartej, czwarta. Nagle donośny dźwięk dzwonka dobiegł nas od bramy. Kucharka, która poszła otworzyć, oznajmiła, że jakiś chłopiec prosi o zobaczenie się z panną Christie. Udałam się natychmiast do sieni. W progu stał mały, dziesięcioletni może chłopak. Zbliżył się do mnie i szepnął, że przysłała go pani Manners. Jest w szkole i pragnie porozumieć się ze mną co do sposobu rozdziału pomocy. Zwykle w grudniu rozdzielano pieniądze i odzież pomiędzy najbiedniejszych parafian. Wiedziałam o tym, ale wydawało mi się bardzo dziwne, że żona pastora chce naradzić się w tej sprawie ze mną. Nie należałam wcale do jej komitetu. Jednak nie mogłam odmówić. Wróciłam do jadalni i powiedziałam wszystko pani Raynez.

—Niech pani nie idzie — wyszeptała blednąc. — To na pewno jakiś podstęp. Pani Manners przysłała z poleceniami tylko synów. Nie chodź, dziecko.

—Uważam, że powinnam iść — odparłam nieśmiało. — Może to coś ważnego? Pani Manners była dla mnie taka uprzejma. Niech mi pani pozwoli.

W tym momencie do pokoju weszła kucharka i powiedziała, że pani Manners prosi o pośpiech.

—Czemu się pani namyśla, panno Christie? — spytała bezbarwnym głosem

pani Raynez. — Niech pani idzie.

Pobiegłam na górę i w kilka sekund byłam już gotowa. Serce mocno mi biło. Chłopiec z niecierpliwością oczekiwał na mnie. Cieszyłam się bardzo z jego towarzystwa, mały znał doskonale drogę i pewnie prowadził wśród gęstej mgły. Szliśmy bardzo prędko wzdłuż ciemnych żywopłotów. Mój przewodnik co chwila zachęcał mnie do pośpiechu i w końcu już prawie biegliśmy. Chłopiec nie spuszczał ze mnie wzroku, bał się widocznie, że zabłądzą wśród mgły. Bawiło mnie to niewymownie.

— Proszę tedy — odezwał się nagle przewodnik i skręcił wąską ścieżką w lewo.

— Ale źle idziesz, mój chłopcze! Droga do szkoły prowadzi prosto. Tędy doszlibyśmy do Dunning Farmy!

— Niech pani będzie spokojna — powiedział pewnym głosem. — Zdaje się, żeśmy skręcili zanadto w prawo. Teraz właśnie trzeba to naprawić. Prędko, proszę pani.

Był niespokojny. Bezwiednie prawie podążyłam za nim. Ścieżka skręciła wkrótce między zarośla i krzaki, mały przewodnik naglił coraz bardziej, ogarnęło mnie niedobre przeczucie i już chciałam zawrócić, gdy chłopiec przystanął i gwizdnął donośnie.

— Co robisz? — zapytałam ostro.

Nie odpowiedział. Zrobił jeszcze kilka kroków i zagwizdał znowu. Stałam jak przykuta, niezdolna się poruszyć, przerażona.

— Już go nie ma! — szepnął przestraszony chłopiec.

— Kto? Kogo?! — zawołałam zdjęta straszną trwogą.

Za całą odpowiedź usłyszałam tylko łamanie i trzask gałęzi, i kilkanaście kroków ode mnie we mgle i oparach zobaczyłam ciemną sylwetkę człowieka, wysuwającego się z najbliższych krzaków.

Zmartwiałam. A potem krzyknęłam okropnie i zaczęłam co tchu biec w przeciwną stronę. Straszne myśli wirowały mi po głowie. Byłam pewna, że goni mnie Tom Parkes lub Gordon, pragnąc się zemścić za posądzenie ich o kradzież. Sara mnie wydała!

— Dziękuję panu — dobiegły mnie po chwili słowa przewodnika, potem odgłos szybko zbliżających się kroków... Krew mi zaczęła stygnąć w żyłach, rozpaczliwym ruchem rzuciłam się w kierunku żywopłotu. Uklęknęłam i do połowy wsunęłam się w otwór parkanu, rozchylając spadające mi na twarz ostre, kolące gałązki. Zakryły mnie gęste pnącze i ciemna mgła. Po kilku sekundach prze-

mknął tuż koło mnie mężczyzna. Wstrzymywałam oddech, bojąc się zdradzić. Niedługo trwała moja radość: te same kroki zbliżały się znowu, wolniejsze teraz, tuż przy żywopłocie. Zaczęłam się modlić. Wtem pochwyciły mnie silne ramiona. Zimny dreszcz przeniknął mnie, nie miałam siły, aby się wyrwać, przymknęłam oczy i wpadłam w jakieś dziwne półomdlenie. Nie mogłam myśleć, poruszać się, mówić, drżałam jak osina.

— Nie rób mi nic złego, panie, nie zabijaj! — wyszeptałam w końcu.

— Ciebie?! Najdroższa moja!... Spójrz na mnie — zabrzmiały mi w uszach słodkie słowa. — Dzięki Najwyższemu, że nic ci się nie stało...

Podniosłam powieki i radosny krzyk wydarł się z mej piersi. Zarzuciłam Jerzemu ręce na szyję i przytuliłam się do niego cała drżąca. Nasze spojrzenia połączyły się. W oczach Jerzego wyczytałam trwogę i rozpacz zmieszane ze szczęściem, płonął w nich ponury, gorączkowy ogień, twarz miał wychudłą i bladą, usta ściągnięte bólem... Objął mnie mocno, całował oczy, włosy, czoło, potem nasze usta zwały się na długo... Dokoła panowała cisza, słyszeliśmy tylko bicie naszych serc. Później Jerzy zaczął mówić o swojej tęsknocie. List mój dostał wczoraj rano i natychmiast wyjechał.

— Dzięki Ci, Boże! — powtórzył, serdecznie tuląc mnie w ramionach.

— Zdążyłem wrócić na czas...

— Jak to, Jerzy? — przerwałam zdziwiona. — Nie rozumiem. I tak za dwa dni mieliśmy się zobaczyć. Wyjeżdżamy już jutro rano.

— Jutro rano! O Boże! Gdybym się spóźnił o kilka godzin... mogłem cię utracić na zawsze! — powiedział cicho z takim bólem i rozpaczą, że łzy stanęły mi w oczach.

— Utracić? Jerzy, co to znaczy? — spytałam przestraszona.

— Violet... Violet najdroższa moja... czy sądzisz, że to do mnie zawiózłby cię ten człowiek?

— A gdzie? — wyszeptałam trwoźnie.

— Wszędzie, byle nie tam! — odrzekł Jerzy, a oczy rozgorzały mu płomieniem zemsty. — On cię kocha, jeśli to uczucie może być godne tej nazwy. Nie ocaliłaby cię przed nim ani niewinność twoja, ani czystość. Och! byłem ślepy i szalony, że cię zostawiłem samą. Twój list otworzył mi oczy.

— Jerzy! Jedyne moje Jerzy! — szepnęłam bladymi ustami. W tej chwili rozumiałam wszystko.

— Cicho, najdroższa... nie płacz, Violet moja... przy mnie jesteś bezpieczna... — powiedział, całując moje zapłakane oczy. — Nie myśl więcej o tym... Dawno

powinienem cię ostrzec, dawno domyślałem się już tej ohydy. Tylko... tak trudno było mi mówić o tym tobie, niewinnej gołąbce.

— Jednak... matka moja miała także jechać — odezwałam się nieśmiało, kryjąc twarz na jego piersi. — Czy nie pisałam ci tego? Dostałam list od niej.

— Którego nigdy nie pisała — dokończył Jerzy ze smutnym uśmiechem. — Wyjeżdżając z Nizzy, zatelegrafowałem do twojej matki, prosząc o przybycie na stację Charing Cross. Tam spotkaliśmy się i z własnych jej ust usłyszałem, że nie widziała nigdy pana Rayneza i nic nie wie o tej podróży!

Tego było za wiele dla mnie, zemdlałam w ramionach Jerzego. Gdy oprzytomniałam, zobaczyłam, że z niepokojem wpatruje się w moją twarz.

Potem położył mnie na trawie i zwilżył wodą skronie.

Potem długo całował moje ręce. Mgła stawała się coraz gęstsza, zakaszlałam... Podniósł mnie prędko z ziemi, otoczył ramieniem i zaczęliśmy iść powoli do drogi.

— Co począć teraz, Jerzy? — spytałam w końcu z drzeniem. — Czy mam powiedzieć, że powróciłeś i nie życzysz sobie, abym opuszczała Anglię?

— Niech Bóg broni! — odparł prędko. — Nikt w Geldham nie wie o moim przyjeździe. Nawet w białej willi. Dlatego musiałem wywabić cię z domu podstępem. Chłopiec, który cię sprowadził, nie wie nawet, jak się nazywam. Spotkałem go, idąc pieszo ze stacji! Obiecałem małemu szylinga, jeżeli cię przyprowadzi.

— Aha! To dlatego troszczył się tak o mnie — odezwałam się z uśmiechem. — Ale dlaczego otaczasz swój powrót taką tajemnicą? Czemu ukrywasz się nawet przed ojcem?

— To cudzy sekret, Violet. Dziś jeszcze nie mogę ci go wyjawić

— odrzekł z zagadkową twarzą, po której przeleciały znów ciemne płomienie.

— Zaczekaj do jutra na odpowiedź, najdroższa.

— Jerzy! Co to? Ja chcę wiedzieć zaraz!

Milczał ciągle, a mnie łzy zaczęły płynąć po policzkach.

Przytulił mnie łagodnym, serdecznym ruchem i półgłosem opowiedział wszystko. Postscriptum w ostatnim moim liście bardzo go przeraziło. Pisałam o człowieku, którego podejrzewam o wzięcie udziału w kradzieży w pałacu, że się kręci koło białej willi, że ma być w niej we środę. Zaraz go tknęło niedobre przecucie. Telegrafował do Głównego Zarządu Policji

i prosił o przysłanie na tę noc kilku policjantów, żeby czekali tam na złodziei. Do Beaconsburgh wysłał zaufanego człowieka, który miał ich ukryć w parku,

we wskazanym miejscu. Teraz zapewne już są na stanowiskach. Mgła ułatwia im bardzo zadanie. Kilku ludzi ma zostać poza ogrodzeniem, reszta w zaroślach, tuż przy domu. Nikt niepostrzeżony nie przedostanie się do willi. Mgła równie dobrze może dopomóc, jak zaszkodzić. Jeśli złodzieje przyjdą rzeczywiście, to szukać muszą po omacku i wpadną w ręce policjantów, jeżeli nie uciekną pod zbawczą osłoną oparów. Zdać się trzeba na los szczęścia.

— Pamiętasz, Violet, pisałaś o dziwnym majaczeniu Sary — mówił dalej przyciszonym głosem. — Wspomniałaś, że powtarza nazwisko Jamesa Woodfalla, którego oskarża o ciężkie przewinienia. Otóż pomiędzy przysłanymi policjantami jest jeden, który zna tego człowieka. Jest to podobno genialny fałszerz. Schwymano go jeszcze jako młodego chłopaka. Uciekł jednak i ślad po nim zaginął. Dlatego chwilami wątpię, czy brał udział w okradzeniu pałacu. Powiedziałem to naczelnikowi policjantów, ale on ma inne zdanie. Przyszłość okaże, kto ma rację — dodał dziwnym tonem. — Teraz, najdroższa, wiesz wszystko. Pamiętaj tylko, że o tym nie wolno nikomu powiedzieć.

1 nie lękaj się, gdyby pan Raynez kazał ci jechać, pojedę z tobą tym samym pociągiem. Matka oczekiwać cię będzie na Liverpool Street, prosiłem ją o to.

Szliśmy wąską ścieżyną wśród żywopłotów, które ciągnęły się po obu stronach szosy, Alders było już niedaleko. Nagle dobiegł nas turkot i głośny tętent końskich kopyt. Cofnęliśmy się z drogi na bok, między krzaki. Po chwili zamajaczyła niewyraźna sylwetka powozu i doszły nas dwa męskie głosy. Jerzy przytulił mnie mocno do siebie. Poznałam pana Rayneza, przy nim siedział detektyw. Konie szły teraz bardzo wolno.

— Dobrze, że pan został na noc — zabrzmiał głos właściciela Alders.

— Nie jestem pewien, czy znajdę drogę do mojej własnej bramy. Piekielnie ciemno.

Kiedy powóz oddalił się już tak daleko, że zupełnie straciliśmy go z oczu, poszliśmy ostrożnie za nim. W końcu usłyszeliśmy, że powóz się zatrzymał, bo turkot ucichł nagle, a po chwili zgrzyt otwieranej bramy. Jerzy w milczeniu podniósł do ust moje ręce i znikł we mgle. Bez szelestu uchyliłam boczną furtkę i

przemknęłam się niepostrzeżona pomiędzy drzewami. Teraz biegłam jak mogłam najprędzej, trawa tłumiła odgłos moich kroków. Zdażyłam wpaść do jadalni, zanim tamci wyjechali z szerokiej alei. Nie wspomniałam im naturalnie ani słówkiem o całej wyprawie, na milczenie pani Raynez mogłam liczyć.

Po obiedzie pan Raynez przyniósł stare wino i wszyscy musieli wypić za pomysłność jutrzejszej podróży. Potem zapytał pana Maynarda, czy lubi muzykę.

;

— Wiążą się z nią niezbyt przyjemne wspomnienia młodości z powodu licznych klapsów, które otrzymywałem za grę na kornecie — odparł, śmiejąc się rubaszenie. — Teraz nie grywam wcale.

— Widzę, że nie należy pan do wielbicieli tej królowej sztuk — zauważył z uśmiechem pan Raynez. — Ja przeciwnie, nie umiem żyć bez niej. Próbował pan kiedy skrzypiec?

— Nie! — odpowiedział pan Maynard, krzywiąc się komicznie. — To zanedo „skrzypiący” instrument. Wolę już grać na flecie.

— W takim razie nie śmiem prosić pana o wysłuchanie lichego koncertu, jaki zamierzam dać — odezwał się spokojnie pan domu. — A nie jestem w stanie odmówić sobie tej przyjemności. Mgły i niepogoda tak mi rozstroiły nerwy, że koniecznie muszę je ukoić muzyką. Zamknę jednak drzwi do salonu. Żona i pan-na Christie będą pana zabawiały rozmową. Jest wpół do ósmej. O dziewiątej skończę i wtedy może zagramy w tryktraka. W tym ma pan zapewne wprawę? dodał z nieuchwytną ironią.

Z kolei pan Raynez zwrócił się do mnie, i poprosił o wyszukanie nut na skrzypce do *Traviaty* i *Irish Melodies* Moore’a. Poszłam do salonu i klękawszy przed wielką półką, zaczęłam przerzucać nuty. Właściciel Alders zjawił się po chwili i lekko zamknął drzwi za sobą. Nie odwróciłam nawet głowy, szukałam potrzebnych zeszytów. Wtem coś zimnego poczułam na szyi, potem delikatny trzask sprzączki. Zerwałam się na równe nogi. Pan Raynez stał przy mnie z dziwnym ogniem w oczach. Łagodnie ujął moją rękę i z uśmiechem zaprowadził mnie do lustra. Na mojej szyi cudny naszyjnik połyskiwał przepychem rubinowych blasków. Nieokreślony lęk dreszczem przebiegł moje ciało.

— Dotrzymuję obietnicy — szepnął wzruszonym głosem. — Przywiozłem pani granaty. Czy się pani podobają?

W myśli stanęły mi słowa Jerzego i wspaniałały podarunek przejął mnie głębokim wstrętem. Bez namysłu podniosłam w górę drżące dłonie, rozerwałam spin-

kę i naszyjnik niby wąż zwinął się na miękkim dywanie. Zakryłam oczy i przez długą chwilę stałam blada, nie wiedząc, co począć. W końcu podniosłam dumnie głowę.

Pan Raynez objął mnie długim, badawczym spojrzeniem, płomienie grały mu w ciemnych źrenicach, z oczu sypały się iskry. Nie mogłam znieść, jego wzroku i musiałam spuścić powieki. Wtedy w milczeniu schylił się po' klejnot i wsunął go do kieszeni. Zapanowała kłopotliwa cisza.

— Wspaniały ruch i królewski postępek — odezwał się w końcu z ironią. — Czy jednak to nie jest niewdzięczne? Błąd swój może pani naprawić w każdej chwili. Naszyjnik pozostanie u mnie. A teraz może pani zechce pomóc żonie w bawieniu niezabawnego wcale detektywa? Przyjdę do was o dziewiątej. Idź już, drogie dziecko — dodał miękko.

Wróciłam do jadalni dziwnie zmieszana. Nie wiedziałam, co myśleć o swoim postępku. Pani Raynez objęła mnie smutnym spojrzeniem, ceglasty rumieniec wykwitł na jej twarzy. Usiadłam w milczeniu przy stole. Wtem z zamkniętego salonu popłynęły ciche, melodyjne dźwięki. To pan Raynez grał przepięknie *Adieu* Schuberta. Detektyw usiadł wygodnie w niewielkim krześle i od razu stracił chęć do rozmowy. Tęskne tony płynęły spokojnie, chwilami namiętne.

Cudownie! Doskonale! — szepnął detektyw sennym głosem.

Teraz zabrzmiała uwertura z *Rigoletta*. W pokoju było cicho, słuchałam muzyki z przymkniętymi oczami, a pani Raynez z czołem ściągniętym boleśnie. Może te dźwięki wywołują w niej przykre wspomnienie? Skrzypce znowu umilkły. Po chwili rozległy się potężne tony arii z *Marty* i potężne chrapanie szanownego gościa. Spał w najlepsze ze zwieszoną głową. Byłam na niego oburzona. Dziwnie na mnie działała dzisiaj muzyka. Kiedy spod wprawnych palców pana Rayneza płynęło *Adieu* Schuberta, słuchałam wstrzymując oddech, byłam oczarowana, dusza wybiegła gdzieś w nieskończoność. Każda nuta znajdowała odzwiek w najgłębszych tajnikach duszy, skrzypce łkały, skarżyły się namiętnie, to znów pieściły ucho prawdą rozpaczliwego pożegnania. Gdyby wyraźnie nie zapowiedział, że nikt nie ma mu przeszkadzać do dziewiątej, pobiegłabym do salonu, drzwi bezlitośnie tłumiły cichsze nuty. Ale tego uczynić nie śmiałam. Gdy jednak zabrzmiały pierwsze takty *Rigoletta*, byłam niemile rozczarowana.

Opera należy do moich najulubieńszych i słucham jej zawsze z wielką przyjemnością, a pan Raynez grał ją dzisiaj bez uczucia, chwilami skrzypce jęczały pod ciężkim dotknięciem, melodia płynęła bezbarwnie i blado, nie mogłam po-

znać wcale jego ręki. Gdzie się podziało owo bogactwo odcieni, które tak po mistrzowsku umie ze strun wydobywać? Gdzie są te pełne, pieszczące ucho dźwięki? Co to znaczy? Rzuciłam na pana Maynarda przelotne spojrzenie. No, ten nic nie zauważył. Pani Raynez też spostrzegła różnicę w grze męża i widocznie sprawiło jej to przykrość, bo pobladła dziwnie i usta jej drżały. Więc go kocha? Nie umiem rozwiązać tej zagadki. Zza drzwi dobiegły potem dźwięki najpiękniejszej arii z *Marty*. I znowu

o wiele lepsze wykonanie, lepsze niż kiedykolwiek. Spod smyczka płyną czyste, silne tony, oddanie przejść trudniejszych bez zarzutu. A jednak? Najpoprawniejsze, zawrotne wykonanie tryłów, najczystsze oddanie kadencji nie zastąpi w muzyce duszy. Pan Raynez całą duszę włożył w pierwszy utwór i teraz już zapewne czuje się zmęczony. Jego dzisiejszą grę nazwałabym popisywaniem się wprawnego wirtuoza, a on był dotąd poetą-muzykiem. Nie poznawałam nadal jego ręki, z przykrością słuchałam martwych dźwięków. Pani Raynez wsłuchiwała się w nie też z niezwykłą uwagą, nie spuszczać jednocześnie wzroku z uśpionego gościa.

Przymknęłam znowu oczy i oddałam się innym, niespokojnym myślom. Co się dzieje w Geldham Hall w tej chwili? Czy konstable zajęli już posterunki? Czy przyjdą złodzieje? Czy Tom Parkes będzie złapany? Może się okaże, iż Gordon także był jego współnikiem? A przede wszystkim, czy zdołają schwytać owego Jamesa Woodfalla, tego króla złodziei? Wszystkie te myśli wirowały w moim mózgu. Chwilami robiło mi się straszno. Bądź co bądź oni przeze mnie schwytają jednego, może kilku ludzi. Zimny dreszcz mną wstrząsnął. Po co pisałam o tym Jerzemu? Okropnie jest mieć na sumieniu wolność... może krew... nawet zbrodniarza. Nie, nie chcę tego! Nie chcę! Zaczynałam pragnąć, żeby Tomowi udało się uciec. Nie powinnam tak myśleć, ale Tom osobiście nigdy mi nie zrobił nic złego, lubiłam nawet dosyć jego dobroduszną i prawie poczciwą twarz. James Woodfall może wystarczy konstablom. Sądząc po słowach Sary i gorączkowej skwapliwości policji, która na niejasną wzmiankę o nim zarządziła obławę, nawet bez widoków powodzenia — musi to być niepospolity, wielki zbrodniarz. Tego niech schwytają. Tom był zapewne tylko ślepym narzędziem w jego rękę. Na pewno on winien wszystkiemu, musiał być ich panem, jeśli mściwa, okrutna Sara słuchała go. Ciekawa jestem jak wygląda taki zbrodniarz?

Zaczęłam myśleć o czym innym. W pamięci z dziwną jasnością i siłą zarysowało się ostatnie ostrzeżenie pani Raynez. Potem przypomniało mi się, co mi mówił dzisiaj Jerzy o podróży do .Monaco i o tym oszustwie... Czyżby pan Ray-

nez postępował ze mną obłudnie? Czy to może być prawda? Był zawsze dla mnie uprzejmy, dobry i łagodny, traktował mnie często jak dziecko... A z jaką godnością podniósł rzucony przeze mnie naszyjnik! Nie! Nie uwierzę nigdy w jego hipokryzję! A list od matki, którego wcale nie pisała? — przemknęło mi przez głowę. Łzy puściły mi się z oczu. Jak to wytłumaczyć? Jednak... jeśli się w kogoś wierzy, to trudno tak zważyć w niego od razu. Po chwili otarłam oczy. Tak. Ufam jeszcze mojemu panu, mam nadzieję, że potrafi oczyścić się z zarzutu.

Nagle rozległo się donośne, przeciągłe szczekanie. Wzdrygnęłam się. To Nap, dog — ulubieniec właściciela Alders niecierpliwie się zapewne na łańcuchu.

Spojrzałam na panią Raynez. Jej wygląd mnie przeraził. Twarz miała bladą jak papier, w oczach był ból i smutek. Popatrzyłam na zegar — za siedem minut dziewiąta. Dog zaszczekał znowu, a później raz po raz odzywało się zajadłe szczekanie i wycie. Zbliżyłam się do pani Raynez

i chwyciłam ją za rękę. Drżała. Chciałam ją uspokoić, coś powiedzieć, ale położyła palec na ustach, wzrokiem wskazując śpiącego spokojnie detektywa. Z salonu bez przerwy płynęły melodyjne, uroczyste tony skrzypiec.

Wybiła dziewiąta. Wstałam z krzesła, puściłam zimne dłonie pani Raynez i podbiegłam do drzwi od salonu. Nacisnęłam klamkę. Zamknięte. Zastukałam. Żadnej odpowiedzi. Widocznie tak się zatopił w muzyce, że nie słyszy — pomyślałam trochę zaniepokojona.

Zapukałam powtórnie.

—Już dziewiąta — odezwałam się stłumionym głosem. — Pan kazał przerwać sobie o dziewiątej.

Milczenie.

Teraz już zaczynałam się niepokoić naprawdę. Co to ma znaczyć? Pan Raynez ma słuch doskonały! Może nie życzy sobie, aby mu przerywać? W takim razie nie będę mu przeszkadzać. Przeszłam cicho przez pokój i wyszłam do sieni. Tutaj zapaliłam świecę i przez drzwi szkolne chciałam wyjść na chwilę do ogrodu. Nap ujadał coraz bardziej. Zawahałam się. A nuż w parku jest ktoś obcy? Otworzyłam okno i wychyliłam się, nasłuchując z uwagą.

Gęsta, wilgotna mgła okryła wszystko jednolitym całunem. Z początku nie mogłam nic dojrzeć, siny opar napełnił pokój w jednej chwili. Zdecydowana już byłam do wyjścia, gdy we mgle błysnął blady płomień

i ciemna sylwetka mężczyzny.

— Kto jest w oknie? — usłyszałam stłumiony szept Jerzego.

— To ja, Violet Christie — odparłam bardzo cicho. — To ty, Jerzy?

— Tak — odpowiedział dziwnym głosem. — Otwórz nam drzwi, Violet. Za chwilę był w pokoju. Za nim wsunął się obcy człowiek w średnim wieku, w gumowym płaszczu i z latarką w ręce. Z niepokojem spojrzałam na Jerzego, uderzyła mnie niezwykła bladość jego twarzy, miał podkowy pod oczami, źrenice mu gorączkowo błyszcząły. Dobiegło nas głośnie granie. Jerzy drgnął i uchwycił silnie moją rękę.

— Kto gra? — zapytał szeptem.

— Pan Raynez — odrzekłam spokojnie. '

Obaj mężczyźni spojrzeli po sobie.

— Czy dawno? — spytał obcy.

— Zaczął przed ósmą — szepnęłam z wahaniem, zwracając na Jerzego zdziwiony wzrok.

— Czy jest ktoś przy nim? — zapytał mnie obcy.

— Nie ma nikogo — odparłam, przestraszona trochę tą niezwykłą indagacją.

— Pan Maynard zasnął w jadalni.

— Maynard?! — rzucił przybyły.

— Tak jest.

Błyskawice sypnęły mu się z oczu.

Jerzy ujął mocno moją rękę, usta miał zaciśnięte, oczy mu płonęły.

— Czy nie widziałś go po powrocie? — szepnął.

— Pana Rayneza? — Owszem. Dopiero przed pół do ósmą poszedł do salonu, prosił, żeby mu nie przeszkadzać do dziewiątej.

Obcy słuchał uważnie, wyjął zegarek i spojrzał na niego w milczeniu. Zrozumiałam, co to znaczy i zaczęłam mówić:

— Chciałam wejść do salonu, ale drzwi zamknięte na klucz...

W oczach obcego zauważyłam dziwny błysk.

— Niech pani zapuka raz jeszcze i poprosi, żeby otworzył — powiedział stanowczo.

Przeraził mnie ton głosu i twarz tego człowieka.

— Dlaczego? — zapytałam, wstrzymując oddech.

— Bo tak trzeba — odparł głucho.

— Pan jest z policji! — zawołałam nagle. — Czego pan chce od pana Rayneza?!

Jerzy mocniej ścisnął moją rękę i przytulił mnie.

— Niech prawo spełnia obowiązek — rzekł poważnie. — Jestem przy tobie, Violet — dodał patrząc na mnie.

Nieznajomy objął nas zimnym spojrzeniem, wzruszył ramionami, zbliżył się do okna i zagwizdał cicho.

Upadłam na krzesło, drżąc jak liść na wietrze. Jerzy otoczył mnie ramieniem, twarz miał niespokojną i zmartwioną. Po chwili do pokoju wsunął się drugi mężczyzna, a za nim jeszcze jeden, olbrzymiego wzrostu, z ciężką, żelazną sztabą.

— Trzeba drzwi wyważyć — szepnął ten, co przyszedł z Jerzym.

Zerwałam się z krzesła. Chciałam biec do salonu i ostrzec pana Rayneza, ale powstrzymała mnie silna dłoń narzeczonego.

— Najdroższa — rzekł łagodnie. — Ty nie wiesz nic... To konieczność i — prawo.

Dźwięki skrzypiec płynęły znów głośniejsze, w całym domu panowała, niezmaczona cisza. Trzej mężczyźni bez szelestu wsunęli się do wielkiej sieni. Stąd prowadziły także drzwi do salonu. Przerażona, szłam za nimi, ściskając dłoń Jerzego.

Ciężka sztaba uderzyła gwałtownie w białe podwoje. Rozległ się trzask, łoskot, drzwi wypadły z zawiasów. W salonie był tylko Gordon. Rzucił skrzypce i błyskawicznie wskoczył na parapet okna. Ale w tej samej chwili zadźwięczały stłuczone szyby i z ciemności wynurzyły się nowe sylwetki. Schwytali Gordona i założyli mu kajdanki na ręce. Ten nie próbował nawet się wyrwać, stał się nagle obojętny, tylko twarz mu zbielała jak płótno.

— Bardzo dobrze. Ten człowiek także należy do bandy. Wpadłeś w pułapkę, ptaszku. Złapaliśmy waszego herszta.

— Jakiego herszta? — odezwał się z pogardą Gordon. — Kogo?

— Jamesa Woodfalla — powiedział detektyw z naciskiem.

— Kłamstwo! — zawołał Gordon. — James Woodfall nie pozwoli się schwycić nikomu!

— Doprawdy? A ja ci mówię, że jest schwytany.

— Głupiec — mruknął Gordon przez ściśnięte zęby. — Wszystko dlatego, że zachciało mu się po pańsku obchodzić z dziewczyną! O, gdybym ją miał teraz w ręku...

Wzrok jego padł na mnie. W oczach błysnęła mu straszna, nienawiść i ponure pragnienie zemsty. Wstrząsnął mną zimny dreszcz, jego słowa przejęły mnie trwogą. W głowie czułam zamęt, nie rozumiałam prawie, co się wokół mnie dzieje. Nagle krew zastygła mi w żyłach... Gordon miał w ręku rewolwer i mierzył w Jerzego... Pamiętam tylko, że krzyknęłam strasznie, rzuciłam się naprzód i

zasłoniłam własnym ciałem najdroższego... Potem usłyszałam trzask spadającego kurka i coś twardego uderzyło mnie w ramię. Jerzy pochwycił mnie z okrzykiem trwogi. W tej samej chwili Gordon wyrwał się z rąk policjantów i wyskoczył oknem, wołając: — Do niej mierzyłem! — Zwarły się nad nim mgły, otoczyła ciemność, zniknął.

Wtedy zrozumiałam, że jestem ranna, krew sączyła się po rękawie, nie czułam jednak bólu. Jerzy ostrożnie położył mnie na sofie, drżącymi dłońmi rozpiął stanik i zsunął rękaw z lewego ramienia. Zacisnęłam usta, żeby nie jęknąć. A on darł w milczeniu chustkę i bandażował moją rękę. Był strasznie blady, a na jego twarzy malował się taki ból, że znieść tego nie mogłam.

— Nie boli mnie tak bardzo — zaczęłam łagodnie — kula poszła dalej, na pewno nie tknęła kości. Ale chciałabym wiedzieć, co się tutaj dzieje? Więc schwytano złodziei? Jak się nazywają? Czy naprawdę złapano Woodfalla?!

— pytałam gorączkowo i nagle ucichłam, bo w drzwiach zobaczyłam jednego z detektywów. — Wolałabym, żeby Tom uciekł — szepnęłam Jerzemu do ucha. — On mi nigdy nie zrobił nic złego.

— Tom Parkes jest schwytany — odparł cicho Jerzy. — James Woodfall — niestety — uciekł.

— Więc był tu rzeczywiście? — zapytałam z trwogą. — Powiedz mi o nim wszystko.

— Czy nie lepiej zrobić to jutro? — perswadował łagodnie, całując mnie w czoło. — Boję się, że dostaniesz dziś gorączki... Nie żądaj tego ode mnie, najdroższa. Muszę zaraz iść po doktora.

— Jerzy! — zawołałam przerażona. — Musisz mi przyrzec, że nie pójdziesz dziś do Beaconsburgh. Z pewnością stałoby się nieszczęście. Przyrzeknij, najdroższy — prosiłam, patrząc mu błagalnie w oczy. — Ramię zabandażowane jest mocno, wytrzymam do rana. Doktor Lowe i tak jutro przyjedzie do Sary. A teraz mów mi prędko, co wiesz o kradzieży. Czy konstable czekali w ogrodzie?

Wtem myśl okropna przyszła mi do głowy, zerwałam się z sofy. Jerzy wziął mnie na ręce i przemocą położył z powrotem.

— Gdzie jest pan Raynez? — spytałam ze strachem. — Dlaczego Gordon grał na skrzypcach zamiast niego? Jerzy, w głowie mi się mąci! Nic, nic nie rozumiem! Czuję się tak okropnie. Jerzy! Powiedz, co to było?!

— Uspokój się, droga Violet, opowiem ci wszystko, wszystko zrozumiesz, tylko się uspokój. Może lepiej, że poznasz wreszcie prawdę, jeśli nawet jest okropna. Więc słuchaj. Po widzeniu się z tobą, udałem się do białej willi bronić własnego domu przed złodziejem. Konstablów już zastałem w parku, zajęli stanowiska, z dwoma stanąłem na klombie, naprzeciw kuchennego wejścia. Do siódmej było zupełnie spokojnie. Około wpół do ósmej, tuż przy nas wyszedł z mgły i krzaków jakiś obcy i zastukał lekko do drzwi kuchennych. Otworzyły się natychmiast i wyszła jedna ze służących. Nastąpiło czułe powitanie i oboje udali się w głąb parku, zostawiając otwarty dom. W tej samej chwili spostrzegłem wysoką, ciemną postać wślizgującą się przez uchylone drzwi do sieni. Przesunął się tak cicho, że nie zauważyłem, skąd przyszedł. Tom Parkes, on to przyszedł do służącej, niezbyt długo czulił się z dziewczyną, bo wkrótce odprowadził ją do progu i pożegnał. Zaledwie jednak zamknęła drzwi, zaczął się skradać wzdłuż ściany, w kierunku okna od lamusa. Przewidziałem to i tam się znajdował główny posterunek straży. Opuściliśmy nasze stanowisko, aby się połączyć z innymi i widzieć na własne oczy, co nastąpi. Czekaliśmy niedługo. Po chwili rozległ się przyciszony stuk otwieranego okna i dwukrotne, przeciągłe gwizdnięcie. Tom Parkes odpowiedział cichym świstem. Z krzaków wynurzyła się trzecia sylwetka. Znajdowałem się tak blisko ściany, że widziałem doskonale gruby sznur, zwisający z okna, po chwili spuszczone po nim spore zawiniątko. Tom oddał je przybyłemu, który szybko się z nim oddalił. Detektyw rozkazał dwóm konstablom pozwolić mu przejść aż do ogrodzenia, a potem pochwycić, reszta miała pilnować pozostałych. Wkrótce na ścianie zamajaczył drugi, większy od poprzedniego pakunek. Tom odczepił go od sznura bez szelestu i zanurzył się w mgłę jak pierwszy. Teraz z przytąjonym oddechem śledziliśmy poruszenia trzeciego współnika, który znajdował się jeszcze w pokoju. Okno znajduje się o dwadzieścia stóp nad ziemią, ale odważnie skoczył na trawę. W tejże chwili pięciu konstablów rzuciło się na niego, lecz wyrwał się z niezrównaną zręcznością i znikł w ciemnościach nocy. Starszy detektyw, ten, który przyszedł tu ze mną, zdążył go poznać: to był James Woodfall. I ja poznałem go — dodał Jerzy przytłumionym szeptem.

— Ty? — zapytałam zdziwiona.

W tym momencie zbliżył się do Jerzego starszy detektyw.

— Złe wiadomości — rzekł posepnie. — Ten drugi łotr uciekł także. Czy pani mogłaby mnie objaśnić, gdzie jest Maynard? — zapytał, zwracając się do mnie.

Podniosłam się z sofy i wsparta na ramieniu Jerzego skierowałam się powoli do jadalni. Pani Raynez siedziała na tym samym miejscu, wyprostowana, sztywna, blada, z gorączkowo błyszczącym spojrzeniem. Detektyw spał głębokim snem sprawiedliwego.

Agent obrzucił badawczym wzrokiem cały pokój, na chwilę zatrzymał oczy na winie i wypróżnionych szklankach, potem podszedł do śpiącego i trącił go w ramię.

— Pijany! — syknął szorstko i niemiłosiernie zaczął trząść uśpionym, aż pan Maynard zerwał się na równe nogi i powiódł wkoło nieprzytomnym wzrokiem. — Typowy detektyw! Nie ma co mówić! — rzucił z gniewem agent. — Maynard! Oszalałeś?! Śpisz spokojnie pod dachem największego z łotrów?!!

— Co?! — zawołał zdumiony detektyw. — Pan Raynez?

— Właśnie! Pan Raynez! — dla takich jak ty, niedołęgów! — pinił się rozgniewany agent. — Dla mnie, dla wszystkich — to zbiegły fałszerz — James Woodfall!!

29

James Woodfall!! Z moich ust wyrwał się krzyk trwogi. Cały świat zakreślił się ze mną. Tak ufałam temu człowiekowi! Wydawało mi się, że wszystko mi się wali w gruzy, że pod nogami mam przepaść. Wyrwałam dłoń z rąk Jerzego i przerażonym, nieprzytomnym wzrokiem popatrzyłam na panią Raynez. Siedziała w fotelu nieruchoma jak przedtem, oczy miała przymknięte, wychudłe ręce spłótła na kolanach i z pochyloną głową słuchała tych strasznych słów, które jej zła- mały życie przed laty. Długo nie mogłam oderwać wzroku od tego uosobienia cierpienia. Bielmo spadło mi z oczu, darły się zasłony, pojęłam w końcu wszystko, zrozumiałam tajemnicę domu na moczarach.

Uklękłam przed nią, a ona zarzuciła mi ręce na szyję i całowała w milczeniu. Jerzy skłonił się jej z szacunkiem i wyszedł cicho z pokoju. Za nim podążyli detektywi.

Zostałyśmy zupełnie same.

— Droga, droga pani — szeptałam nabrzmiałym łzami głosem. — To strasz-

ne. To straszne dla ciebie!

Długo milczała, jakby nie mogła mówić.

— Nie mówmy o nim — szepnęła wreszcie, oglądając się trwożnie wokoło.
— On może... niedaleko... ukrywa się w tym domu. Tamci nigdy go nie znajdą, nie pochwycą! Będzie się mścił... — dodała drżąc. — Domyśli się z pewnością, że pani wpadła na ślad kradzieży przy pomocy narzeczonego.

— Nie przypuszczałam, że ślady zaprowadzą mnie do pani męża — przerwałam drżąc. — Daleka byłam od prawdy.

Zaczęłam rwącym głosem opowiadać pani Raynez o moich podejrzeniach co do Toma, o liście wysłanym do Jerzego przez Alicję, o wszystkim. Chciałam być czystą w jej oczach.

— Boję się o was — powiedziała cichym, bezdźwięcznym prawie głosem. — On nie dopuści, nie pozwoli nigdy, abyście się pobrali... Wy nie znacie tego straszego człowieka. Gdyby go ujęto nawet—znajdzie sposób.

Drżałam z trwogi, ponure przepowiednie pani Raynez głucho dźwięczały mi w uszach, zranione ramię przeszył dotkliwy ból, w oczach zamajaczyły ciemne koła. Nie wiem, co się dalej działo. Kiedy odzyskałam przytomność, leżałam na wielkim szezlongu w jadalni, a nad sobą widziałam stroskaną twarz Jerzego. Pani Raynez siedziała przy mnie. Jerzy oznajmił po chwili, że konstable opuścili Alders straciwszy nadzieję schwytania we mgle Gordona i innych... On musi iść za nimi, zanocuje w białej willi. Z nami zostanie Maynard i kilku najsilniejszych ludzi, którzy czuwać będą bez przerwy w mieszkaniu i w parku. Możemy być pewne, że nikt nie zakłóci nam spokoju.

Zaległa głucha cisza.

— Niech pani mi przebaczy udział w tym wszystkim — odezwał się nagle Jerzy, zbliżając się do pani Raynez. — Nie przewidywałem takiego końca. Miałem wprawdzie niejasne jakieś podejrzenia, nie przypuszczałem jednak, że sprowadzę taki cios na panią—dodał ze szczerym współczuciem.

— To nie jest dla mnie ciosem — odparła smutno, lecz z godnością.

— Ten człowiek... wiedziałam przecież... tak się stać musiało... zresztą, jedynie temu, że nienawidził gwałtu, zawdzięczam życie, więc... dla mnie... Pragnęłam jednak śmierci jak zbawienia!

— Nikczemny! — syknął Jerzy, zaciskając zęby. — Nie minie go kara, nie ujdzie tym razem!

— Nie ujmą go żywym — powiedziała spokojnie, z wyrazem głębokiego przekonania pani Raynez. Wszystko na nic...

Skinęła nam głową, uśmiechnęła się smutno i wolnym krokiem opuściła pokój.

Jerzy usiadł przy mnie i całował mnie w milczeniu. Przymknęłam oczy i poddawałam się biernie jego pieszczotom. Ostatnie straszne przejścia wstrząsnęły mną tak bardzo, że nie miałam siły oddawać mu jego słodkich pocałunków. Powoli spokój zstępował do mej duszy.

— Jak najprędzej powinnaś opuścić to miejsce — szeptał cicho Jerzy, gładząc moje ręce. — Ty i ta biedaczka. Jej życie było męczarnią... Teraz przynajmniej będzie miała spokój.

Nagle zastukano do drzwi...

Drgnęłam.

— Czekamy! — zabrzmiał suchy głos detektywa.

— Idę! — odparł Jerzy krótko.

Objęłam go ramieniem i przytuliłam się mocno. Przygarnął mnie serdecznym ruchem.

— Muszę iść, chociaż wolałbym tu zostać i czuwać całą noc przy tobie. Bądź pewna, że stale będę o tobie myślał. Rano powrócę. Zjawię się na każde wezwanie. Teraz połóż się, najdroższa. Dobranoc, Violet moja!

Poczułam na swoich ustach jego usta — i już go nie było... Wtedy wstałam i chwiejąc się trochę poszłam do siebie na górę. Nie miałam nawet siły się rozebrać i położyłam się na łóżku w sukience. Wkrótce zapadłam w głęboki sen. Obudziłam się, kiedy dniało. Uniosłam z wysiłkiem głowę, czułam się dziwnie zmęczona i chora, z trudnością zdjęłam ubranie

i wsunęłam się znów pod kołdrę. Kiedy ponownie otworzyłam oczy, słońce wysoko świeciło na niebie. W uszach mi szumiało, ramię bolało, ale zwlokłam się z łóżka, narzuciłam szlafroczek i zeszłyśmy z Haide do jadalni.

Same zjadłyśmy śniadanie. Kucharka oznajmiła, że pan Maynard wyjechał do Londynu, a pani Raynez śpi jeszcze. Wybierałam się do jej pokoju, kiedy przed ganek zajechał stary doktor. Opatrzył prędko Sarę, a potem przyszedł do nas. Jerzy był rano u niego. W milczeniu wskazałam mu ramię. Odwinął je ostrożnie, położył jakąś maść, zabandażował mocno całą lewą rękę i kazał położyć się zaraz do łóżka. Opowiedziałam mu wszystko. Nie miałam potrzeby robić z tego tajemnicy, i tak jutro, a może jeszcze dziś wieczorem dzienniki obwieszczą światu całą prawdę. Lepiej nawet, że dowie się jej ode mnie. Stary dziwak wysłuchał mnie z wielkim spokojem i rzekł na koniec, że trzeba być bardzo naiwną, żeby tak się pozwolić oszukać. Dodał jeszcze, iż od dawna nie dowierzał mojemu pa-

nu, ale — podziwia go, uwielbia nawet! Powtórzył zakaz opuszczania łóżka, uściskał szorstko moją rękę i odjechał, a ja położyłam się zaraz do łóżka. Kilka minut później zjawiała się w moim pokoju Jane, która powróciła z Wright Farmy i dowiedziała się od kucharki wszystkiego. Nic z tego nie zrozumiała, stara Jennings jest głucha i pewnie nie wie o co chodzi. Chciała się ode mnie dowiedzieć, co się tu naprawdę stało?!

Nie chciałam jej powiedzieć prawdy przez wzgląd na panią Raynez. Musiałam coś jednak odpowiedzieć, więc wspomniałam tylko, że w Geldham Hall popełniono kradzież, że poszukują sprawców. Dodałam jeszcze, że nieznajomy, który pytał o Sarę — to detektyw. Wyjechał z panem. Potem poprosiłam, żeby wyszła, bo mnie bardzo głowa boli. Jane obrzuciła mnie dziwnym spojrzeniem, ale spełniła moją prośbę.

Zostałam sama i opadły mnie znów straszne myśli, w oczach miałam obraz wczorajszych wypadków. James Woodfall! James Woodfall... ten, o którym mąjczyła Sara, który brał udział w kradzieży w pałacu i w białej willi, złodziej... fałszerz... zbrodniarz — to pań Raynez!... Wiem teraz, że to zły, występny człowiek, a jednak... jednak... nie mogę zapomnieć jego uprzejmości i dobroci. Tak mi ciężko na duszy. Przecież to ja doprowadziłam, choć bezwiednie, do jego zdemaskowania. Chwilami zdaje mi się, że widzę jego obłąkane oczy, jak patrzą na mnie z niemym, okropnym wyrzutem. Krew ścina mi się lodem w żyłach i dręczy mnie sumienie.

Przed południem usłyszałam na schodach wieżyczki głos Jerzego. Przyszedł dowiedzieć się o moje zdrowie. Zmartwił się gorączką i tym, że muszę leżeć. Szepnął mi przez uchylone drzwi, że ma coś ważnego dla mnie i przekaże mi to przez panią Raynez. Prosił, żebym była o niego spokojna, że czuwa nade mną. Wkrótce w moim pokoju zjawiała się Haide: w zaciśniętej rączce trzymała kawałek papieru. Wzięłam kartkę z rąk dziecka drżącymi palcami. Jerzy mi donosił, że starszy detektyw radzi zachować jak największą ostrożność jeszcze przez parę dni. Jest pewien, że pan Raynez powróci tu prędzej czy później, policja liczy na to. Dlatego konstable zrobią dziś szczegółową rewizję domu na moczarach, a potem strzec będą Alders tak bacznie, że mysz nie prześliznie się bez ich wiedzy. Życie w Alders płynąć miało zwykłym trybem, aby łatwiej zmylić czujność zbrodniarza. Pisał także, że telegrafował do matki. i

Wsunęłam kartkę po poduszkę i zasnąłam.

Kiedy się obudziłam, słońce chyliło się ku zachodowi. W pokoju panowała

uroczysta cisza. Przy łóżku, na krześle siedziała pani Raynez, blada, z podkownikami pod oczami, widać było, że cierpi. Ucisnęłam serdecznie jej rękę. Powiedziała, że dzisiaj nie spała. Jest dziwnie niespokojna, boi się, że to przeczucie czegoś złego.

— On ciebie nie zostawi — szeptała trwożliwie — ani ciebie, ani Jerzego.

Mówiła, że bardzo się boi, że pani Sannders, pielęgniarka Sary, nie jest osobą godną zaufania, wczoraj była tak pijana, że nie wiedziała zupełnie, co się dzieje. Z Sarą źle się obchodzi, być może ona jest także narzędziem w ręku złoczyńców. Żałowała, że pan Maynard wyjechał. Stale ma wrażenie, że w domu ktoś się ukrywa, chwilami jest tego pewna.

— Niech pani zamyka drzwi na klucz — odezwałam się łagodnie.

— Nie mam klucza — szepnęła, nerwowo zaciskając dłonie — zresztą, co znaczy dla nich klucz i zamek? Może lepiej zostawiamy drzwi od naszych pokoi otwarte, w ten sposób będziemy czuwać nad sobą nawzajem. Czy zgadza się pani?

Zgodziłam się. Pani Raynez ucałowała mnie w milczeniu, poprawiła poduszki i odeszła mówiąc, że nie chce mnie męczyć. Drzwi zostawiła otwarte na oścież.

Przed wieczorem Jane przyniosła herbatę, ale nie mogłam jej pić. Rana dokuczała mi coraz mocniej, miałam gorączkę. Zapadłam w półsen. Gdy się obudziłam, było już zupełnie ciemno, wokół panowała niczym nie zakłócona cisza. Byłam zlana zimnym potem. W pamięci miałam ostatnie słowa pani Raynez i straszny podstęp Sary. Wstrzymując oddech, nasłuchiwałam. Nagle usłyszałam stłumiony krzyk. Zerwałam się, narzuciłam szlafroczek i drżąc ze strachu wyszłam na schody. Przez chwilę było zupełnie cicho i już zaczynałam przypuszczać, że mi się przywidziało, gdy do mych uszu dobiegł odgłos zamykanych drzwi, ostrożnego stąpania w głównym korytarzu i przybliżających się szeptów. Uchwyciłam się mocno poręczy zdrową ręką i zaczęłam powoli schodzić. Teraz szept był wyraźniejszy. Gdy byłam już na dole wieżyczki, poznałam głos Sary. Dreszcz trwogi wstrząsnął mną od stóp do głowy. Wolałabym chyba spotkać Gordona z rewolwerem w ręku niż tę kobietę, której się tak lękam. Zawróciłam i chciałam uciekać, kiedy mi stanęła w myśli pani Raynez. Opanował mnie straszny niepokój. Drżącą ręką zrobiłam znak krzyża i ostrożnie wyszłam na korytarz. Dniało. W kącie spostrzegłam skuloną Sarę, mruzczała coś. Zwróciła na mnie obłąkane, gorejące oczy. Zadrżałam, wydało mi się, że nadeszła moja ostatnia godzina... Po chwili Sara z trudem dźwignęła się z podłogi, była cała w krwawych bandażach, kosmyki włosów miała pozlepiane krwią, wyglądała strasznie.

Słaniając się ruszyła wzdłuż ściany w stronę schodów.

— Zrobiłam! Już zrobiłam! — zamruczała głośniejszym głosem. — Może wracać. Zrobiłam, co rozkazał. Niech się żeni teraz z tą smarkatą. Przyjeżdżaj, Jimie! Już nie żyje!

Zdrętwiałam, kolana ugięły się przede mną. Dobywając ostatnich sił zaczęłam biec po korytarzu i jak nieprzytomna wpadłam do sypialni pani Raynez. Na progu poczułam odrzucającą woń, później zawrót głowy. To chloroform! Z trudem dowlokłam się do łóżka. Na twarzy pani Raynez leżały grube rękawiczki nasyczone tym strasznym środkiem. Zerwałam je, drżąc cała. Dzięki Ci, Boże. Żyje, oddycha! Położyłam jej rękę na sercu, biło. Rzuciłam się do okna, otworzyłam je, a potem szarpnęłam taśmą dzwonka tak gwałtownie, że echo rozległo się po całym domu. Zaczęłam miarowym ruchem opuszczać i podnosić ręce pani Raynez. Gdy Jane i kucharka wpadły do pokoju, pani Raynez już otworzyła oczy. Zostawiłam je przy niej, sama poszłam do jadalni szukać wina.

Znalazłam je w kredensie. Wracałam śpiesznie i nagle stanęłam jak martwa. Na samym końcu korytarza spostrzegłam znikającą już męską sylwetkę. Otwarte drzwi pracowni wskazywały, skąd wyszedł. Trwało to moment, nie mogłam więc go rozpoznać, ale przecucie mówiło mi, że to był pan Raynez.

Dokąd się spieszy? Czy ma nadzieję wydostać się kuchennym wyjściem? Czy wie, że dom jest strzeżony? — przemknęło mi przez głowę, chciałam go ostrzec przed konstablami, ale zniknął i cisza zaległa korytarz.

Wróciłam powoli na górę. Pani Raynez czuła się lepiej, a parę łyków wina wzmocniło ją jeszcze. Jane i stara Jennings siłą zaprowadziły Sarę do jej pokoju i położyły do łóżka. Pielęgniarka spała na podłodze twardym snem pijaczki. Kazałam ją tak zostawić. Kucharka miała czuwać resztę nocy w tym pokoju, drzwi od korytarza zamknęłam przez ostrożność na klucz, a sama przesiedziałam w pokoju pani Raynez aż do rana.

Byłam ogromnie wyczerpana, ale nie chciałam odejść. Pani Raynez drzemała, gdy się obudziła, opowiedziała mi, co się wydarzyło: — Wariatka była tak silna, że nie mogłam sobie z nią poradzić, chciała mnie zawlec gwałtem do dawnego pokoju — mówiła o Sarze.

Nagle zapragnęłam zbadać tajemnicę dawnej sypialni mojej pani. Nikt do niej nigdy nie miał prawa wstępu prócz pani Raynez, jej męża i Sary...

Tego samego dnia pielęgniarka zrobiła dziwną propozycję pani Raynez. Zaproponowała, że będzie się nią opiekować, ale musi się przenieść do swojej dawnej sypialni. Chce przejąć obowiązki Sary. Pani Raynez przybiegła do mnie

strwożona na górę i płacząc zaczęła mi się zwierzać ze swych obaw, usta jej drżały.

— Jeżeli pani nie życzy sobie tej zmiany, proszę się nie zgodzić na propozycję tej Sannders — powiedziałam.

— To jego rozkaz — szepnęła.

Dreszcz przebiegł moje ciało. Byłam już pewna, że pan Raynez przebywa w tym domu. Może mnie strzeże, może przepowiednia tej biedaczki jest prawdziwa?... Boże! Boże!

Przed moimi oczyma przesuwały się okropne obrazy i sceny. Widziałam ciemną piwnicę, czarną, wstrętną norę i niewyraźną sylwetkę mężczyzny, ukrytego w tym lochu. Kto wie, czy pan Raynez nie ukrywa się tam? Może w Alders takich kryjówek jest wiele? Czy ten człowiek istotnie jest taki zły? Czy to możliwe? A jego muzyka? Czy ktoś, kto gra tak cudownie i ma duszę artysty, może być po prostu złodziejem, zbrodniarzem? — Czy nie osądzono go zbyt pochopnie? Nikt nie wie, co ma on do powiedzenia na swoją obronę! Wyrzuty zaczęły mnie trapić na nowo. Był dla mnie zawsze dobry, a ja odwdzięczyłam się mu naprowadzeniem policji. A teraz go potępiam nie wysłuchawszy go. Chwilami zdawało mi się, że maczałam ręce w zbrodni. Nagle zapragnęłam zmasać choć część mej „winy”. Błagałam Boga, żeby cofnął karzącą rękę, żeby mu pozwolił stać się uczciwym człowiekiem. Wierzyłam, że stać się tak może. A potem... zaczęłam się zastanawiać, w jaki sposób można by go ostrzec o niebezpieczeństwie. Chciałam mu powiedzieć, że bardzo cierpię.

Podniosłam się z łóżka, nie myśląc o bólu, wyjęłam z teczki kawałek papieru i zaczęłam pisać list do pana Rayneza. Prosiłam go o przebaczenie. Napisałam, że wierzyłam w niego do ostatniej chwili, wyjaśniłam, w jaki sposób stałam się współniczką policji. Poinformowałam go, że Alders jest bardzo strzeżone, że w tych dniach zapewne zrobią powtórny rewizję, w końcu dodałam, że pragnęłabym wiedzieć, czy jest w bezpiecznym miejscu. *Modlę się o to gorąco, bo dopiero wtedy uspokoi się moje sumienie. Nie zapomnę nigdy, że pan był dla mnie dobry.* Zapieczętowałam list i na kopercie dodałam lakoniczny napis *G. Raynez, Esq.*

Potem ostrożnie zesłałam na dół, z bijącym sercem wsunęłam się do pracowni i położyłam list w szufladzie biurka. Wróciłam na palcach do siebie i zamyślona położyłam się znowu do łóżka.

Po południu przysłała mnie odwiedzić pani Manners. Miała dla winowajcy tylko słowa oburzenia, zgrozy i pogardy. Staralam się, choć z wielką nieśmiałością, bronić właściciela Alders przed takim potępieniem, ale moje uwagi rozgniewały tylko poczciwą kobietę i usłyszałam niejedno gorzkie słowo.

— Czy pani wie, że on kazał Sarze zabić żonę, żeby potem ożenić się z tobą?
— mówiła wzburzonym tonem. — A potem chciał cię uwieść?

— Wiem — odparłam łagodnie. — Nie dopuszczono do tego, może dlatego teraz łatwiej mi jest przebaczyć. Czy pani sądzi, że nie powinnam przebaczyć?

— To nawet obowiązek, dziecko — szepnęła po chwili wahania.

— Zdaje mi się jednak... że to cię będzie dużo kosztowało.

Umilkłyśmy.

Pani Manners mówiła potem, że Jerzy, dowiedziawszy się o zajściu z Sarą, był zaraz u doktora, żeby przenieść ją do zakładu. Przed chwilą właśnie ją zabrano. Nigdy już potem nie widziałam Sary.

Koło czwartej Jane przyniosła mi filiżankę gorącej herbaty. Ramię bolało mnie mocno, ale ubrałam się z pomocą dziewczyny, otuliłam szalem

i zeszłam powoli na dół. Nie mogłam uleżeć w łóżku, potrzebowałam zmiany miejsca, chciałam się widzieć z panią Raynez. Przy pomocy Jane otworzyłam ciężkie, dębowe drzwi i znalazłam się w wilgotnym zimnym korytarzu. Staralam się iść szybko, pamiętałam ostatnią tutaj swoją bytność

i drżałam na straszne wspomnienie.

Na koniec znalazłam się pod tajemniczymi drzwiami i zapukałam cicho. Ale w sypialni żaden szmer się nie odezwał. Przyłożyłam usta do dziurki od klucza i zaczęłam szeptem wołać moją panią, prosić, żeby mnie wpuściła. Po długiej chwili usłyszałam lekkie kroki i przyciszony głos.

— Czego pani sobie życzy, panno Christie?

— Czy mogę wejść? — zapytałam. — Chcę pani coś powiedzieć.

— Nie mogę pani wpuścić — powiedziała z wahaniem. — Może będziemy rozmawiały przez drzwi?

— Nie! Nie! Ja muszę panią zobaczyć.

Usłyszałam ciężkie westchnienie.

— Zaraz otworzę — powiedziała wreszcie. Klucz lekko zgrzytnął w zamku, nacisnęłam klamkę...

Weszłam powoli, drżąc z niepokoju. Uderzył mnie chłód i stęchlizna. Nieduże, zakratowane okno, prawie całkowicie przysłonięte bluszczem, skąpo przepuszczało światło. W pokoju było prawie ciemno. Wysoko, przy suficie, kopciła

małeńka lampka, dając więcej dymu niż światła. Rozejrzałam się wokoło z przerażeniem. Strzępy obicia zwieszały się z zapleśniałych ścian, wilgoć ściekała po murze wielkimi kroplami na wypaczoną, prawie zgniłą podłogę... Powietrze było duszne i wilgotne, przesycone stęchlizną, dymem, wyciewami z moczaru...

— To pani pokój? — spytałam. — Pani tu sypia?

— Od trzech lat — odrzekła z bolesnym uśmiechem. — Ta sypialnia miała być moim grobem.

TLR

W tej chwili nienawidziłam z całego serca pana Rayneza. Jak on mógł zmusić do mieszkania w pokoju, w którym nie chciałby z pewnością trzymać psa, swoją żonę.

— Nikczemny! — wyrwało mi się z ust.

— Cicho! — wyszeptała pani Raynez przerażona. — On nas może słucha.

— Wszystko jedno! — przerwałam oburzona. — Niech słyszy! Chcę nawet tego! Rano jeszcze pragnęłam, żeby udało mu się uciec, myślałam, że rozpocznie nowe życie, ale teraz!... Niech go szukają, niech znajdą — żadna kara nie będzie dla niego za wielka! Droga pani — mówiłam, wstrzymując łzy płynące mi po twarzy — przykro mi, że ja sypiałam w wieżyczce, wolna od zabójczego wpływu bagien, a pani tu... Jak pani musiała mnie nienawidzieć!

Przyciągnęła mnie do siebie delikatnym, miękkim ruchem i ucałowała w milczeniu.

— Tak — odparła ledwo dosłyszalnym głosem — ale pani temu nic nie jest winna.

— Czy pani nie mogła się sprzeciwić? — spytałam nieśmiało. — Czemu nic pani nie mówiła o tym? Dlaczego pani nie chciała przenieść się na górę?

— Dlatego — zaczęła cicho i urwała nagle. Na policzki wystąpiły jej ciemne wypieki. — Dlatego, że tutaj miałam swój pokój, wiedziałam, że tu mnie nie zabiją. Wiedziałam, że zmiana pokoju będzie dla mnie zapowiedzią śmierci... I tak by się stało niezawodnie, gdyby nie wypadek Sary. Pani

o mało co nie przyczyniła się do tej zbrodni... — dodała niedosłyszalnym prawie szeptem.

Zadrżałam. W pamięci stanęło mi jasno owo dziwne polecenie, które pan Raynez przesłał przeze mnie: *Niech pani powie Sarze, żeby nie zapomniała o robocie, którą ma wykonać podczas mojej nieobecności...* Pamiętałam ponury błysk jej oczu, kiedy powtórzyłam jej te słowa. Więc taki jest ten człowiek?

— Nienawidził gwałtu — ciągnęła pani Raynez z ciemnym ogniem w oczach.

— Wszystko stać się miało przed jego przyjazdem. Wtedy ożeniłby się z panią.

— Ależ — przerwałam rumieniąc się. — To by się nie mogło stać. Jestem zaręczona z Jerzym, pani mąż wiedział dobrze o tym.

Uśmiechnęła się gorzko.

— Czy pani przypuszcza, że zważałby na to? — szepnęła ze smutkiem.

— Pan Jerzy byłby daleko... on blisko... Opór pani nie zdałby się na nic. Nikt mu się jeszcze nie oparł. Umiał rozkazywać i był nieugięty. Wzrok jego miał dziwną, magnetyczną siłę... Teraz nawet... pan Reade zapewnia, że jestem bezpieczna, a jednak... czuję dokoła wpływ tego człowieka, nie mogę się spod niego wyzwolić. Nie zaznam już chyba spokoju do końca życia... jeśli...

— Chciałabym o coś zapytać — odezwałam się z wahaniem. — Czy to prawda, że cały majątek należy do pani, że pan: Raynez nie był zamożnym człowiekiem?

— Tak — odparła spokojnie. — Miałam wprawdzie posag, ale on go stracił. Potem wszystko wyszło na jaw.

— Mówił także, że pani pisze... Czy to prawda, że pani straciła... dziecko... syna?... — pytałam gorączkowo, śledząc wyraz jej twarzy.

— Nieprawda — szepnęła, uśmiechając się boleśnie — wszystko nieprawda. Nie miałam nigdy syna, ani więcej dzieci... To cały jego system, , opleść mnie siecią kłamstw, podawać za obłąkaną i grać rolę bohatera. Jako niemy świadek, który nie zaprzecza — byłam jego współpracowniczką.

— Jak pani mogła znieść podobne życie? — zawołałam drżącym głosem. — Trzeba się było zbuntować, uciekać, często przecież znikał z domu. Ja bym się odwołała do pomocy prawa!

— Gdyby Sara spełniła polecenie mojego męża... i gdyby on się ożenił z panią — szepnęła, blednąc mocno i patrząc na mnie dziwnym spojrzeniem

— wtedy... zrozumiałaby pani... jak mogłam...

Pojęłam w końcu wielkość nieszczęścia pani Raynez. Straszna potęgę, moc straszną posiada ten człowiek, siłę zaklętą we wzroku, w tonie głosu, w dotknięciu, w ruchach... Oplata nią kogo zechce — z wolą czy bez woli. Uległa mu Sara, sprzeciwić mu się nie umiała pani Raynez, pod jego wpływem była dumna pani Reade i wreszcie ja. Każda z nas ma inną naturę, inaczej myśli, czuje — a jednak każdą potrafił podporządkować sobie. Gdyby nie pomocna dłoń Jerzego, kto wie, czy dzisiaj miałabym jeszcze prawo dumnie i śmiało patrzeć ludziom w oczy...

— Chciałabym wrócić do swego pokoju — powiedziałam cicho.

— Trochę mi niedobrze...

Pani Raynez podniosła się prędko, delikatnie objęła mnie ramieniem i pomo-

gła wejść na schody, a potem ułożyła troskliwie w łóżku. Ręka nadal bolała, w głowie huczało, myśl o moim chlebodawcy przejmowała wstrętem. Zapadłam w półomdlenie.

Przed wieczorem odwiedziła mnie znów pani Raynez. Była bardzo blada, miałam niedobre przeczucia. Usiadła na łóżku i nachyliwszy się zaczęła szeptać, że Sanders zniknęła i zabrała z sobą jej złoty zegarek i duży staroświecki zegarek kucharki. Swoje rzeczy zostawiła... moja pani nie wiedziała, co o tym myśleć. Staralam się ją uspokoić, mówiłam, że bardzo dobrze się stało, że pozbyliśmy się takiej osoby. Potem zaczęłam ją łagodnie przekonywać, żeby się przeniosła z powrotem na piętro do słonecznego pokoju, że już nie powinna się obawiać swoich prześladowców. Dała się namówić. Musi dbać o zdrowie choćby ze względu na dzieci. Poprosiłam ją

o papier i pióro, aby napisać krótką kartkę do Jerzego. Napisałam tylko, żeby zabrał nas stąd jak najprędzej i dałam list do przeczytania pani Raynez, bo chciałam, aby wiedziała, co piszę.

Sprzeciwiła się bardzo projektowi natychmiastowego opuszczenia Alders ze względu na stan mego zdrowia, który pogorszyło wstanie z łóżka i ostatnie przejście z Sarą. Nie nalegałam, bo nie miałam siły, spodziewałam się jednak, że Jerzy inaczej postanowi.

Nazajutrz przed południem otrzymałam od niego karteczkę. Prosił gorąco, żebym słuchała doktora, była cierpliwa i nie wstawiała, dopóki gorączka nie ustąpi. Donosił dalej, że dziś rano powtórnie przeszukano dom od piwnic do strychu, ze szczególną dokładnością przetrząsając lewe skrzydło i loch. Nigdzie nie napotkano żadnego śladu złodziei. W spiżarni jednak znaleziono kajdanki Gordona, leżały w miejscu widocznym, na piramidzie z pustych butelek po piwie, słoików, nadgryzionych sucharów i ciastek. Na samym wierzchu leżała ćwiartka papieru ze słowami: ***Ostatni właściciel nieoszacowanego wynalazku błaga łaskawego znalazcę o doręczenie tego cacka policji. Miałem zamiar przed wyjazdem załatwić rachunek z panną Christie, ale mnie rozbroiła swym listem. Powinna o tym wiedzieć. Spieszę do przyjaciela, który czeka na mnie w Ameryce. Chleba nam nie zabraknie. Gorliwym sługom prawa zostawiam na pamiątkę głębokie uszanowanie i wdzięczność.***

Gordon, złodziej brylantów

Wiele długich dni spędziłam w łóżku. Myślałam, że nie skończą się nigdy. Wszyscy byli przygnębieni. Nikt z nas nie wiedział, gdzie jest właściwie pan

Raynez, czy uciekł naprawdę na drugą stronę oceanu, czy też ukrywa się jeszcze w pobliżu. Pani Raynez i ja miałyśmy niejasne przeczucie, że nie wyjechał... Jane, blada, z podkrążonymi oczyma, przybiegała co chwila z inną wiadomością: w pałacu wyznaczono wysoką nagrodę za znalezienie skradzionych klejnotów, w białej willi i u nas wzmocniono strażę. Raz zapewniała, że złapano przywódcę złodziei, Woodfalla. Ale jej informacje okazywały się w końcu fałszywe. Za to ogrodzenie Alders czerniało całymi dniami od przyłgniętych do kraty głów. Cała okolica mówiła o tragedii, jaka się tu rozegrała, i jak to zwykle bywa, nie brakło ciekawych cudzego nieszczęścia. Jane powtarzała mi wszystkie plotki:

o stosach kości ludzkich znalezionych w piwnicach, o ukrytych lochach, tych, które zajmowały całe skrzydło domu, o kobietach, porywanych z pierwszych domów w kraju, które żyły tu w hańbie. Opowiadano cuda

o przepychu, z jakim urządzone były ich pokoje, o bezcennej wartości klejnotach, którymi obdarowywał ich Woodfall. Pani Raynez coraz rzadziej brała udział w wieczornych pogawędkach, do okna nie zbliżała się nigdy.

Nadszedł poniedziałek. Dnia tego czułam się dużo silniejsza i podczas rannej wizyty wymogłam na starym doktorze pozwolenie zejścia na dół. Pragnęłam uciec z tego okropnego domu. Pani Manners ofiarowała nam wszystkim gościnę. Zaczęłam się ubierać natychmiast po odjeździe lekarza, ale dopiero około południa byłam gotowa i mogłam wyjść. Wszędzie panowała martwa cisza. Gdy byłam w korytarzu, usłyszałam łokot otwieranych drzwi, a potem zamykanych z hałasem, krzyk kobiety i szept Jane i kucharki. Po chwili, do mych uszu dobiegł odgłos ciężkich, męskich kroków, kierujących się przez sień do pracowni pana Rayneza.

Drżąc, nacisnęłam klamkę i drzwi uchylily się bez szelestu. Zauważyłam, że ogrodnik z Samem nieśli szeroką deskę, na której leżało coś szczelnie okrytego prześcieradłem. Nie zwrócili na mnie uwagi. Stara Jennings otworzyła na oścież drzwi pracowni, niosący weszli i złożyli ciężar na podłodze. Przez myśl mi przebiegło straszne przypuszczenie. Jak nieprzytomna wypadłam do sieni, potem do jadalni, pragnąc zapytać kogoś... Przy szeszlunku klęczała Haide z pobladłą twarzą i strachem w spojrzeniu.

Przytuliła się do mnie cała drżąca.

— Panno Christie droga — szepnęła strwożonym głosem — tak się boję! Oni znaleźli tatusia!

Zakreśliło mi się w głowie i opadłam ciężko na sofę. Haide zarzuciła mi na szyję rączki, czułam niespokojne bicie małego serduszka. Siedziałyśmy tak długo

chwilę. Potem przyszła Jane, ale wiedziała tylko tyle, że obcy ludzie przynieśli ciało pana i że pani Raynez jest w salonie. Udałam się natychmiast do niej. Była spokojna, chociaż bardzo blada. Wkrótce przyszedł Jerzy, później pani Manners. Oboje chcieli abyśmy przeniosły się na plebanię. Pani Raynez nie stawiała tym razem oporu. Opuściłam Alders z uczuciem niewypowiedzianej ulgi. Tych progów nie przestąpiłam nigdy więcej.

Pilnowałam przenoszonych rzeczy i dopiero późnym wieczorem mogłam odpocząć. Jerzy opowiedział mi, co zaszło. Ogrodnik obchodził dzisiaj wczesnym rankiem ogród i kijem odganiał od krat Alders zanadto ciekawych. Uganiając się za miejskimi dziećmi, których mnóstwo przedostawało się przez ogrodzenie, zapędził się niechcący w dół parku. Wtedy usłyszał krzyk przestachu Mony. Zajął pod most, gdzie mała zwykle bawiła się w błocie, chciał ją zabrać stamtąd. Ale gdy się zbliżył, spostrzegł wśród sitowia i szuwarów ciało Woodfalla, zaplątane w trzciny...

Detektywi zbadali miejsce, w którym zostały znalezione zwłoki, pragnąc dojść przyczyny śmierci. Zgniecione trawy, połamane trzciny przy przełazie, za którym biegła w zaroślach ukryta, wąska ścieżka, łącząca się dalej z polną dróżką, prowadzącą ukosem do szosy, głębokie zakłębienie w błocie wskazywały jasno, że pan Raynez zabłądził we mgle i utonął. Wyrwawszy się z rąk konsta-blów, biegł prawdopodobnie do Alders, poślizgnął się na moście, albo w złym miejscu wszedł przez ogrodzenie, w gęstej mgle

i w pośpiechu nie mógł znaleźć drogi, zrobił fałszywy krok... i było po wszystkim. Może to jego wołanie o pomoc słyszał jego ulubieniec i dlatego szczeakał tak zajadle? Stan zwłok wykazywał, że kilka dni były w wodzie, na cie-le nie było żadnych śladów gwałtownej śmierci.

Przeżyłam następną straszną noc. Leżałam z szeroko otwartymi oczyma, zimny pot perlił mi skronie, w oczach miałam widok topielca

— zbrodniarza, z martwą, fioletowosiną twarzą. Dusza jego już w obliczu Boga... Potem ponury obraz zacierały jaśniejsze wspomnienia, w oczach mi majaczyła wesoła postać byłego właściciela Alders, w uszach dźwięczał jego swobodny śmiech, to znów prawie czułam spojrzenie palących oczu.

i znowu nikło wszystko. Widziałam zielonotrupie ciało, przerażone oczy, usta zastygłe w wołaniu ratunku...

We wtorek rano przybiegł na plebanię Jerzy. Wyszłam mu naprzeciw, do ogrodu. Mocno objął mnie ramieniem i przez chwilę w milczeniu tulił do siebie. Zaczął opowiadać drżącym głosem, że przy zwłokach Woodfalla znaleziono pu-

gilares, a w nim dwa bilety na przejazd do Nowego Jorku na okręcie, który odpłynął z Liverpoolu w czwartek, w dzień domniemanej naszej podróży do Monaco. Bilety były na nazwisko pana i pani Norris. Zamiary byłego właściciela Alders były jasne. Zrobiło mi się zimno na myśl

o niebezpieczeństwie, którego cudem prawie uniknęłam. Wydało mi się, że lecę gdzieś w przepaść, i dopiero po chwili uprzytomniłam sobie, że już nie potrzebuję obawiać się tego człowieka. Jest na sądzie Bożym. Jerzy uspokajał mnie. Powiedział mi jeszcze, że w wewnętrznej kieszeni surduta znaleziono przepyszny naszyjnik z rubinów. Kosztowny klejnot okazał się własnością pani Cunningham. Domyśliłam się, że ten naszyjnik właśnie spoczywał przez chwilę na mej szyi w ów pamiętny wieczór. Wczoraj oddałam Jerzemu brylantowe serduszko z prośbą o odesłanie go lordowi Dalstonowi — to były jedyne odnalezione klejnoty. Reszta zniknęła bez śladu i mimo starannych poszukiwań, nie natrafiono nigdzie na nic więcej. W kilka dni później znaleziono wprawdzie w piwnicy pod spiżarnią brązową walizkę, całkowicie zatopioną w wodzie, tę samą, w której wówczas widziałam skradzioną biżuterię, ale była pusta.; Po drobiazgowym szukaniu wydobyto z wody jeden szmaragdowy kolczyk. Walizkę zwrócono lordowi Mills.

W parę tygodni później usłyszałam o Gordonie. Napisał z Nowego Jorku do pana Carruthersa. Donosił mu z ironią, że boleje bardzo, iż musiał go porzucić tak niespodziewanie. Pisał dalej z beczelną otwartością, że weksle, które mu powierzył wtedy, we środę, wykupił w Beaconsburgh i uprasza o przesłanie łaśkawego pokwitowania. Złotą papierośnicę pana Carruthersa oddał do naprawy do Bella, a spinki z brylantami do Marsdena, gdzie można je odebrać. Donosił, że próbuje rozmaitych fachów, ale dotąd nie znalazł odpowiedniego dla siebie. W każdym razie ma nadzieję, że urządzi sobie życie wygodnie. Dosyć się napracował.

Nie usłyszeliśmy o nim więcej, ale w kilka miesięcy później pisma rozpisywały się szeroko o niezmiernie bogatym kupcu z Indii Zachodnich. Niektóre ilustrowane pisma zamieściły jego podobiznę. Jedna z nich wpadła przypadkiem w ręce pana Carruthersa, który przesłał ją Jerzemu. Ciemny, starannie utrzymany zarost nie przypominał zupełnie Gordona, a przecież w rysach i oczach było coś takiego, co kazało wierzyć, że ów kupiec jest zbiegłym złodziejem, byłym służącym w Denham Court. Daliśmy jednak spokój dochodzeniom. Może on wstąpił na uczciwą drogę?...

Zbliżał się uroczysty dzień mojego ślubu. Na parę tygodni pojechałam do matki, bo pragnęłam, żeby Jerzy zabrał mnie z jej domu.

W dniu ślubu mieszkanko mamy przybrało odświętny wygląd, tonęło w powodzi białych kwiatów, które przysłał Jerzy. Mama pomogła mi się ubrać i wprowadziła do saloniku dopiero wtedy, kiedy zebrali się wszyscy. Jerzy zbliżył się do mnie, wzruszenie malowało się na jego twarzy, i długo całował mnie w rękę... Potem uklękliśmy przed rodzicami.. Jak przez sen pamiętam drogę do kościoła, drżącymi ustami szeptaną przysięgę i powrót. Nazajutrz, wczesnym rankiem, Jerzy zabrał mnie z domu matki. Wieczorem byliśmy w cichym, skromnym dworku, a kiedy znalazłam się w kochanych ramionach Jerzego, poczułam się szczęśliwa bez granic. Prosiłam Boga, żeby pozwolił mi być jutrzejką Jerzego...

Biedna pani Raynez nigdy nie pozbyła się lęku. Lord Mills, państwo Reade i kilka życzliwych domów ofiarowało jej pomoc materialną w delikatny, wzruszający sposób. Zamieszkała z Haide na południu Francji, tam właśnie lekarze zalecili im obu pobyt. Z żalem rozstawałam się ze słodkim dzieckiem. Jane nie chciała opuścić pani Raynez i pojechała z nimi.

Mona została z początku przy mnie i przy Jerzym, matka nie miała siły opiekować się nią. Bardzo przywiązałam się do małej istotki, rosła, łagodniała i w końcu stała się tak miłą dziewczynką jak Haide.

Szczęśliwa jestem bez granic. Jerzy mnie kocha głębokim uczuciem, a ja nie umiałabym już żyć bez niego. Monę zabrała już pani Raynez, a my będziemy mieć wkrótce własne, najdroższe maleństwo...

KONIEC